

PHOEBE
GALLANT

Najlepszy
mężczyzna



Gallant Phoebe

Najlepszy mężczyzna

Hank wyjął z kieszeni marynarki niebieskie aksamitne pudełeczko i kazał jej zamknąć oczy.

- Nie podglądaj. Zaciśnij powieki. Dobrze. Rękę proszę. Nie tę. Ujął ją za lewą rękę. Nie otwierała oczu. Wsunął jej na palec pierścionek. Czekala.

- Już - powiedział.

Otworzyła oczy i aż się zachłysnęła. Tak pięknego pierścionka nigdy nie widziała - kwadratowy szmaragd w oprawie z roziskrzonych brylantów.

- Och - zdołała wykrztusić.

Uśmiechnął się patrząc na nią. Nie musiał pytać: odczytał w jej oczach odpowiedź.

PROLOG

Październik 1994

- Błogosławię cię, Afrykanusie. - Proboszcz obiema swymi dużymi dłońmi uściśnął złocistemu cocker-spanielowi łapę. Potem wziął od kościelnego w komży i kowbojskich butach, stojącego obok, srebrny medalik ze świętym Franciszkiem i dał właścicielce tego spaniela - w zęby, bo trzymając psa miała ręce zajęte. Afrykanus wyciągnął różowy język, proboszcz przysunął się i pochylił, żeby przyjąć psiego całusa.

Esty zajrzała do programu. Teraz psalm. Wszystkie zwierzęta zostały już pobłogosławione, cocker-spaniel jest ostatni. Patrzyła, jak proboszcz wchodzi na prowizoryczną kazalnicę

pod gołym niebem. Wierni wstali. Jesienny poranek był słoneczny, bez wiatru, ale za to pełen szczekania pięćdziesięciu kilku psów, przyprowadzonych na to nabożeństwo w dniu świętego Franciszka. Najwidoczniej chóralny śpiew inspirował je do zabrania głosu.

Cóż za dziwaczne miasteczko, pomyślała Esty, mrużąc oczy przed blaskiem słońca, żeby odczytać podane w programie słowa psalmu. Kobieta w długiej sukni, staromodnej jak po babci, akompaniowała na flecie. Stała przy stoliku brydżowym, na którym - wychylając się z dużej torby - miauczały z przeraźliwie dwa koty.

Dziwaczne, ale będzie mi tu dobrze. Esty coraz głośniej śpiewała z chórem. Na tę uroczystość chyba całe miasteczko przyprowadziło swoje psy, koty, ptaki i króliki, brzuchate świnie, a nawet w dwóch przypadkach lamy. Kilka osób przyjechało konno i proboszcz podszedł do nich, żeby pobłogosławić wierzchowce. Fryzjer z salonu piękności, podobno znający naturalny kolor włosów każdej elegantki w Edgeville, miał wokół ramion oplecionego pytona. Proboszcz pobłogosławił pytona także. Państwo Prescott - szef i szefowa Esty

- z trudem trzymali na smyczach dwa ogromne jednoroczne szkockie charty. Przedsiębiorca pogrzebowy piastował klatkę z jakimś ptakiem. Esty się uśmiechnęła: to powinien być kruk.

Właśnie, miasteczko Edgeville w stanie Nowy Jork było dziwaczne, ale Esty już je sobie wybrała.

Zdecydowała się przenieść tutaj - czy raczej usłuchała przyjaciółki, Connie

- i już nigdzie stąd się nie przenosić. To jednak nie zmienia faktu, że miasteczko Edgeville jest dziwaczne.

Psalm się skończył. Poczula szturchnięcie, więc spojrzała znad programu. Starsza pani o twarzy zmiętej i w równie zmiętym stroju, ale w bardzo solidnych półbucikach, wpychała jej w ręce wyłupiastookiego kudłatego pieska.

- Chcę tylko wyjąć pieniądze na tacę - powiedziała.

Esty przyjęła ten skręcający się tobołek brunatnego futra, który potrafił jednocześnie wyrywać jej się z rąk i drapać się w ucho.

Staruszka wygrzebała z czeluści szarej plastikowej torby zgnieciony banknot pięciodolarowy.

- Ach, jest. - Banknot wzięła w zęby, torbę z powrotem pod pachę i sięgnęła po pierska. - Dziękuję, kochana. - Uśmiechnęła się do Esty. - Ach, pani tutaj nowa.

- Nowusienka - potwierdziła Esty.

- No, to witamy w Edgeville. - Staruszka się przedstawiła: - Sarah Waite, tak zwana Stara Sara Jeszcze Nie Na Mara-ch. Ha ha ha ha! A to moja psina Frezyjka. Dla niej nie mary, tylko suchary. Ha ha ha!

- Dziękuję - powiedziała Esty, nawiązując do powitania.

Z tacą podszedł mężczyzna w kraciastej koszuli. Esty dała dolara, ale na tacy leżały banknoty o wyższych nominałach - przeważnie dwudziestodolarowe, trochę dziesięciodolarowych i te pięć dolarów Sary Waite. Zamożni są tutejsi ludzie, pomyślała. Nie miała przy sobie więcej pieniędzy.

- Pani pracuje? - zapytała Sara, okręcając na ręce smycz Frezyjki, która już stała na ziemi.

- W gazecie. Jestem nową redaktorką.

Sarah uśmiechnęła się szeroko. Zęby miała drobniutkie, nieskazitelnie białe.

- O la la - powiedziała. - Więc to pani. No, materiałów pani nie zabraknie. Tutaj istne Payton Place.

Esty poszukała w głowie przetłumaczenia tej metafory i uśmiechnęła się, gdy je znalazła.

- Skąd pani pochodzi? - zapytała Sarah. - Pierwszy raz panią widzę. Nie chodzisz regularnie do kościoła, moje dziecko. I nie masz żadnych zwierząt?

Esty wskazała koszyk u swoich stóp, w którym spał świeżo pobłogosławiony, zwinięty w kłębek kociak.

- Pochodzę z Bostonu - powiedziała. - Zamieszkałam tu, bo... - urwała. Jak wyjaśnić tej obcej staruszce tak skomplikowaną sprawę? I właściwie z jakiej racji?

- Bo co? - zapytała Sarah.

- No po pierwsze: dostałam tę posadę. Po drugie: mam tu przyjaciół.

- Kogo? My tutaj ogólnie się znamy.

Uch, jęknęła Esty w duchu. Odpowiedziała, że Dużego Ala i Connie. To wystarczyło.

- Przyzwoici - zaopiniowała Sarah.

Jakiś grubas zaczął grać na trąbie. Teraz wierni wniebogłosy śpiewali psalm dziękczynny. Esty zobaczyła, że w rzędzie krzeseł przed nią siedzi Dick Barrett. Słońce czyniło z jego włosów miedzianą aureolę, ale przy skroniach srebrzyły się pasemka siwizny.

Chwalcie Go ziemskie stworzenia Boże!

W tym momencie zawył pies myśliwski, podnosząc pysk ku niebu. Wszyscy odwrócili głowy. Dick Barrett również. Zawadził wzrokiem o Esty, mrugnął do niej i uśmiechnął się przepięknie, zanim odwrócił głowę z powrotem. Zdażyła uśmiechnąć się w odpowiedzi.

Sarah trąciła ją i wskazała podbródkiem jego plecy w swetrze udzierganym na drutach, chyba „splot rybacki”.

— Nasz burmistrz — szepnęła. — Straszny kobieciarz. Czując słońce na ciemieniu, Esty rozglądała się po tłumie wesołych, zdrowo wyglądających ludzi, którym zależało na tym, by ich ukochane sżczenięta otrzymały błogosławieństwo. Sama miała w kieszeni blezera srebrny medalik ze świętym Franciszkiem dla swojego kociaka. Trębacz wytarł ustnik trąby o gors sztruksowej koszuli i zapoczątkował psalm końcowy. Po chwili było już po nabożeństwie. Nadeszła pora na kawę. Esty wstała, gdy dźwięki trąby ucichły. W przejściu zatrzymała się i przepuściła wysoką panią w fioletach, która prowadziła na wstążce małą kozę. Dick Barrett zapalał fajkę, powiało od niego słodko aromatycznym dymem. Esty już sobie układała zdania. Zaraz po powrocie do domu usiadzie przy komputerze i całą tę uroczystość opisze. Kącikiem oka patrzyła, jak jej starszy reporter Wally Mason pstryka jeszcze kilka zdjęć. Miała nadzieję, że ładnie sfotografował proboszcza udzielającego błogosławieństwa czyje-muś psiakowi.

Zaczekała, aż Dick Barrett wmiesza się w tłum i odejdzie, po czym z kociakiem w koszyku poszła przez trawnik do swojego samochodu.

Będzie dobrze, powiedziała sobie patrząc w niebo, na klucz gęsi kanadyjskich lecących na południe. Za kościołem pasły się

krowy. Szosą kłusował jeździec, migąła wstążka, którą odświewnie związał ogon swojego konia. Uśmiechnęła się. Jest tutaj zaledwie od miesiąca - no, trochę, ale tylko trochę dłużej - a czuje się jak u siebie. Rzeczywiście u siebie. Więc może - pomyślała - właśnie tu jest moje miejsce.

Część pierwsza
Ucieczka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lato 1994

- Pytasz, co robisz w Gallena w stanie Illinois? Jak to? - Jack z widelcem w ręce zmarszczył brwi i patrzył na Esty z takim żalem, jakby zakwestionowała samo jego istnienie, a nie jego miasteczko rodzinne.

- Tak to - odpowiedziała. - Co ja tu robię? Przecież tu nie moje miejsce. Jestem z Nowej Anglii, Jack. Nigdy się nie wpasuję w Środkowy Zachód.

Czekał, żeby mówiła dalej. Położył widelec przy talerzu, befsztyka jeszcze nie tknął.

Chcę wrócić tam, skąd przyjechałam - powiedziała Esty. Od lak dawna nie czuję się w swoim żywiole, że już

zapomniałam, jakie to uczucie. Odkąd ukończyłam szkołę, nie byłam u siebie... Tylko się dostosowywałam to tu, to tam. Czas... wylądować.

- Skoro jesteś z Nowej Anglii, jak wytrzymałaś przez tyle lat w Teksasie?

Westchnęła nagle, zdając sobie sprawę, że są całe obszary jej życia, na które nigdy Jacka nie wprowadzała.

- Wiesz, dlaczego tam zostałam, Jack. Kiedy Erie zmarł, byłam zanadto wstrząśnięta, żeby myśleć o przeniesieniu się. Potem Jessica zaczęła dorastać, a Dallas to był jej dom. Potem wróciłam na studia. Potem posada. Potem...

- Potem przyjechałaś tutaj, bo tu dostałaś lepszą posadę. I poznałaś mnie. - Jack wziął widelec i przeciągnął nim po sałatce. - Nie chcę cię utracić, Esty.

Powiedzieć mu o wyjeździe było trudniej niż przypuszczała, jeszcze trudniej niż zdecydować się na wyjazd. Ale zdecydowała się słusznie, to jedyne właściwe rozwiązanie. Kocham go, myślała, uwielbiam go nawet, ale nie aż tak, żeby się z nim związać do końca życia. Rozstanie będzie bolesne. O ironio, kocham go bardzo, odjadę zupełnie rozbita, ale kocham nie dosyć, żeby przy nim zostać. Dlaczego wciąż odkładałam zawiadomienie go o tym? Czyste tchórzostwo.

- Mnie też jest przykro, Jack - powiedziała. - Ale w żadnym razie nie wyszłabym za ciebie, a ty właśnie tego chcesz i na to zasługujesz. Chciałabym tego chcieć, ale nie mogę. Tylko bym cię unieszczęśliwiła.

Musiała spuścić wzrok. Napiła się wina i czując lekkie palenie alkoholu w ustach zastanowiła się, co jeszcze powiedzieć temu mężczyźnie, który ją kocha, którego ona kocha i przy którym po prostu nie może zostać. Przełknęła wino, westchnęła do Boga, żeby obyło się bez łez, i spojrzała Jackowi w oczy.

- Chyba nie potrafię cię przekonać, że można kochać kogoś szalenie, a jednak nie godzić się na tę miłość. Jednak odejść od tej miłości. Ja muszę odejść, Jack. Muszę... iść dalej naprzód.

- Nie rozumiem. Tak dobrze spisujesz się tutaj. Spektakularnie dobrze. Wrosłaś w to miasto, a niełatwo w nie wrosnąć.

Masz tutaj pracę, przyjaciół, wszystko. Piszesz artykuły wstępne, prowadzisz cotygodniową rubrykę. Est, tu cię kochają nawet ci, którzy nie znają ciebie osobiście. Jak możesz to zostawić za sobą? Żeby się przenieść do jakiejś zapadłej miejsciny na zadupiu stanu Nowy Jork? Do diabła... gdyby przynajmniej do Nowej Anglii. Przecież tam nie znasz nikogo i...

- I będę zaczynać wszystko od początku - powiedziała Esty cicho. - Tak, właśnie tak. I utracę cię, Jack, mój kochany.

Ujął jej rękę i uścisnął.

- Strasznie mi będzie ciebie brakowało. Myślałem, że w końcu wyjdiesz za mnie. Myślałem, że już prawie cię namówiłem. Że jesteśmy prawie o krok...

- Byliśmy. Byliśmy prawie o krok, co nigdy mi się nie zdarzyło z nikim innym po Eriku. Przez dwadzieścia osiem lat. Długi czas, jak na tylko „o krok”.

Jack milczał. Esty, nagle głodna pomimo rozdzierającego smutku, zaczęła jeść kurczaka. Był pyszny. Pociągnęła jeszcze łyk wina.

- Właściwie kiedy podjęłaś tę decyzję? - zapytał Jack po długim milczeniu.

On zasługuje na to, żeby wiedzieć wszystko, pomyślała. Nie mówiła mu aż do dzisiejszego wieczora... dopóki nie nabrała stuprocentowej pewności. Nowa posada załatwiona, dom należycie wystawiony na sprzedaż. Klamka zapadła, już nie można się rozmyślić. Esty nie wahała się, ale cierpiała.

- To zaczęło się w listopadzie - powiedziała.

- W tamtym tygodniu, kiedy byłaś u swoich starych przyjaciółek?

- Tak. Ale, Jack, one mnie do niczego nie namawiały. Po prostu znamy się jak łyse konie. Wystarczy, że któraś popatrzy na którąś i już wie, co się z nią dzieje. No więc popatrzyły na mnie. Później Connie powiedziała mi o tej posadzie. Przez całą zimę omawiałyśmy to przez telefon. Ja...

- Nie cieszyły się, że po tylu latach samotności znalazłaś mężczyznę, który cię kocha?

- Cieszyły się, oczywiście. Ale przejrzały mnie. Zobaczyły, że jestem w rozterce, że się niecierpliwię. Jack, ja wciąż się niecierpliwiłam.

- Tylko nie przy Eriku.

- Tylko nie przy Eriku. Przed Erikiem tak, zawsze. Moje przyjaciółki to rozumieją. Im chyba łatwo zrozumieć, bo nie odbija się to na nich. - Na mnie się odbija.

- Tak samo odbijało się na Jessice. I na mojej matce. I na mnie samej. Nie lubię tego uczucia, że mnie ponosi. Ale ufam sobie. Wierzę, że wiem, kiedy muszę... iść dalej.

- I twoje przyjaciółki potrafiły to poznać? Bujacie gdzieś w obłokach.

Cóż mogła powiedzieć? Patrzyła na Jacka, na tę kochaną twarz zasepioną, smutną.

- Potrafiły - powiedziała. - Znają mnie.

Jedli milcząc. Jack jadł befsztyk tak, jakby gniewał się na to mięso: dźgał je widelcem, piłował nożem. Brwi miał wciąż ściągnięte. Esty żalowała, że nie jest inna i nie kocha go bardziej, nie kocha go lepiej. Przecież Jack jest bez zarzutu, wzięty lekarz z powołania, sportowiec, świetnie gra w tenisa, galopuje na swoim wierzchowcu, Nordyku, co dzień rano. I ten jego szeroki gest i te jego liczne zainteresowania... Ojej - zastanowiła się - zachwalam go przed sobą jak towar. Wszyscy Jacka bardzo lubią. Wszyscy oprócz tych moich dziewczyn zakładają, że ja za Jacka wyjdę.

Jack tak jak ona długo był samotny i nadal nosił w sercu miłość do swojej żony zmarłej na białaczkę przed dwudziestu laty. Esty wiedziała, że to niezwykle, żeby atrakcyjny mężczyzna tak długo pozostawał wdowcem. I wiedziała, że to jest jak zrzącenie losu. Między Jackiem i nią nie ma żadnych barier, żadnych przeszkód. Nawet należą do tego samego Kościoła. Właśnie, Jackowi nic nie da się zarzucić, myślała, a mój problem to tylko moja sprawa i nawet po tylu latach samotności chyba nie do rozwiązania - nie potrafię zawierzyć sobie mężczyźnie na nowo, oddać się całkowicie. A każda miłość poniżej takiej miłości może być tylko klęską. To także wiedziała.

Kelner podszedł do ich stolika i znów napełnił kieliszki winem.

- Jack, przepraszam cię - powiedziała.

- Ona przeprasza - mruknął Jack, spojrzął na nią i spróbował się uśmiechnąć. Bez skutku. - Dlaczego zamiast informować

mnie o tym na bieżąco, czekałaś i raptem z tym wyskakujesz zupełnie tak, jakbym był jakimś przypadkowym znajomym?

Tego pytania się bała - pytania całkowicie na miejscu, a przecież najtrudniejszego. Chciała odpowiedzieć uczciwie.

- Po raz pierwszy w życiu - wyznała - miałam kłopot z podjęciem decyzji. Zawsze wiedziałam, czego chcę, i zgodnie z tym postępowałam. Myślę, że miałam szczęście, czy też życie mnie rozpieszczało, bo nigdy z żadnym mężczyzną nie musiałam się liczyć aż tak, żeby swoje odejście wyjaśniać w sposób należyty. Dopiero z tobą... to inna sprawa.

- Utrata męża nie była szczęściem ani dowodem rozpieszczania przez życie.

- Nie była, ale kiedy musiałam coś zdecydować, zawsze mi to przychodziło łatwo. Dopiero tym razem... nagle nie wiedziałam, czego chcę. Zostać tutaj, wyjść za ciebie, zapuścić korzenie raz na zawsze? Nie mogłabym. Wciąż się rozglądałam. Nie szukałam innych mężczyzn. Nie! Szukałam innych... pomysłów. Z nikim o tym nie rozmawiałam, Jack. Aż do listopada... wtedy z moimi przyjaciółkami. Jessice jeszcze nie mówiłam.

- Myślałam, że wy dwie nie macie przed sobą tajemnic.

- Nie ma na świecie matki i córki, które by przed sobą czegoś nie tajiły. Boję się jej powiedzieć. Ona mnie zgnoi. Uważa, że jesteś cudowny, więc trudno jej będzie zrozumieć, dlaczego ja... uciekam. W końcu jednak zrozumie. - Czy aby na pewno? Nie wiem, pomyślała.

Kelner podał im cappuccino. Zawsze pili taką kawę na deser, więc nawet nie musiał pytać. Uspokajało Esty mieszanie łyżeczką piany z wiórkami czekoladowymi na powierzchni. Po kawie pewnie jak zawsze nie będzie mogła zasnąć, a dziś tym bardziej, po rozmowie z Jackiem. Już wyczekiwała tej bezsenności. Popuści sobie wodze, wypłacze wszystkie łzy. Żeby nadrobić powstrzymywanie ich teraz. - Kocham to miasto - powiedziała. Jack wpatrywał się w cappuccino.

- To dosyć mocny cios - powiedział. - Czy mogę z góry cię przeprosić za niezbyt książęce zachowanie? - Skinął na kelnera, poprosił o rachunek i sięgnął po swoją kartę kredytową.

- Kochasz to miasto jak stację po drodze. Mnie kochasz jak faceta po drodze. Czy tak?
 - Jack, przykro mi. - Łzy znowu wezbrały pod powiekami. Ale gdyby się teraz rozplakała, Jack by się zerwał, wziąłby ją w objęcia i już by przepadła. Musiałaby zaczynać to drugi raz, a wiedziała, że dwa razy nie zdoła ani przejść przez to sama, ani tak dręczyć Jacka.
 - Więc powiedziałaś swoje. Jeszcze tylko dodasz: „Będziemy nadal przyjaciółmi”, prawda?
- Esty sięgnęła po torebkę wiszącą na oparciu jej krzesła. Ten wieczór się skończył. I skończył się jej związek z Jackiem Ormsbee - najmiłszym, najdobrotliwszym, najcudowniejszym mężczyzną, jakiego spotkała po Eriku.

Nazajutrz - to był piątek, dzięki Bogu - Esty złożyła w redakcji wymówienie. Jej szef także z początku nie dowierzał, a potem się zirytował. Jak ona może rzucać taką dobrą posadę? Gdzie jej będzie lepiej? Czego jej się zachciało, do diaska? Jak mogła przyjąć stanowisko naczelnej w gazecie o znacznie mniejszym nakładzie niż ta, w której pracuje? I to w jakiejś dziurze w głębi Wschodu? Jak? Dlaczego? Po tej przeprowadzce wyszła z redakcji z zawrotem głowy i bliska płaczu. Miała tu pracę rzeczywiście dobrą, wiele się nauczyła, wszyscy zawsze byli życzliwi, nikt nie czuł się urażony, kiedy awansowała. Jak mogę odejść od tych miłych ludzi - wyrzucała sobie - żeby zamieszkać gdzieś, gdzie nigdy... Przerwała tę myśl. Dosyć! Zdecydowałam się, kości rzucone. Starła z rzęs ostatnią tego dnia łzę. Myślała, że wszystkie łzy już wylała w nocy, ale najwidoczniej zapasy łez są nieograniczone. Na ulicy jej nastrój zmienił się prawie od razu. Więcej płaczu nie będzie, postanowiła usiłując się zapewnić, że to, co najtrudniejsze, już ma za sobą. Włączyła silnik swego pięcioletniego volvo i zakręciła w stronę rzeki Galena i domu. Wsunęła w magnetofon kasetę Franka Sinatry i razem z nim śpiewała cudowne stare piosenki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych - akurat tych piosenek dosyć, żeby umilić cały czas

jazdy do niedużego domku, z którego wkrótce miała się wyprowadzić.

Jeszcze to mnie czeka, myślała śpiewając. Dwie sprawy już załatwione, ta jeszcze nie. Mężczyzna. Posada. Teraz dom. Ale to łatwe. Posady i domy łatwiej znaleźć i stracić niż mężczyznę tak wspaniałego jak Jack. Czy znowu zacznę?... Nie! Na lepsze czy na gorsze, już się stało! Już mogę zdać się na samą siłę rozsądku. Uspokojona, zajechała przed dom i zaparkowała samochód.

Wzięła się w karby jak za każdym razem, gdy wracała do domu, a Grymas nie przybiegł z powitalnym szczekaniem. Ten piesek skończył życie, zmęczony starością, parę miesięcy temu. Przełknęła smutek, wzięła z samochodu teczkę i stanęła na podjeździe patrząc na dom, który kupiła przed pięciu laty. Jakoś wiedziała wtedy, że ta jej pierwsza prawdziwa przeprowadzka, odkąd Erie umarł, nie jest przeprowadzką na stałe.

- Ten dom nie budzi we mnie sentymentu - stwierdziła i zerwała narcyz z trawnika.

Był to zwyczajny kwadratowy domek. Spękany cementowy chodnik prowadził na frontowy ganek z balustradą pilnie potrzebującą warstwy farby. W domku na parterze zgoła zwyczajnie mieściły się salonik, jadalnia i kuchnia. Na poddaszu były dwie sypialnie i ogromna łazienka z wanną na szponiastych nóżkach, ale bez prysznic.

Wchodząc na schodki ganku, Esty zatrzymała się. Tutaj co wieczór po powrocie z redakcji tuliła do siebie Grymasa. Tutaj wyciągała listy z metalowej skrzynki na ścianie.

Włożyła klucz w zardzewiały stary zamek, posłuchała skrzypnięcia, z jakim duże dębowe drzwi się otworzyły - drzwi o wiele za luksusowe jak na taki zwyczajny domek.

Weszła, zostawiając drzwi otwarte, pal licho owady! Potrzebowała światła dnia - w tym domu chyba nigdy nie ma dosyć światła. Przeszła do saloniku i rozejrzała się krytycznie. Oczami ewentualnego nabywcy zobaczyła brązową plamę na suficie, pozostałość po przecieku wody przelewającej się pewnego wieczora, gdy wyskoczyła z kąpieli do telefonu. Zobaczyła tapetę w kolorowy deseń: pasterze i pasterki, której nie cierpiała, ale nie pofatygowała się zastąpić inną. Wiedziała

przecież przez cały czas - czyż nie? - że to jest naprawdę „stacja po drodze”. Zobaczyła kominek ze szklanymi drzwiczkami zatrzymującymi ciepło, czymś nie do przyjęcia dla osoby rodem z Nowej Anglii, gdzie paleniska kominków są otwarte, słychać trzaskanie drewna i nieraz iskra wylatuje na dywan, a połowa tego gorąca uchodzi w komin.

Ach, właśnie, dywan... Esty popatrzyła na kwadrat zieleni, który kupiła wprowadzając się - niedrogą okładzinę ze względu na Grymasa czasami za długo samego w domu. Ale meble nie były jej własnością. Kupiła umeblowany. Nie odnowiła dwóch klubowych foteli czy przynajmniej nie postarała się o pokrowce. No, może nowi właściciele wprowadzą się ze swoimi meblami.

Nowi właściciele. Ale czy ten dom da się sprzedać? Esty miała poza tą nieruchomością tylko miesięczną pensję, a przeprowadzki sporo kosztują. Może powinnam coś niecoś tu upiększyć, pomyślała.

Położyła teczkę na sfatygowanym stoliku w hallu i poszła przez kuchnię na małą rampę prowadzącą na zaniedbane podwórko za domem. Nie interesowała się ogrodnictwem, nie zaopatrzyła się w kosiarkę, ale na szczęście kosił od czasu do czasu jej trawę syn sąsiada.

Czy ja bym kupiła ten dom dzisiaj? Zadała sobie pytanie i odpowiedziała, że tylko w ostateczności, gdyby to był jedyny dach nad głową, na jaki ją stać. Klapnęła na płócienną poduszkę wiszącej ławki, kupionej z którejś tam ręki na pchlim targu, i przerzuciła nogi przez poręcz. Przymknęła oczy. Jacka już nie ma. Posady już nie ma. Teraz trzeba sprzedać dom. Dwie sprawy załatwione, jedna do załatwienia...

Zadzwoił telefon. Gdy spuściła nogi z poręczy, jedną stopą zdrętwiałą nie mogła poruszać. Utykając pospieszyła do telefonu. Zdażyła odebrać, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

- Czy mogę z kimś przyjechać? - zapytała pani Spence, agentka sprzedaży nieruchomości. - Chyba mam reflektantów. Młode małżeństwo, jedno dziecko, jeden pies. Muszą szybko gdzieś zamieszkać. Nowi w mieście. Możemy przyjechać zaraz?

- Zaraz? - Esty spojrzała na zegarek. Godzina siódma. Czemu nie?

- Niech się pani nie denerwuje - powiedziała pani Spence, spodziewając się okrzyku, że w domu jest bałagan. - Będziemy za pół godziny.

Esty spróbowała sobie przypomnieć, co słyszała o sprzedawaniu domów. Trzeba pochować rzeczy, które są w złym stanie. Posprzątać. Zapalić wszystkie lampy. Wstawić do wazonów kwiaty, położyć na stoliku parę nowiusieńkich książek. Włączyć piecyk i podgrzewać w nim coś z cynamonem.

O kwiatach zapomnijmy. Esty wróciła do kuchni, wyjęła z lodówki roladę z rodzynekami i cynamonem, pokrajała ostrym nożem na tacy i wsunęła do piecyka. W domu będzie ładnie pachniało. Gąbką z płynem czyszczącym przejechała kuchenne blaty i z drzwiczek szafek starła odciski palców. Zajrzała do zamrażalnika, czy nie ma szronu. Nastawiła radio, melodyjną spokojną muzykę, postawiła na kuchennym stole dwa cynowe lichtarze i położyła dwie złożone trójkątnie serwetki w czerwono-białą szachownicę. Niech to wygląda jak przed kolacją zakochanych.

Weszła na poddasze, wyrównała białą kordonkową kapę na swoim łóżku i spulchniła poduszki na wiklinowym fotelu w kącie. Zbłąkaną parę pantofli wepchnęła do szafy i przypomniało jej się, że w łazience wisi tygodniowy zapas upranych rajstop. Zabrała je stamtąd i wcisnęła do górnej szuflady sekretery, po czym wyeksponowała na szafce nocnej ramki z fotografiami Erika i Jessiki.

Erie. Nawet po tylu latach, prawie trzech dziesiątkach lat „nie przeboleła” go, jak mawiała jej matka. Patrząc na jego fotografię, zawadiackiego w mundurze, z rękami na biodrach, z twarzą w cieniu czapki, znów otworzyła sejf swego serca. Przymknęła oczy, przez chwilę wspominała jego dotknięcie, jego śmiech. I jak on na grzance rzeźbił z masła „maślaną buzię” i jak mówił: uff!, ilekroć się pochylał, żeby rozwiązać sznurowadła. I jak całował ją w kark, kiedy stała nad kuchennym zlewem, i jak gwizdał przy czyszczeniu mosiężnych guzików munduru.

Czy ja wciąż jeszcze uciekam? - Esty potrząsnęła głową i odpowiedziała sobie głośno: - Nie! Nie uciekam, biegnę naprzód. Do nowego życia. - Muszę tylko sprzedać ten dom... jak najprędzej, pomyślała.

Sprawdziła drugą sypialnię - Jessiki przyjeżdżającej na krótko raz czy dwa razy w roku. Tu panował idealny porządek. Podciągnęła rolety w okienkach, wpuściła resztki światła dziennego. Zajrzała do szafy i wróciła do swojej sypialni. Dom prezentował się tak dobrze, jak mógł.

Z dołu zalatywało cynamonem. Czas wyjąć tę roladę z piecyka. Pani Spence to doceni.

Jack pokazał się na jej progu nazajutrz rano z torbą rogalików w ręce. Ubrany jak zawsze do porannego biegania

- w szortach i podkoszulku, z opaską na czarnych kędzierzawych włosach, żeby mu nie opadały na oczy. Wyglądał o dziesięć lat młodziej niż poprzedniego wieczora, przystojny aż niepokojąco.

- Pokój temu domowi - powiedział, dając jej torbę. Rogaliki były jeszcze ciepłe, prosto z piekarni. -

Mogę wejść? - Na oścież otworzyła drzwi. Wszedł, przystanął i rozejrzał się biorąc pod boki. - Widzę go w nowym świetle - powiedział

- jako nieruchomość na sprzedaż.

- Ja także - powiedziała Esty. - Jack, są reflektanci. Agentka zadzwoniła dzisiaj. Pewni ludzie byli tu wczoraj wieczorem i chcą kupić. Za sumę znacznie niższą niż zażądałam, ale niewiele niższą niż cena, którą ja zapłaciłam.

- Czyli wszystko sfinalizowane.

Przytaknęła. Łzy ją piekły. Machnęła torbą z rogalikami w stronę kuchni.

- Chodź. Jest kawa. Grapefruit dla ciebie?

Wiedziała, że Jack lubi rubinowoczerwone grapefruity z miodem. Usiadł, gdy podała mu grapefruit i zajęła się podgrzewaniem mleka do kawy. Świece jeszcze stały na kwadratowym kuchennym stole i leżały serwetki w czerwono-białą szachownicę.

- Spodziewałaś się mnie? - zapytał, rozkładając serwetkę. - Czy może kogoś innego? Ja nigdy dotąd nie byłem godny serwetek płóciennych.

- Nie - odpowiedziała - nie spodziewałam się nikogo. Ale cieszę się, że przyszedłeś.

Czy ja to wytrzymam? Zapragnęła rzucić mu się w objęcia, powiedzieć, że się opamiętała i że oczywiście wyjdzie za niego. To pragnienie nieomal przeważyło. Ale tylko nieomal.

Siedziała naprzeciw Jacka i patrzyła, jak on kroi grapefruit i smaruje grzanekę masłem. Ileż razy jedli razem śniadanie, a potem jechali do pracy, ciesząc się na myśl o spotkaniu wieczorem. Ileż nocy spędzili na jej skrzypiącym dużym łóżku ze zbyt miękkim materacem, ileż długich poranków niedzielnych! Nie tylko seks wspominała teraz, ale i łóżkowe rozmowy, rozwiązywanie krzyżówek, okruchy w pościeli, domowy telefon wyłączony, tak że nie mogło być żadnych wtargnięć w mały światek ich dwojga, jeżeli nie zapiszczał telefon komórkowy Jacka, co zdarzało się bardzo rzadko. Było romantycznie. Było też prawie tak jak w małżeństwie.

Prawie gol to wcale nie gol, mawiał jej nauczyciel gimnastyki.

- Cieszysz się, że przyszedłem, ale myślą jesteś bardzo daleko.

- Nie. Tutaj. Mnie też jest ciężko, Jack.

- Skrupuły? Mogę mieć nadzieję? Wpatrywała się w swoją filiżankę.

- Nie - odpowiedziała cicho. - To tylko duży smutek.

- Przestań, Esty. Jeszcze kawy poproszę. Nie zmieniajmy tego w telewizyjny melodramat. Właściwie przyszedłem, żeby coś ci powiedzieć... coś szczególnego.

Czekała. Napotkała jego wzrok i poczuła, że sercem płynie ku niemu i cofa się jak fala.

- Otóż ja rozumiem, Esty. Ciebie. To, co robisz. Co musisz zrobić.

- Rozumiesz?

- Rozumiem. Wczoraj nie rozumiałem. Wściekłem się. Cierpi moja męska ambicja. Ale znam cię lepiej, niż myślisz. Masz w sobie cząstkę młodości, cząstkę niedoroślą.

Jack rzadko bawił się w takie abstrakcyjne rozważania.

- Co mam w sobie?

- Tę młodość nieodpowiedzialną, która coś zaczyna, porzuca i zaczyna coś innego. I musi się wyszumieć w wieku dwudziestu lat, przed ustatkowaniem się i przyjęciem odpowiedzialności. Ty tego nie zaznałaś. Kiedy miałaś dwadzieścia lat, byłaś w żałobie, wychowywałaś dziecko, z konieczności pracowałaś na utrzymanie. W obcym zakątku świata.

- Teksas był rzeczywiście obcy, ale czy to mnie teraz usprawiedliwia? Uciekam od świetnego człowieka, świetnej posady w świetnym mieście...

Jack wstał i pociągnął ją, żeby też wstała. Ujął ją za łokcie trochę za mocno i spojrzał jej w oczy.

- Tak, Esty, to cię usprawiedliwia. Tylko żałuję, że nie zjawilem się wcześniej... zanim przeszłaś przez te ciężki losu. Nie zdołała wykrztusić ani słowa. Uznała, że nie zasługuje na jego zrozumienie.

Najcenniejszy dar, jaki w życiu dostała.

- Ja cię rozumiem - powtórzył Jack. - Przyszedłem, żeby właśnie to ci powiedzieć.

Objęła go i serdecznie uściskała, po czym wzięła go za rękę i poprowadziła do drzwi. Otworzyła je.

Ramię w ramię stojąc na progu patrzyli na to podwórko, gdzie upiekli na ruszcie tyle befsztyków i leżeli w blasku słońca w sobotnie i niedzielne popołudnia, i gdzie Jack wykonywał swoje sto przysiadów pod okiem kobiety w sąsiednim domu gapiącej się zza firanki.

- Hej - powiedziała głosem zdławionym ze wzruszenia. - Dziękuję.

- Nie ma za co - powiedział Jack. Oczy mu psotnie zamigotały. - Będiesz pisać? - zapytał aksamitnie jak amant w filmie. - Codziennie - odrzekła i mimo woli się uśmiechnęła.

- Cięcie - powiedział. Piękne zakończenie. - Odwrócił się z powrotem do kuchni. Moment, którego Esty nie miała zapomnieć, minął. No i proszę, jakoś temu sprostowała.

- Teraz mi powiedz - Jack nalał świeżą kawę dla niej i dla siebie - co to za frajerzy kupują ten śmietnik i kiedy wyprowadzka.

Esty usiadła. Zaczęła popijać kawę.

- Jeżeli oni kupią, muszę się wyprowadzić jeszcze w lecie, przed początkiem roku szkolnego. To akurat mi odpowiada. Posadę w Edgeville mam objąć we wtorek po Święcie Pracy, czyli w pierwszy wtorek września. - Będzie ci potrzebny transport.

- Wystarczy przyczepa. Nie wezmę dużo rzeczy.

- A tam, kiedy przyjedziesz?

- Connie znajdzie mi jakieś lokum. - Boisz się?

Esty potrząsnęła głową. Teraz mogła mówić Jackowi prawdę.

- Nie, wcale.

Nic już nie było do powiedzenia. Jack wiedział o tym.

- No - wstał od stołu. - Na mnie pora.

- Zapominasz, że dziś sobota?

- Zastąpiłem cię sobie - powiedział tonem żartobliwie tragicznym. - Nie, nie jakąś nową babką.

Przepraszam, panią do towarzystwa. Tylko nowymi czterema kółkami. Zadowolenie gotowe błyskawicznie jak kawa rozpuszczalna.

- Jack, niedawno kupiłeś nowy samochód.

- Dwa lata temu. Czas leci, Esty. Pamiętasz, jak go kupiłem i pierwszy raz przejechałem się nim z tobą? To był samochód, nic więcej. Ten nowy to... kochanka. Jaguar.

Esty śmiała się głośno. Spokojny, samodzielowy, plenerowy (nie tylko ruch na świeżym powietrzu) Jack prowadzący jaguara! Nie mogła sobie tego wyobrazić. Czy może nie chciała? W tym jaguarze wkrótce obok kierowcy będzie siedziała jakaś nowa „pani do towarzystwa”. Będzie nastawiała radio.

Włosy jej będzie rozwiewał wiatr. - Podjadę - powiedział Jack. - Wezmę cię na przejażdżkę.

- Zastąpiona tak szybko - powiedziała Esty - czterema kółkami i srebrną ozdobą na masce.

- Z silnikiem. Silnik mruczy z rozkoszy. - Ja też mruczę.

- Mruczałaś - sprostował Jack z lekkim naciskiem. Wyszedł frontowymi drzwiami. Zstąpił ze schodków ganku, obejrzał się, pomachał ręką i już go nie było.

Dom został sprzedany. Przyjechał świeżo zaangażowany redaktor z Cincinnati i zgodnie z decyzją szefa miał zacząć po swojemu, więc Esty nie musiała go wprowadzać. Miesięczny termin jej wymówienia skrócił się do dwóch tygodni. To, co wydawało się wielką górą do przeniesienia, skomplikowanym przewrotem, nagle stało się proste. Pakowanie rzeczy zabrało tylko jeden weekend. Esty zadzwoniła do pani Spence. Zapytała, czy nowi właściciele zechcą przejąć dom pierwszego sierpnia.

Zechcieli.

Drugiego sierpnia ona opuści miasto Galena w stanie Illinois. Bez pośpiechu pojedzie do Edgeville w stanie Nowy Jork, zostawi bagaż i przyczepę i da sobie miesiąc wakacji. Żeby lizać rany, zagoić je, odzyskać animusz. Może spędzi tydzień, dwa tygodnie w jakiejś małej miejscowości wypoczynkowej w górach Adirondacks, będzie włączyć się, pływać i opalać to swoje stare ciało. Czy może w stanie Vermont albo Maine. Albo może pojedzie na wybrzeże, popłynie promem do Nowej Szkocji, popływa w oceanie. W każdym razie postara się zapomnieć, że jest tak bardzo... bardzo Esty.

Ostatnią rzeczą, jaką spakowała, było zdjęcie Erika. Owinęła je podkoszulkiem i wsunęła do dużej płóciennej torby podręcznej, bo chciała je mieć przy sobie na nocnym stoliku w każdym motelu, w jakim się zatrzyma.

Jednak przed samym wyjazdem wyciągnęła z torby tę fotografię i wsunęła do tekturowego pudła na stercie walizek w przyczepie.

Nie odkładam wspomnień o Eriku, nie zapominam - zapewniła się z mocą. Ale teraz ruszam naprzód. Zdałam egzamin, ruszam w świat. Sama. Znowu.

Czuła się tak, jakby była w połowie drogi przez most, który się chwieje... ale się trzyma.

Jestem już w drodze na drugi brzeg.

ROZDZIAŁ DRUGI

Telefon zadzwonił w ostatniej chwili, zanim Esty ostatecznie wyjechała z miasta Galena w stanie Illinois. Sprzedany dom został już ogołocony ze wszystkich jej rzeczy. Przyczepa była załadowana. Mapa z trasą podróży, zaznaczoną zielonym flamastrem, leżała rozłożona na przednim siedzeniu samochodu. I nawet czekały w podręcznej torbie zapakowane kanapki i coca-cola, bo szkoda czasu na drugie śniadanie w jakiejś przydrożnej knajpie.

Zaskoczona, Esty usłyszała głos swojej matki. Poprzedniego wieczora rozmawiała z nią przecież całe pół godziny. Mówiła i mówiła, a matka słuchała. Nie dość jednak uważnie, bo w końcu orzekła, że ona jest „pochopna” - jak można tak

porzucić odpowiednią posadę i odpowiedniego mężczyznę! Czyżby mama zapomniała, że sama tak postąpiła przed piętnastu laty rozwodząc się z mężem? Co prawda tata okazał się raczej nieodpowiedni. Znaku życia nie daje rodzinie od tamtego czasu.

- Esther, kochanie — teraz powiedziała matka, gdy Esty podniosła słuchawkę. - Chwała Bogu, jeszcze cię złapałam.

- Ja już jestem w drodze, mam, dosłownie.

- Na chwilę się zatrzymaj. Zrób głęboki wdech.

Oho! Esty, zirytowana, postawiła torbę na podłodze i usiadła. Prawdopodobnie matka i Jessica odbyły długą telefoniczną naradę. Czy mają nadzieję, że się rozmyśli? Za późno na kazanie.

Ale Elizabeth zadzwoniła w innej sprawie.

- Obawiam się, że pokrzyżuję trochę twoje plany - powiedziała. - Jesteś mi potrzebna tutaj, jeżeli możesz przyjechać. Irytacja zmieniła się w niepokój. Esty usłyszała w słuchawce syknięcie bólu. Coś się stało. Matka jest jeszcze bardziej - jeśli to możliwe - samodzielna niż ona. Nigdy dotąd jej nie wzywała. - Upadłam wczoraj wieczorem - ciągnęła Elizabeth. - Nie chciało mi się wytaszczyć drabinki, weszłam na krzesło. Krzesło się usunęło. Złamałam nogę.

Esty się zachłysnęła. - Mam, gdzie jesteś?

- Już w domu. Z ogromnym gipsem. Potrzebuję pomocy. Nie chcę ci psuć całego miesiąca, ale gdybyś mogła wpaść tu na kilka dni, być pielęgniarką i szoferem, dopóki nie przyzwyczaję się do szwedek, byłabym ci bardzo wdzięczna.

- Nie dali ci nic na znieczulenie? — zapytała Esty, już rozpatrując w myśli swoją trasę. - Wciąż cię boli? - Nie łaskocze. Ale jestem odurzona. I wściekła jak diabli. W sobotę aukcja, a Christine wyjechała na urlop. Esty znów odetchnęła głęboko. Już godziła się z nowym planem.

- Przy aukcji ja ci pomogę. Postaram się dojechać jutro wieczorem. Tylko co zrobisz do tego czasu?

- Przyjedź pojutrze, kochanie - powiedziała Elizabeth. - Nie ma potrzeby, żebyś pędziła na pełny gaz i przyjechała bez

życia. Sąsiadki są bardzo pomocne. Chodzi mi głównie o eskortę do toalety. To okropne dla mojej dumy, że już nie wspomnę o mojej godności.

Esty uśmiechnęła się. Moja dystyngowana mama pozwalająca się prowadzić do kio. Pierwszego dnia, myślała szybko, Illinois, Indiana, Ohio. Czy zdołam przejechać w jeden dzień taki szmat drogi? Potem nad jezioro Erie do Buffalo i do Syracuse. Z Syracuse do Albany, no i wjazd na autostradę stanu Massachusetts. I w końcu już ta trasa, którą jeździła tam i z powrotem do college'u i z college'u na wyścigi z samą sobą. Tym razem będzie jechać stateczniej.

- Przyjadę, mamó - powiedziała.

- Dziękuję ci, Est. I przykro mi, że tak ci weszłam w paradę. Przysięgam, nie zламаłam tej nogi naumyślnie.

Wyczuła, że teraz matka się uśmiecha.

- Nie jestem tego pewna. Mam wrażenie, że dobrze się wczoraj nagadałyście, ty i Jessica.

- Owszem. Ale my cię kochamy, Esty. Wiesz o tym. Wiedziała. Nagle ucieszyła się, że spędzi jakiś czas u mamy.

Głupio jednak, że trzeba na to aż złamanej nogi.

- I Esty... - powiedziała Elizabeth. - Zanim wyjedziesz, zadzwoń do wypożyczalni przyczep, przedłuż umowę. Na parę tygodni. Ja zapłacę. Zaparkujesz ją za szopą aukcyjną i niech stoi załadowana.

Przecież tutaj nie musisz nic z niej wyciągać. Zadzwoń do nich.

Fotografia Erika. Natychmiast ta myśl przyszła Esty do głowy. Zostanie w pudle. Po raz pierwszy nie będzie przy mnie.

- Już dzwonię - powiedziała Esty. Wzięła książkę telefoniczną, żeby zatelefonować do wypożyczalni przyczep.

- Czy nigdy, nawet w podeszłym wieku nie przestajemy się przejmować tym, co myśli o nas matka? - dumiała Esty, przejeżdżając ostatnie mile autostrady Massachusetts. Czy nigdy, nawet w podeszłym wieku nie możemy postawić się matce tak, żeby łydki nam się nie trzęsły?

Jej stosunki z matką zawsze były burzliwe. Wiedziała, że rodzice nie są ze sobą szczęśliwi, i dosyć wczesnie pojęła, że Elizabeth dusi się w roli żony, matki i ochotniczej działaczki na rzecz Kościoła. Nieraz z Keithem, swoim bratem - uważano ich za bliźnięta, chociaż była o rok starsza - długo spacerowała wieczorem, nawet w zimie, i omawiała z nim to wszystko. Oboje przysięgli, że kiedy dorosną, nie będą tacy jak ich rodzice.

I okazało się, że nie są. Keith „uciekł” z Nowej Anglii, wyjeżdżając do college'u w stanie Colorado. Już nie wrócił, tylko składał rzadkie krótkie wizyty. Ożenił się i razem z żoną Trish miał schronisko dla narciarzy, pensjonat i - rzecz niezwykła w ich pokoleniu — pięcioro dzieci. Esty tęskniła do brata, chociaż już się nie przyjaźnili tak jak za młodu, i żeby z nim porozmawiać, to zawsze ona telefonowała do niego. Uśmiechnęła się, zmieniała bieg przed zjazdem z autostrady. Przecież ja też uciekam, pomyślała. Z Erikiem w przeddzień rozdania dyplomów w Middlebury... w przeddzień jego wyjazdu do wojska. Ktoś ich nazwał dzieci-kwiaty, ale się mylił. Erie, na pozór chłopak lat sześćdziesiątych, był rzetelny do szpiku kości. Nie opierał się pozwaniu do wojska tak samo, jak nie opierałby się konieczności oddychania. I poległ w Wietnamie. Jessica miała wtedy trzy miesiące. Esty spojrzała na zegarek. Przyjedzie do Seawiew akurat w porze obiadu. Z zadowoleniem stwierdziła, że sercem wyrywa się do matki. Będzie mogła jej pomagać, wyjaśnić swoje ostatnie posunięcia, może nawet pozyskać jej aprobatę. Potrzebowała aprobaty, z tego też zdała sobie sprawę. Nieważne, ile ma się lat, zawsze potrzebuje się matki, jej poparcia nawet z daleka. Zanotowała to w pamięci, żeby powtórzyć Jessice. Chociaż, o Boże, gdyby to usłyszała dwadzieścia lat temu, przewróciłaby oczami ku niebu. Trudno było zdzierżyć usilne, dobrotliwe, ale autorytatywne matczyne rady: - Musisz „przeboleć” Erika. Pamiętaj, że masz całe życie przed sobą. Pomyśl o Jessice. Dziecko powinno mieć w swoim życiu „postać ojca”. Albo: - To niezdrowo, kochanie, żyć tak samotnie.

Usiłowała żyć wśród ludzi, no nie? Po okresie żałoby, przedłużanym przez lata, zaczęła bywać, spotykać się z męż-

czynami. Ale była wciąż wyczerpana, opiekowała się Jessiką i studiowała, a potem uwijała się w pocie czoła jako reporterka niskonakładowej, bynajmniej nie rozchwytywanej teksaskiej gazety. Starła się, ale nigdy nie zdołała wzbudzić w sobie sympatii do tego czy innego Teksasńczyka. Po pierwsze: nie cierpiała piłki nożnej. Po drugie... Ale po cóż po drugie? Wystarczy nie lubić piłki nożnej, żeby nie lubić mężczyzn z Teksasu.

Rzeczywiście nie miała nikogo poważnie do czasu Jacka.

A jeżeli Edgeville też mi obrzydnie? Jeżeli...

Przerwała sobie. Już za późno. Wybiegła myślą naprzód. Do tego nie znanego miasteczka, do powitania z Connie i jej mężem. Przyjaciele. Nowe miejsce, gdzie będę mieszkać, zaczynać wszystko od początku. Zawierać nowe przyjaźnie. Czy znajdę tam dla siebie gniazdo czy tylko przy siadę na parę lat i pojedę dalej znowu...

Pięćdziesiątka. Esty się wzdrygnęła. Za dwa lata stuknie mi pięćdziesiątka. Jak długo jeszcze będę mogła żyć na paru walizkach i tekturowych pudłach bez żadnego srebra do czyszczenia poza ramką fotografii Erika, bez własnych mebli? Ale czy takie rzeczy naprawdę coś znaczą?

Właściwie to już podejrzewała, że takie rzeczy mają swoje znaczenie. Jej bunt przeciwko temu stawał się coraz słabszy. Już rozumiała, że stałość, własne domostwo to coś dobrego. Już mogłaby nawet wyobrazić sobie mężczyznę w swoim życiu. Szkoda, że to nie mógł być Jack, pomyślała. Będzie mi go strasznie brakowało.

Nie potrzebowała spoglądać na mapę, by wiedzieć, że za pół godziny będzie w domu. Tę szosę знаła tak dobrze jak zawartość swojej szafy... czyli aż za dobrze, bo jakoś nigdy nie zawracała sobie głowy kompletowaniem garderoby. Wkrótce miała skrócić na podjazd przed rodzinnym nadmorskim domem, w którym dorastała i w którym nadal mieszkała jej matka... antykwariuszka i aukcjonerka.

Elizabeth Ames była legendą w społeczności na Północnym Wybrzeżu.

No, pomyślała Esty, mogłabym na tym świecie być kimś gorszym niż córka marnotrawna legendy.

Ten dom z dachem z szarych gontów wcale się nie zmienił. Te same bukszpany przy frontowym wejściu, te same wysokie sosny wokół trawnika za domem. Te same mgliste białe firanki falujące w otwartych oknach i zielone fotele na biegunach / poduszkami obszytymi galonem na frontowym ganku, z którego rozciąga się widok na ocean. Esty znalazła się w swoim rodzinnym domu.

Zaparkowała samochód z przyczepą na końcu podjazdu uważając, żeby przyczepą nie zatarasować dostępu do szopy, i wysiadła. Czowała zapach oceanu, słyszała ocean. W górze skrzeczały mewy. Spojrzała na tę z lekka pochyłą szopę za domem, gdzie matka co miesiąc prowadziła aukcję. Kiedyś ona i Ken mieli huśtawki w dwuskrzydłowych drzwiach, huścili się wysoko, aż świat przed oczami jej się kręcił.

Wzięła z samochodu torebkę i ruszyła do frontowych drzwi domu.

Psy omal jej nie przewróciły. Dwa dalmatyńczyki i miniaturowy pudelek, którego nigdy przedtem nie widziała. Tak ją witały wypadając nagle zza węgła, że musiała ratować spódnice przed łapskami dalmatyńczyków. Przyklękła, głaskała je, pudelek wskoczył jej w objęcia.

- Ktoś ty? - zapytała. Był czarny jak węgiel i kłębił się bardzo kudłaty. Elizabeth nie uznawała strzyżenia psów.

Zza balustrady ganku wychyliła się ruda głowa.

- Poznaj Piórka - ze śmiechem powiedziała Elizabeth. Miał się nazywać Upiorek, ale ktoś powiedział, że to niedyplomatyczne, więc opuściliśmy U. Witaj, kochanie.

Esty uwolniła się od psów i wbiegła po schodkach na ganek. Elizabeth siedziała w jednym z zielonych foteli na biegunach, z nogą w gipsie na taborecie, ze Szwedkami u boku.

- Nie wstawaj, mamó.

Wśród szalejących psów mocno się uściskały. Potem Esty przysiadła na piętach i przyjrzała się matce. Nikt by nie uwierzył, że Elizabeth Ames ma siedemdziesiąt lat. Jej włosy nadal były płomiennie rude, cera gładka pod dyskretnym makijażem, figura smukła w pasiastej koszuli

z bawełny o koszykowym splocie i w workowatych bermudach z jedną nogawką rozciętą, żeby pomieścić gips. Paznokcie u nóg jak zwykle polakierowane szkarłatną emalią, zauważyła Esty. Na serdecznym palcu prawej ręki ogromny brylant, swego czasu pierścionek zaręczynowy, przy nim na małym palcu i środkowym dwa jednakowe pierścionki: topaz z brylantem. Ślubna obrączka powędrowała do banku. Elizabeth znów wyciągnęła ręce i uścisnęła córkę. Pachniała Chanel nr 19, perfumami, które Esty dawała jej na każdą Gwiazdkę, odkąd ukończyła dziesięć lat. Uścisk był znowu mocny, ufny i napawający ufnością.

Przy fotelach stał okrągły stół nakryty obrusem w kratkę.

- Popatrz, co nam przygotowała sąsiadka - powiedziała Elizabeth. - Nalej mi wina, kochanie, i usiądź. Na stole były kanapki i sałata z kurczaka, pikle, salaterka frytek. I deser: patera z winogronami, półmisek pełen ciasteczek zakrapianych alkoholem, też matki ulubionych. Czekwały dwa zielone szklane talerzyki i srebrne nożyce do winogron. I w kubelku z lodem już odkorkowana butelka chardonnay.

- Nieźle ma się twoja sąsiadka - zauważyła Esty, nagle nabierając wielkiego apetytu.

- Specjalnie to zamówiłam - powiedziała Elizabeth. - Ona wcale nie jest taką dobrą wróżką. Po prostu nie ma pieniędzy, a ja jej płacę za pomoc. Do twojego przyjazdu. Wczoraj wieczorem zrobiła mi kotlety jagnięce.

Esty napełniła kieliszek matki winem, sobie naląła trochę i przysunęła fotel do jej fotela. Czas cofnął się o dwadzieścia lat. Psy leżały nie opodal. Gdzieś gruchał gołąb.

- A więc - powiedziała - jesteśmy razem. Popijając wino, Elizabeth zaopiniowała:

- Wyglądasz nadzwyczaj dobrze jak na osobę, która przechodzi kryzys.

- Kryzys na własne żądanie - powiedziała Esty. - Czuję się wspaniale. Wszystko mnie podnieca. I... bardzo się cieszę, że jestem w domu.

- Z pewnością wciąż jeszcze myślisz, że naumyślnie zламаłam nogę.

- Przez myśl mi to przemknęło.

- Keith też tak myśli. Dzwonił do mnie dziś rano. Przestrzegał, żebym nie zaczęła znów tobą rządzić.

- Miło mieć brata.

- Będę się gryzła w język - obiecała Elizabeth.

Esty uśmiechnęła się, chociaż nie uwierzyła w tę obietnicę, i podała matce talerz z kanapką.

Ucztowały. Esty pałaszowała frytki jedną po drugiej. Czy to nerwy? Czuła się jednak rozkosznie,

wcale nie zdenerwowana, nawet niezwykle spokojna. W rodzinnym domu. Oparła stopy

o balustradę i kołysała się z fotelem. Teraz napełniła sobie kieliszek po brzegi.

- Nie zalej się - powiedziała Elizabeth, dając jej swój kieliszek do napełnienia. - Kiedy zjemy, położysz się na godzinę, a potem musimy porozmawiać.

- Nie musimy rozmawiać o...

- O tobie i tym biednym Jacku? Nie. Teraz na mnie kolej. Musimy zaplanować aukcję.

Esty odetchnęła z ulgą. Pojęcia nie miała zarówno o antycznych meblach, jak i o aukcjach. Nie wiedzieć, nie dbać było jednym z haseł jej buntu, gdy dorastała. Starannie wtedy udawała, że nie obchodzi jej „rzeczy”, że jest lekka jak wiatr, niczym nie obciążona. Ale umiała przyjmować polecenia. Zresztą, zdecydowała, planowanie aukcji może się okazać uciechą.

Tamtej nocy w pojedynczym łóżku z klonowym oparciem, w którym sypiała jeszcze będąc dzieckiem, śniła o Jacku. Płakała we śnie, błagała Jacka, żeby do niej wrócił, ale on tylko potrząsał głową i mówił, że już ją sobie zastąpił - kobietą, nie samochodem. Zbudziła się z twarzą mokrą od łez i z wściekłością w sercu, wściekłością na siebie. Nigdy o nic nie będzie błagała mężczyzny, nigdy nie będzie się poniżać. Co ta jej podświadomość wyprawia?

Przez godzinę biegała po plaży, co zwykle pomaga uciec od dręczących myśli. Pudełek biegał przy niej. Potem półcieża-rówką Elizabeth pojechała do wiejskiej piekarni po rogaliki

1 świeżo zmieloną kawę. O dziesiątej, gdy już pomogła matce

wykapać się i ubrać, przyniosła na ganek bloki i ołówki i zaczęło się dalsze omawianie aukcji. Sen jednak nie dawał się zapomnieć.

- Odrobinę zmizerniałaś - powiedziała Elizabeth po spisaniu pozycji na sprzedaż. O niej samej można by powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest mizerna. Z rudymi włosami ściągniętymi z czoła żółtym szalikiem, w za dużym różowym podkoszulku i białej brezentowej spódnicy wyglądała sportowo, elegancko, prawie dziewczęco.

- Jack mi się śnił - powiedziała Esty zadowolona, że zrzuca to z serca. - Szkoda, że go nie poznałaś, uwielbialibyście się nawzajem.

- Szkoda - przytaknęła Elizabeth. - Chociaż teraz w tych okolicz...

To był pierwszy alarm, że trzeba się bronić.

- Postąpiłam słusznie - oświadczyła Esty.

- Nie wątpię.

- Nie wątpisz, mamó? Wiem, jak bardzo chciałaś, żebym znów wyszła za męża.

Elizabeth się uśmiechnęła.

- Zastanawiałam się nad tym. Wiem, wywierałam nacisk, ale... nie miałam do tego prawa.

- Miałaś wszelkie prawo. Chyba robią to wszystkie matki. Z trudem się powstrzymuję od wywierania nacisku na Jessikę, a ona ma zaledwie dwadzieścia osiem lat. Co prawda, kiedy myślę o tym, dwadzieścia osiem lat nawet mnie wydaje się poważnym wiekiem.

- Ty pewnie myślisz, Esty, że chcę mieć jeszcze więcej wnucząt. Tak nie jest.

- Przez myśl mi to nie przeszło. Jestem już za stara, żeby mieć dzieci.

- Ale dziesięć lat temu nie byłaś za stara. A ja właśnie wtedy rzeczywiście cię naciskałam. Niech ci się nie zdaje, że nie pamiętam.

- Niech ci się nie zdaje, że ja nie pamiętam, jaki stawiałam opór - powiedziała Esty. Nie pamiętała tylko, żeby Elizabeth kiedykolwiek rozmawiała z nią tak otwarcie.

- Miałam swoje powody.

- Coś, o czym nie wiem?

- Tak. Chciałam podtrzymać cię i Keitha w przekonaniu, że wasz ojciec i ja zawsze byliśmy ze sobą szczęśliwi. Dopóki... już nie byliśmy szczęśliwi. Ale to nie cała prawda.

Esty wstrzymała oddech. Wolałaby nie słyszeć sekretów matki. Ani ojca. Jestem nadal dzieckiem, pomyślała, dzieckiem, które chce należeć do bardzo szczęśliwej rodziny.

- Niewiele brakowało, żebym za niego nie wyszła - ciągnęła Elizabeth, oburącz unosząc kubek z kawą, tak jakby chciała zasłonić twarz przed wzrokiem córki. Esty spuściła oczy na swój kubek. - Durzyłam się w nim przedtem, a on właśnie wrócił z wojny, miał odznaczenie na piersi i wszyscy go wielbili, więc i mnie wielbili przy okazji. Był poniekąd bohaterem. Nawet dla mnie, Wszystko wydawało się takie doskonałe, takie nowe i świeże, wojna skończona, ogólna euforia. I moja matka tak bardzo chciała widzieć mnie już zamężną. Urządzoną.

Esty się uśmiechnęła. Prawie nie знаła babci, szpakowatej, przeświadczonej, że miejsce kobiety jest w domu. Spróbowała sobie wyobrazić, jak Elizabeth dała się wrobić w małżeństwo, wcale nie mając pewności, czy chce wyjść za mąż.

- Nie byłam zakochana w nikim innym - mówiła dalej Elizabeth - ale... nie przestawałam się rozglądać. Nawet z tym brylantem na palcu. Inni flirtowali i ja bym chętnie flirtowała. Nie paliłam się do zamęścia. Właściwie nie kochałam. Ale wtedy wszystkie wychodziły za mąż młodo. Nie wiedziałam, że można nie chcieć.

- Nie rozmawiałaś o tym z przyjaciółkami? Elizabeth parsknęła śmiechem.

- Myślałyby, że straciłam rozum. Nie. Rozmawialiśmy

o sukniach do ślubu, o druhnach, o kryształowych paterach

1 komodach z wyprawą ślubną. Żadnej się nie zwierzałam. Wyszłam.

- I dobrze zrobiłaś - stwierdziła Esty. - Inaczej nie byłoby mnie tu dzisiaj.

- Myślę o tym dzień w dzień. Ty i Keith sprawiacie, że było warto. Ale chcę, żebyś wiedziała... no, w końcu... że ja naprawdę cię rozumiem w tej twojej sprawie z Jackiem.

- Oszłamiające - powiedziała Esty. - Ty rozumiesz. Jack rozumie. Czym sobie zasłużyłam na zrozumienie?
- Jesteś, Esty, jak otwarta książka. Łatwo cię czytać. I ta treść ma sens. Twoje postępowanie ma sens. Przyznaję ci rację, chociaż matce ciężko się na takie przyznanie zdobyć. I oczywiście to dla mnie ogromna radość... to, że będziesz teraz bliżej, w odległości, którą raz dwa przejeżdża się samochodem.
- Dla mnie też to ogromna radość - powiedziała Esty. - Ale zawsze będzie mi brakować Jacka. Zawsze będę go kochała. I nie przestanę się zastanawiać, czy nie powinnam była zostać.
- W Galena?
- To był bardzo ważny powód. Moje miejsce jest tutaj. W tej części Stanów. Potrzebny mi ocean. I potrzebuję ciebie. Chcę być w tym zakątku świata.
- Wiem. Ja bym nigdy nie mogła mieszkać gdzieś indziej. Kiedy będę stara i słaba na umyśle...
- To dopiero będzie ewenement!
- Nie... posłuchaj. Trzymaj mnie tutaj. I żebym na pewno miała moje psy. Bez względu na koszty. Przyrzekasz? Esty przyrzekła. Potem pomogła matce wstać i poszły, Elizabeth wspierając się na znienawidzonych Szwedkach, do czerwonej szopy za domem, przygotowywanej do aukcji.
- Czy ta aukcja ma jakiś zakres? - zapytała Esty.
- Już jeżeli, to dąb w stylu hiszpańsko-misyjnym. Zbierałam takie meble od dawna, żeby w końcu mieć dobry zbiór, przyciągnąć wszystkich dealerów, którzy tego poszukują w całym kraju. Kiedy już będziesz w hrabstwie Cumberland, możesz tam być moim zwiadowcą. W tamtych stronach ten styl wznowiono w końcu zeszłego stulecia, wiesz... w warsztatach Roycroft.
- W jakich?
- Opowiem ci o tym przy winie wieczorem. No, prowadź mnie do szopy.

Esty pchnęła duże dwuskrzydłowe drzwi i buchnął swojski zatechły zapach tej niegdysiejszej stajni. Właśnie podjechał

długi kryty wóz meblowy. Dwaj ludzie w obcisłych białych podkoszulkach zaczęli wyładowywać meble.

- To jest przesyłka, na którą czekałam - powiedziała Elizabeth. - Pomóż im to rozmieścić, dobrze? Większy z tych dwóch zawołał z głębi ciężarówki:

- Mam tu jakąś szafę grającą czy coś. Gdzie to wstawić? Esty rozejrzała się po głównej hali w szopie. Już było ciasno.

Między rzędami mebli ledwie można było przejść gęsiego i każdy cal ścian przykrywały obrazy, lustra, stare mapy. Pośrodku stał ogromny stół na postumencie, powiększony czterema klapami z boków, otoczony kompletem rzeźbionych, ciężkich dębowych krzeseł.

- Zróbmy miejsce tu pośrodku - powiedziała - jeżeli się zgodzisz, mam. Ale Elizabeth już pokuśtykała w daleki kąt. Mniejszy z tragarzy wyskoczył z ciężarówki i przybiegł do Esty. Z jej pomocą odjął klapy od stołu, złożył je w stertę, krzesła przesunął pod ścianę. Potem z drugim tragarzem przytoczył na kółkach szpinet. Postawili go przy dębowym stole i poszli do ciężarówki po następne meble. Esty podniosła wieko szpinetu i przesunęła palcami po klawiaturze. Klawisze były z prawdziwej kości słoniowej, tyle że dwa zastąpiono imitacją. Wiedziała, że klawiatury z kości słoniowej już się nie robi, więc ta jest bardzo cenna. Wiedziała też, że Elizabeth ma skrzynkę ze starymi klawiszami w swoim biurowym składziku. Może dałoby się przed aukcją wymienić te dwa klawisze na takie, jakie powinny być. Poglaskała ten heban i tę kość słoniową. Szpinet Chickering. Jego mahoniowa obudowa lśniła nieskazitelnie. Gdzieś jakaś rodzina musiała go sprzedać. Albo chciała. Smutne. Ale cóż to znowu? Żeby tak się rozczulać nad jakimś meblem?

- Śliczny, prawda? - Matka stanęła przy Esty. - Jeden z dealerów już zgłosił chęć. Dowiedział się, że ten szpinet tu będzie. Dobrą cenę zaproponował w dodatku. - Powiodła wzrokiem wokoło. - Jak myślisz? Nie najgorsze łupy.

- Interes kwitnie, a jakże. - Esty popatrzyła na rząd dębowych komód pod ścianą, na meble tapicerskie: sofy, fotele klubowe, fotele wolterowskie, otomany, i na inne: bigos

najróżniejszych krzeseł, stolików, starych kufrów, mebli ogrodowych. Cały kąt zapełniały kozły do drewna na paleniskach i przybory kominkowe. Wzdłuż przeciwległej ściany wisiały na prętach dywany orientalne we wszelkich rozmiarach. W korytarzyku prowadzącym do hali aukcyjnej stała skrzynia z biżuterią, monetami i różnymi „fidrygalkami”.

Elizabeth ostrożnie usiadła w staroświeckim fotelu na kółkach, opatrzonym etykietką aukcyjną.

- Może go nie sprzedam - powiedziała. - Doktor mi zabronił tak jeździć, ale rzeczywiście to dobra rzecz. - Podniosła nogę w gipsie na deskę podnóżkową i próbowała pojechać. - Chodź, Esty. Musimy pomyśleć, jak mam sobie jutro poradzić.

Esty zamknęła wieko szpinetu. Pozostawianym przejściem dopchnęła matkę w fotelu do dużej hali aukcyjnej. Tutaj stały rzędy krzeseł - każde w pierwszych dwóch rzędach oznaczone kartką z nazwiskiem dealera. Przed krzesłami było podium, na którym stał mikrofon - miejsce aukcjonerki.

- Będę musiała siedzieć i mikrofon trzymać - powiedziała Elizabeth. Wypróbowała to. - Że też przedtem tak nie robiłam. Czuję się jak na tronie. Ludzie będą licytować. Szaleńczo.

Esty popchnęła fotel do biura za podium i spędziły przedpołudnie sprawdzając spis pozycji na sprzedaż. Zrobiły sobie przerwę, żeby zjeść obiad i uciąć poobiednią drzemkę, po czym wróciły do szopy.

Nazajutrz mieli przyjechać pomocnicy Elizabeth, dostawca żywności miał przysłać swoją ciężarówkę-bufet, jak zawsze przed comiesięczną aukcją. Tego dnia wieczorem miał odbyć się przegląd. I to Esty miała zawczasu przyjmować zgłoszenia od dealerów i kolekcjonerów, oprowadzać ich i każdemu nowicjuszowi, który zapyta, wyjaśniać pochodzenie danego sprzętu. Jak gdyby Esty wiedziała, na czym polega różnica pomiędzy Hepplewhite i Chippendale.

W porze podwieczorku Elizabeth pokuśtykała z powrotem do domu na jeszcze jeden wypoczynek.

Esty została w szopie. Chodziła od mebla do mebla, tu otwierając szufladę, tam spulchniając poduszkę, sprawdzała, czy na każdej sztuce jest etykietka z numerem. Już miała wyjść, gdy zobaczyła ten

sekretarzyk. Z przyjemnością stwierdziła, że potrafi rozpoznać hiszpańsko-misyjny dąb. W ciągu jednego popołudnia nauczyła się o meblach więcej niż przez wszystkie lata dorastania, kiedy musiała ścierać z mebli kurz, czyścić stare srebra, pstrykać z puszkii olejek cytrynowy - och, jakże niechętnie! Zatrzymała się teraz przed tym brązowym małym sek-retarzykiem. Było krzesło do kompletu, zwyczajne, kwadratowe, chyba niewygodne, z siedzeniem za małym, z prostym oparciem z deseczek. Usiadła, oparła się łokciami o blat - wysokość dobra! Wysunęła szufladę z grubą, ciężką pokrywą, w której było zagłębienie na ołówki. Podniosła pokrywę. Znalazła w szufladzie omotany sfatygowaną gumką plik starych pocztówek. Ściągnęła gumkę, przejrzała te widokówki: fotografie miast amerykańskich przeważnie na Środkowym Zachodzie. Na odwrotach mały kwadracik oznaczał miejsce naklejenia znaczka za jeden cent. Jedna pocztówka pochodziła z Wystawy Światowej w Nowym Jorku, rok 1939. Matka opowiadała o tej wystawie, jak pojechała tam, wówczas nastolatka, z ciotką z Filadelfii. Budowle na pocztówce to Trylon, Perisphera.

Esty opuściła pokrywę, ale zanim wsunęła szufladę, uznała, że to doskonałe miejsce na klawiaturę komputera. Poglaskała gładkie dębowe drewno, pokrywa szuflady była jak nowa w przeciwieństwie do blatu, który wyglądał tak, jakby służył komuś za bufet, i to bez podstawek pod gorące naczynia.

Czy może za deskę do krajania?

Podnoszone klapy z obu stron są wygodnie duże. Jest gdzie rozłożyć różne rzeczy. Teczki, papiery. Esty wstała, plecy ją rozboleły od siedzenia na tym niemiłosiernym krzeselku. Popatrzyła jeszcze raz na sekretarzyk. Zapragnęła go mieć.

Zdumiewające. Nigdy dotąd nie chciała mieć żadnego mebla, pomijając powody czysto praktyczne. Ale to pragnienie jej się spodobało. Może by złożyć ofertę?

Usłyszała kroki, więc odwróciła się. Górne światło się zapaliło. Zobaczyła połyskliwą łysinę pochylającą się nad szpinetem. Ten łysy chyba myśli, że jest w hali sam. Najwyraźniej czuje się w szopie aukcyjnej jej matki jak u siebie w domu.

Przybysz podniósł wzrok, gdy szła ku niemu. Uśmiechnął się bez entuzjazmu, grzecznie i nagle się rozpromienił. - Esther! - wykrzyknął.

W pierwszej chwili nie wiedziała, kto to jest. Ale jeszcze zanim się przedstawił, przypomniała sobie.

- Phil Anderson - powiedział. - Jak to, Esty, nie poznajesz mnie? - Podszedł i serdecznie ją uściskał.

Jakże mógł jej kolega z liceum tak wyłysieć?

- Oczywiście, poznaję - powiedziała - Duży Phil! Odsunął ją na długość ręki.

- Est, wcale się nie zmieniłaś. Wdechowa jak zawsze. Wdechowa! Czterdziestoośmiolatka.

Roześmiała się. - Nie widzieliśmy się trzydzieści lat, Phil.

- To nie tak długo - powiedział. - Co u ciebie? Nadal mieszkasz w Teksasie?

- Pięć lat temu przeniosłam się do Illinois. Teraz jestem w drodze do nowej pracy. W stanie Nowy Jork.

- Powolutku coraz bliżej domu. Ja nigdy się stąd nie ruszałem.

- Ożeniłeś się z Sally, oczywiście. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mamy trójkę. Bliźniaczki i pojedynczą. Same córki. A ty?

- Mam tylko Jessikę. Skończyła prawo, pani mecenas w Teksasie. Ale jestem ciotką. Keith ma pięcioro.

- Nie wyglądasz na ciotkę - stwierdził. - Wyglądasz tak, jakbyś miała poprowadzić dziewczyny na boisko do zagrzewania piłkarzy. - Przesunął ręką po powierzchni szpinetu. - Przyszedłem obejrzeć ten Chickering. Sal chce coś takiego dla naszych panien. Myślisz, że za ile to pójdzie?

Potrząsnęła głową.

- Mnie o to nie pytaj. Ale mama mówiła, że już ktoś reflektuje. Chcesz także zgłosić?

- No pewnie. Przedtem jednak pogadajmy, żeby być na bieżąco. - Poprowadził ją w kąt, gdzie stały jeden przy drugim dwa odrapane fotele. Usiedli. Gdy patrzyła na niego, tych trzydziestu lat nie było. Zamiast łysiny widziała włosy blond ostrzyżone na jeża. Jego sweter z inicjałami zwycięskiej drużyny, jego szerokie bary! Jakoś nigdy nie zaproponował jej

randki, chociaż o tym marzyła. A teraz oto siedzi tu jegomość w średnim wieku, szczęśliwie żonaty i dzieciaty, i zamierza kupić szpinet. - Bardzo mi było przykro, kiedy się dowiedziałem o twoim mężu - powiedział. - Straszna ta wojna. Na wzmiankę o Eriku znów poczuła szarpnięcie bólu.

- Dziękuję - bąknęła.

- Nie wyszłaś drugi raz za mąż?

- Nie.

Co jeszcze Phil mógłby powiedzieć? Zauważyła, że twarz mu trochę czerwienieje z zakłopotania. Chciała mu pomóc, ale nie znajdowała do powiedzenia nic takiego, co by nie było żalosne albo cyniczne. Phil sam sobie pomógł.

- W trzydziestą rocznicę mieliśmy wielki jubel. W czerwcu. Ominęła cię wspaniała zabawa. - I przez pół godziny raczył ją opowiadaniem o licealnych koleżankach i kolegach: kto się rozwiódł, kto wyjechał i nie wrócił. Kapitan drużyny futbolowej kandyduje na senatora, szkolna bibliotekarka - mając już sześćdziesiąt parę lat - wyszła po raz pierwszy za mąż i przyprowadziła swojego nowiusieńkiego męża na tę trzydziestą rocznicę.

- Skoro już o tym mowa - pochylił się ku Esty - co myślisz o twojej mamie i moim tacie?

- Co? Znów się zaczerwienił.

- To ty nie wiesz? Uch, Philipie Anderson, ależ z ciebie kretyński gaduła!

- O czym mówisz, Phil? Wyjaśnij.

- Kiedy tu przyjechałaś, Esty? - Wczoraj.

- I matka ci nie powiedziała... o Arcie Andersonie?

- Nic a nic. Rozmawialiśmy o aukcji. O mnie. O sąsiadach. O jedzeniu. O jej złamanej nodze.

- No, przepraszam. Nie powinienem był tak tego wyśpiewać. Ale stało się. Tata uderza do pani Ames w konkury. Jest zakochany. A ona nie ma nic przeciwko temu.

Esty spróbowała sobie przypomnieć Arta Andersona. Duży rumiany mężczyzna... kamizelka z dewizką zegarka... włosy na

całej głowie. Prezes miejscowego banku. Sympatyczny. Dawno owdowiały.

- Wydajesz się wstrząśnięta - powiedział Phil. - Hej... no, przepraszam. Byłem pewny, że wiesz. I naprawdę cieszę się z tego. Ojciec mi odmłodził. Jeżeli Art Anderson zaleca się do mamy, to gdzież on się podziewa, kiedy trzeba pomagać jej z tą nogą w gipsie?

- Powiedz coś, Est - poprosił Phil. - Minę masz taką, jakbyś zobaczyła ducha.

- Ja tylko się oswajam. Ciekawe, dlaczego mi nie mówi.

- Może dlatego, że taty nie ma. Wyjechał na zjazd bankierów w Nowym Orleanie, potem chciał odwiedzić moją siostrę...

- Od dawna oni... - Esty nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie „chodzą ze sobą”. Ale jak określić to inaczej?

- Od niedawna. Od dwóch miesięcy. My z Sal uważamy, że to wspaniale. Tata wygląda młodzieżowo jak nigdy.

I mama, pomyślała Esty, chociaż ma nogę w gipsie.

- Nie powinienem był o tym palnąć - znowu sumitował się Phil. - Sally mnie zabije.

- Nie powiemy jej. Ja też uważam, że to cudownie. - Ale Esty nie wiedziała, czy rzeczywiście tak uważa. Moja mama? - Tylko że wcale się tego nie spodziewałam. Bardzo już długo była samotna. - Jak ja, pomyślała.

- No... - Phil spojrział na zegarek. - Przyszedłem dać zlecenie na ten szpinet.

Esty wyciągnęła bloczek i podeszła z Philem do biurka. Wypełnił formularz aukcyjny, dała mu pokwitowanie. - Przyjdiesz na aukcję? - zapytała.

- Nie, za dużo pokus. Zostawiam zgłoszenie i będę czekał z nadzieją.

Odprowadziła go do drzwi, patrzyła za nim, gdy szedł do samochodu tym swoim długim krokiem jak w liceum. Krokiem pyszałka, ale miłego. Jeżeli nasi rodzice się pobiorą, pomyślała, będziemy rodzeństwem, Phil i ja. Pobiorą się? Mama za męża? Moja matka, adorowana wybranka?

Wszędzie naokoło ludzie w zalotach, pobierają się, biegną do miłości. A ja od miłości odbiegam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Większość dealerów i klientów zostawiła zlecenia i odjechała. Przed zamknięciem szopy na noc Esty zrobiła sobie przerwę i przyszła do domu, żeby zjeść z matką kolację.

Elizabeth siedziała na ganku trzymając nogi na balustradzie, czytając powieść. Pomachała do Esty ręką. Esty, gdy pudelek w dodatku radośnie ją powitał, poczuła się ku swemu zdumieniu bardzo swojsko.

Usiadła z pudełkiem w zielonym fotelu na biegunach.

- Przygotuję kolację za parę minut - powiedziała.

- Nie spiesz się. - Elizabeth odłożyła książkę. - Zasłużyłaś, żeby odsapnąć. Czy to Phil Anderson stąd odjeżdżał?

- On.

- Przyzwoity chłopiec.
 - Mamo...
 - Przyzwoity chłopiec. Przyzwoita rodzina.
 - Przyzwoity ojciec także, jak słyszałam. - Esty nie zamierzała poruszać tego tematu. Miała nadzieję, że matka ostatecznie sama jej powie. Teraz zobaczyła, że Elizabeth, o dziwo, szyja różowieje.
 - Phil ci powiedział? - Tak. - Dużo?
 - Tylko to, że ty... ty...
 - Że się z nim widuję? Ten cudowny eufemizm z lat dziewięćsetnych?
 - Coś w tym rodzaju.
 - Esty - powiedziała Elizabeth - spójrz mi w oczy.
- Esty spojrzała. Zobaczyła w szafirowych oczach matki serdeczność, troskliwość i coś jeszcze: z troskanie! - Patrzę - powiedziała.
- Czy przeszkadza ci, złotko - zapytała Elizabeth - mój mały romans?
- Esty aż zamrugnęła. Nigdy dotąd matka nie mówiła takim tonem, bez odrobiny cierpkości albo ironii. Ale trzeba odpowiedzieć. Czy mi przeszkadza?
- Nedorzeczne pytanie, mamo. Ja tylko... muszę się z tym oswoić.
 - W moim życiu przez wiele, wiele lat nie było mężczyzny. Teraz jest. Miły, rozsądny, z acny wdowiec, nienagannie przyzwoity, nienagannie dla mnie stosowny. Nie kryję się z jakimś pętakiem, młodszym ode mnie, żonatym, Boże uchroni.
 - Żadna z nas by tego nie robiła - powiedziała Esty. - I wiem, jaka jesteś rozsądna, mamo. Tylko... może po prostu nie potrafię sobie tego wyobrazić.
 - Wyobraźnia tu niepotrzebna. Powiem ci jedno. Rozumiem cię. W ciągu tych lat każdy nowy romans takiej czy innej mojej przyjaciółki strasznie mnie gorszył. *Jak ona może? W jej wieku?* Zdumiewałam się. Wtedy nic nie wiedziałam, teraz wiem, że kiedy to się zdarza, wiek ulatuje przez okno. Ma się znowu siedemnaście lat. W duchu. Ten sam trzepot serca, te

same wątpliwości. Ta sama kula w gardle przy odbieraniu telefonu. Ale później, kiedy już się do siebie nawzajem przywyknie, jest o wiele lepiej, niż było w siedemnastej wiosnie czy w dwudziestej piątej. O wiele, wiele lepiej...

- Zdefiniuj to, mamó. Elizabeth znów się zarumieniła.

- Myślisz, że mówię o seksie?

- Przemknęło mi przez myśl. Bo zazwyczaj do tego dochodzi między dwojgiem ludzi, kiedy trzepot serca przy telefonie im już minie.

- Jestem zanadto staromodna, żeby rozmawiać o życiu seksualnym, wiesz przecież. Mówię o takiej znajomości w ogóle. O romansie. O przebywaniu razem. Szkoda, że Art wyjechał. Spotkałabyś go. Zobaczyłabyś nas we dwoje. Przestałabyś cię gorszyć. - Przepraszam cię, mamó.

- Nie przepraszaj. Przygotowałam się na to. Co najmniej trzy moje przyjaciółki opowiadały mi, jak zareagowały ich córki. Nigdy dotąd, kochana Esty, nie byłaś tak obliczalna. - A Keith?

- Tak jak przystało na syna, też typowe. Bardzo się ucieszył. Specjalnie napisał do Arta z dobrą radą, żeby mi nie pozwolił na żadne głupie wykręty. Może po prostu chce mieć mnie z głowy, widzieć mnie pod opieką kogoś innego.

- Bzdura. Po prostu... Keith nie jest twoją córką.

- Ty jesteś.

Esty wstała z fotela, zrzucając pudelka na podłogę, i podeszła do matki. Uklękła, objęła ją. Poczła zapach tych dobrze znanych perfum i mydła lawendowego, i gliceryny z wodą różaną do rąk.

Przymknęła oczy na chwilę, wtuliła nos w jej sprężyste rude włosy, gdzieś tam jednak siwiejące.

- Jestem - szepnęła. - Mamó, to cudownie. Cieszę się ze względu na ciebie, tylko żałuję, że nie ty mi powiedziałaś.

- Miałam zamiar. Dziś wieczorem. Wydawało mi się nietaktem wyskoczyć z tym, kiedy mi mówiłaś, że rzuciłaś Jacka.

- Rzucić to brzydkie słowo - poprawiła Esty matkę. - Wolę: „dałam mu spokój”.

- Jak sobie chcesz. - Elizabeth ujęła ją za rękę. - Kochanie - powiedziała - nieważna samodzielność, nieważne, ile razy zaczyna się od początku, jedyną stałą jest miłość. Jedyną sprawą, która się liczy. Trzeba mieć o kogo dbać. Znasz to wszystko, co piszą o starych ludziach i zwierzętach, o tym jak zwierzę w domu pomaga im zachowywać zdrowie.

Esty przytaknęła, patrząc na trzy psy leżące teraz u stóp Elizabeth.

- Otóż mieć przy sobie mężczyznę jest jeszcze lepiej, ale oczywiście tego nie wypada ogłaszać drukiem. No i nie da się tak po prostu wziąć mężczyzny z hodowli czy ze schroniska.

- A ci, którzy się błakają - Esty już się uśmiechała. - Którzy odpadli skądś po urlopie. Całe te roje mężczyzn porzuconych... Mamo, ja wiem, jak dobrze jest mieć mężczyznę, nie musisz mi tego mówić.

- Może jednak muszę - powiedziała Elizabeth. - Może tyś już zapomniała. Nie wykreślaj miłości z życia, Esther. Nie zamykaj oczu na miłość.

Esty ogarnęło jakieś skrępowanie. Wsunęła rękę z dłoni matki. Wstała z klęczek, wzięła się pod boki.

- Dobrze, mamo, nie będę zamykała oczu. Kiedyś tu przyjadę z mężczyzną wielkim, niedźwiedziowatym, włochatym, i sprawię ci radość.

- On nie potrzebuje być jak niedźwiedź. I to ciebie ma radować, a nie mnie. Wybacz, że ci prawie kazanie. Wybacz, że jestem taka staroświecka. Ale mówię prawdę. Jedną z wieczystych prawd. Są rzeczy niezmiennie, jakkolwiek naprzód świat się posuwa. Jedną z tych rzeczy jest miłość. Zapamiętaj. Amen.

- Amen - mruknęła Esty i poszła do kuchni, żeby odkorkować wino i wstawić kurczaka do piecyka. Wiedziała, że matka ma rację. Za wcześnie jednak było to przyznać. Zbyt niedawno „dała spokój” Jackowi, w zbyt przejściowej znalazła się sytuacji. Jeszcze nie mogła patrzeć ani za siebie, ani przed siebie.

W nocy znów miała sen. Tym razem jednak śnił jej się nie Jack, tylko Phil Anderson. Seksualnie. Obudziła się pewna, że Phil leży przy niej w łóżku - tak żywo jej się przyśnił. Zapaliła światło, poszła do łazienki, umyła twarz. Wracając do łóżka,

spojrzała na zegar. Godzina czwarta. „Ciemna noc duszy to zawsze godzina trzecia na ranem dzień w dzień”. Czy tak ojciec mawiał? Nie mogła sobie przypomnieć.

Ale przypomniała sobie, że jedzie do Edgeville na stałe i że będzie jej dotrzymywało towarzystwa jakieś zwierzę. Szczeniak albo kociak. Może to ją uchroni od takich żenujących snów.

Wizyta Esty u matki przeciągnęła się na cały tydzień, potem na dziesięć dni, a potem było już za mało czasu, żeby planować dalsze podróże, więc Esty zdecydowała się zostać i przed samym Świętem Pracy pojechać prosto do Edgeville. Wypoczywała - czyli, jak mówiła, wegetowała. Czytała książki, pływała w oceanie i pomagała matce.

Na tej pierwszej aukcji siedziała w tylnym rzędzie i podziwiała swoją mamę-aukcjonerkę. Elizabeth w fotelu na kółkach trzymała mikrofon jak buławę. Była w wyśmienitej formie. Szopę zapełnili dealerzy, turyści i miejscowi ludzie, dla których aukcje stanowiły najlepszą sobotnią rozrywkę.

Wszyscy się obżerali hot dogami i chili dogami i prażoną kukurydzą z wielkich toreb, popijając wodą sodową.

Nadeszła kolej na szpinet Chickering. Esty wstrzymała oddech. Poprzedniego dnia przyjęła trzy zgłoszenia, Phil Anderson zaproponował najwyższą sumę. Obawiała się jednak, że przeliczytuje go ktoś w hali. Gdy nikt go nie przelicytował, odetchnęła z ulgą, wstała i poszła do telefonu w biurze.

Oznajmiła Philipowi, że szpinet już jest jego. To ją cieszyło.

Ledwie usiadła z powrotem, dwaj krzepcy młodzieńcy wnieśli na podium sekretarzyk dębowy w stylu hiszpańsko-misyjnym. Nie mówiła matce, że chce ten sekretarzyk kupić.

Słuchała, jak Elizabeth omawia pozycję, opowiada, że znalazła ten antyk na czyimś strychu, czarny od smaru.

- Ale pod wieloletnią warstwą brudu wskutek zaniedbania, to jest piękne, nie zniszczone dębowe drewno. Jedwabście gładkie. Nie Stickley wprawdzie, ale ta sama szkoła. No, jak mam wycenić taki świetny mebel?

Esty znowu wstrzymała oddech. Ograniczyła sumę, jaką może na to wydać. Ani centa więcej. W pierwszym rzędzie podniósł się numer na kijku. Wiedziała, że tam siedzi dealer. Próbuje kupić tanio, żeby sprzedać drogo. - Pięćdziesiąt dolarów.

- Ile? - zapytała Elizabeth. - Pan żartuje. Pięćdziesiąt dolarów? No, proszę państwa, niech padnie poważna propozycja. Cisza. Esty podniosła rękę.

- Siedemdziesiąt pięć!

Elizabeth drgnęła, nie zdradziła jednak, że rozpoznała głos córki.

- Tylko siedemdziesiąt pięć dolarów. Śmieszne. Kto da prawdziwe pieniądze?

Podniosła się ręka w głębi hali.

- Sto.

Esty знаła tę kobietę, nauczycielkę miejscowego gimnazjum. Ta z pewnością już kocha dębowy sekretarzyk. Rozgniewała się.

- Sto dwadzieścia pięć! - wykrzyknęła.

Dealer podwyższył swoją propozycję do stu pięćdziesięciu. Nauczycielka potrząsnęła głową, wycofała się. Elizabeth zapytała:

- Kto da więcej?

Jeszcze dwie ręce się podniosły. Serce Esty zamarło. Mogą ją przelicytować.

- Dwieście! - zawołała.

Jedna z rąk opadła. Druga nadal była podniesiona.

- Dwieście dziesięć - powiedział chudy właściciel tej ręki.

- Dwieście pięćdziesiąt! - wykrzyknęła Esty. O dwadzieścia pięć dolarów więcej niż sobie pozwoliła.

Z zapartym tchem rozejrzała się po hali. Nikt już nie reflektował. Elizabeth powtórzyła cenę.

- ... po raz drugi... po raz trzeci... Bierze ta mała pani w koszulce polo.

Esther poczuła triumf. Kupiła swój pierwszy mebel. Już się zastanawiała, jak upchnąć bagaż w przyczepie, żeby wstawić

sekretarzyk. Zmieści się... musi. W Edgeville będzie dla niego jakieś poczesne miejsce. Na litość boską, pomyślała, gdy Elizabeth anonsowała następną pozycję - ozdobnie rzeźbiony ciężki kredens. Kto się objuczy takim grzmotem? No, ale... Nigdy bym nie przypuszczała, że ja zacznę się objuczać. Zakochałam się w meblu i zdecydowałam się wziąć sobie zwierzaka. I co jeszcze? Była tylko jedna odpowiedź! To, co matka mówiła o miłości, zapadło Esty w świadomość. Kiedyś. Kiedyś znajdę miłość. Kiedyś będę gotowa.

Nazajutrz rano Esty dostała list od Jacka. Najwidoczniej podała mu adres matki, bo jak inaczej mógłby ją wytropić? Wyszła z listem na ganek, usiadła w fotelu na biegunach. Dziwne, pomyślała rozcinając kopertę scyzorykiem, który zawsze nosiła w kieszeni dzinsów. Dziwne, że serce mi nie bije szybciej. To już się skończyło. Powinnam być spokojna, beztroska, w najlepszym razie trochę zaciekawiona. List był miło gawędziarski. Aż do ostatniego akapitu.

Otrzymałem i przyjąłem pierwszą sercową propozycję - pisał Jack. A mianowicie Lynnie Hobart zaprosiła mnie na bal w klubie tenisowym w Święto Pracy. Wyobrażasz sobie, ona mnie. Pewnie ofiaruje mi kwiaty do przypięcia. Nadal myślę o tobie z tęsknotą, nadal mi ciebie brak. Chyba zawsze będzie mi ciebie brakowało, ale muszę wierzyć, że wiesz, co robisz. Bądźmy w kontakcie, staruszko. Serdecznie pozdrawiam itede.

Lynnie Hobart. Przez chwilę Esty nie mogła jej umiejscowić, potem nagle ją ujrzała: chłodną, długonogą blondynkę, rozwódkę mającą czternastoletniego syna. Bogatą. Nudną. Powinna ci się trafić jakaś lepsza, Jack.

Zbadała swoją reakcję na ten list. Nic szczególnego. Mniejsze wrażenie niż widok jeszcze zaklejonej koperty. Tak to jest, pomyślała, z większością kroków w tańcu seksualnym. Przewidywanie bardziej podnieca niż sam fakt. Już się skończyło, Jack, szepnęła sobie raz jeszcze. Ale mam nadzieję, że kiedy wpakujesz się w nowe amory, to nie z taką jak Lynnie Hobart.

Przymknęła oczy i pomyślała o Eriku. Choć jego fotografia pozostaje w pudle w przyczepie, jego obraz, pamięć o nim się nie zaciera. Mam Erika w sercu i przy sobie i on patrzy na mnie. Odłożyła list Jacka i gwizdnęła na psy. Dzisiaj ostatnia noc u mamy. Na kolację zaprosili nas sąsiedzi. Jutro wsiądę do samochodu i zacznę nowe, zupełnie nowe życie. Wdychając słone powietrze, puściła się biegiem z psami, które deptały jej po piętach. Czowała się młoda, kipiąca energią. Matka ma rację. To zupełnie możliwe mieć siedemnaście lat nieskończenie... w duchu.

Trudno pożegnać się z mamą. Po raz pierwszy, odkąd dorosłam, tak pięknie się z nią zgadzam, raczej jak siostra niż jak córka, myślała Esty.

Elizabeth już swobodnie chodziła ze Szwedkami, nie potrzebowała pomocy. Art Anderson miał wrócić dopiero za dwa dni, ale Esty była rada, że się z nim minie. Jeszcze będą okazje, na razie nie miała pewności, czy jest gotowa widzieć ich oboje razem. Musiała mieć więcej czasu, żeby przetrwać tę... „znajomość”.

Wczesnym rankiem przed wyjazdem, zanim zacznie się weekendowy ruch na autostradach, przestawiała rzeczy w przyczepie, gdy matka wyszła na ganek. Ze schodów wołała nie schodzić ze Szwedkami, więc najpierw je zsunęła, potem sama z tych paru stopni zjechała na siedzeniu.

Podniosła szwedki z ziemi i wzięła z najwyższego stopnia papierową torbę.

- Chodź, weź to! - zawołała.

Esty przybiegła, uściskała ją. Wzięła papierową torbę.

- Drugie śniadanie - powiedziała Elizabeth. - Utrzymanie na czas jazdy. To, co lubisz. Bekon, masło orzechowe. I coca-cola.

- Dziękuję, mamo.

- Esty... - Elizabeth stała, opierając się na Szwedkach. Wiatr rozwiewał jej włosy, odsłaniał zaokrąglone czoło, gładkie kości policzkowe, brwi jak piórka.

- Dobrze mi było z moją córką tutaj. Życzę ci szczęścia w nowym życiu. I nie mogę się oprzeć pokusie, żeby dać ci radę.
- Ręczę, że wiem, jaką. Znajdź sobie porządnego mężczyznę.
- Ujęłabym to subtelniej. Pozwól sobie ruszyć naprzód. Co nie znaczy, że masz zapomnieć o Eriku. Nigdy o nim nie zapomnisz i nie powinnaś, ale postaraj się otworzyć, znaleźć nowego... nowego...
- Męża?
- To brzmi tak prostacko.
- Chyba wiem, o co ci chodzi, mamo. Kiedyś będę gotowa. To już postęp. Rok temu myślałam, że nigdy nie będę. Może tyś mnie zainspirowała.
- Oby! Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwa, Est, ale jesteś zbyt uparta, nie chcesz sięgnąć po szczęście. Myślę, że to nowe miasto okaże się dla ciebie domem. Tylko pozwól sobie poczuć się tam u siebie w domu.

Ciekawe - zdumiewała się Esty - to, co mama myśli i czego mi życzy, zbiega się z moimi myślami i życzeniami. Ale jak to urzeczywistnić? Nie zdołałam poczuć się u siebie w mieście Galena w stanie Illinois. Nowe życie, upomniała się. W Ed-geville w stanie Nowy Jork zdołałam.

- Dobrze - powiedziała. Zniosła tę brązową papierową torbę do samochodu. Znowu uściskała matkę.
- Następnym razem, kiedy przyjadę, chcę zjeść kolację z tobą i panem Andersonem. Zaprosimy Phila i Sal. I...
- Nie popędzaj mnie - powiedziała Elizabeth. - Jeszcze mogę go rzucić, tak jak ty rzuciłaś Jacka. Czy raczej „dać mu spokój”.

Esty usiadła za kierownicą, czule, pożegnalnie spojrzała na ocean, a potem na matkę. Dawniej, gdy wyjeżdżała do college'u, łatwiej było matkę żegnać. Może z wiekiem to jest coraz trudniejsze?

Zwłaszcza kiedy się matkę rozumie.

Teraz całą uwagę musiała skoncentrować na wycofaniu przyczepy z podjazdu. Czas ruszyć znowu w drogę.

Do Edgeville przyjechała w ulewnym deszczu. Dzień był bardzo zimny jak na początek września. Trzymając się trasy nakreślonej na mapie, którą dostała od Connie - przez Connecticut, przez część stanu Nowy Jork - bez trudu dotarła do hrabstwa Cumberland.

Dojazd do Edgeville z przeciwnej strony, jak miała za parę dni się dowiedzieć, był o wiele ciekawszy, widoki o wiele bardziej malownicze. Z tej strony otaczały ją łąki i pola uprawne. Na łąkach pasły się konie. Zza zakrętu kłusował zwawo szary koń ciągnąc powozik, w którym siedziała kobieta z nogami zakrytymi pledem. Esty pomachała jej w przejeździe, a ona salutująco uniosła bat. - Niemłoda pani - siwe włosy sterczały jej spod miękkiego samodzielnego kapelusza, rozwiewane wiatrem - uśmiechała się szeroko.

Potem, o milę dalej, była wioska, a raczej kępa domów przy drodze ze stacją benzynową, sklepem uniwersalnym i ogromną brzydką kregielnią. *Edgeville, 1 mila* - oznajmiała tablica. Esty się ucieszyła. Znowu spojrzała na mapę. Connie i Al mieszkają tu właśnie w wiktoriańskim domu z gankiem wokoło. Ale gdy wjechała w główną ulicę, zobaczyła, że wszystkie domy są takie. Zaczęła je liczyć, patrzeć na numery, aż w końcu wjechała na szeroki piaszczysty podjazd.

Ledwie wyłączyła silnik, rozległ się krzyk. Connie Springer otworzyła drzwi z siatką i zbiegła ze schodków tylnego ganku. Wyciągnęła ręce, twarz miała jak jeden wielki uśmiech.

Esty wyskoczyła z samochodu. Dwie stare przyjaciółki zderzyły się w uścisku.

- Jesteś! - Connie odsunęła się od Esty na długość ręki, po czym znowu ją przysunęła do siebie i uściskała. - Akurat w porę!

- Na co?

- Na uratowanie gazety. Na wstrzyknięcie tej starej mieścinie nowej krwi. I w porę, żebym miała z kim plotkować! Chodź! - Prowadząc Esty, obejrzała się na przyczepę stojącą krzywo za samochodem. -

Ciągnęłaś tego słonia przez całą drogę od matki?

- Przez całą drogę z Illinois - powiedziała Esty. - I czym prędzej chcę się go pozbyć.

- Jutro - powiedziała Connie. Wprowadziła Esty do domu. - Dzisiaj mamy wielkie plany. Kolacja powitalna, a przedtem cocktail party. Nie odzipniesz, jeśli o to ci chodzi.

Esty usiadła w białym wiklinowym fotelu na biegunach i uśmiechnęła się do Connie.

- Może tylko prysznic? I szurnięcie szczotką po zębach? I może pozwolisz mi się przebrać? Chyba że wy tutaj, w Edgeville, chodzicie na wasze cocktail parties w wygniecionych spodniach z brezentu.

- Wszystko to zrobisz na górze plus będziesz miała łóżko i śniadanie. Jutro po kościele wprowadzimy cię do twojego domu.

- Do czego?

Tempo iście błyskawiczne, ale Esty stwierdziła, że to się jej podoba. Już po chwili z filiżanką herbaty czekała, żeby Connie przyciągnęła drugi wiklinowy fotel i usiadła przy niej. Jakaż kochana jest ta Connie! Były współlokatorkami w college'u i od tamtego czasu utrzymywały kontakt nieprzerwanie. Więcej wiedziały o sobie nawzajem niż o sobie samych. Connie już farbowała siwiznę, ale farbę dobrała doskonale, piękny odcień brązu, zupełnie jak jej naturalny. Nadal nie uznawała trwałej ondulacji, włosy miała proste, krótko podstrzyżone, grzywkę i baczki. Zrezygnowała ze szkielek kontaktowych i nosiła półkoliste okulary. Była zdrowa, ogorzała po niezliczonych godzinach na korcie tenisowym. Jak Jack, pomyślała Esty.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała. - No, mów. Dokąd mnie jutro zawleciesz? Czy to znaczy, że nie muszę szukać mieszkania?

- Nie. Jeśli ze wstrętem nie odrzucisz tego, co mam dla ciebie. Ale myślę, że nie. - Connie się roześmiała. - To dobry interes. Dwa kroki od redakcji, spokojna boczna uliczka, ładny ogród, garaż...

- Dom? Nie mieszkanie?

- Dom. W Edgeville nikt poza staruszkami nie mieszka w mieszkaniu. Ty nie jesteś stara, Esty. I zawsze mieszkałaś w domach. Więc gdzie tu problem?

- Nie ma problemu. Czy to duży dom? Kosztowny? Oni nie będą mi płacić bajońskich sum, wiesz o tym.

- Mały. Schludny. Duże patio z tyłu, ładny trawniczek, wokoło żywopłoty, więc odosobnienie. Parterowy, w dużym pokoju, saloniku czy jadalni sufit jak w katedrze. Mała kuchnia. Jedna łazienka. Dwie sypialnie. Śliczny. Prosty...

- Tani?

- No... osiemset miesięcznie. Esty zamrugła.

- Miałam nadzieję, że będę odkładać. Potrzebuję...

- W tym ogrzewanie i elektryczność.

Obliczyła. Dojście do pracy pieszo zmniejszy wydatki na samochód. Potrzebuję dużo nowych rzeczy, bo nie mam w co się ubrać, ale chyba na to wystarczy. I dla zwierzaka lepszy dom niż mieszkanie...

- Uśmiechasz się - zauważyła Connie. - Przyjmuję, że akceptujesz.

Esty podniosła do ust filiżankę. To była spearmint, ulubiona herbata Connie. Connie nie pamięta, że ona tej herbaty nie cierpi. - Brrr... - wzdrygnęła się - napój z gumy do żucia.

- No, więc akceptujesz?

- Czy mam wybór? Pewnie już podpisałaś kontrakt wynajmu.

- Nie podpisałam, ale kontrakt czeka gotowy. Opowiadaj o sobie. Chcę wiedzieć wszystko.

Więc zaczęła się pobieżna relacja z miasta Galena. Connie bez zdumienia słuchała o Jacku. Mówiąc o pobycie u matki, Esty zawahała się, czy powiedzieć przyjaciółce o nowej miłości Elizabeth, ostatecznie jednak powiedziała.

- Elizabeth jest piękną - stwierdziła Connie. - Dziwne, że już dawno ktoś jej nie poderwał. -

Umilkła na chwilę. - A Jessica?

- Nadal panna. Sądząc z tego, co mówi, nawet się nie rozgląda. Czy ze mnie bierze zły przykład?

- Prawdopodobnie, aleja bym się tym nie martwiła. Jessica też jest piękną. Ma jeszcze mnóstwo czasu. A ty?

- Nie znalazłabyś jakiejś prawdziwej herbaty? - Esty się zniecierpliwiła, zmęczona tą rozmową.

Chciała jak najwięcej dowiedzieć się o Edgeville.

Connie znalazła dla niej torebkę tetley, a potem wyciągnęła ją z kuchni i oprowadziła po całym domu. W drzwiach pokoju gościnnego zatrzymała się i oznajmiła:

- Twój pokój.

Esty popatrzyła na tę ładną sypialnię. Łóżko między czterema słupkami, na nim kwiecista kretonowa kapa z układaną w fałdy falbaną. Kwiecisty indyjski dywan, szezlong pluszowy bladoniebieski i na nim poduszki z białego płótna. Przed kominkiem taboret nakryty igielkową nicianą koronką, na palenisku przygotowane drwa brzozone. W oknie składającym się z wielu małych szybek przezroczyste białe firanki ujęte w kwieciste kretonowe kokardy.

- Sypialnia z baśni - orzekła Esty. - Tu nie można by wypowiedzieć żadnego brzydkiego słowa. Tu jest tak... kobieco. - Bardzo lubię ten pokój - powiedziała Connie.

- Ten pokój to rzeczywiście ty.

- Al go nie znosi. Mówi, że to gniazdko stręczycielki. Zgoła niestosowne dla szacownej pani przewodniczącej sądu. I że ja powinnam urządzić sobie pokoje skromnie, poważnie. Funkcjonalnie.

- Mnie się tu szalenie podoba. - Esty pragnęła klapnąć na łóżko, wtulić głowę w koronkowe poszewki poduszek i porządnie się zdrzemnąć, ale to nie było w programie. Wieczorem miała, jak się wydawało, być wystawiona na pokaz - należy odpowiednio się wystroić.

- Będą tam moi nowi szefowie? - zapytała Esty, gdy usiadły na tylnym siedzeniu poobijanego buicka Ala. - Ja jeszcze nie...

- Wyjechali na weekend. - Al włączył silnik. - Masz trzy dni wytchnienia, zanim te smoki ziejące ogniem wrócą.

- Nie przerazisz jej, Al - powiedziała Connie. - Nasza Esty sama trochę zionie ogniem.

- Gorąca dziewczyna. - Al zachichotał, cofając samochód. Esty patrzyła na jego kark, na czerwonawe fałdki tłuszczu nad kołnierzykiem i na siwiejące włosy wokół ciemienia.

Zawsze lubiła „Dużego Ala”. Ze wszystkich chłopców jej przyjaciółek w college'u Al był najmiłszy, najzaciejszy, najbardziej stały. Poznał Connie na pierwszym roku i już nigdy nie interesował się żadną inną. Teraz, po tylu latach, nadal są dobrym małżeństwem, które łączą długie lata wspólnego życia, kawał historii. Uprzytomniła sobie swoją samotność.

- Oj, zionę, zionę ogniem nawet w tej chwili - powiedziała i rozparła się na tylnym siedzeniu.

Na szczęście, Connie zdecydowała, że mogą pominąć cocktail party i pojechać prosto na kolację do klubu. Gawędziły we dwie w tej ładnej kretonowej sypialni bardzo długo i Al wrócił do domu późno, więc ostatecznie program wieczoru się skrócił. Esty, zmęczona podróżą, przyjęła to z wielką ulgą, sukienki miała zapakowane i wygniecione i wcale się nie kwapiła do poznawania nowych ludzi wszystkich naraz. Niezależnie jednak od zmęczenia była podekscytowana. Wyglądała przez okno samochodu, gdy Al skręcał na ulicę Kongresu, kierując się do klubu. Podziwiała schludne fasady domów, staroświecki metalowy wagon restauracyjny, duże okna, duże wystawy sklepu z wyrobami żelaznymi, pełne rusztów gazowych, grabi i naftowych lamp. Zatrzymały ich jedyne światła przy skrzyżowaniu w tym mieście i wtedy zauważyła, że na bocznej ulicy jest parę antykwariatów. Matka z przyjemnością je odwiedzi. Klub mieścił się w długim budynku z nisko opadającym dachem z gontów i gankiem z trzech stron z zielonymi markizami. Na trawniku stało kilka zaparkowanych samochodów. Gdy Al wjechał pomiędzy dwa pokryte kurzem czarne BMW - w każdym siedział na tylnym siedzeniu pies i szyby były pęknięte - Esty pojęła, że darowanie sobie cocktail party nie ratuje jej przed spotkaniem gromady ludzi. Chyba połowa miasteczka jest tutaj, jeśli nie w drodze tutaj.

- Zapiszesz się do klubu, oczywiście - powiedziała Connie, biorąc ją pod rękę i prowadząc przez trawnik.

- Ja? - Esty spojrzała w górę na przyjaciółkę. Zapomniała, że Connie taka wysoka. - Nie jestem klubową damą.

- To nie jakiś zwykły nadęty klub towarzyski - powiedziała Connie. - To samo serce tej społeczności. Chyba chcesz być

w sercu tej społeczności, prawda? Nie bądź snobką, która musi wszystko inaczej niż wszyscy.

Myślałam, że ci to przeszło dziesiątki lat temu.

- Wcale mi nie przeszło - oświadczyła Esty. - Przez pięć lat kręciłam nosem na klub w Galena. - A jutro wieczorem Jack będzie tam w klubie, pomyślała. Będzie tańczył z przytulającą się Linnie Hobart. Dużo wysiłku kosztowało ją zignorowanie ukłucia w sercu na tę myśl. - To jest trochę poza, przyznaję - powiedziała.

- Wejdzmy - Connie wciągnęła ją do hallu i wpisała się do książki gości. - Usiądziemy za filarem daleko w kącie, prawie incognito. Idąc przez dużą salę, Esty nie spuszczała głowy. Czuła na sobie wzrok wielu oczu, ale grzeczny wzrok, prawie przelotny, a nie chamskie gapienie się. Connie trzymała ją za łokieć i drugą ręką pomachiwała do znajomych.

- To nie jest ostatnia mila drogi na szafot - powiedziała z uśmiechem. - Nie wiedziałam, że jesteś taka nerwowa. - Kiedyś - szepnęła Esty - na lekcjach tańca w szkole czekałam, żeby mnie wybrał któryś z chłopców. Mam takie uczucie jak wtedy.

Al odsunął dla niej krzesło przy stoliku. Usiadła i żeby czymś zająć ręce, rozłożyła sobie wielką zieloną serwetkę na kolanach. - Kiciuniu, ty szkocką? - zapytał Al. Connie przytaknęła.

- Esty? Co ty pijesz?

- Wino poproszę - powiedziała Esty.

- Na pewno?

- Tak

Al zamówił. Kelnerka w szortach i klubowej koszulce wyglądała na szesnastolatkę.

Esty szybko rozejrzała się po sali. Większość stolików zajmowały grupki: od czterech do sześciu osób, tylko przy niewielu pary. Było kilka towarzystw ściśle damskich, przeważnie siwe matrony z trwałą ondulacją i w sukniach w kwiaty. Jeden starszy pan siedział sam przy stoliku w kącie, czytając. Wszyscy sprawiali wrażenie spokojnych, zrelaksowanych. Żaden z mężczyzn nie był w krawacie, wobec czego zaczęła

rewidować swoje zdanie o klubach. Ten klub jest miły. Bezpretensjonalny. Dostała wino, pociągnęła łyk i trochę się odprężyła.

- A więc - Al podniósł szklanekę z whisky - witamy w Edgeville.

- Już czuję się powitana - powiedziała Esty.

- Jutro zamieszkasz w swoim domu - powiedziała Connie.

- Zwrócisz tę landarę i zabiorę cię na przejażdżkę, pokażę ci okolice. Och, Esty, tak cudownie mieć ciebie tutaj! Esty zrobiło się ciepło, bardzo, bardzo radośnie. Na jadłospis tylko zerknęła. Trzy potrawy do wyboru - zamówiła rostbef. Jak szaleć, to szaleć.

- Brawo - pochwalił ją Al. - Lubię kobiety, które lubią krwiste mięso. Weźmy do tego dobre czerwone wino, jeżeli Connie pójdzie za naszym przykładem. Czy może chcesz się trzymać ryb, Connie? Connie też zamówiła rostbef i prażone kartofle z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem. Po prostu grzech dietetyczny.

- Jak tam w sądownictwie? - zapytała Esty.

To zapoczątkowało dosyć długą relację. Connie była miejscowym sędzią, a także praktykującym adwokatem. Załatwiała wszystko, poczynając od zdawania sprzedanych domów i na rozwodach i prowadzeniu samochodu po pijanemu kończąc. - Ja - wreszcie doszedł do głosu Al - kiedyś otworzę w Edgeville własne biuro podróży. Za stary już jestem, żeby dojeżdżać do pracy. - Co rok zamierzasz mniej pracować, więcej grać w tenisa - powiedziała Connie. - Jednak...

- Co rok - przerwał jej Al - zamierzasz więcej grać w golfa. Jednak oboje nic, tylko pracujemy. Może ty nam pomożesz zwolnić tempo, Esty. Sprawisz, że będziemy żyć rozsądniej.

Esty czuła, jak wino rozgrzewa w niej krew. Na stolik wjechał rostbef i pachniał niebiańsko.

Uśmiechała się do Ala i Connie, błędziła wzrokiem po sali i nagle zobaczyła wysokiego barczystego mężczyznę, który z młodą blondynką właśnie podszedł do małego stolika dla dwóch osób. Ten mężczyzna machnięciem ręki pozdrowił Ala. Zapatrzyła się w niego. Do kogo podobny? Z wysiłkiem przestała patrzeć w jego stronę, ale

już po sekundzie nie mogła się powstrzymać od ukradkowego zerknięcia akurat, gdy on usiadł tyłem do niej. Te szerokie bary pod swetrem z wełny szetlandzkiej w kolorze wrzосу i kołnierzyk jasnoniebieskiej koszuli, włosy rudawo blond, ładnie poprządkowane srebrem, kędzierzawe, dosyć długie. Pewnie ma zmarszczki przy oczach, kiedy się uśmiecha. Do kogo jest podobny?

Raptownie sobie uprzytomniła. Do Erika. Tyle że starszy, oczywiście. Czy Erie tak by teraz wyglądał, gdyby żył? Jeszcze raz ukradkiem spojrzała. Zobaczyła tę twarz z profilu. Erie, ten orli nos i w ogóle. Poczula, że się rumieni. Spojrzała na jasnowłosą towarzyszkę tego mężczyzny. Jego córka może? Nie, nie taka młoda, jak w pierwszej chwili mi się wydawało. Ma ze trzydzieści parę lat - i doprawdy za stara, żeby paradować z długim końskim ogonem. Zastanowiła się, co on może w tej blondynce widzieć. - Przyłapałam cię, jak tam patrzysz - powiedziała Connie i umilkła na chwilę, nasuwając więcej koperku na kartofle. - To jest nasz burmistrz, Dick Barrett. I jego cizia.

- Cizia? - Esty zdębiała. Takie słowo padło z ust Connie!

- Nauczycielka. Zwariowana na jego punkcie. Ale my wszyscy tylko czekamy, kiedy on odskoczy. Jak zwykle.

- Czy jest dobrym burmistrzem? Connie roześmiała się.

- Tutaj od burmistrza nie wymaga się ani dużo pracy, ani dużo inwencji. Jest poza tym miejskim geodetą. A także lubi być gościem pań. Czy dobry burmistrz? Rozcina wstęgi, liczy opłaty za parkowanie. Sporo mam z nim do czynienia. Ja...

- Ona go nie znosi - powiedział Al. - Chociaż tego wcale nie widać, kiedy są razem na zebraniach rady miejskiej.

Connie zmieniła temat rozmowy, a Esty chciała jeszcze pytać o burmistrza. Ale wkrótce potem, gdy podniosła oczy, za krzesłem Connie stał Dick Barrett we własnej osobie, z serwetką w ręce, w okularach podsuniętych na czubek głowy. Zaparło jej dech. Erie tak nosił okulary w college'u.

- Przepraszam, że przeszkadzam - aksamitnym barytonem powiedział Dick Barrett do Connie. - Tylko chwileczka. Muszę z panią, pani sędzio, jutro porozmawiać. Zechce mi pani

poświęcić trochę czasu? Powiedzmy, koło południa. U mnie w ratuszu.

Connie przełożyła to spotkanie na późne popołudnie i przedstawiła go Esty. Więc Esty się do niego uśmiechnęła i on uśmiechnął się do niej. I stało się coś bardzo dziwnego. Wezbrało w niej pożądanie, aż musiała prędko spuścić wzrok na swój talerz. Co się z nią dzieje? Przeżyła pół stulecia bez mała, a zmieszana jak pensjonarka.

- Witamy panią w Edgeville - powiedział Dick Barrett. - Słyszeliśmy o pani mnóstwo. Ma pani przed sobą wielkie zadanie. Proszę mnie odwiedzić. Zawsze do usług. - Machnął serwetką i odszedł.

Esty spojrzała przez salę na jego stolik, przy którym ta blondynka z końskim ogonem, podpierając dłońią podbródek, czekała, żeby on wrócił. Gdy usiadł z powrotem, sięgnęła po jego rękę. Esty odwróciła wzrok.

- Powinam była cię uprzedzić. - Connie zauważyła jej zmieszanie. - To... to podobieństwo jest uderzające, prawda?

Esty przytaknęła. Z ulgą, bo nie zwariowała. Ten mężczyzna rzeczywiście jest podobny do Erika.

- Ale tylko fizycznie - powiedziała Connie. - Pod żadnym innym względem.

- Connie ma rację - powiedział Al. Wziął bułkę, nasmarował masłem i skinął na kelnerkę, żeby znów napełniła kieliszki.

Następnym razem, gdy Esty zerknęła przez salę, Dicka Barretta i jego cizi już nie było.

Wrócili z klubu. Esty ledwie zdołała umyć zęby i trafić w swoją nocną koszulę. Connie odrzuciła kapek i przysiadła na krawędzi łóżka. Duży kot, wyglądający jakby był z szylkretu, zwinął się w kłębek w nogach łóżka.

- Mam go stąd zabrać? - zapytała Connie, wyciągając rękę, żeby pogłaskać kota za uszami.

Esty potrząsnęła głową. Położyła się. Prześcieradła były wykrochmalone, uprasowane. Zupełnie jak u matki.

- Kocham koty - powiedziała. - Przypominam ci, bo może

o tym zapomniałaś.

- Nie zapomniałam - powiedziała Connie. - Ale w takim razie muszę zostawić drzwi uchylone.

Dobrze?

- Oczywiście.

Po chwili wahania Connie niepewnie zaczęła:

- Hej, widziałam wyraz twojej twarzy, kiedy Dick Barrett do nas podszedł. Wiem, o czym myślałaś.

Ale porozmawiasz z nim

1 od razu przestaniesz go sobie kojarzyć. Zareczam. Żałuję tylko, że musiałaś zobaczyć go dzisiaj. W twój pierwszy wieczór.

- Nie szkodzi - powiedziała Esty. - Con, tak już dawno Erie poległ. Ja...

- Wiem. Jednak to jest wstrząs. Dla mnie też był, kiedy pierwszy raz go zobaczyłam.

- Nie przejmuj się tym. - Esty sama nie miała zamiaru niczym się przejmować tej nocy. Znadto była zmęczona. Oczy jej się kleiły.

Słyszała, jak kot mruczy u jej stóp, gdy Connie cichutko wyszła, gasząc światło. Tak, wezmę sobie zwierzaka. Kiedy tylko wprowadzę się do nowego domu. To taki pocieszający odgłos - mruczenie. Z uśmiechem Esty pomyślała o jaguarze Jacka, o silniku, który - jak Jack powiedział - mruczy. I powiedział, że ona też dawniej mruczała...

Kiedyś, pomyślała, będę mruczyć znowu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Esty pokochała ten dom już w momencie, gdy zaparkowała samochód na zwirowanym podjeździe. Parterowy, ze spadzistym dachem z ciemnych gontów w cieniu wysokich klonów, których liście już trochę żółkły, obiecywał bezpieczeństwo, wygodę i odosobnienie, chociaż stał pomiędzy innymi domami w samym środku miasteczka. Wokół tej parceli mierzącej pół akra wznosił się bukszpanowy żywopłot.

Na tyłach był mały dziedziniec wykładany płytami i trawnik. Esty i Connie weszły tamtędy oszklonymi drzwiami. Wewnątrz dom wydawał się większy niż na zewnątrz. W głównym pokoju zwiślał ze środkowej belki sufitu, będącego właściwie spodem dachu, biały duży wentylator, jak Connie powiedziała, „klima-

tyzacja Edgeville". Kominek z wysokim paleniskiem, zbudowany z polnych kamieni, z jednej strony kominka pękata ogromna kanapa pokryta brezentem w rdzawą i białą szachownicę, z drugiej strony dwa wygodne fotele, oraz pod oknami (apicerskie ławeczki sprawiały bardzo miłe, przytulne wrażenie.

- Sprzedany - powiedziała Esty jak aukcjonerka, jeszcze zanim zobaczyła kuchnię i sypialnię. Między oszklonymi drzwiami i oknem było idealne miejsce na sekretarzyk hiszpańsko-misyjny. Ani chwili nie chciała zwlekać z wyładowaniem tego skarbu. Oczami duszy już widziała siebie przy sekretarzyku z komputerem na pokrywie szuflady. I już miała pomysły na rubrykę w gazecie. Prr! powściągnęła się, najpierw rozpakujmy rzeczy. Kuchnia nie pozostawiała nic do życzenia - mała, czysta, należycie wyposażona. Również i sypialnia, kwadratowa, umeblowana jak trzeba, może troszeczkę przyciężko, ale to nieważne. Esty tak pokochała ten dom, że nic w nim nie mogło jej się nie podobać. Gotowa była natychmiast podpisać kontrakt wynajmu.

Connie pojechała do delikatesów po kanapki i mrożoną herbatę, po czym pomogła Esty wyładować bagaż z przyczepy. Zjawił się na jej wezwanie młody reporter z „Nowin Cumberland”, wtaszczył do domu sekretarzyk i ciężkie tekturowe pudła z książkami i został wysłany do agencji, żeby załatwić zwrot przyczepy.

- Potrzebne ci półki na książki - zauważyła Connie, gdy odjechał.

- I jakiś dywan - dodała Esty, myśląc o gołej podłodze w sypialni. - I lampa do pracy. - Mosiężna, pomyślała, z zielonym szklanym abażurem.

- I prześcieradła. Te, które przywiozłaś, są za małe.

- Żałuję. I deska do prasowania.

- Chyba mam deskę na zbyciu. Dam ci ją. - Connie otworzyła szafę w kuchni sprawdzając, czy są szczotki i odkurzacz. Wszystko było. - Obejdiesz się bez zmywarki? - zapytała.

- Z łatwością. - Esty zaczęła otwierać szafki kuchenne, zajrzała do piecyka, badała swoje nowe królestwo ze szczerym zachwytem.

- Pralka i suszarka w piwnicy - powiedziała Connie.
- I pozwoliłam sobie wyręczyć cię w sprawie podłączenia telefonu. Już jest na twoje nazwisko - E. Foster.

Gdyby to był ktokolwiek inny, a nie Connie, zirytowałyby Esty takie zakładanie z góry, że wybrany dla niej dom na pewno jej się spodoba. Ale w tych okolicznościach wzruszyła się i ucieszyła. Oto prawdziwa przyjaciółka, która zna ją dość dobrze, żeby bez pytania zarejestrować jej numer telefonu. Odwróciła się od szafek i serdecznie uściskała Connie.

- Teraz wiem, że to rzeczywistość. Figuruję w książce telefonicznej Hrabstwa Cumberland. Jestem wprost zalękniona. Szalenie przejęta. Connie odwzajemniła uścisk.
- Dziękuję ci, że przyjechałaś, dziewczusko - powiedziała.
- Pojęcia nie masz, jak się z tego cieszę.
- Zawsze mówiłyśmy, że będziemy się starzeć razem.
- Nosić luźne, długie, koronkowe kiecki.
- Pić cocktail Manhattan z wisienką i snuć opowieści z naszej utraconej młodości.
- Ale na razie jeszcze nie, dobrze? Za dwadzieścia lat? Za trzydzieści? Miejmy na co czekać.

Wetknęła Esty w rękę klucze i pieszo poszła do domu.

Sama pod swoim nowym dachem Esty chodziła z pokoju do pokoju, dotykała mebli, zaznajamiała się. Pudła i walizki piętrzyły się na środku saloniku czy też pokoju dziennego. Jutro to się rozpakuje, po kościele z Connie i z Alem. Potem będzie miała całą niedzielę i poniedziałek dla siebie, dosyć czasu, żeby się zadomowić. We wtorek rano nowa praca.

Drgnęła, słysząc stukanie do tylnych drzwi. Wrócił ten młody reporter, Wally Mason z kluczykami jej samochodu zwisającymi mu z kółka na palcu. Zaprosiła go, żeby wszedł, ale powiedział, że się spieszy na randkę! - W każdym razie dziękuję pani, proszę pani. - Zerknął na pokój za jej plecami. - Ładna chata.

Proszę pani. Wyglądał na osiemnaście lat, chociaż już jej mówił, że ma dwadzieścia cztery. Czy ona będzie najstarsza w tej redakcji?

Ponieważ sklepy przez dwa najbliższe dni miały być zamknięte, Esty zrobiła spis najbardziej koniecznych zakupów i pojechała do supersamu po zapasy na weekend.

Parking był zapchany samochodami, musiała czekać, żeby zwolniło się miejsce. W samie panował tłok. Tuż przed nią szła pchając wózek z dwoma tylko sprawunkami: selerem i jogurtem - młoda blondynka i majtał się długi koński ogon. To była ta „cizia” burmistrza niepokojąco podobnego do Erika. Z bliska wyglądała starzej - no, ma chyba trzydzieści pięć lat. Podchodząc do kasy, jakoś minęły się, ale nie spojrzały sobie w oczy. Esty wstawiła torby z zakupami do samochodu i przeszła na drugą stronę ulicy. W sklepie alkoholowym kupiła świąteczną butelkę wina. I nagle, pod wpływem impulsu, butelkę wódki i butelkę wermutu. Nie wiadomo kiedy będzie miała pierwszych gości. Ledwie jednak wystarczyło jej gotówki na to wszystko.

Gdy wróciła do swego nowego domu i wypakowała zakupy, usiadła w jednym z zielonych drewnianych foteli ogrodowych przed trawnikiem, wyprostowała nogi. Była tak zmęczona, że wątpiła, czy zdoła przygotować i zjeść kolację - tortellini z sosem ziołowoczosnkowym i świeże pomidory. Bogu dzięki, już z Connie pościeliła łóżko, chociaż jej prześcieradła nie pasują... Obudził ją raptownie dzwonek telefonu. Z karkiem zeszywniałym, zataczając się, wbiegła do pokoju. Nawet nie pamiętała, gdzie jest telefon. Musiała się rozejrzeć.

- Cześć! - Niski głos Jacka. - Skąd...

- Z biura numerów. Jesteś zarejestrowana. Próbowałem wczoraj wieczorem. Nie było ciebie, czy jeszcze nie podłączyli?

- Nocowałam u Connie i Ala. Jack, nie powinieneś... nie możesz...

- Mamy być przyjaciółmi, zapomniałaś? Chciałem się upewnić, czy dojechałaś szczęśliwie. Taki szmat drogi. Czy dobrze się czujesz? Czy Edgeville nie jest miasteczkiem z horroru?

Spojrzała na zegarek. Godzina siódma.

- Wybierałeś się dziś do klubu?

- Właśnie tam jadę. W strachu, Est. Jeszcze nie jestem do wzięcia. Co będzie, jeżeli ona zacznie się zalecać?

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Byłoby łatwo też pożar-tować, ale nie chciała takiej zażyłości. Zerwali ze sobą, lepiej zachowywać dystans. Przyjaźń, jeśli to w ogóle możliwe między nimi, zrodzi się z czasem. Najchętniej by wyznała: „brak mi ciebie, Jack” - nic gorszego. Przybrała ton lekceważący.

- Walca w każdym razie raczej zarezerwuj dla mnie. I uważaj, żeby Lynnne Hobart za mocno nie wbiła w ciebie tych swoich szkarłatnych szponów.

- Nie obawiaj się.

Skoro ona ci się nie podoba, to dlaczego dałeś się jej zaprosić? - Ale tego pytania Esty nie zadała.

- Powodzenia na niwie zawodowej - powiedział Jack. - Bądź ze mną w kontakcie.

Przytaknęła. Łzy piekły ją w oczy. Po prostu ze zmęczenia, pomyślała.

- Dziękuję, Jack.

Rozłączyli się. Potrzebowała czyichś objęć, czyjegoś ciepła, czyjegoś zachrypniętego niskiego głosu szepczącego jej imię...

Potrzebowała, ale cóż? Łóżko gotowe, powiedziała sobie, muszę się położyć. Sama.

Ale dopiero po kolacji. Ni stąd ni zowąd na myśl o tych pierożkach i tym sosie poczuła wielki apetyt. Ruszyła do kuchni.

I znów Esty miała sen. Biegła przez bardzo zieloną łąkę i deptał jej po piętach pies. Rudy seter. Nagle usłyszała za sobą kroki. Zanim zdążyła się odwrócić, ktoś rzucił się na nią, powalił, przycisnął do ziemi. Pies szczekał. On mnie udusi, pomyślała we śnie, zaciskając powieki, żeby tego napastnika nie widzieć. Czasami to ratuje ofiarę - to, że nie widzi, kto ją napadł. Ale gdy usłyszała jego głos i poczuła jego namiętność i jego usta na swoich ustach, otworzyła oczy. Dick Barrett, czy

Eric, czy też Eric/Dick, więc znów zamknęła oczy i wyciągnęła ręce, żeby go objąć...

Obudziła się. Pies czekał i czekał. Po omacku spróbowała zapalić lampkę przy łóżku, ale tylko straciła podróźny budzik na podłogę. Szczekanie nie ustawało. Odgarnęła włosy z twarzy. Mokre. Od łez! W końcu natrafiła na kontakt, zapaliła lampkę, wstała i podeszła do okna. W sąsiednim domu zajaśniało światło, drzwi się otworzyły. Pies szczeknął jeszcze raz, po czym drzwi się zamknęły. Światło tam zgasło.

A więc tak. Sąsiedzi mają psa. Zastanowiła się, czy to jest seter irlandzki.

Sen jednak ją zdenerwował. W kapciach poczłapała do kuchni, zaparzyła sobie herbatę. Ciepły kubek rozgrzał jej ręce. A więc już zaczęła wszystko od początku. Nie zapisana tabliczka. Connie i Al - to jedyne liczby w równaniu z niewiadomymi. Ale zanim zjadła pierwszy posiłek w tym mieście, dopadło ją wspomnienie przeszłości pod postacią mężczyzny, który w dodatku od razu musiał wtargnąć w jej sny, sprowadzić w swojej osobie Erika.

Wstała, odniosła kubek do kuchni, zgasiła światła i położyła się z powrotem w łóżku. Tym razem spała smacznie aż do rana. W poniedziałek (Święto Pracy) wieczorem Esty była już zupełnie zadomowiona. Wszystko, co wymagało prasowania, odprasowała na zapasowej desce Connie i powiesiła na prostym drewnianym drążku w jedynej w tym domu sypialnianej szafie. Komputer z drukarką miały swoje wspaniałe miejsce. Oko cieszyły też stokrotki w wazonie na stole - dowód galanterii Wally'ego Masona, dyżurującego w redakcji przez cały weekend. Odbyła rozmowy telefoniczne z Elizabeth i z Jessiką. Jack już nie telefonował.

O wpół do ósmej rozległ się dzwonek telefonu, akurat gdy w telewizji nadawano reklamy, przerywając stary film, który oglądała. Sprężyła się w sobie, żeby zmrozić Jacka, bo to przecież musi się skończyć, ale poczuła dżgnięcie rozczarowania. W słuchawce usłyszała głos kobiety.

- Będę w redakcji jutro z samego rana - powiedziała swojej nowej szefowej, powitana przez nią w Edgeville.

Mary Prescott się roześmiała.

- Nie ma pośpiechu. Jim i ja jesteśmy nocne marki. Zwykle przyjeżdżamy w południe i siedzimy tam do północy. Wally pani wszystko pokaże. Jeżeli gabinet się pani nie spodoba... - Chwila ciszy i znów śmiech. - Ale mam nadzieję, że się pani spodoba.

Włączył się Jim Prescott, podnosząc słuchawkę drugiego aparatu. Powitał Esty krótko i wyłączył się. Miły, ciepły, męski głos.

Będzie świetnie, powiedziała sobie Esty. Jak dotąd, wszystko w Edgeville jej się podobało. Mały kościół z otwartymi frontowymi drzwiami, i pełen blasku słońca kolorowego od witraży. Faliste zielone łąki przy piaszczystych drogach, ładne białe domy i ich czarne okiennice. Życzliwi ludzie. Biblioteka czynna w soboty i niedziele i dwa powszednie wieczory. Dobrze zaopatrzona księgarnia. Bar w metalowym wagonie z kelnerką pracującą tam wieczyste. Całe to miasteczko. Swojskie. Ale ostatecznie, jeżeli coś mi się nie spodoba, mam umowę wynajmu tego domu tylko na rok. Pohamowała się. Niedobra postawa. Niechże wreszcie się nauczę podejmować zobowiązania. Najpierw wobec miejscowości, a potem wobec... Och! Humor mi wykitował. Wierzchem dłoni uderzyła się w ucho. Dość już tych fanaberii!

Wróciła do swojego kina, ale teraz nie mogła się w tym filmie połapać. Więc przeczuciła się na dziennik wieczorny, po czym wyłączyła telewizor. Raptownie otulona ciszą jak peleryną już chciała włączyć telewizor znowu, tylko żeby mieć jakieś towarzystwo, ale się rozmyśliła. Podeszła do okna i wyjrzała. Bukszpanowy żywopłot był srebrzysty w poświacie księżyca, długie cienie jak rozczapierzone palce leżały na trawniku. Nie tak dawno stała z Jackiem w kuchennych drzwiach innego domu, żegnając się z tamtym podwórkiem, z tamtym odcinkiem swojego życia. Gdy to wspomniała, dopadło ją osamotnienie. Dopadło jak mężczyzna, który jej się przyśnił. Ujrzała jego twarz... w ramce.

Zdjęcie Erika! Wyciągnięte wczoraj z pudła, jest wśród książek i papierów na drogocennym sekretarzyku. Wzięła je stamtąd i popatrzyła na tę twarz dobrze znaną. Nie ma tu ani

śladu Dicka Barretta. Czysty, młody Erie. Przycisnęła to zdjęcie do serca, a potem rozejrzała się, gdzie je postawić. Na szafce nocnej przy łóżku już nie. Ale też go nie schowa.

Coś przyszło jej do głowy. A gdyby tak na okrągły stolik włożyć spódnicę, zwiesić ładnie spod szklanego blatu, i niech tam stoją różne fotografie w ramkach. Ta Erika. Ona z matką i Jessiką na plaży. Jessica z Grymasem. I stara fotografia ojca w trzyczęściowym garniturze. Doskonale.

Na razie postawiła fotografię Erika przy dwóch mosiężnych lichtarzach na parapecie kominka.

We wtorek przyszła do redakcji „Nowin Cumberland” o godzinie ósmej rano, zadowolona z luksusu, jakim jest spacer do pracy. Bez martwienia się, czy silnik zapali, bez obawy przed korkami na jezdni, bez kłopotu z parkowaniem samochodu.

Ta redakcja mieściła się w dwupiętrowym, krzykliwie ozdobnym wiktoriańskim domu, pośrodku akra kwadratowego trawy otoczonego wysokim, porządnie przyciętym żywopłotem laurowym. W sąsiedztwie był ośrodek gimnastyczny i sklep z materiałami piśmiennymi. Na wprost po drugiej stronie ulicy był urząd pocztowy. Od wejścia - rozstępu w żywopłocie - prowadził do schodków portyku brukowany chodnik.

Podchodząc tam, Esty usłyszała dolatujące przez otwarte drzwi zewnętrzne śmiechy i muzykę.

Przypomniało jej to akademik. Pchnęła drugie drzwi i weszła do hallu - jak do akademika. Tutaj to dolatywało z trzech stron, zza trojga drzwi. Pośrodku hallu siedziała przy odrapanym dębowym biurku niemłoda pani, zajęta spożywaniem banana i czytaniem „New York Timesa”. Podniosła wzrok dopiero wtedy, gdy dotarło do jej świadomości drugie chrząknięcie Esty. Upuściła gazetę, zerwała się na równe nogi i wybiegła przed biurko. Rozległo się głośne, leniwe uauu! Zza biurka wyjrzał, przeciągając się, dość zeszywniały czarny wyżeł.

- Pani Esther? - zapytała starsza pani i nieomal otworzyła ramiona. - Czekaliśmy na panią. Jestem Angela.

Jednymi z trojga drzwi wszedł Wally. Zsunął swego walkmana z głowy.

- Cześć, proszę pani - powiedział, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Więc pani przyszła. Naszą Angie już! pani poznała, to ona tutaj rządzi. Kiedy powie, że jest recepcjonistką, niech się pani na to nie nabierze. Naprawdę jest głową tego domu.

Angie z powrotem usiadła. Stary wyżeł zmienił pozycję u jej stóp. Do hallu wbiegł jeszcze jeden pies, ogar. Wally przyklęknął i zaczął go głaskać po łbie. Czy to jakieś zoo? Esty uradowała się w myśli. Wally poczuł na sobie jej wzrok. Gwizdnął w kierunku drzwi z drugiej strony hallu. Wbiegł trzeci pies, dalmatyńczyk bez jednej nogi.

- To jest Trójnóg - przedstawił go Wally. - Teraz pani zna wszystkich naszych psich rezydentów, proszę pani. Tych zasiedziały. Psy szefa przyjeżdżają na krótko, nie zagrzewają miejsca. Esty pogłaskała ogara, który położył się i potężnie ziewnął. Dalmatyńczyk przykuśtykał do niej i położył się młóćcąc ogonem.

- Oprowadzę panią, proszę pani. - Wally podał jej ramię. - Pozna pani kilka rannych ptaszków.

- W pani gabinecie zamiotłam - powiedziała Angie. - Może tam jeszcze lata trochę kurzu, dopóki nie osiadzie. Nie jest pani uczulona, mam nadzieję.

- O ile mi wiadomo, to nie - powiedziała Esty. - A bo co?

- Bo tu chyba każdy, kto przyjeżdża, jest uczulony. Na koty. Na psy. Na złość, Bóg wie, na co. Cieszę się, że pani nie jest. Wallace, a nie zapomnij jej pokazać, jak się u nas telefonuje.

Wally poprowadził Esty korytarzem między rzędami skrzynek do krętych schodów. Weszli na pierwsze piętro i zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami. Wally je otworzył. Esty zobaczyła dużą salę zastawioną biurkami. Nie było ścianek działowych; poza tym, że wszędzie zieleniły się rośliny w doniczkach, od biurka do biurka płaśał bluszcz. I każde biurko żyło swoim życiem, o którym mówiły papiery, popielni-

czki, fotografie w ramach i kubki do kawy. Przy żadnym biurku nikt nie siedział.

- Kolportaż - powiedział Wally, wskazując jeden kąt. Reklamy - wskazał drugi. - Ogłoszenia drobne - wskazał dwa

biurka zsunięte na drugim końcu sali. - Tu nigdy nie przychodzi się przed dziesiątą. Większość ich jest na pół etatu. Matki i tak dalej.

Matki i tak dalej. Esty się zastanowiła, czy stawiają się do pracy ze swoimi dziećmi, tak samo jak ze swoimi psami.

- Pani się dziwi - zauważył Wally.

Nie wiedziała, jak ma reagować. To wszystko tak bardzo się różni od redakcji gazety w Galena i od wszystkich znanych jej redakcji w Dallas. Ta sala to najbardziej nie-redakcyjne pomieszczenie, jakie w życiu widziała. Jakże ludzie mogą pracować, oddychając sobie prosto w twarz? Popatrzyła na ściany, na plakaty z dawnych Targów Stanu Nowy Jork, jeden plakat Elvisa Presleya, jeden Johna Waynea. Zaszczycenie między plakatami wisiał kalendarz. Zeszłoroczny. Obwieszczający, że zaczął się marzec. Uśmiechnęła się. - Tu jest... miło.

Wally parsknął śmiechem.

- Pani przywyknie, proszę pani. To moja pierwsza praca w redakcji, więc myślałem, że chyba wszędzie musi być tak samo. Chodźmy dalej.

Wrócili na schody i po bardziej stromych schodach weszli na drugie piętro.

- Toaleta zarządu - powiedział Wally, wskazując drzwi w głębi korytarza. - Gabinet szefa. - Wskazał otwarte drzwi z lewej strony. Esty zajrzała tam. Dominowało ogromne podwójne biurko z dwoma krzesłami ergonomicznymi. Dwa komputery. Dwa - istne cuda techniki - telefony. Na ścianach krajobrazy, na podłodze dywan, w oknach białe firanki. Ręka kobiety, pomyślała. Na biblioteczce pod ścianą stały rzędem druciane koszyki oznaczone etykietkami.

- Oni wszystko czytają - powiedział Wally. - On prawie wszystko przerabia. Ona... - zmitygował się - pani Prescott, Mary, nie bardzo wiem, jak mam o niej mówić, my tutaj

mowimy Pani Pe... ma lżejszy ołówek, ale każe mnóstwo poprawiać. Angie, ta na dole, jest korektorką. Wszystkim stawia przecinki. Niech pani się pilnuje, żeby nie przyłapała pani na używaniu średnika.

- A cóż to złego średnik? - zapytała Esty. Jeszcze raz rozejrzała się po tym gabinecie, mimo woli porównując go z salą na pierwszym piętrze. Wyraźny brak konsekwencji w polityce zarządzania.

- Angie była nauczycielką angielskiego - wyjaśnił Wally. -1 bibliotekarką. Po prostu nienawidzi średników. Przekona się pani. - Przeprowadził ją przez korytarz i szerzej otworzył drzwi z prawej strony.

- Do pani dyspozycji gabinet naczelnego redaktora.

Esty weszła. Ten pokój był mniejszy niż tamten na lewo z korytarza. Sufit się zniżał do sterczących na zewnątrz pionowych okien w spadzistym dachu. Tu także podłogę zakrywał dywan. Całą ścianę zajmowała wbudowana biblioteka. Biurko stanowiły drzwi położone na szafkach do akt. Przy biurku stało krzesło ergonomiczne. Wally popatrzył w kierunku jej wzroku.

- Można wymienić krzesło, proszę pani, jeżeli się nie lubi takich rzeczy - powiedział. - Ja próbowałem na takim siedzieć i krzyż mnie rozboleł.

Ścianę za biurkiem zdobiły oprawione świadectwa, nagrody, które przyznano tej gazecie w konkursach stanowych.

- Żadnej nie dostaliśmy już od dwóch lat - powiedział Wally. - Usłyszysz pani o tym. Nakład się nie rozchodzi. Ludzie oszczędzają, tak myślimy, ale to również sprawia pogoda. Na weekendy za bardzo nie przyjeżdżali tej zimy. Miasto raczej plajtuje.

Esty położyła swój notes na biurku i niepewnie spojrzała na ergonomiczne krzesło. Stanowczo lepiej nie siadać na czymś takim w krótkiej spódnicy, zdecydowała. Jutro włożę spodnie i spróbuję.

Wally wskazał okno.

- Ładny stąd widok. Może pani patrzeć na samochody w zaułku przy poczcie, jak wjeżdżają tyłem i wyjeżdżają tyłem, i na życie, jak toczy się dalej.

Sprawdziła komputer i drukarkę. Rzuciła spojrzenie na aparat telefoniczny z tyloma tymi guzikami i rozejrzała się w poszukiwaniu faksu.

- Faks? - zapytała.

- Jest tylko jeden - poinformował Wally. - Na dole.

- Ach, tak.

Tu na górze było cicho, chociaż z dołu z dwóch jakichś konkurencyjnych źródeł dolatywała muzyka.

- Zebranie wszystkich jest o dziesiątej. Dla pani zapoznawcze - oznajmił. - Chce pani się tu urządzić teraz? Przytaknęła. Już jest szefową tego chłopca. Co mu powiedzieć? Jak on ma do niej mówić?

Przecież nie „proszę pani”. Ale „Esty” czy to nie za poufale?

- Co teraz będziesz robić, Wally?

- Idę do Komendy Policji - odpowiedział. - Dajemy co tydzień kronikę policyjną. Przeważnie kogo aresztowali za prowadzenie po pijanemu, komu wlepili mandat za nadmierną szybkość i tak dalej, ale czasami zdarza się coś mocniejszego. Ja to piszę. Mój nowy monopol.

Widziała, jaki jest dumny ze swego nowego zadania.

- Mieszkaś tutaj, w Edgeville? - zapytała.

- Już pół roku. Przedtem dojeżdżałem z domu. Prawie godzina drogi od roгатki, ale dostałem awans i mieszkanie w Skrzyni. - W skrzyni?

- Przepraszam, proszę pani. Wciąż zapominam, że pani tu pierwszy dzień. Skrzynia to ten dom, o tam

- wskazał okno. - Państwo Prescott specjalnie go kupili i przebudowali dla zespołu. Więc mieszkamy tanio, komunalnie. Pięcioro nas: troje reporterów i dwie dyskietkarki. Kochamy Skrzynię. Nieraz bawimy się szaleńczo. Będzie pani musiała telefonować, jeżeli nasza muzyka zacznie pani przeszkadzać.

Esty wyjrzała przez okno. Za żywopłotem był dom też wiktoriański, mniejszy i raczej odrapany. Od końca do końca ogródka na tyłach rozciągał się sznur z praniem. Na podjeździe stały byle jak zaparkowane cztery samochody. Na masce jednego spało duże kocisko.

Gdy się odwróciła, Wally już wołał „do widzenia”, schodząc z tupotem po nie przykrytych chodnikami schodach.

Bez świadków spróbowała się usadowić na ergonomicznym krześle. Nie udawało się. Z kąta pokoju przyciągnęła zwyczajne krzesło dla gości i usiadła. Ktoś zostawił na biurku sześć gazet z zeszłego tygodnia. Otworzyła leżącą na wierzchu i zaczęła czytać. Wychodzące co tydzień „Nowiny Cumberland” obejmowały sześć gazet miejscowych. W każdej był dział wiadomości miejscowych i we wszystkich wspólny dział materiałów dotyczących całego hrabstwa: reportaże, wywiady, felietony itp. Ten właśnie dział Esty miała ożywić. Nie tylko dla zwiększenia poczytności, ale i po to, by „Nowiny Cumberland” nagradzano. Prawdziwe wyzwanie.

O dziesiątej Esty skończyła czytać ostatnią z tych sześciu gazet. Robiła notatki, ale na ogół zbytecznie. Wiedziała, że najpierw musi poznać personel redakcji i społeczność Cumberland. Wszystko tu takie nowe! Tonacja tych gazet różni się całkowicie od tonacji gazety w Galena - jest lżejsza, ludowa i bardzo, bardzo republikańska. Prescottowie jeszcze się nie pokazali, teraz jednak słyszała gwar, dzwonki telefonów i szczekanie - ile tu jest psów? - z tej biurowej oranżerii na pierwszym piętrze. Gdy wyszła z gabinetu, wyraźnie doleciały kobiece głosy:

- Ona jest na górze?
- Tak, już godzinę co najmniej. Kiedyś musi zejść na dół. Tam nie ma kawy.
- Może nie pije kawy.
- Może to wampir, pije krew.

Zamrugnęła. Wróciła do gabinetu. Wyjęła z torby lusterko, przesunęła pomadką po ustach, przyczesła palcami włosy i zeszła na pierwsze piętro, żeby poznać nowe koleżanki.

Zatrzymała się na podeście, zajrzała do sali. Sześć czy siedem kobiet siedziało przy biurkach. Dwie rozmawiały przez telefon, cztery wstały i podeszły do niej. Dwie dwudziesto-parolatki w szortach i koszulkach bez rękawów i dwie po sześćdziesiątce w spodniach elastycznych i zanadto kwiecistych bluzkach. Pies - ćwierćrasy zwanej przychylnie „skrzyżo-

waniem teriera" - wyszedł spod biurka, poszczekał i wrócił pod biurko. Starsza z tych dwóch dojrzałych pań dokonała prezentacji i wcisnęła jej w rękę kubek z czymś, co okazało się kawą niemiłosiernie mocną. Wszystkie stały wokoło i czekały na jej pierwsze słowa, a ona zdawała sobie sprawę, że jakiegokolwiek te słowa będą, pozostaną tutaj w pamięci na zawsze.

- Jak ten pies się wabi? - zapytała.

Akurat stosowne pytanie. Jedna z młodych, Faye, podeszła bliżej.

- Kaczor - odpowiedziała. - Na cześć...

- Kaczora Donalda - dokończyła Esty. Wszystkie wydawały się zadowolone. Popiła trochę kawy. -

Cieszę się, że tu przyjechałam - powiedziała. - Mam na imię Esther, ale mówią mi Esty.

- Tak, słyszałyśmy, tylko nie byłyśmy pewne - powiedziała młodsza z tych starszych. - Ja też jestem Esther, wie pani. Ale Esther po prostu.

Esty się uśmiechnęła i ucisnęły sobie ręce. Wszystkie się uśmiechały. Te dwie przy telefonach teraz podeszły i przedstawiły się, po czym cały zespół wrócił do pracy czy też do pozorów pracy. Słońce świeciło zza geranium w doniczkach na parapetach okien. Z tranzystora na jednym z biurek płynęła nie za głośna muzyka. Country western.

Ktoś zawołał coś na dole. Esty pożegnała salę machnięciem ręki. Przyjechali jej szefowie.

Od pierwszej chwili, gdy Jim i Mary Prescottowie, wpadając do hallu, zawołali ją po imieniu, serdecznie ich polubiła.

- A nie mówiłem ci! - Z ręką wyciągniętą do Esty powiedział Jim Prescott do żony.

Esty popatrzyła na nich pytająco.

- Mówił, że pani ma ciemne włosy - wyjaśniła Mary Prescott i odgarnęła swoje siwe włosy z czoła. - Ja mówiłam, że blond.

- Ha ha - prychnął Jim. - Jednak oboje zgodnie mówiliśmy, że na pewno jest pani bystra. I to od razu widać. Jak się pani podoba nasz koncernik prasowy?

- Gabinet dobry? - zapytała Mary.

- Wspaniały - odpowiedziała Esty. - Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

- Żadnego czekania nie będzie - powiedział Jim, wprowadzając ją do pokoju komputerowego. - Musimy wydawać gazetę. Sześć gazet, w istocie. I mnóstwo ludzi ma pani poznać. Zaprosiłem tu na dzisiaj wszystkich naszych reporterów z hrabstwa. Prawdopodobnie tylko ten jeden raz zobaczy ich pani zgromadzonych razem. I niech się pani nie uczy nazwisk ich wszystkich. Bo zanim się pani nauczy, oni już odejdą i będzie pani musiała angażować innych. To także należy do pani obowiązków.

Esty siedziała i słuchała. Dlaczego, zastanawiała się, reporterzy tak często odchodzą?

- Mamy ich prosto ze szkoły dziennikarskiej - odpowiedziała Mary na nie zadane pytanie. - Przyjeżdżają tu, popracują przez rok mniej więcej i jadą dalej. Tu praca jest raczej spokojna, bardzo mało morderstw...

- Psst! - Jim się zachnął. - Nawet nie wymawiaj tego słowa.

- Znam już Wally'ego - powiedziała Esty. - Świetny chłopak.

- Miewa niezłe pomysły - przyznał Jim. - Tutaj w gazecie Edgeville będzie pani miała troje: Wally'ego, Jody i Squeecha. Squeech Milles to dopiero indywidualność. Nasz etatowy radykał. Mary mu przerwała.

- Jim, nie informuj tak o wszystkim naraz. Powiedzmy tylko, że cieszymy się z pani przyjazdu i liczymy na to, że dzięki pani nasza praca się rozśpiewa. Potrzebujemy żywych tematów, więcej rubryk w Dziale Drugim i, nawiasem mówiąc, należałoby go nazwać jakoś ładniej. Dział Drugi, niezbyt to chwytliwe.

Rozmawiali jeszcze przez pół godziny, dopóki nie zaczęli się zjeżdżać reporterzy. Jim kazał przywieźć sześć skrzynek wody sodowej i wszyscy usiedli w sali konferencyjnej na parterze. Reporterzy się przedstawiali, pokrótce opowiadali o swoich zadaniach, proponowali nowe tematy - nie za dobre, zdaniem Esty. Dwaj przyjechali z psami. Jednego z tych psów trzeba było zamknąć w samochodzie, bo war-

czał. Drugi obwąchał Trójnoga i położył się u stóp swego pana.

Telefony dzwoniły, Angie od czasu do czasu wychylała głowę zza drzwi i o coś pytała. Ktoś przyniósł pudło domowych ciastek, które szybko zostały spałaszowane.. Na pierwszym piętrze drzwi były otwarte, więc tło dźwiękowe stanowiły tamtejsze monologi telefoniczne, muzyka radiowa, pogawędki i sporadycznie szczekanie. Klimatyzacji nie było, koło południa zrobiło się gorąco. Drzwiami frontowymi wleciała pszczoła, Angie piskliwie wrzasnęła. Jeden z młodych reporterów pospieszył na ratunek, zgładził tę pszczołę pacnięciem.

W południe się rozjechali. Jim i Mary zabrali Esty do delikatesów po drugiej stronie ulicy na kotlety mielone i piwo. W czerwonej łoży, siedząc naprzeciw swoich szefów i popijając piwo, Esty przyjrzała się Jimowi. Pan ponad sześćdziesięcioletni, wysoki, przystojny, o siwych gęstych włosach i blado-niebieskich oczach. Ilekroć się śmiał, a śmiał się radośnie, przy kącikach oczu miał zmarszczki i pokazywał białe równe zęby. Zawsze pragnął być wydawcą prowincjonalnej gazety, aż w końcu trzy lata temu zrezygnował z wysokiego stanowiska w mieście, przeniósł się na stałe do Edgeville i kupił dogorywającą gazetę miejscową. Wkrótce potem rozszerzył swoje wydawnictwo, objął nim jeszcze pięć społeczności. W tym roku zapoczątkował Dział Drugi, jednakowy we wszystkich sześciu gazetach.

- Niestety - powiedział - ludzie tego nie czytają.

- Problem dosyć poważny, no nie? - dodała Mary. Jak Esty się dowiedziała, ci dwoje poznali się w college'u, pobrali się młodo i, pobłogosławieni pięciorgiem dzieci, przeprowadzali się do coraz to innego zakątka świata, gdy Jim był w korpusie dyplomatycznym. Teraz Mary szczęśliwa, że wreszcie się osiedlili, kocha „Nowiny Cumberland”, pisuje artykuły redakcyjne i ostatnio całe wydawnictwo skomputeryzowała ku niemałemu przerażeniu starszych podwładnych. - Więcej nie musimy o tym mówić dzisiaj - powiedziała. -1 tak to był nawał szczegółów za duży na początek, ale bardzo chcemy uatrakcyjnić Dział Drugi. Zarówno dla tych, którzy przyjeżdżają na weekend, jak i dla stałych czytelników. Wyzwanie!

Esty miała kilka pomysłów, wolała jednak na razie ich nie wyjawiać. Zadała jeszcze kilka pytań proceduralnych, po czym zaczęli rozmawiać o dzieciach i opowiedziała o Jessice. Widziała, że Prescottowie się zastanawiają, dlaczego nie wyszła ponownie za męża, ale byli za dobrze wychowani, żeby zapytać, a ona nie kwapiła się z wyjaśnieniem. Ofiarowali się pomóc jej w urządzeniu domu. Podziękowała.

- Mam tylko jeden kłopot. Może by państwo mi poradzili. Chciałabym wziąć sobie...

Jim odgadł, zanim zdążyła dokończyć.

- Psa czy kota? - zapytał. - Czy jedno i drugie?

- Zaczniemy od jednego - powiedziała. - Myślę, że kota. Żeby tresować szczeniaka, muszę przedtem się zorganizować.

- A więc kot - ucieszył się Jim. - Tak się składa, że mamy stodołę, a w stodole dużą kotkę, i jeszcze raz tak się skręca, że ona ma liczne potomstwo już gotowe do wzięcia. Chłopiec czy dziewczynka? Rasa czarna czy bura?

- Może czarno-biała? - pytająco powiedziała Esty. - Płeć nieistotna.

- Są dwa takie - powiedział Jim. - Mogę wybrać? Czy pani podjedzie i wybierze sama?

Esty zdała się na jego wybór.

- W przyszłym tygodniu poznam panią z doktorem Sweetem - powiedziała Mary. - I skoro już o tym mowa, mogłaby go pani poprosić, żeby prowadził rubrykę zwierząt domowych. Wciąż go nękam, a on wciąż to w nieskończoność odkłada. Może pani jakoś doda mu bodźca.

Dziwne, stwierdziła Esty, zupełnie jakby oni czytali w moich myślach. Pomysł takiej rubryki był na pierwszym miejscu w jej porannych notatkach.

Po powrocie do redakcji Prescottowie poszli do swojego gabinetu, ona do swojego. Zostawiła drzwi otwarte, jeszcze raz wypróbowała krzesło ergonomiczne, odepchnęła je i usiadła na zwykłym, żeby dalej notować. Przed trzecią przyszedł Wally. Udzielił jej szybkiej lekcji o redakcyjnych telefonach i komputerach, przedstawił redaktora graficznego. Przed piątą w głowie jej się kręciło.

Wszyscy już wyszli. Angie zawołała do niej z dołu „do widzenia” i żeby ona wychodząc nie zapomniła zgasić świateł i że tu nigdy drzwi frontowych na klucz się nie zamyka.

Esty rozparła się na krześle gościnnym i patrzyła przez okno. W pobliskich sklepach i domach światła się zapalały, w Skrzyni kilka zajaśniało jednocześnie, buchnęła stamtąd głośna muzyka. Esty rozkoszowała się spokojem samotności, myślała o powrocie do swego nowego domu - posiedzi na trawniku, jeżeli nie będzie za zimno, zrobi sobie jakąś sałatkę, potem zobaczy dziennik telewizyjny, może zatelefonuje do matki, a już na pewno do Connie i Ala, żeby im opowiedzieć o pierwszym dniu pracy. Usłyszała kroki na dole i męski głos:

- Jest tam kto?

Wzięła teczkę i torebkę i ruszyła na dół. U stóp schodów stał burmistrz.

- Cześć - powiedział. - Poznaliśmy się w klubie. Dick Barrett. Pani...

- Esther, Esty - powiedziała. Z bliska nie był tak bardzo podobny do Erika. Przyznała Connie rację: wystarczy z nim porozmawiać, żeby to skojarzenie się rozwiało. Prawie. Spojrzała na jego rękę opartą o poręcz schodów, silną rękę z rudym puszkami czy też włoskami jak sprężynki, i na jego bransoletę ze złotych ogniw. Potem znów spojrzała na jego twarz. Podszedł do niej. Za blisko. Cofnęła się. - Właśnie wychodzę - powiedziała.

- Widzę. Chcę tylko podrzucić mój artykuł wstępny. - W dwóch palcach trzymał brunatną kopertę. Odszedł, upuścił kopertę w druciany koszyk na biurku Angeli. - Zwykle od razu tutaj to kładę, ale dzisiaj zobaczyłem światło w oknie, więc...

- Dziękuję - powiedziała Esty.

- Wzdragam się na myśl o nowej redaktorce wycinającej moją prozę. Czy pani tnie od dołu?

Wbrew sobie parsknęła śmiechem.

- Staram się tego nie robić - powiedziała. - Jeżeli ta proza jest dobra, może nie będę musiała niczego wycinać.

Wyszedł pierwszy. Odczekała długą chwilę, zanim wyszła. Ale na ulicy nagle znalazł się u jej boku.

- Powinniśmy kiedyś pójść na jednego - powiedział. - Mógłbym panią oświecić w sprawach miasta. Oniemiała, co rzadko jej się zdarzało w rozmowie z kimkolwiek. Ostatecznie uśmiechnęła się, ściskając swoją torbę na pasku mocno pod pachą.

- Zawsze służę, pani redaktor naczelna. - Uśmiechnął się do niej tak jakby ku swemu rozbawieniu wyczuł jej zmieszanie. Na rogu ulicy odwrócił się i odszedł w odwrotnym kierunku.

Odetchnęła przeciągle.

Ten człowiek jest bardzo denerwujący.

Gdy otwierała drzwi swego domu, jakiś, papier zleciał na ziemię. Podniosła go. Kartka z nadrukiem „Nowiny Cumberland”.

Mamy coś dla Pani. Jesteśmy w Wagonie. Jim i Mary.

Uśmiechając się zostawiła teczkę i poszła do tego baru. Wiedziała, co Prescottowie dla niej mają, więc po drodze w sklepie wyrobów żelaznych kupiła blaszany pojemnik, podściółkę i dwa fajansowe spodki i w sklepie spożywczym po drugiej stronie ulicy duże puszkę pokarmu dla kociaków.

Wagon był zatłoczony gośćmi na wczesną kolację. Prescottowie pili herbatę i jedli bułki przed swoją długą wieczorną pracą. Objuczona zakupami, usiadła przy nich.

- Proszę. - Mary pokazała jej mały koszyk o miękkich bokach i z paskiem na ramię.

Esty zajrzała przez pokrywkę z plastikowej siatki. Poruszył się maleńki łepiek w białej maseczce nad różowym pyszczkiem, wlepiły się w nią błyszczące żółtozielone oczy. Odruchowo sięgnęła.

- Nie tutaj - powiedział Jim, potrząsając głową. - Będą wydziwiać. Otworzymy, kiedy wyjdziemy.

Zostawił pieniądze na stoliku i wyszli.

- Może odprowadzimy panią - zaproponowała Mary - żeby to rewelacyjne spotkanie nastąpiło u pani w domu.

Poszli we troje do domu Esty. Mary poczekała, aż Esty rozpakuje swoje zakupy, i odpięła ekler koszyka.

Wyskoczyło to małeństwo, na łapkach rozkraczonych stanęło pośrodku dywanu. Czarne, w czterech białych bucikach, w białej maseczce i z białym gorse. Podobnego kota Esty hołubiła w dzieciństwie, a potem zawsze czule wspominała. Takie właśnie koty lubiła najbardziej. Ten mały miał sterczące uszka i długi cienki ogonek. Ach, i miał białe bokobrody. Mocniej zaparł się łapkami w dywan i popatrzył wokoło. Po chwili klapnął i zaczął się lizać.

Jim stał nad nim, trzymając się pod boki.

- Nadaje się? - zapytał.

Esty uklękła na dywanie, przytuliła twarz do czarnego futerka.

- Kotku - powiedziała - myślę, że się nadajesz. Mary podeszła bliżej.

- Zaraz go zabierzemy, jeżeli pani się nie podoba. - Uśmiechała się, widziała, że kociak dokonał podboju. Esty wzięła go w objęcia i delikatnie głaskała. Potem wstała, wrzuciła go do pojemnika z podściółką i uradowała się, gdy kurtuazyjnie udowodnił, że wie, do czego ten przybytek służy.

Chciała podać Prescottom coś do picia, ale odmówili.

- Niech nam pani tylko powie, jeżeli się pani rozmyśli - powiedziała Mary.

- Słaba szansa. - Jim wypchnął ją za drzwi i obejrzał się przez ramię. - Esty, byłbym zapomniiał. Trzeba uważać przy redagowaniu artykułów burmistrza. Może wybuchnąć bomba, choćby redagowało się jak najłagodniej.

Esty znad futrzanego kłębuszka spojrzała na swego szefa.

- Chce mi pan przez to coś powiedzieć? - zapytała.

- Dick jest dumnym autorem - wyjaśnił Jim. - Pani poprzednik parę tygodni temu wyciął mu długi przegadany wstęp o Nowej Erze i było piekło. Proszę się opancerzyć. My stoimy za każdym pani wykreśleniem.

Nie bardzo rozumiała. Czy Jim Prescott zapewniają o swym poparciu?... Czy ostrzega ją? Przeniosła wzrok na Mary, zauważyła uspokajające mrugnięcie.

- Będę łagodna, jak tylko potrafię - powiedziała. - Przynajmniej za pierwszym razem.

- On pisze dosyć purpurowo - powiedziała Mary. - Powodzenia. Trzymaj się, Esty. Ludzie rzeczywiście czytają jego artykuły i reagują, więc chciałabym, żeby były raczej w kolorze lawendy. Malwy.

Esty uśmiechnęła się, pomachała Prescottowi ręką na pożegnanie. Gdy odeszli, wzięła kociaka do kuchni, otworzyła puszkę z pokarmem i patrzyła, jak jej zwierzak je kolację. Drugi fajansowy spodeczek napełniła mlekiem i kociak je chleptał aż nic nie zostało. Potem usiadł, wytarł pyszczek łapką. Dobrze się posilił.

Przyjrzała mu się teraz krytycznie. Łapki nieproporcjonalnie duże, ogon trochę żaloszny, ale poza tym to kot doskonały. Weszła do pokoju dziennego i usiadła na kanapie, żeby zobaczyć, co się stanie. Tak jak miała nadzieję, kociak przyszedł za nią. Spreżył grzbiet i z przysiadu spróbował wskoczyć jej na kolana. Nie udało się. Spróbował znowu. Triumfalnie na jej kolanach zwinął się w kłębek.

Później, z kociakiem nadal na kolanach, siedziała przy komputerze i układała swój pierwszy artykuł wstępny. Twarde małe krzeselko należące do jej dębowego sekretarzyka okazało się nieoczekiwanie wygodne, gdy oparcie z prostych deseczek uzupełniła poduszką. Raz wstała i z kociakiem na ramieniu wsunęła pierś kurczaka i pieczone kartofle do piecyka, po czym znowu usiadła przy komputerze.

Zapaliła nową lampę i popijając wódkę z wermutem ukończyła artykuł.

Tak miło spędzała czas, że nie chciało jej się zawracać sobie głowy Dickiem Barrettem: jak on zareaguje, kiedy zobaczy w gazecie, co ona zrobiła - a prawdopodobnie coś zrobi jutro - z jego artykułem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czekał na nią, gdy przyszła do redakcji nazajutrz. Cały poranek spędziła w domu: dumiała przy komputerze, wygładzając swój artykuł wstępny, bawiła się z kociakiem, piła kawę na trawniku za domem, opowiadała przez telefon Connie o pierwszym dniu pracy.

Stał przed biurkiem Angeli, podjadał pokrojoną roladę owocową, a Angela, której bardzo to pochlebiało, miała oczy maślane za dwuogniskowymi okularami i chichotała rozbawiona jego dowcipkowaniem.

- Czy pani już to przeczytała? - zapytał.

Esty wskazała druczony koszyk. Teraz leżało tam jeszcze kilka kopert i teczek przywalających jego kopertę.

- Nie - odpowiedziała - zachowałam to na dzisiaj. Najbyst-rzejsza jestem przed południem.

- Nożyce najostrzejsze, co?

Nie odpowiedziała. Nic przyjemnego takie nachodzenie, wtrącanie się do jej pracy redakcyjnej.

Przybrała poważny, profesjonalny wyraz twarzy.

- Pana artykuł jest na pierwszym miejscu mojej listy - powiedziała. - O ile mi jednak wiadomo, obowiązują tu pewne zasady. Współpracownikom spoza redakcji nie wolno ingerować w redagowanie ich materiałów.

- Czy ja mogę być wyjątkiem?

Potrząsnęła głową. Wyłowiła jego kopertę z koszyka, wetknęła do swojej torby i ruszyła na górę.

Odchodząc czuła na sobie jego wzrok. Szła wyprostowana, równym krokiem, żeby nie kołysać biodrami, nie wydawać się kokieterijna. Wiedziała już na pewno, że Dick Barrett jej się nie podoba.

Nie podobał się jej również jego artykuł. Dotyczył sprawy niedopuszczania gejów do harcerstwa, zawsze ją oburzającej. Ale starała się być bezstronna - ostatecznie każdy może wyrażać swoją opinię - więc tylko usiłowała usunąć z artykułu fanatyzm, tak by nie naruszyć głównego wątku, co po prostu się nie udawało. Odłożyła to na razie. Trzeba zapytać Jima i Mary, jak z tego wybrnąć.

Nie musiała długo czekać. Mary nucąc weszła na górę i zajrzała do jej gabinetu.

- Jak idzie? - zapytała.

Esty wskazała artykuł Dicka Barretta.

- Chyba nie dam rady bez pomocy.

Mary okrakiem usiadła na krześle ergonomicznym, wyjęła z torebki okulary i przeczytała trzystronicową diatrybę burmistrza. Westchnęła.

- Przykro powiedzieć, ale takie właśnie wywody jego wyborcy kochają. Niewiele możemy na to poradzić, pozostaje tylko nadzieja, że będą jakieś listy z protestem przeciwko jego poglądom. -

Umilkła na chwilę, wzięła ołówek, poprawiła w tekście burmistrza błąd ortograficzny i podniosła wzrok. - Pewnie o tym nie wiesz, Esty, mamy pięcioro dzieci - czworo nie

zboczonych i córkę lesbijkę. Takie artykuły biją prosto w nas. Burmistrzowi jednak wolno wypowiadać się na naszych łamach.

Esty, patrząc w oczy tej miłej, zacnej Mary Prescott, zobaczyła w nich cierpienie, ale też i dużą brawurę.

- Czy... pan Barrett wie o córce państwa?

- Oczywiście - odpowiedziała Mary. - Wszyscy wiedzą. Tylko że on... - uniosła ręce i oburącz uderzyła w stół - jakoś szczególnie się tym trapi. Pisze na ten temat już trzeci artykuł. Teraz chyba poddaje cię próbie. To w pierwszym twoim tygodniu. W następnym będzie prawo do życia poczętego. Esty czekała na wskazówki. Ale się nie doczekała. Była zdana na siebie.

- Czyja mogę też na ten temat napisać i puścić oba artykuły jeden przy drugim? - zapytała.

Mary potrząsnęła głową.

- Wolnego. Nie alarmuj ludzi swoimi poglądami już za pierwszym razem. I przy okazji, chcę w przyszłym tygodniu zamieścić coś o psim tasiemcu. Możesz to załatwić?

- Tak. Wobec tego odwiedzę doktora Sweeta dzisiaj. Przedstawię mu mojego...

- Nazwałaś już kociaka?

- Jeszcze nie. I porozmawiam z nim o tasiemcu. Napiszę to dziś wieczorem.

- Brawo, dziewczyno - powiedziała Mary. - Pardon! Kobieto.

- Wolę być dziewczyną. - Esty już obmyślała artykuł o harcerkach. Z pewnością one by nie chciały, żeby to było harcerstwo KOBIEC.

- Co jeszcze masz na dzisiaj? - zapytała Mary, zmierzając do drzwi.

- Rozmowę z tutejszymi reporterami - odpowiedziała Esty. - Wally'ego już znam, chcę poznać Jody i Sąueecha. - Zabierz się do nich ostro - poradziła Mary. - Jody to żywe srebro. Zdolna, ale bardzo niezdyscyplinowana. Może to będzie nie najłżejsza część twojej pracy.

Esty na krześle gościnnym przysunęła się do biurka i zatem-perowała dwa czerwone ołówki. Znów położyła przed sobą artykuł Dicka Barretta.

Wojna się zaczęła.

Troje reporterów przyniosło obiad - kanapki z delikatesów, dwie butle wody sodowej, torby frytek i ogromną kiść czerwonych winogron, które Wally umył pod kranem i na papierowym ręczniku włożył w druciany koszyk.

- Na pani cześć. - Zasalutował papierową serwetką i chciał pomóc Esty zasiąść przy okrągłym stole w sali konferencyjnej.

Ale przedtem Esty zwróciła się do smukłej wysokiej dziewczyny stojącej obok niego.

- Jody, zapewne?

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i odgarnęła swe długie włosy na plecy.

- Jody Sands, panna reporter - przedstawiła się. - To dobrze, że pani tu jest. Zawsze wolę mieć szefową niż szefa. - W jej niskim głosie brzmiała pewność siebie. Esty natychmiast ją polubiła.

- Nie wpadaj w euforię, Jody - powiedział Wally. - Pani Foster może okazać się smokiem.

- Esty - poprawiła go Esty. - Mówmy sobie wszyscy po imieniu. - Odwróciła się do krepiego młodego człowieka mającego włosy za długie i na koszulce nadrukowane hasło pacyfistyczne. - Ty jesteś Squeech?

Potwierdził skinieniem głowy i wyciągnął rękę. Jego piwne oczy świdrowały spod grubych brwi, za okularami w złotej oprawie.

- Squeech Miller, pan reporter - przedstawił się, przedrzeźniając Jody. - Jestem głosem sprzeciwu, ale mnie tłamszą, usiłują zrobić ze mnie republikanina. Szanse mają słabe.

- Odmienność to atut - powiedziała Esty i zauważyła, że oni oboje, Jody i Squeech, odetchnęli. - Siadajmy do jedzenia.

Propozycje, jak urozmaicić „Nowiny Cumberland”, padały liczne i raz po raz. Najwidoczniej ci młodzi ludzie przygotowali się na jej przyjazd. Wyczuwała ich współzawodnictwo w ubieganiu się o jej aprobatę. Notowała wszystko, po czym przydzieliła im zadania. Jody razem z nią pojedzie do doktora

Sweeta i pomoże przy pisaniu o psim tasiemcu. Sąueech napisze reportaż z amerykańskiego biegu dwudziestopięciomilowego na cele Fundacji Walki Ze Stwardnieniem Rozsianym, który ma odbyć się w najbliższą niedzielę. Sąueech stęknął, niezadowolony.

- Nie jestem sportowcem - powiedział. - Czy nie mógłbym się zamienić z Wallym?

Esty nie ustąpiła.

- Daj czytelnikom odczuć twoją odmienność - powiedziała, znów używając tego magicznego słowa. - Pozyskaj ich świetnym rzeczowym reportażem, a potem uderz swoimi poglądami. Byle nie za mocno. Sąueech zgodził się. Wally patrzył na nią z podziwem. Jest bezstronna, wyraźnie to doceniał. Jody wodziła po nich wzrokiem i uśmiechała się. Zaczynali być zespołem.

Oni we troje zjedli kanapki. Esty zjadła jogurt, który sobie przyniosła, i trochę winogron. Spoglądając na zegarek, chciała już zakończyć to zebranie, gdy nagle Jody oznajmiła:

- Mamy jeszcze jeden pomysł. Wspólny. Sąueech się zachnął.

- Ja raczej się pod tym nie podpisuję.

- Może ci się nie podobać - zaczął Wally - ale...

- Strzelajcie - powiedziała Esty. Odchyliła się na krześle i patrzyła, jak oni się sposobią do przedłożenia owego pomysłu.

- Chcemy zrobić konkurs - palnęła Jody.

- Konkurs piękności męskiej - uzupełnił szyderczo Sąueech.

Esty się przeraziła, była jednak ciekawa, jak oni sobie to wyobrażają.

- Mówcie dalej - powiedziała.

- Co rok wybiera się Miss Stanu Nowy Jork - zaczął wyjaśniać Wally. - Piszemy o tym, zamieszczamy zdjęcia kandydatek, śledzimy to wszystko od początku do końca. W zeszłym roku jedną z reprezentantek naszego hrabstwa została dziewczyna z Edgeville. Sprzedaliśmy więcej gazet w tamtym tygodniu niż kiedykolwiek przedtem. Wszyscy w Edgeville chcieli czytać o tym.

- Nie może tak być w tym roku? - zapytała Esty.

- Chcemy zrobić konkurs facetów - powiedziała Jody.

- Tylko na hrabstwo Cumberland. Są takie konkursy w tych magazynach z romansami. Najpiękniejszy czy Amant Roku, Chłop Na Schwał, czy jakoś tam. Ale my tak nie chcemy. W tym musi być godność. Twój ideał mężczyzny, na przykład. Bo nam chodzi nie tylko o wygląd. O coś innego także.

Esty zastanowiła się, o co innego. - Mnie ten pomysł mierzi - powiedział Squeech. - Z mojego społecznego punktu widzenia. Ale rozumiem racje Jody. To będzie kasowe dla gazety. Jednak upieram się, żeby ci faceci byli ubrani. Żeby osądzać w nich coś innego, jak mówi Jody.

- Osiągnięcia życiowe - podsunął Wally.

- Dobroć - dodała Jody.

Esty jęknęła, ale ci troje tyle już wysiłku umysłowego włożyli w swój plan, że nie powinna oblewać ich zimną wodą

- przynajmniej nie teraz.

- Jak chcecie zachęcić do zgłaszania się na ten konkurs?

- zapytała.

- To już opracowane. - Jody wyciągnęła ze swojej torby notatnik z oślimi uszami. - Każdego kandydata musi zgłosić kobieta. Przesłać jego fotografię... i parę słów opisu. Powiedzmy, trzydzieści słów. Jeden akapit o jego szczególnych przymiotach...

- Myśleliśmy - dorwał się do głosu Wally - żeby ogłosić ten konkurs za dwa tygodnie, wyznaczyć termin zgłaszania kandydatów na następne dwa tygodnie, a potem...

- Potem wybrać jury - powiedział Squeech prawie szeptem. Trzymał się za nos.

- Podoba mi się twój entuzjazm - powiedziała Esty. Parsknęła śmiechem. - A jury? - zapytała zastanawiając się, jak długo zdoła tak się z nimi zabawiać. - Kto ma być w jury?

Jody spojrzała na swój spis. - Same kobiety, oczywiście. Myśleliśmy, żeby po jednej z każdego miasta. Z Edgeville chcielibyśmy panią przewodniczącą sądu, panią Springer.

Connie. Esty drgnęła, ale zachowała łagodny wyraz twarzy.

- To moja dobra znajoma - powiedziała. - Stara znajoma. Wątpię, czy pójdzie na coś takiego.
 - Na pewno - powiedziała Jody. - Jeżeli ty, Esty, ją poprosisz.
- Esty zatkało. Spojrzała na Sąueecha, który nadmuchał pustą papierową torbę i właśnie miał zgnieść oburącz. Poczekała, aż ta bomba huknie. Przez chwilę zdążyła się pozbierać.
- Ja z pewnością pani Springer nie poproszę - oświadczyła. - Jeżeli wystąpimy z tym nadzwyczajnym pomysłem, to będzie wyłącznie wasza sprawa. Sami możecie ją poprosić. I radziłabym zawczasu pomyśleć o kimś innym na wypadek, gdyby odmówiła. „
 - W każdym razie - powiedział Wally - zamieścilibyśmy zdjęcia i opisy wszystkich sześciu finalistów, kiedy każda gazeta już będzie miała swojego zwycięzcę.
 - A na zakończenie - powiedziała Jody i oczy jej się rozjaśniły - wielki finał. Może bankiet czy bal w remizie strażackiej? Ludzie by kupowali bilety...
 - Albo nie kupowali biletów - powiedział Sąueech.
 - Będą kupować - zapewnił Wally. - Jeżeli dobrze wszystko zrobimy. Jeżeli ich nakarmimy porządnie. Esty się wzdygnęła, ale musiała przyznać, że to może przynieść pieniądze. ^ . ^
 - Jeżeli będzie konkurs - powiedziała - musi być jakaś nagroda Nie wzięliście tego pod uwagę? Miss Stanu Nowy Jork dostaje stypendium, prawda? Co dostałby Mister Hrabstwa Cumberland?
- Wally się napuszył, zadowolony z siebie.
- Pomyślałem o tym. Nawet poczyniłem kroki. Esty, znasz Klub Carlton w Welford, dziesięć mil mniej więcej od naszej roгатki? - Nie znam.
 - Najszykowniejsza restauracja w hrabstwie. Faceci z Nowego Jorku przyjeżdżają na kolację ze swoimi... – zaczerwienił się.
 - Damami serca - dokończył Sąueech. - Ze użyję eufemizmu.
- Tak czy owak - ciągnął Wally - powiedziałem dyrektorowi Carltona o konkursie i obiecał, że postawi zwycięzcy wspaniałą kolację dla dwóch osób w zamian za darmowe

reklamy w czasie konkursu. Przypomniałem mu, że to się zbiegnie z sezonem jesiennym, kiedy zjeżdżają się tłumy łasych na kolory liści, i to jego najbardziej kasowa pora roku. *Voila* Więc już mamy nagrodę!

- Więc czy możemy? - zapytała Jody głosem małej dziewczynki.

Squeech rzucił zgniecioną papierową torbę do kosza na śmieci w kącie, nie trafił, wstał i podniósł ją z podłogi.

- Powiedz, że nie, szefowo - świsnął szeptem przez ramię. Esty powiodła wzrokiem po nich trojgu. Wybrała najłatwiejsze wyjście.

- Ten projekt będziemy musieli przedłożyć państwu Pres-cott.

Jody jęknęła.

- Jeżeli tak, to nic z tego. Oni nie cierpią konkursów. Prescottowie się nie zgodzą również i z innego powodu przypuszczała Esty, po prostu mają dobry gust. Ale nietaktem byłoby to powiedzieć.

- Słuchajcie - poleciła - dostarczcie mi stare gazety o konkursie Miss Stanu Nowy Jork i liczby sprzedaży No i wystąpcie z propozycją na piśmie. Jody, ty to napiszesz, poszukasz w archiwach. Bo chyba mamy jakieś prawda? Squeech podniósł na nią oczy.

- Jesteśmy w archiwach. - Wskazał poobijane szafy biblioteczne stojące pod ścianami i ogromny komputer na narożnym stole. - A moje zadanie?

- Argumentacja kontra - odpowiedziała Esty poważnie i zaraz się uśmiechnęła. - Żartowałam. Myślę, że dwoje wystarczy do zajmowania się tą sprawą. Szkoda czasu aż trojga I tak jest nas tutaj za mało. Squeech, ty pilnuj, żeby Jody i Wally'ego zbyt to nie wciągnęło.

- Jeżeli oni się zgodzą, zgłoszę do konkursu mojego tatę

- powiedziała Jody. - Rzeczywiście jest chłopem na schwał

- Zabiłby cię! - wykrzyknął Wally. - Jej ojciec jest dentystą

- wyjaśnił Esty. - Moim dentystą, co więcej. Bardzo dystyngowany gość. Nie wyobrażam sobie, żeby paradował w slipach z rzemieni.

- Uzgodniliśmy: mają być ubrani, nie pamiętasz? - upomniała go Jody.
 - Błagam - zakwilił Squeech - czy nie możemy przejść do następnej pozycji?
- Esty udzieliła mu głosu. Zaproponował powrót do uświęconej z biegiem lat prasowej rozrywki, która zniknęła z łamów „Nowin”, bo personel za mały. Pytania i odpowiedzi. Reporter zatrzymuje ludzi na ulicy, zadaje im pytania, po czym ich odpowiedzi ogłasza drukiem.
- Ludzie lubią widzieć siebie w gazetach - perorował. - Byleby pytania nie były zanadto podżegające... polityka, religia, takie tam. Chciałbym zadawać pytania niefrasobliwe: którego baseballistę stawiają na pierwszym miejscu, jakie książki czytają.
 - Nudne - zaopiniował Wally. - Potrzeba czegoś bardziej z pieprzem.
 - Popracuj nad tym, Squeech - powiedziała Esty. - To dobry pomysł. W każdej gazecie powinno być coś takiego. I gdybyś włączył w to młodzież. Gimnazjalną. Pytania o przepisy, o rodziców, o szkołę.
- Squeech i Wally wyszli. Esty poprosiła Jody, żeby z nią i kociakiem, którego przyniosła z domu, pojechała do doktora Sweeta. W samochodzie Jody gawędziła ożywiona, wyraźnie czując się swobodniej bez swoich kolegów.
- Mam jeszcze jeden pomysł - powiedziała. - Czytałam wczoraj o pewnym miasteczku w Teksasie, wiesz, tam wszyscy są zaciekłymi kibicami piłki nożnej.
 - Wiem - przytaknęła Esty. Och, wiem aż za dobrze, pomyślała.
 - No więc - ciągnęła Jody - akurat w dniu najważniejszego meczu coś w wieży TV nawaliło i wszystkie telewizory w mieście wysiadły. Ludzie wariowali. Nie zobaczą tego meczu! I nie miało być telewizji przez tydzień. Wszyscy wskakiwali do samochodów, przejeżdżali setki mil, żeby znaleźć kogoś, u kogo mogą patrzeć na ten mecz. Zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdyby w Edgeville wysiadły telewizory na cały tydzień. W środku zimy, powiedzmy. Co ludzie by zrobili?
- Co by było, gdyby...* Słyszając to, Esty nazwała nową rubrykę.

- Świetny pomysł - pochwaliła. - Ale jaką byś miała fabułę? Bo tu nie ma fabuły poza tą w Teksasie To jest temat... ale gdzie... gdzie tu punkt zaczepienia? Haczyk?

Jody zgarbiła się i złapała za klamkę drzwiczek, gdy Esty skręciła ostro na wyboistą drogę prowadzącą do przychodni dla zwierząt. - Haczyk?

- Żeby czytelnicy go połknęli - powiedziała Esty. - Jak ty to zrobisz?

- Nad tym jeszcze się nie zastanowiłam - przyznała Jody.

- Więc się zastanów. Początek jest dobry. - Samej Esty pomysły już wirowały w głowie. Już jej się spieszyło do domu, do komputera.

Dwie kaczki przekolebały się w poprzek drogi. Esty musiała zatrzymać samochód, żeby je przepuścić. Na łące pasły się ogromne konie gospodarskie przy dwóch krowach i kilku owcach. Były pawie, był także osiołek.

- To jest królestwo spokoju - zauważyła, zachwycona.

- Zaczekaj, Esty, aż poznasz doktora - powiedziała Jody. - Jak się ten nowy kociak nazywa?

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Lepiej nazwij go prędko. Doktor nie lubi, kiedy zwierzę nie ma imienia.

Dr Sweet powitał je w drzwiach. Był nieduży, łykowaty w spłowiałych dżinsach, kitlu laboratoryjnym i w czapce baseballowej z reklamą paszy dla koni. Uściskał Jody, wyciągnął rękę do Esty.

- Witam panią i... - wskazał koci koszyk na pasku zwisający jej z ramienia - pani przychówek. Kogo my tu mamy?

- Imię będzie wkrótce - powiedziała Esty. - Przyrzekam. Zgadzam się z panem, że każde stworzenie powinno się nazywać.

Doktor mrugnął do Jody i wprowadził obie panie do przychodni.

- Słyszałem, że burmistrz poci się, taki zdenerwowany tym, co pani robi z jego elaboratem.

Esty się uśmiechnęła.

- Ostrzę nożyce i temperuję moje czerwone ołówki.

- Niech się pani nie da zastraszyć - powiedział doktor. - Z drugiej strony słyszałem, że chce pani, żeby ten tutaj stary pryk coś dla was napisał. Czy mój elaborat też pani potnie na wstążki? - Parsknął śmiechem, pokazując krzepkie srebrne zęby. - Ale żarty na bok. Chętnie będę pisał tę rubrykę. Nawet mam pierwszy kawałek prawie napisany. Wstąpię tam do was za parę dni. A teraz...

Zbadał kociaka, zrobił mu jakiś zastrzyk, dał środek na odrobaczenie przed szczepieniem, polecił asystentce założyć jego teczkę.

- Zadzwoń i podam jego imię - powiedziała Esty. Wepchnęła kociaka z powrotem do koszyka, zostawiła Jody na rozmowę z doktorem o tasiemcu, obiecując przyjechać po nią za godzinę, i wróciła do redakcji. W hallu zatrzymała ją Angela.

- Burmistrz tu był - oznajmiła. - Szukał pani.

- Czego chciał?

- Nie mówił. - Dała jej plik teczek. - Mnóstwo materiałów przyszło dzisiaj. Mary już przejrzała niektóre. Wie pani, dziś nocka przygotowania do druku.

Esty nie wątpiła, że to będzie bardzo się różniło od jej doświadczeń w Teksasie i Illinois. Cała noc na pewno z głośną muzyką, psami i jedzeniem wszędzie. Radośnie na to czekała.

W swoim gabinecie przeorała się przez to, co nadeszło, i przez materiały już przyjęte (i już pokreślone czerwonym ołówkiem Mary). Wystukała na komputerze szkic swojej pierwszej rubryki, po czym zatelefonowała do domu, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia automatyczna sekretarka. Jessica życzy jej wszystkiego dobrego z okazji debiutu w „Nowinach Cumberland” i zapewnia, że przyjedzie na Święto Dziękczynienia. Connie zaprasza ją na kolację jutro.

Jakoś za mało było tych wiadomości. Córka i stara przyjaciółka nie wystarczają? Esty zdławiła to pytanie i uciekła się do swego terminarza. Dziś dyżur całonocny... jutro odsypianie nocy i kolacja u Connie i Ala po ślubie i weselu, z których reportaży zlecili jej Prescottowie („towarzystwo dopięte na ostatni guzik, niechlujni młodzi reporterzy na takiej uroczystości po prostu by razili, sama rozumiesz”. Mrugnięcie). A potem

w niedzielę daruję sobie kościół, pomyślała, i wezmę udział w tym biegu dwudziestopięciomilowym. Zdecydowała się zgłosić. Mary przyjęła to z zachwytem. - W tej społeczności trzeba koniecznie dużo się pokazywać - powiedziała. - Wystąpiłam o przyjęcie cię do klubu. Jesteś już prawdziwą obywatelką Edgeville.

Pochlebił jej i sprawił przyjemność taki dowód zaufania, rozkwit przyjaźni, ale zarazem poczuła szarpnięcie dobrze znanego, dawnego... jakim słowem to określić? Opór - za łagodnie. Bunt przeciwko wciąganiu mnie w cokolwiek, z czego niełatwo uciec, w cokolwiek, co mogłoby mnie zakwalifikować, trzymać...

Jestem niemądra. Wiedziała, że właśnie takie myśli, obawa przed ugrzęźnięciem, przed pułapką, doprowadziły ją do wyrwania się z Galena w stanie Illinois. Obraz Erika zamajaczył jej przed oczami... czy może Dicka Barretta? Nie, to Erie. Wciąż jeszcze. Do diabła, dlaczego tak mi trudno? Idźże już naprzód, upomniała siebie z pasją.

Wdarł się w jej rozmyślania dzwonek telefonu.

- To ty napuściłaś na mnie tego chłopca? - bez żadnych wstępów zapytała Connie.

- Nie. - Esty się uśmiechnęła. - Co więcej, usiłowałam im ten pomysł wyperswadować. Odmówiłaś chyba? Jesteś przewodniczącą sądu, filarem społeczności...

- Ależ skąd! Wasz chłopak to czaruś. „Uznaliśmy, że pani będzie najlepszym sędzią, pani sędzio” - tak mi powiedział. Czy mogłam odmó...

- Nie komentuję - przerwała Esty. - Oni to robią na własną rękę.

- Ale ja dzwonię do ciebie w innej sprawie. Jutro wieczorem bądź wystrojona. - Ton Connie świadczył, że czas ją nagli. - Wydajemy przyjęcie. Dwanaście osób. Al upiecze dziczyznę na rożnie w ogrodzie. Esty jęknęła. Czy nie za dużo wrażeń jutro? Ale szybko sobie przypomniała, że ma iść naprzód.

- Co to znaczy wystrojona? - zapytała.

- Białe spodnie, ładna koszulka. Będziesz na ślubie i weselu u Carzonów? My też tam będziemy.

- Jesteś wszechwiedząca?

- Tutaj wiadomości rozchodzą się zawsze przed faktem - odpowiedziała Connie. - A propos, Mary Prescott uważa cię za perłę. Specjalnie dzwoniła, żeby mi to powiedzieć. „Ta Esty to istny skarb”, rozpływała się.

- Czyż nie tak nasze babcie mówiły o swoich pokojówkach? Connie roześmiała się.

- Ładnie, że mówisz o n a s z y c h babciach, chociaż moja prawdopodobnie sama na barce marynowała śledzie. I one mówiły: „klejnoty”, a nie „skarby”.

Pogawędziły jeszcze parę minut, po czym Esty znów przy komputerze dopracowywała rubrykę *Co by było, gdyby...* Rzeczywiście reporterzy zakrzętnęli się bardzo szybko. Któryś z nich najwidoczniej uzyskał od Prescottów pozwolenie na konkurs, zanim zatelefonował do Connie. Domyśliła się, że to Wally był tym... rzecznikiem.

Uśmiechnęła się, zadowolona z pierwszego dnia prawdziwej pracy.

Tylko dlaczego Dick Barrett wstąpił tu ... znowu?

W domu Esty wzięła prysznic, przebrała się w swoje ulubione znoszone džinsy i koszulkę polo i usmażyła sobie omlet, żeby się posilić przed długą nocną pracą. Kociak chodził za nią krok w krok, zadzierał łepkę, wlepiając w nią oczy i miauczając w odpowiedzi, ilekroć do niego przemówiła.

Nasmarowała bułkę masłem, odgryzła kawałek, uszczknęła kruszynę i dała kociakowi. Podbił tę kruszynę łapką, a potem zjadł wykwintnie, z łebkiem przechylonym w bok.

- Kiedy dorosisz - powiedziała - może będziesz mógł chodzić ze mną do redakcji. Porozstawiasz po kątach wszystkie

psy-

Gazeta. Redakcja. Redakcja gazety. Kot mający nosa do sensacji.

- Właśnie! - wykrzyknęła. Zgarnęła kociaka z dywanu, przytrzymała go na długość ręki, znowu wprost olśniona jego białym gorsem i białymi bokobrodami. - Imię i nazwisko dla

ciebie! Będiesz Hildy na cześć Hildy'ego Johnsona z *Pierwszej Stronicy*. Ręczę, że moi młodzi reporterzy nie wiedzą, kto to jest Hildy Johnson, jeżeli nie oglądają starych filmów. Impulsywnie zadzwoniła do przychodni doktora Sweeta i podała jego asystentce imię i nazwisko swojego kota.

- Teraz istniejesz urzędowo - zakomunikowała Hildy'emu, otwierając puszkę ze specjalnym, opracowanym naukowo pokarmem dla kociąt, który zalecił doktor Sweet.

Z domu wyszła dla odmiany nie tylnymi, tylko frontowymi drzwiami. Na progu coś stało. Doniczka z pelargonią - białą - ozdobiona czerwoną wstążką.

Poczuła, że się rumieni. Sięgnęła po załączoną kopertę, ale i tak już wiedziała, od kogo ten prezent.

Wyjęła z koperty kartę:

Dziękuję Pani Redaktor ze delikatny retusz. I podpis: Richard.

Czy łagodnie retuszowała? Wycięła całe dwa akapity, poprawiła dwa byki gramatyczne, wykreśliła jedno bardzo zapalne twierdzenie. Trudno to nazwać delikatnym retuszem. Czy może coś tu się święci? Przypomniła sobie, jakiego wrażenia doznała na widok Dicka Barretta w klubie, siedzącego ze swoją „cizią” - pożądanie. Zadrżała. Bardzo to niedobrze. Wiedziała, że jeżeli ma iść naprzód, znaleźć swoje miejsce i spotkać może kogoś, kogo mogłaby kiedyś pokochać, powinna jak ognia unikać wszystkich Dicków Barrettów tego świata. Tylko że serce nieprędko nauczy się tego, co bystry umysł podyktuje. Esty wzięła doniczkę do domu i postawiła na parapecie okiennym niedaleko komputera. Hildy wskoczył na parapet i łapką poruszył liść. - Ja bym tego nie jadła - powiedziała głaszcząc go zanim znów wyszła z domu - bo prawdopodobnie to jest trucizna. Potem przez całą noc w redakcji, gdy cicho chodziły psy, głośno chrupały pod nogami rozrzucone frytki i dudniły z radia przeboje rockowe, myślała o swojej „delikatnej ręce” i bezwiednie się uśmiechała.

O świcie, po oddaniu gazety do druku, wracała z redakcji rozmarzona. Zaplanowała następny numer gazety, wymyśliła pseudonim Mona Lamb, którym będzie podpisywać swoją rubrykę. Squeech obiecał napisać „na medal” reportaż z nie-

dzielnego dwudziestopięciomilowego biegu, a Wally podjął się ochotniczo zrelacjonować początek roku szkolnego i pierwszy mecz piłki nożnej w sezonie. Zamiast być wyczerpana, do czego miała wszelkie prawo, szła zamasyście, pełna energii i radosna. Myślała o tym czekającym ją biegu. Trasę podaną w gazecie z zeszłego tygodnia już przejechała samochodem, żeby zapoznać się z terenem. Było sporo wzgórz, wiejskie drogi były wyboiste i z koleinami, ale krajobrazy chyba najpiękniejsze w stanie Nowy Jork. Liście zaczynały żółknąć i czerwienieć, blask słońca zapowiadał, że ściągną tłumy publiczności

Nagle Esty wspomniała biegi z Erikiem w college'u. Biegali przed śniadaniem, a potem pałaszowali jajka i smażone kartofle na postoju ciężarówek. Przymknęła oczy, to wspomnienie bolało. Jego dotknięcie, jego głos... Zacisnęła mocno powieki, zobaczyła eksplozję gwiazd i otworzyła oczy. Nie wspominać, powiedziała sobie. Wreszcie przestań wspominać.

W domu podeszła do zdobnego w spódnicę okrągłego stolika na którym stały ramki z fotografiami. Wzięła jego fotografię i spojrzała na niego, tak naprawdę spojrzała po raz pierwszy, odkąd wprowadziła się do tego nowego domu, w to nowe życie.

- Pożegnaj się - szepnęła - nie mogę ciebie brać ze sobą wszędzie, dopóki nie umrę. Pożegnaj się, Eriku.

Uśmiechnęła się do niej ta twarz w cieniu daszka czapki. Postawiła fotografię z powrotem i poszła do sypialni. Hildy miękko stapał za nią. Wskoczył na łóżko, zwinął się przy jej biodrze i mrucał jak silniczek nabierający mocy.

- Dobranoc, kotku - szepnęła, wpadając w sen jak kamień w wodę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Linia startu była u wylotu ulicy Kongresu, niedaleko redakcji „Nowin Cumberland”. Esty, wypoczęta po spokojnym wieczorze sobotnim z wynajętym wideo, Hildym w objęciach i pizzą, rozgrzała się na trawniku za redakcją, po czym wbiegła w tłum. Sąueech, w pomarańczowej koszulce ozdobionej na plecach nadrukiem „Dziesięć powodów, żeby nie głosować na republikanów”, skubnął swoją baseballową czapkę i machnął aparatem fotograficznym, gdy przepchnęła się do niego.

- Rekordowa liczba zawodników - zameldował. - I ochotnicy ze służby zdrowia w aż dwóch ambulansach w tym roku.

- Dwa ambulanse? - zdziwiła się. - A po co?

- Zawały - wyjaśnił. - Coraz ich więcej przed dwudziestym pierwszym wiekiem. Babie lato wcześniej, prawdziwe lato późno, jak nie to, to to. Zawsze mamy parę zasłabnięć. Ludzie nie przyzwyczajeni do biegania. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Uważaj, szefowo - powiedział. - Nie przeholuj. - Nie przeholuję - zapewniła. Znała swoje możliwości. Ale dwadzieścia pięć mil? Jeszcze raz obliczyła. Zwykle przebiega milę w ciągu dziesięciu minut. Dwadzieścia pięć to w sumie około pięciu godzin. Czy sprostą? Dopiero teraz pomyślała, że mogłaby rzeczywiście wygrać. Ale nie, marzenie świętej głowy, zjechało się mnóstwo długodystansowców z Miasta Nowy Jork, takich, którzy co tydzień biegają w maratonach, i takich, którzy robią po pięć, sześć okrążeń w Central Parku co dzień rano przed pracą...

A jednak?

Kącikiem oka Esty wypatrzyła Kelly Riordan, „cizień” Dicka Barretta, rozgrzewającą się biegiem w miejscu. Wiotki koński ogon majtał się na karku, nowiusieńkie trampki olśniewały bielą, czarne obcisłe szorty błyszcząły. Nagle Kelly ją zobaczyła i znieruchomiała. Strzeliła spojrzeniem spode łba, wzięła się pod boki i odwróciła się tyłem. Samego Dicka Barretta nie było widać, ale Esty wiedziała, gdzie on jest: ma dyżurować przy „wodopoju” dla zawodników na półmetku tuż za tym kościołem, gdzie wczoraj odbył się ślub. Dwanaście mil stąd. On nie biega - to także wiedziała - tylko się ubiega o ponowne wybranie go na burmistrza.

Zadudnił głos z magnetofonu. Podskoczyła i dołączyła do zawodników ustawiających się na linii. Po obu stronach trasy tłoczyły się tłumy. W kościołach dzisiaj pustki, pomyślała. Ojcowie trzymali dzieci na ramionach, dziewczęta paplały i chichotały, starsze panie - przeważnie z pieskami na smyczach i myśliwskimi laskami, żeby mieć na czym przycupnąć - osłaniały oczy przed blaskiem słońca, które było już dosyć wysoko.

Rozległ się gwizd. Wstęga się rozdzieliła, zawodnicy ruszyli. Esty patrzyła, jak ci najszybsi znikają za grzbietem wzgórza. Nadała sobie tempo i starannie je utrzymywała. Włosy, przy-

trzymane na czole białą opaską frotte, rozwiewały się za nią, stare zniszczone pantofle wydawały się skrzydłami u nóg.

Ale w miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej na niebo, robiło się coraz goręcej. Esty zwolniła tempo. Zawodnicy ją mijali, ale co ćwierć mili mniej więcej ktoś z nich siedział na poboczu trzymając się za głowę - siedziały tak nawet pary. Wiatru nie było, powietrze migotało od upału. Poczła ulgę, gdy skręciła na nie brukowaną drogę w cieniu wysokich klonów.

Biegła dalej i dalej. Wszelkie myśli uciekały. Ogarnęło ją upojenie. Prawie nie dostrzegała publiczności, prawie nie słyszała dopingu. Aż zobaczyła przed sobą tablicę „PÓLMETEK”. Musiała się zatrzymać; tutaj mierzone zawodnikom ciśnienie, kontrolowano oddech. Żal jej było wytrącić się z rozpędu. Dick Barrett stał za stołem z ogromnym szklanym pojemnikiem i plastikowymi kubkami. Zatrzymał ją machnięciem chorągiewki. Stała przed nim biegnąc w miejscu, widząc, jak bezczelnie on patrzy na jej piersi.

- Dziękuję za kwiat - powiedziała. Przyjęła kubek z wodą, wypła dwa łyki. - I za komplement.

- Spodziewałem się porąbania siekierą. A tymczasem się okazało, że większość pani cięć jest słuszna. Większość, nie wszystkie. - Uśmiechnął się i spuścił wzrok. Na jej nogi. Poczła ucisk w dołku. Jak wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyła.

Nic już nie powiedziała, bo cóż mogłaby powiedzieć? Trzymaj się z daleka od Dicka Barretta, mówił jej rozum. Ale wołała rozumu nie słyszeć.

Pobiegła dalej. Przed sobą na szosie o czarnej nawierzchni zobaczyła w rozmigotanym upale wysokiego mężczyznę biegnącego pomiędzy dwiema nastolatkami, które z tyłu wyglądały na bliźniaczki. Pobiegła szybciej i już tylko z odległości kilku dużych kroków bezwstydnie podziwiała tego mężczyznę - mocne muskularne łydki, uda jak pnie drzew, szerokie bary, jasne, miękkie, proste włosy, prawie nie przytrzymane niebieską opaską. Biegł nieledwie susami z leniwym wdziękiem zwierzęcia. Dziewczynki przy nim dyszały, zdeterminowane, żeby nadażyć. A ona popuszczała wodze fantazji, wyobrażała sobie

dotknięcie jego rąk - szorstkie duże palce odgarniają jej włosy, ujmują jej twarz...

Dosyć takich myśli! Biegła. Kilku młodych chłopców minęło ją, minęło tego mężczyznę przed nią i pomknęło w dal. Przy szosie stał dom z długim frontowym gankiem; ludzie na ganku wykrzykiwali i machali balonami. Dwoje dzieci trzymało transparent z odręcznym napisem: „Pędź! Pędź! Jeszcze tylko dwie mile!”

Biegła. I nagle na szosę wyskoczyło jakieś psisko prosto pod nogi tego mężczyzny. Zachłysnęła się, gdy on przekoziółkował młóćąc rękami, żeby odzyskać równowagę. Zobaczyła, usłyszała, jak uderzył głową w twardą nawierzchnię. Upadł na swoją skreconą nogę i leżał nieruchomo. Tamci chłopcy bardzo się już oddalili, nie wiedzieli o wypadku, towarzystwo na ganku ucichło. Dziewczynki, które z nim biegły, uklękły przy nim.

- Tatusiu! - rozpacziała jedna.

Druga zerwała się i pędziła na ganek, gestykułując gorączkowo. Esty zawołała do niej:

- Dzwon dziewięćset jedenaście! Prędko!

Podeszła i pochyliła się nad leżącym. Był nieprzytomny. Ludzie już się tłoczyli wokoło. Jego córka lamentowała piskliwie:

- Zostawcie go!

Esty widziała, że dziewczynka jest bliska hysterii. Wyprostowała się i wzięła ją za rękę.

- Ambulans zaraz przyjedzie - powiedziała. - Czy to twoja siostra tam weszła?

Dziewczynka przytaknęła.

- Idź po nią - poleciła Esty stanowczo. - I we dwie usiądźcie tu przy ojcu. - Wiedziała, że obie będą spokojniejsze, jeżeli się ich od niego nie zabierze.

Przyklękła znowu. Mężczyzna otworzył oczy, spróbował unieść głowę. Delikatnie go powstrzymała.

- Proszę się nie ruszać. Twarz miał skrzywioną z bólu.

- Moja noga - syknął przez zaciśnięte zęby. - Czy mogę sprawdzić...

- Nie - powiedziała. - Niech pan czeka na ambulans. Niczego niech pan nie próbuje sprawdzać. - Przesunęła wzrokiem po tej nodze, oczywiście złamanej. Jego twarz lśniła teraz od potu. Dostała od kogoś mokrą szmatę i delikatnie otarła mu spocone czoło. Usiłował się uśmiechnąć, nagle coś błysnęło w jego oczach.

- Esty? - wyszeptał - Esty?...

Przyjrzała mu się uważniej. Ta twarz, chociaż teraz opalona, te niejednolicie jasne włosy, chociaż teraz konwencjonalnie podstrzyżone, ta mocna szczęka. No i oczy, takie niebieskie.

- Boże święty! - wykrzyknęła. - Harrison Morrison Trzeci! Przytaknął i sięgnął po jej rękę, ale palce mu zwiotczały,

oczy się zamknęły. Znow zemdlał.

Popatrzyła w kierunku Edgeville. Usłyszała syrenę. Ambulans już jedzie, jest mniej więcej o pół mili stąd. Skręcił. Za chwilę tu będzie.

Hank Morrison. Niesamowite. Spośród wszystkich ludzi świata, żeby to właśnie on się zjawił, kiedy odchodzę od przeszłości, zaczynam życie na nowo. Niesamowite, a przecież fakt. Najserdeczniejszy przyjaciel Erika. Drużba na naszym ślubie. „Tylko ty jedna nazywasz się teraz jeszcze komiczniej niż ja” - powiedział przy weselnym stole i odtąd powtarzaliśmy sobie ten żart: Harrison Morrison i Esther Foster. Co on robi w Edgeville?

Sanitariusze się zakrzętnęli, ostrożnie podnieśli Hanka na nosze. Odzyskał przytomność, gdy wsuwali nosze do ambulansu. Wyciągnął rękę. Esty uścisnęła mu dłoń. Oczy miał mętne, ale głos mocny.

- Weź mój samochód - powiedział. - Odwieź dziewczynki... do domu. - I zemdlał znowu.

Jedna z bliźniaczek chciała pojechać z nim, ale kierowca się nie zgodził. Esty objęła ją ramieniem.

- Czy wiesz, gdzie jest samochód waszego taty? - zapytała. Druga bliźniaczka się przysunęła i patrzyły na siebie, na

odjeżdżający ambulans, na obcą kobietę, która najwidoczniej знаła ich ojca.

- Wiem - odpowiedziała ta pierwsza. - Stoi za metą. Tam go zostawiliśmy i...

- Nie musisz tak wszystkiego mówić - burknęła druga. - Dokąd wiozą tatusia?

Esty i ją objęła ramieniem.

- Nic mu nie będzie. Tylko złamał nogę i prawdopodobnie doznał wstrząsu, ale rozmawiał ze mną.

- On panią zna?

- Przyjaźniliśmy się... wiele lat temu. No, chodźmy już do waszego samochodu.

Pani tego domu z gankiem podeszła i potrząsając kluczykami wskazała im swój samochód. Esty wcisnęła się na tylne siedzenie między bliźniaczki. Były roztrzęsione, jednak nie protestowały.

- Jestem Esty Foster - przedstawiła się.

- Esther Foster i Harrison Morrison - powiedziały jedna jak echo drugiej. - Tatuś nam opowiadał o pani. Ale pani mąż poległ na wojnie. To był przyjaciel taty.

- Bardzo dawno - powiedziała Esty.

Podziękowała za podwiezienie i za dziewczynkami ruszyła w cień drzew, gdzie był zaparkowany mercedes.

- Kluczyki są pod matą. Tatuś nigdy niczego nie zamyka.

- Ja też nie - powiedziała.

Znalazła kluczyki, włączyła silnik. Dotychczas nie zdarzyło jej się prowadzić mercedesa. Wydawał się ciężki, opieszały. Wycofała go spod drzew powoli i zatrzymała. Dokąd mają jechać?

- Aha - powiedziała jedna z bliźniaczek. - Ja to Nellie, ona to Yvonne. Czy jedziemy do szpitala?

Esty zastanowiła się szybko.

- Nie. Wasz ojciec prosił, żebym was zawiozła do domu. Gdzie mieszkacie?

Wiedziały, którą jechać. Mieszkają tuż za granicą stanu Connecticut. To źle, pomyślała, że nie będzie można zgłosić Hanka do konkursu. Poczowała, że się rumieni. Zanim się okazało, kim on jest, wyobrażała sobie, że jest z nim w łóżku.

Jazda trwała dwadzieścia minut. Yvonne, siedząc przy Esty na przednim siedzeniu, udzielała wskazówek. Zjechały z auto-

strady na piaszczystą drogę wydającą się ciągnąć w nieskończoność.

- Co to za droga? - zapytała Esty.

- To nasza aleja wjazdowa - powiedziała Nelly. - A tam nasz dom.

Wyjeżdżając z za ostatniego zakrętu, Esty zobaczyła istny cud architektury - dom bladożółty z okiennicami czarnymi i co najmniej sześcioma kominami. Nie opodal iskrzył się w blasku słońca głęboki lazurowy staw otoczony wierzbami płaczącymi. Zza węgła domu wybiegły dwa ostrowłose teriery i doskoczyły do samochodu szczekając ogłuszająco.

Esty zaparkowała mercedesa. Dziewczynki wysiadły i pochwyciły psy. Esty podeszła do nich.

- Wasza mama jest w domu? Yvonne zachichotała.

- Od trzech lat już nie. Jesteśmy dziećmi z rozbitej rodziny - powiedziała patetycznie.

Nellie ją szturchnęła.

- Nie musisz się zgrywać. Nie, naprawdę jest nam świetnie. Raz o mało nie dostałyśmy macochy, ale w ostatniej chwili się odkręciło. Mamy gosposię, jest w domu i jest nam świetnie. Naprawdę. Tylko...

- Tylko chcemy pojechać do szpitala. Jak możemy tam pojechać? Jak trafić?

Esty zapytała, czy może skorzystać z telefonu. Przez boczną werandę wprowadziły ją do saloniku. Na ścianach wisiały sztychy, sceny myśliwskie, duże wygodne kanapy pokrywał kwiecisty kreton, w otwartych oknach falowały przezroczyste firanki i na orientalny dywan padały ukośne smugi słońca, tak że deseń wyglądał jak rozrzucone klejnoty. Ten dom był stonowany, chłodny i pogodny. Przyszła na dół gospodyni i Esty jej się przedstawiła. Teriery uganiały się po dywanie. Duży czarno-biały kot, leżący na ławeczce w okiennej wnęce, popatrzył, zaakceptował ten zamęt, przeciągnął się i znów zasnął.

Esty zatelefonowała do szpitala. To, że jest redaktorem naczelnym „Nowin Cumberland”, pomogło: prawie natychmiast połączono ją z jednym z lekarzy. Wiadomości były dobre. Pan Morrison leży spokojnie, noga już nastawiona. Złamanie

z przemieszczeniem, ale na szczęście wstrząs mózgu lekki. Ból głowy po kilku dniach przejdzie.

Jeszcze dwa dni w szpitalu...

Zostawiła dziewczynki pijące coca-colę w ogromnej kuchni z połyskliwą nierdzewnie stalową wyspą pośrodku i wyszła. Dopiero na werandzie sobie uprzytomniła, że nie ma czym pojechać do Edgeville. Zmęczenie spadło na nią jak koc, nogi nagle ją rozboleły. Musiała zebrać myśli, zanim zawróciła, żeby zatelefonować. Ale do kogo?

Ledwie podniosła słuchawkę telefonu, za oknami rozległ się klakson. Dick Barrett po nią przyjechał. Wsiadł z czerwonej miaty i przyzywał ją.

Omiał się nie rozplakać. Wszystko nie tak. Dick Barrett na terenie Hanka Morrisona. Skąd wiedział...?

- Przysłano mnie po panią! - wołał z podjazdu. - Ładna posiadłość!

Esty pożegnała się z bliźniaczkami, obiecała przyjechać nazajutrz i zabrać je do ojca do szpitala, po czym usiadła obok Dicka w tym czerwonym japońskim samochodzie.

- Podobno pani zna tego denata - powiedział, zakręcając tak ostro w długą aleję wjazdową, że żwir trysnął spod piszczących opon.

Nie chciała nic mówić o sobie Dickowi Barrettowi. W głowie jej szumiało zmęczenie, nogi miała jak z waty. Wiedziała, że jest brudna, spocona, ale tym się nie przejmowała. Pragnęła jak najprędzej znaleźć się u siebie w domu. Nie mogła jednak być niegrzeczna.

- Mam plan - powiedział.

Milczała. Widziała jego rękę na kierownicy pokrytą rudawo blond puszkami, skręcone włoski pętały się po tarczy jego zegarka. Dłoń silna i delikatna zarazem, palce pianisty. I zdążył już po tych zawodach wziąć prysznic, przebrać się. Włosy miał jeszcze mokre, koszulę i szorty khaki czyste niepokalanie. Tym razem ona patrzyła na jego nogi - też pokryte miękkimi rudawymi włoskami.

- Mówię, że mam plan - powtórzył i spojrzał na nią. - Nie chce pani wiedzieć, jaki?

Spróbowała być uprzejma, obojętnie życzliwa... no, tak jak powinna w tych okolicznościach.

- Pan chciałby mi powiedzieć? - zapytała. Usłyszała w swoim głosie nutę irytacji. Niedobrze.

- Tak, chciałbym. - Już byli na autostradzie i jechał z niedozwoloną szybkością. Miata sunęła nieledwie w powietrzu, drzewa przydrożne się zlewały. - Oto mój plan. Pojedziemy do pani domu. Złapie pani kostium kąpielowy i zabiorę panią do klubu na pływanie i wczesną kolację. Żadnych wykrętów.

- Bardzo pan zacny - powiedziała wiedząc, że on jest Bóg wie jaki, ale z całą pewnością nie zacny. - Jednak ja muszę wziąć prysznic, odpocząć, nakarmić kota, zadzwonić jeszcze raz do szpitala. Muszę...
- Zaczekam.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, i rozmyśliła się. Zgrzana, zmęczona po długim morderczym biegu i wysoce emocjonalnym spotkaniu starego znajomego, pomyślała, że cudownie byłoby popływać. Uśmiechnęła się do Dicka Barretta. Dick Barrett uśmiechnął się do niej.

I w momencie tego uśmiechu wiedziała, że błyskawicznie podjęła decyzję, której chyba nie należało podjąć nawet p o w o l i . Spędzi wieczór z Dickiem Barrettem i to będzie nie tylko niewinne pływanie, niewinna kolacja. Wiedziała, ale cóż?

Nagle niefrasobliwa, prawie zatraciła poczucie rzeczywistości. Wysiadając z samochodu, omal się nie zatoczyła. Ale w porę odzyskała równowagę i przypomniała sobie, że od śniadania nic nie jadła, a śniadanie ograniczyło się do jogurtu. Przebiegła dwadzieścia trzy mile, była świadkiem wypadku, przyczyniła się do udzielenia pierwszej pomocy, spotkała po latach Hanka Morrisona, a teraz... Powinnam być ostrożna, usiłowała się ostrzegać. Powinnam dzisiaj być bardzo ostrożna. Nie jestem sobą.

Czy może właśnie teraz jestem sobą w całej pełni?

W basenie było niebiańsko. Esty rozpuściła włosy i wirowały jej wokół głowy, gdy nurkowała, wynurzała się i pływała tak, jak się nauczyła na obozie studenckim, gdzie największym życiowym wyzwaniem stało się przepłynięcie na drugi brzeg

Jezióra Champlain. Przy niej Dick Barrett, dwa razy szybszy od niej, orał wodę czy też - bo i takie porównanie jej się nasunęło - zmieniał ten spokojny basen klubowy w pienne wzburzone morze. Pływając przywracała sobie swój normalny rytm, czuła, jak całe zmęczenie dnia mija. Basen był ogrzewany, czego nie cierpiała, ale w chłodzie wieczornym to znaczyło, że można pływać dłużej. I ust nie będzie miała sinych. Raz po raz pływała pod wodą. Dick Barrett nie ustawał w swojej żywiołowości. Czy się popisuje? Zatrzymała się, żeby popatrzeć. Płynie tak, jakby to były zawody. Zawrócił z końca basenu, potrząsając głową. Krople kapały z jego kędziorów. Nie mówił nic, tylko pływał.

Esty wyszła z basenu i usiadła na leżaku. Słońce już zaszło, światła się zapaliły, zabarwiły wodę niesamowitą zielenią. Byli teraz sami, ona i Dick Barrett, inni pływacy już odeszli. Spojrzała na zegar. Za dziesięć minut zamykają. Przymknęła oczy, poczuła, że ulatuje...

- Proszę pani. - Dick, ubrany i uczesany, stał przed nią, trzymając duże oszronione szklanki. Jedną jej podał, przysunął między leżaki okrągły stolik i usiadł. - Zdrowie! - powiedział.

Wypiła trochę. Od słonego brzegu szklanki wargi jej ścier-piały. Trunek był mocny, nie rozcieńczony. Wypiła więcej. Czując krązenie teąuili w żyłach aż po czubki palców rąk i nóg, uśmiechnęła się wbrew sobie. - Tak lepiej - powiedział Dick. Podsunął plastikowy talerz pełen frytek.

Wzięła garść, wprost pożerała te frytki. Jeszcze cudowniej-sza sól.

- Doskonale - powiedział. - Popijajmy po trochu.

Więc popijała. Postawiła pustą szklankę na okrągłym stoliku, wyprostowała nogi i mięśnie w nich nuciły, śpiewały. Zrobiło jej się ciepło, chociaż było coraz chłodniej i zerwał się wiatr. Nie chciała otworzyć oczu, ale wiedziała, że musi. Nie wypada wobec takich szerokich gestów Dicka Barretta po prostu zasnąć.

- Krok drugi - powiedział Dick - kolacja.

- Ja...

- Żadnych „ale”. Żadnych protestów. Kolacja. U mnie. Nie mam dziś apetytu na potrawy klubowe.

- A co z...? - Esty ugryzła się w język. Kelly Riordan to przecież nie jej sprawa. Trudno jednak oprzeć się ciekawości. Czy Kelly Riordan dobiegła do mety?

- Wiem, o kogo pani pyta - powiedział Dick. - No, jesteśmy od dwóch miesięcy parą, jeśli wierzyć miejscowym pogłoskom. Ale jeśli wierzyć obecnemu tu mężczyźnie, który panuje nad sytuacją, w tym... nie ma nic.

Dreszcz przebiegł Esty po krzyżu. To nie jest gentleman. Ale przecież wiedziałam, czyż nie?

- W tym nie ma nic?

- Nic z tej tutaj strony. Niech pani posłucha, Kelly ukończyła trzydzieści ileś lat, zegar jej tyka, chciałaby wyjść za mąż. Dobra dziewczyna, bywa nam owszem, owszem, ale...

- Ale pan...?

- Psst! - powiedział Dick. - Nie mówmy o niej. Dzisiaj jestem z panią. Pani zasługuje na to, żeby panią rozpieszczą. Podejmuję się tej roli. Przynajmniej tyle burmistrz może zrobić dla swego nowego wyborcy.

- Ja jestem demokratką - powiedziała. Zamrugał.

- Lepiej tego nie rozgłaszać. Prawdę mówiąc, sam miewam pewne demokratyczne ciągoty. Ale tutaj... Poklepała go po ręce.

- W porządku, panie burmistrzu. Rozumiemy się. Zmarszczył brwi. Wstał. Pociągnął ją z leżaka.

- Mam jeść kolację w kostiumie kąpielowym? - zapytała. Parsknął śmiechem.

- Aż takim draniem nie jestem. Zatrzymam samochód przed pani domem. Na dwie minuty. Wbiegnie pani, wskoczy w szorty i podkoszulek. Silnika nie wyłączę.

Jego silnik! Zapewne zawsze jest włączony. Rozsądek nakazywał Esty podziękować mu za pływanie, dać się odwieźć do domu, wykręcić się zmęczeniem i pójść spać. Jutro dzień pracy, będę jak śnięta ryba. Pragnęła położyć się wygodnie z Hildym i kanapką z tuńczykiem, oglądać stary film, a potem spać. Pragnęła...

- W drogę - powiedział Dick Barrett.

Wyłowiła z tego ukryte znaczenie. Uważaj, upomniały ją rozsądne zdrowe zmysły. Nie uważała. Czy on to zaplanował? Nie, nie mógłby. Nagle Esty doznała olśnienia: zaplanował tę kolację dla Kelly. Uroczystość po biegu. Co mówił? Że gdzie jest Kelly? Właściwie nie chciała wiedzieć. Dick Barrett mieszkał w skromnym małym domu, którego drugą połowę zajmowała właścicielka. Miał za domem ogródek należący do jego połowy. Wprowadził Esty, mocno trzymając ją pod łokieć. Nie wiedziała, czy jej się wydaje, czy rzeczywiście jego palce przesuwają się po jej przedramieniu. Rozejrzała się po pokoju dziennym. Dominowały meble klonowe. Zamiast dywanu leżała na podłodze jakaś plecionka. Lampy były imitacjami lamp Tiffany'ego. To nie męski pokój, pomyślała i zastanowiła się, czyja ręka kobieca - matki, siostry, Kelly - kierowała urządzeniem tego wnętrza. Dick opadł w głęboki fotel z pochyłym oparciem i wskazał jej drugi taki sam.

- Moment odsapnięcia - powiedział - krótki dla mnie, dłuższy dla pani. Zaraz podpalę węgiel drzewny i dam pani stek, którego nigdy pani nie zapomni. - Wstał z fotela, odwrócił się na pięcie i zapytał: - Może pani jest wegetarianką?

Potrząsnęła głową. Żałowała, że tu przyjechała. Chętnie by uciekła. Ale to było niemożliwe. Przyniósł jej coś do picia - niepotrzebnie, o Boże, nie - i zostawił ją samą w fotelu. Ale nie odszedł daleko.

Zrzuciła z nóg sandały i poruszała palcami nóg. Stopy ją piekły po przebiegnięciu tyłu mil i pulsowały. Przymknęła oczy. Rozbrzmiały dźwięki muzyki stereo - ładnej. Uśmiechnęła się i poczuła, że twarz ma drętwą, sparaliżowaną. Te dźwięki lały się na nią jak miód i znów uleciała w jakiś niebyt. Gdy otworzyła oczy, Dick na ganku oblewał węgiel drzewny płynem do zapalniczek. Tojąjął. Dobrze przynajmniej, że on ma zwyczajny rożen, a nie ogromny, wymyślny, elektryczny.

- Mogę pomóc? - zapytała.

Postawił puszkę i wszedł do pokoju, stanął za nią. Zaczął masować jej ramiona. Natrafił na stwardnienie napiętego mięśnia. Znów przymknęła oczy.

- Mmm - mruknęła. - Skąd pan wiedział, że...

- To jedno z zadań burmistrza. Wiedzieć, gdzie boli, i sprawiać ulgę. - Oddychał jej w ucho i we włosy. - To właśnie robią burmistrzowie.

- No więc już mogę pomóc? - Spróbowała być rześka.

- Oczywiście. - Wyprostował się i odszedł od niej. - Może pani zrobić sałatkę. -1... - wyjął z jednej z kuchennych szuflad dwie maty stołowe, z innej srebrne sztucce i wręczył jej - może pani nakryć do stołu. Na ganku. - Wziął z półki marynowany stek i duży młynek do pieprzu i wyszedł.

Adapter pstryknął, zaczął się koncert na flet i harfę Mozarta. Esty nuciła do wtóru, siekając marchewki, cebule, czosnek i trochę zeschnięty mały ogórek i wrzucając je w salaterkę. Zmierzchało, długie cienie zagarniały ogródek. Usłyszała skwierczenie steku na rożnie. Dick Barrett pogwizdywał melodię koncertu. Podniósł rękę, strzepnął włosy znad oczu i podrapał się w kark. Jak Erie. Przez chwilę był tak bardzo podobny do młodego Erika, że serce Esty się rozszalało. Potem odwrócił się do niej całą twarzą i podobieństwo zniknęło tak nagle, jak się pojawiło. To był Dick Barrett, burmistrz miasteczka Edgeville. Zobaczył, że ona się w niego wpatruje, i mrugnął.

Kobieciarz - pomyślała Esty - uważaj, dziewczyno.

Usiedli przy małym okrągłym stole w blasku wonnych świec i zabrali się do steku. Esty jadła żarłocznie. Smakowało jej wszystko jak nigdy. Dick otworzył butelkę południowoafrykańskiego czerwonego wina z obrazkiem lwa na etykiecie. Wino było ciężkie, ciemne, mocne i miało niebiański smak. Esty próbowała się oprzeć temu winnemu czarowi, ale nie zdołała. Dick ponownie napełnił jej kieliszek. - A teraz, pani redaktor naczelna, proszę mi opowiedzieć o sobie. Jakim to szczęśliwym trafem utknęła pani tu u nas na tym zadupiu?

- Lubię zadupia - powiedziała Esty. - Wróciłam w rodzinne strony. Na zapadły wschód, jak się to mówi. Connie mnie namówiła, żebym tu przyjechała, pan wie. Miała rację.

- Chodzi pani do kościoła? Dziwne pytanie, pomyślała.

- Tak. Do Świętego Piotra. Widziałam tam pana.

- Słyszałem, że ma pani nowego kotka.

- Hildy'ego.
- Johnsona? Esty się ucieszyła.
- Naturalnie - powiedziała, ukrywając miłe zdumienie.
- Niech go pani zabierze na nabożeństwo świętego Franciszka w przyszłym tygodniu. Będzie błogosławienie zwierząt. W niektórych miasteczkach ludzie chodzą do kościoła tylko na Wielkanoc, tutaj chodzą w dzień świętego Franciszka.
- Już zleciłam fotoreportaż z tego dla gazety - powiedziała. Własny głos zabrzmiał jej w uszach jak cudzy. Nabrała sobie na talerz jeszcze porcję sałatki. Chyba nie mogła przestać jeść.
- Radzę zostawić miejsce na deser - powiedział Dick. Spojrzała na niego. Pochylił się ku niej nad stołem. Popatrzyli sobie głęboko w oczy.
- Deser? To niepotrzebne...
- Właśnie, że potrzebne. Każdemu jest potrzebny dobry deser. Wstał, wziął ją za rękę i wprowadził do pokoju. Było prawie zupełnie ciemno, ale nie zapalił lampy. Posadził ją w fotelu, podsunął taboret, żeby oparła nogi. - Zaraz będzie.
I znów oczy Esty się kleiły. Walczyła z sennością, ale przegrała. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła fajansową salaterkę w rękach Dicka Barretta stojącego przed nią.
- Zjemy z jednej miski - powiedział.
Zajrzała do salaterki. Lody waniliowe - niewątpliwie Ha-agen-Dazs, bo wyglądają tak apetycznie - ze świeżymi malinami i polane może miodem, może sosem karmelowym. Dick dał jej łyżeczkę i skosztowała. To nie był ani miód ani karmel. Sos z czekolady i brandy. Syrop uwiedzenia. Zbyt oczywiste? No pewnie. Ale pomimo to... rozsmakowała się, oczarowana. Czysta ambrozja! Patrzyła, jak Dick Barrett kosztuje, chrząka i kiwa głową. - Ujdzie - powiedział skromnie.
Jadła niepomysłownie ten przepyszny deser, tę ambrozję, którą on spreparował, żeby ją uwieść. I uwiedzie. Nie! - zaprotestował rozum. Czemużby nie? odparowało serce.
Skończyli jeść. Dick odniósł pustą salaterkę do kuchni i wrócił z dwoma kubkami.

- Nie chcę kawy - powiedziała Esty.

- To nie kawa. To czarowny napój. Śliczna pani, która tak długo biegła i biegła i miała męczący dzień, wypije i słodko zaśnie.

Esty patrzyła na niego z nadzieją, że teraz po kolacji zdoła w jakiś sposób ładnie wyjść. Ale zdołała tylko się uśmiechnąć. On wygląda tak niemądrze, kiedy z tymi kubkami w rękach udaje Indianina ze starego westernu klasy B. Kędziory opadają mu na oczy i on wygląda... Dość tego!

- Dick, muszę już wrócić do domu - powiedziała, ale poczuła, że jej uśmiech rozszerza się na całą twarz, coraz mniej drętwą, jak gdyby środek znieczulający dentysty przestawał działać.

- Dlaczego? - zapytał Dick.

- Dlaczego? - powtórzyła. Uniosła rękę protestująco i nagle Dick ją poderwał z fotela. Gdzie postawił te kubki? Zastanowiła się i od razu zapomniała o kubkach, o świetle razem z kubkami, gdy Dick Barrett przytulił ją do siebie, omal nie zmiażdżył w mocnym uścisku. Spróbowała się uwolnić, ale było jej tak dobrze, że uległa. Dick podłożył jedną rękę pod jej kolana, drugą objął jej ramiona i czuła, jak on ją niesie. Pieczołowicie. Czuła ciepło jego piersi, siłę jego rąk i niczego już nie chciała, tylko dać się ponieść dokądkolwiek on zechce i...

Dokądkolwiek okazało się sypialnią. Zobaczyła, jak ta sypialnia nachodzi - otwarte drzwi, okno w głębi, łóżko iście królowej, z niebieską pikowaną kapą, z wałkami i sympatycznym pluszowym zwierzakiem (Kelly?) u wezgowia. Nie! Zesztywniała w jego objęciach.

Ale było już za późno. Położył ją na łóżku - sprężystym i miękkim - pochylił się nad nią i delikatnie ściągnął jej podkoszulek przez głowę. Podniosła ręce, pomogła mu, po czym opadła znów na wznak. Pokój się kręcił. Jestem pod gazem - stwierdziła. Wstawiona. Powiedzmy, że pijana.

Zamknęła oczy... Ekler szortów został rozpięty. Szorty zaczęły się zsuwać. Ten człowiek mnie rozbiera, a ja po prostu leżę i pozwalam mu na to.

Otworzyła oczy, ześrodkowała wzrok. Dick wydawał się zaabsorbowany tak praktycznie, jakby pełł klomb albo czytał

sprawozdanie złożone radzie miejskiej. Marszczył brwi, wydymał usta w skupieniu. Załatwia swoją sprawę, pomyślała, a jego sprawa to ja. Jeszcze zachowuję kontrolę. Mogę to powstrzymać.

Wystarczy, jeżeli powiem - prr! i on przestanie.

Nie powiedziała: prr! Uniosła pośladki, pomogła mu wyplątać się z szortów.

Potem się odwrócił i rozebrał. Omal nie zachichotała. Było coś komicznego w tym męskim zadku, gdy zdejmował szorty. Coś komicznego, coś niemądrego. Dobry Bóg miał poczucie humoru, projektując ciało mężczyzny od tyłu. Rozchichotała się raptownie. Dick Barrett odwrócił do niej głowę.

- Coś nie w porządku? - zapytał. Chichotała.

- Masz taki jedwabście biały tyłeczek.

- O rany - szepnął - przywiozłem sobie do domu zboczoną. Odwrócił się już nagi i Esty się zachłysnęła, widząc efekt

wrażenia, jakie na nim robi. Spróbowała podnieść się na łokciach, ale łokcie się usunęły. Położył się przy niej na łóżku i naciągnął na nich oboje jasnoniebieskie prześcieradło. Podparł się łokciem, delikatnie odgarnął jej włosy i musnął czoło pocałunkiem lekkim jak piórko. Wziął ją za rękę. Leżeli przy sobie, ona z dłonią w jego dłoni. Otworzyła oczy, pokój pływał w kółko.

- Spij - szepnął Dick. - Przyjemnego snu.

Tak, oczywiście, pomyślała złośliwie, ale jakoś była pewna, że ten mężczyzna nie tknie jej, kiedy będzie spała. Znikąd wykwitło zaufanie do niego. Z ręką już wiotką w jego mocnym uścisku zasnęła. Obudziła się jak pod kloszem smoliście czarnej ciemności. Pomacała po łóżku - pusto. Nasłuchując usłyszała kroki w kuchni, trzaśnięcie drzwiczek lodówki. Usiadła i po omacku zaczęła szukać swojego ubrania. Nie mogła znaleźć. Zapalić światło?

Cicho wrócił do sypialni Dick w ręczniku na biodrach. Zanim zdążyła coś powiedzieć, wsunął się pod prześcieradło przy niej, oparł się o poduszkę i szepnął:

- Masz, wypij to. Czaro wny napój dla zmęczonych szybko-biegaczek.

Słowo „wypij” przyprawiło ją o mdłości. Dotknęła szklanki, którą jej podał. Szkło było zimne. Łyknęła trochę. Sok świeżo wyciśnięty z pomarańczy. Wypiła duszkiem.

- Lepiej? - zapytał Dick Barrett.

Oddała mu szklankę i nagle ogarnęło ją zakłopotanie. Jest w łóżku z tym mężczyzną, pije sok pomarańczowy...

Wzdłuż niej osunął się z poduszki i lekko pocałował raz i drugi raz. Uniosła rękę, żeby go powstrzymać, ale zamiast tego wplątała palce w jego kędzierzawe włosy i przyciągnęła jego twarz do swojej. Tym razem ona jego pocałowała. Odwzajemnił się. Ujął w dłoń jej stopę. Zaczął głaskać ją leniwie po nodze. Pogłaskała go po plecach. Były gładkie, nie takie jak twarde, mięsiste plecy Jacka...

- Dobrze? - szepnął jej do ucha. - Czy wolno mi? Mężczyźni mają nie pytać, czy im wolno.

Dotychczas żaden nie zadał jej takiego pytania.

- Chyba nie powinniśmy... - Mówiła głosem zduszonym, bo w samą jego szyję. Poczowała na ustach drganie jego strun głosowych, gdy powtórzył:

- Dobrze! - Poruszył palcami nóg przy jej stopach, potem ścisnął jej stopę pomiędzy swoimi. -

Pieszczotki? - Na pierwszej randce? - szeptem zapytała Esty. I zachichotała. To pewnie ten sok pomarańczowy. Wzburzył tequilę i znów mi idzie do głowy, pomyślała. Jak mogę być tak niemądra w takiej chwili? Rozchichotała się znowu.

- Pierwsza była wczoraj wieczorem - powiedział Dick. - Dziś jest już druga.

- Aha - powiedziała Esty. Dotknęła znów jego włosów, zsunęła rękę na jego pierś, zatrzymała palec wskazujący na pępku. - No to mogą być pieszczotki.

Pocałował ją znowu. Położył dłoń na zaokrągleniu jej biodra, przytulił się do niej. Uśmiechnęła się prosto w jego pocałunek. Ciepło i namiętność w niej musowały, gdy prosto w pocałunek szepnęła:

- Miłe pieszczotki.

Te jej słowa były zielonym światłem. Oboje o tym wiedzieli. Już nie ma odwrotu. Wygięła się, przyciągnęła go bliżej do siebie, oplótła rękami i zatraciła się.

Całkowicie.

Tak kochana nie była od bardzo, bardzo dawna. Od czasów Erika.

Ale gdy to się skończyło i leżeli znów trzymając się za ręce pod luźno narzuconym prześcieradłem i w okno zaglądał świt, Esty zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu przespała się z mężczyzną, którego nie kocha. Tak, Jacka przecież kochała. Niedostatecznie, ale prawie dostatecznie. Tego tu mężczyzny nie kocha wcale. Otworzyła oczy i spojrzała na jego profil. Odwrócił głowę, pochwycił jej wzrok i uśmiechnął się.

- Miłe pieszczotki - szepnął.

Ni stąd ni zowąd tak bardzo zapragnęła uciec, że poruszyła się bezwiednie. Jedną nogę spuściła z łóżka i zaraz drugą. Wyrwała rękę z ręki Dicka, wstała, sięgnęła po kołdrę porzuconą na podłodze i zasłoniła się. Poszła do łazienki.

Wzięła prysznic wprost siekający. Wypłukała usta i grzebieniem Dicka jako tako uczesała splątane włosy. Owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni.

Dick gestem zaprosił ją do łóżka, lekko pociągnął ręcznik, który jednak przytrzymała na sobie. Pozbierała swoje rzeczy.

- Już poniedziałek - powiedziała. - I jak w tym starym filmie, jestem z powrotem w Kansas.

Nagle spoważniał. - Esty, ty nie... Potrząsnęła głową.

- Nie obwiniaj się - powiedziała. - Nas wszystkich czasami ponosi. Mnie poniosło. Chciałabym... chciałabym, żebyśmy byli przyjaciółmi, Dick.

Jęknął.

- Wykreśl tę linijkę, pani redaktor.

Odwróciła się i bez słowa poszła znów do łazienki.

Dick przyszedł za nią, ale jej nie dotykał. Czuła za sobą jego ciepło. Odsunęła się od niego.

Cóż można powiedzieć? Dziękuję za kolację? Dziękuję za... nie, tego powiedzieć nie można.

Wszystko, cokolwiek by teraz powiedziała, wydawałoby się impertynencją albo zachętą,

albo... wprost przeciwnie - odprawą. Znała swój ostry język, uważała, żeby czegoś zgoła zbytecznie nie lapnąć.

Sięgnęła ręką w tył do ramienia Dicka Barretta - sympatyczny przyjazny gest - po czym odwróciła się i wyszła.

Dzięki Bogu, do domu miała niedaleko. I dzięki Bogu, nie natknęła się po drodze na nikogo znajomego, bo jakżeby wytłumaczyła taki spacerek główną ulicą o godzinie siódmej rano?

W domu Hildy czekał na nią przy drzwiach. Miauczał gniewnie i po chwili już łagodniej. Podniosła go, przytuliła do twarzy. Usadowił się w zgięciu jej szyi.

- Och Hildy, Hildy, co ja zrobiłam?

Odpowiedzi na to retoryczne pytanie nie było.

Nakarmiła kociaka, znów wzięła prysznic, ubrała się do pracy. Dopiero wtedy włączyła sekretarkę automatyczną.

Długie przemówienie gospodyni Hanka ceremonialnie dziękującej za odwiezienie dziewczynek.

Wiadomość od samego Hanka za pośrednictwem pielęgniarki ze szpitala i prośba, żeby go tam odwiedziła, jeżeli będzie mogła.

Serce jej załomotało. Przypomniało jej się, jak biegła za Hankiem i wyobrażała sobie jego dotknięcie.

Teraz, ledwie wyszła z łóżka Dicka Barretta, popuszcza wodze fantazji znowu.

Nie jestem sobą, oświadczyła swojemu odbiciu w lustrze toaletki. Solidna, rozsądna Esty Foster wcale nie jest sobą. Niby to odcina się od przeszłości, zaczyna nowe życie i od razu przesypia się z mężczyzną podobnym do Erika, i już jej się marzy dawny najbliższy Erika przyjaciel.

Rzeczywiście świetny sposób zerwania z przeszłością raz na zawsze!

Ale nie mogła się nie uśmiechnąć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Esty z redakcji zadzwoniła do Connie. Musiała z kimś porozmawiać - z kimś godnym zaufania. Zwlekała, dopóki się nie upewniła, że Connie już jest w kancelarii. Nie chciała dzwonić do niej do domu, natknąć się niepotrzebnie na Ala.

Umówiły się. Porozmawiają przy obiedzie w klubie.

Poczuła ulgę, gdy weszła do swojego gabinetu, nastawiła komputer, rozpoczęła drugi tydzień pracy w „Nowinach Cumberland”. Trochę notowała z myślą o rubryce *Co by było, gdyby...*, zaplanowała zlecenia dla reporterów i zwołała zebranie na godzinę dziesiątą. Panie z Reklamy i „druga Esther” prowadząca Dział Drobnych Ogłoszeń przyszły dziś wcześniej. Specjalnie posiedziała z nimi przez kilka minut w tej dużej

otwartej sali, wypila kubek kawy, podziwiała fotografie wnuczat i ukochanych zwierzat, poczulila sie do psow. Szybko odzyskala zwykla swoja dobra forme. O interludium z Dickiem Barrettem nie zapomniala, ale odsunela je w podswiadomosc. Do uporania sie z tym pozniej.

Przed wyjsciem na obiad zadzwonila do szpitala. Tym razem polaczono ja z separatka Hanka Morrisona.

- Rozum mi wraca, podobno - oznajmil jej Hank. - Wczoraj bylem dosyc glupkowaty. W dodatku widzialem podwojnie. To wstrzas mozgu, ale tylko lekki, wiec ten stary zrzeda znow zacznie zrzedzic. Zapytala o jego noge.

- Nie tak swietnie - powiedzial. - O kulach prawie do zimy. I nie bede mogl prowadzic. Ani samochodu, ani traktora. Bede przykutym do frontowego ganku ramolem.

Czy wypada zapytac, gdzie on pracuje? Esty sie krepowala. Moze nigdzie. Moze jest tylko panem tych swoich wlosci?

- Szczejliwie - mowil dalej Hank - moja gospodyn timer ma prawo jazdy. Będzie mogła jezdzić na posyłki i wozić dziewczynki. One nie lubią wędrować do autostrady i czekać na autobus szkolny. Mam w domu faks i wszystko, co trzeba, chyba zdołam trochę popracować.

- Czy jest coś, w czym ja mogłabym ci pomóc? - zapytala. Glos Hanka jakos ja rozmarzyl i wiedziala, dlaczego. Przypomina glos Erika. Taki sam akcent bostoński. To wcale nie dziwne; razem dorastali.

- Jest coś - odpowiedzial Hank. - Przyjedz do nas na caly dzien. Dziewczynki chca ci podziekowac. Ja ci chce podziekowac. I byc z toba na biezaco. Moze w te sobote? Bez wahania Esty obiecala, ze przyjedzie. Przynajmniej to moze zrobic dla starego znajomego. Po drodze na obiad wstapila do domu, wlozyla swiezą bialą koszulowā bluzkē i szorty khaki. Kolor ochronny. Ale ozywila go szerokim czerwonym paskiem skorzany. Obiad jadly, ona i Connie, na klubowej werandzie: salatke z kurczaka miedzy kromkami *pita* i popijaly mrozona herbate. Te kanapki przybrano rzodkiewkami jak paki roz i malenkimi cebulkami, takimi perlami, jakie plywaja w martini. Wszystkie stoliki na werandzie byly zajete, przewaznie przez kobiety, oczywiscie, i starszych mezczyzn po partii golfa. Na

klubowych kortach dwie czwórki grały w tenisa. Słońce świeciło w ten wspaniały dzień późnego września. - Aż trudno mi w to uwierzyć - powiedziała Connie.

- Hank Morrison tutaj? Myślałam, że na amen zniknął nam z oczu.

- Zniknął - przytaknęła Esty. - Był fantastyczny po śmierci Erika. Tyle mi okazał serca, tak się troszczył. A potem po prostu zniknął. Na ogół ludzie znikają, kiedy przenoszą się do Kalifornii. Zresztą wiedział, że ja nie lubię jego żony.

- Teraz są rozwiedzeni?

- Od niedawna. Mają bliźniaczki, czternastolatki. On teraz je wychowuje.

- A jego syn? Miałby teraz jakieś dwadzieścia osiem lat?

- Tak. Harrison Morrison Czwarty. Czyli Quartus. Quarry w zdrobnieniu. Jessica go nie cierpiała.

- Zastanawiam się... - zaczęła Connie. Ugryzła perłową cebulkę, po czym dyskretnie położyła ją na swojej serwetce.

- Uch, gorzka! Wiesz, Esty...

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Esty. - Ale nie myśl o tym. Hank Morrison to ostatni mężczyzna, którym kiedykolwiek bym się zainteresowała.

- A przedostatni to Richard Barrett?

Esty omal nie zadławiła się mrożoną herbatą. Zamierzała powiedzieć Connie o Dicku, ale w swoim czasie i na swój sposób. A tu Connie patrzy na nią zupełnie tak jak przed laty w college'u, kiedy ona próbowała coś przed Connie ukrywać. Ten wzrok mówi: „widzę, co się dzieje w twojej głowie”.

- Powtarzam - powiedziała Connie, podsuwając okulary na ciemię. - A przedostatni to...

- Słuchaj, ja chcę z tobą porozmawiać o nim, ale...

- On ci pobudza krążenie, rozumiem.

- Kto tak mówi?

- Plotki po prostu. Nie możesz się narażać, Esty. Od plotek nie uciekniesz. Jesteś nowa w tym miasteczku. On jest tym bajecznym kawalerem do wzięcia. I nie zapominaj o Kelly.

Kobieta wzgardzona. A od tego się zaczyna, że w ogóle jest wredna, więc w pokoju nauczycielskim w gimnazjum niewątpliwie już szumi jak w ulu. Słyszałam, że... Esty chłoneła każde słowo.

- ... że u ciebie zabawił wczoraj wieczorem. A umówił się na ten wieczór z nią. Miał zabrać ją na jakąś szczególną uroczystość po ukończeniu biegu, a tymczasem...

- Czy ona ukończyła bieg?

- A boja wiem. Ty pracujesz w gazecie, więc ty mi powiedz. Wiem tylko, że ćwiczyła od tygodni.

- Nazywamy to treningiem, Connie. Rozmawiaj ze mną uczciwie.

- Czy nie rozmawiam tak zawsze?

- Zawsze. Ale teraz jesteś pokretna. Czuję, że ostrzegasz mnie przed Richardem Barrettem. To niepotrzebne, rzecz jasna, ale chciałabym wiedzieć, o co chodzi... dlaczego oczy ci biegają za każdym razem, kiedy o nim mowa. Connie zamieszała herbatę. Niezmiennie była taka. Przez tyle lat.

Rozważna. Ostrożna. Zrównowazona.

- Hej, Con, to ja. Mnie nie musisz dawać oświadczeń na piśmie. Tylko mi powiedz.

- Dobrze. - Connie oparła łokieć na stoliku i spojrzała jej prosto w oczy. - Ja tego człowieka nie lubię. Nie ufam temu człowiekowi. Piskorz, oportunist... dyplomata. Wiem, że to źle o nim jeszcze nie świadczy. Jeżeli zacznę kandydować do legislatury w przyszłym roku, też będę dyplomatką. Słuchaj, nie lubię obgadywać kolegów, ale jesteś moją najmilszą przyjaciółką i chociaż bardzo chcę, żebyś się zakochała... - O zakochaniu się nie mówmy.

- Więc chociaż bardzo chcę, żebyś zaprzyjaźniła się z ludźmi Edgeville...

- Tak już logiczniej.

- ... to jednak on jest... kimś, z kim nie życzyłabym ci przyjaźni, Esty. Nie nasza klasa.

- N.N.K.

- Nie kpij ze mnie. Usiłuję pomóc.

- Ale właściwie, Connie, co on robi takiego strasznego? Connie wahała się przez długą chwilę, zanim odpowiedziała:

- Nic. Nic nie robi. Jako burmistrz ma tabliczkę czystą, o ile nam wiadomo. Odchylony na prawo nieco dalej niż Dżyngis chan, ale to jego sprawa. On jest... Słuchaj Esty, ja tylko instynktownie mu nie ufam. Jest zmyślny i chytry i stanowczo zbyt przystojny jak dla jego własnego dobra. Więc nie chcę, żebyś ty...

Esty wyczuła, że Connie coś zataja. I wyczuła, że nie dowie się od niej już niczego więcej. Connie tu mieszka, to jej miasto, więc jest powściągliwa w wypowiedaniu się o jednym z filarów tej społeczności. - Już nie mówmy o nim, dobrze? - powiedziała. - Ja jestem ważniaczka, on jest ważniakiem. Tak, jadłam z nim wczoraj kolację. Przywiózł mnie do Edgeville po tym wypadku, zabrał mnie na basen i... - Skoro mamy o nim nie mówić, to nie mówmy - przerwała jej Connie. - Ach, właśnie, twój przyjaciel reporter wciąż do mnie dzwoni w sprawie konkursu. Cieszy się, że dostajecie mnóstwo zgłoszeń. Może słusznie ten konkurs organizujecie.

- Mam nadzieję. Pomysłodawcy są pełni entuzjazmu. Cała ta impreza godzi w mój feminizm, ale chcę być bezstronna. - Ja też - powiedziała Connie. - Dlatego zgodziłam się zasiąść w jury. - Podpisała rachunek, który leżał przy jej łokciu, zarzuciła na ramię pasek torby i wstała od stolika. - A co do Hanka - powiedziała - informuj mnie o wszystkim. Bardzo bym chciała kiedyś się z nim zobaczyć. To jest równy gość. - Równy gość - powtórzyła Esty. - Jak najbardziej. Ale wiesz, na jego widok znów wróciły tamte... - Psst! - zmitygowała ją Connie. - Nie grzeb się w tym na nowo. Pojedź do niego, zawieź mu kwiat w doniczce albo nie, zawieź mu jakąś książkę, bądź kumplem. Przecież po to dla nich jesteśmy na tym padole, nie pamiętasz?

- Czy mogłabym zapomnieć?

- Jednak czasami coś niecoś zapominasz, Kumpelko. Esty się uśmiechnęła i zeszła za Connie z klubowej werandy.

Tyle jeszcze chciała - potrzebowała - tej przyjaciółce powiedzieć, ale to już było po prostu niemożliwe. Przez te dziesiątki lat obie jakoś się odzwyczaiły od ujawniania swoich uczuć w pełni, od „prawdziwych zwierzeń”. Jesteśmy oględniejsze

jedna wobec drugiej, uprzytomniła sobie. Może dlatego, że teraz chodzi o poważniejsze sprawy. Czy może dlatego, że ufność w nas skostniała? Kto wie? A może, kiedy się jest taką wieczystą mężatką jak Connie, już nie ma sensu omawianie z nią „znajomości”.

Connie otworzyła swój samochód. Wsuwając się na siedzenie swojego nie zamkniętego samochodu, Esty poczuła gorzkie rozczarowanie. Taka oględność. Może, pomyślała, potrzeba prawdziwych rozmów „od serca” jest czymś, z czego się wyrasta, czymś, co się umie w końcu odrzucić. Czy ta potrzeba we mnie dowodzi mojej niedojrzałości?

Nie, do licha! Odpowiedziała sobie stanowczo i ruszyła z parkingu za niebieskim BMW Connie. Potrzeba bliskiej przyjaźni nie powinna mijać z wiekiem.

Raptownie zateśniła do matki i do córki. Ale gdyby Elizabeth i Jessica były przy niej, czy zdołałaby którejś z nich się zwierzyć o przygodzie z Dickiem Barrettem?

Nie, nawet za milion lat nie.

Jestem bardzo samotna, pomyślała.

- Esty, patrz! - zawołała Jody z sali konferencyjnej. - Patrz, ile zgłoszeń! Nigdy dotąd nie było takiego zainteresowania!

Esty usiadła przy odrapanym dużym stole i zaczęła przeglądać fotografie.

- Każda sarta inne miasto? - zapytała. Chwiejnie wznosiło się na stole sześć wysokich stert.

- Wszystkie obywatelki reagują - powiedział Sąueech, drapiąc się w głowę i podsuwając okulary na nosie. - To dla mnie niepojęte. Czy przystoi kobiecie obecnej doby zmieniać swojego mężczyznę w obiekt seksu?

- Przecież nie chodzi tylko o seks - zaprotestowała Jody. - Chodzi o... ideał mężczyzny. Dlatego się go kocha. Sąueech, jesteś cyniczny.

- I dumny ze swojego cynizmu - dodał. - I zanadto zajęty jak na takie...

- Na takie...? - Esty spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Na takie ogórki - spuścił z tonu. - Może jestem cynikiem, ale też jestem poważnym reporterem. Chciałbym dostać nagrodę. Ale za poważne dziennikarstwo, a nie jakieś fiu bździu.
- Nasze fiu bździu oznacza zwiększenie nakładu. Sprzedaż. Popularność - powiedziała Jody. - Służymy społeczności. I w ogóle.
- Sąueech westchnął i wyszedł z sali.
- Może przemawia przeze mnie zazdrość - powiedział, odwracając się za drzwiami. - Żadna mnie na ten konkurs nie zgłosiła.
- Esty zauważyła jego mrugnięcie, ale Jody spłonęła rumieńcem.
- To tylko dlatego, że ciebie nie można, bo pracujesz tutaj...
- Zda mi się, że coś kręcisz, pani - doleciały jego słowa z hallu.
- Myślisz, Esty, że naprawdę jest urażony? - zapytała Jody. Esty roześmiała się.
- Ależ skąd! On się przekomarza. No, Jody, co robimy dalej? Trzeba informować o tym konkursie. Chcesz to pisać? Jody chciała.
- Ale najważniejsze będzie - powiedziała - zaplanowanie uroczystego finału, jak Sąueech mówi, koronacji. - Może trafnie?
- Wiem, nawet lubię takie kicze. Ale korona ze złotego papieru... szata z niby gronostajów...
- Nie rozpędzajmy się. Może czapka baseballowa z jakimś napisem...
- To bardzo umiarkowane.
- Jak my tego zwycięzcę nazwiemy?
- Pogłowię się nad tym - powiedziała Jody. - I myślę, że wybory powinny się odbyć w Sali Towarzystwa Popierania Rolnictwa.
- W którym mieście?
- Właśnie nie wiem. Więc może lepiej w college'u hrabstwa. Ładna aula.
- Wy decydujcie - powiedziała Esty. - W tym tygodniu mam mnóstwo roboty. Czy materiały do rubryk już wpłynęły?

- Ten facet, który pisze o restauracjach, przysłał dziś rano aż trzy kawałki. Wyjeżdża na dwutygodniowy urlop.
- Sumienność rzeczywiście chwalebna - stwierdziła Esty. - A inni?
- Wszyscy już dali. Rubryka doktora Sweeta jest fantastyczna. On jest fantastyczny. Zgodził się pisać dwa razy w miesiącu.

Esty się ucieszyła.

- Słyszałam, że Mary prosiła go od lat i wcale się do tego nie zabierał. Pozyskałaś go, Jody. Brawo. Tylko pilnuj, żeby w tym wytrwał.

Esty na dobre się zadomowiła w redakcji „Nowin Cumberland”. Potrafiła rozłożyć pracę sobie i personelowi, tak żeby całonocne dyżury przed oddaniem numeru do druku już nie były strasznie gorączkowe. Z Jimem i Mary spotykała się codziennie, z Mary kłóciła się czasami o sprawy redakcyjne, po czym prawie zawsze zdawała sobie sprawę, że to Mary ma rację. Dwa wieczory spędziła na zebraniach rady miejskiej. W środę jadła obiad z kapitanem ochotniczego oddziału niesienia pierwszej pomocy. Podczas jednego popołudnia towarzyszyła Squeechowi, gdy zatrzymywał ludzi na głównej ulicy i zadawał im Pytanie Tygodnia. Squeech sfotografował ją przy kupowaniu kotletów jagnięcych u nowego rzeźnika, ale nie pozwoliła tego zdjęcia zamieścić w gazecie.

- Redaktorzy mają być niewidoczni - powiedziała mu. - Tak mawiał Maxwell Perkins.

- Kto to jest? - zapytał Squeech.

Esty go oświeciła, ale i tak oczy miał szkliste.

- Co ty czytasz dla przyjemności, Squeech? - zapytała.

- Czyli poza „Nowinami Cumberland”?

- Tak.

- Fantastykę naukową. Biografie wojskowych, komiksy. A bo co?

- Komiksy? Nigdy nie czytałam żadnego. Myślisz, że dużo ludzi tutaj lubi komiksy?

Squeech potrząsnął głową.

- Nie. To dla wtajemniczonych. Trzeba... trochę się w tym rozsmakować. Pożyczyć ci komiks, Esty? Chcesz spróbować?

- Powiem ci, czego chcę, Squeech. Dasz mi dwa. Przeczytam je, a potem napiszemy o komiksach. Ty jesteś nauczycielem, ja jestem uczennicą. Może moglibyśmy napisać szereg takich artykułów o książkach różnego rodzaju...

- Dlaczego tylko o książkach? Może wykład o jakimś sporcie? O hokeju, powiedzmy, czy o baseballu?

- Spisz tematy. Zainteresuj Wally'ego. Ale najpierw niech będzie o komiksie, powieści rysunkowej. Podrzucić dwa komiksy na moje biurko.

Esty zostawiła Squeecha w sali konferencyjnej i wróciła na górę do swojego gabinetu. Ze Skrzyni naprzeciwko buchała przez otwarte okna głośna muzyka. Ładna dziewczyna w szortach i staniku wieszła uprane prześcieradła na sznurze, klamry do wieszania trzymając w ustach. Z pierwszego piętra dolatywały śmiechy, szczekanie psa, łoskot, gdy ktoś coś upuścił, i wymamrotany, ale dobitny epitet. Esty się uśmiechnęła. Kochała tę pracę, lubiła tych ludzi, szczególnie trójkę reporterów i gburowatą Angelę z jej awersją do średników. Kochała swój dom i Hildy'ego Johnsona i całe to miasteczko, gdzie z każdym dniem coraz więcej osób witało ją podniesieniem ręki i mówiło jej po imieniu. Z wdzięcznością myślała o Connie, za której namową tu się przeprowadziła. To było w stu procentach słuszne. No, w dziewięćdziesięciu procentach. Gdy zrobiła sobie przerwę w pracy i rozparła się przy biurku, nagle niepokój wrócił. Jak traktować Dicka Barretta, żeby nie wpakować się w kłopoty? Czy wizyta u Hanka Morrisona nie sprawi, że zerwie się tama jej żałoby, taka jaką zbudowała przeniesieniem fotografii Erika z szafki przy łóżku na stolik w saloniku między fotografie innych bliskich. Położyła głowę na biurku, przymknęła oczy. Wspomnienia znów się nasuwały, ale czarno-białe, nie w technikolorze jak dawniej. Już nie boli ta żałoba, nawet nie ćmi, tylko przypomina się jak dawny ból. Ale och! tak bardzo Erika kochałam i on tak bardzo kochał mnie i och,

cudownie byłoby iść z nim przez życie, cudownie dla Jessiki byłoby mieć ojca... Wyprostowała się.

- Dość! - powiedziała sobie głośno.

Usłyszała kroki na schodach i zaraz ciche pukanie do jej otwartych drzwi. Spojrzała. Do gabinetu wszedł Dick Barrett. W garniturze z kory i w muszce. Zupełnie jakby przed chwilą śpiewał w męskim zespole wokalnym.

- Oblicze pani jest czerwone, pani redaktor - powiedział. Bez zaproszenia usiadł na krześle gościnnym. - Może ma pani grzeszne myśli? - Wręczył jej brunatną kopertę. - Nie zadawaj sobie fatygi, żeby na to odpowiedzieć. Ufam, że są to takie same grzeszne myśli, jak moje. - Poruszył komicznie brwiami.

Wbrew sobie Esty się uśmiechnęła.

- Twój artykuł? - zapytała biorąc kopertę. - Myślałam, że zawsze zostawiasz w druciaku na dole.

- Punkt dla ciebie.

- I myślałam, że piszesz tylko raz na miesiąc. Spowszedniejesz, jeżeli będziesz się wystawiał zbyt często.

- Chciałbym wystawić się teraz - szepnął. Wstała.

- Dziękuję, że wstąpiłeś - powiedziała raczej za głośno. Czowała, jak szyja ją pali. Rozgniewała się na siebie. Dlaczego jego bezceremonialność, jego prostactwo tak ją podnieca? Powinna być mądrzejsza. Odprowadziła go do drzwi gabinetu.

- Czy mogę zaprosić cię na kolację dzisiaj? - zapytał też raczej za głośno.

Cofnęła się od drzwi. Za nic nie chciała, żeby wszyscy w redakcji wiedzieli, że się z nim widuje.

Przecież ja się z nim nie widuję! Owszem, widzisz się z nim. Owszem, widuję się. Niech to diabli!

- Dzisiaj nie mam czasu, Dick. Niestety - powiedziała i pożałowała tego natychmiast. Mam siedzieć w domu, kiedy mogę wyjść i dobrze się bawić?

- W porządku, jest następna propozycja - powiedział już ciszej. - W piątek jesienne zrównanie dnia z nocą, więc tańce w klubie. Mogę cię tam zabrać?

- Dick, przypadkiem wiem, że są w tym klubie przepisy. Nie można wprowadzać tego samego gościa częściej niż dwa razy w sezonie.

- To latem. Sezon się skończył. Mogę wprowadzać, kogo chcę. Zgódź się. Wszyscy tam będą.

Esty wahała się. Będzie wyczerpana po oddaniu gazety do druku. Sobotę już ma zajęta. Zamierzała w piątek posprzątać w domu, zrobić ostateczny porządek z książkami...

- Przyjadę po ciebie o siódmej - powiedział Dick i ruszył do schodów, nie czekając na odpowiedź.

Jaką to sprawi różnicę? - zadała sobie pytanie. Zresztą i tak bym się zgodziła.

Ale w piątek po południu Esty nie miała pewności, czy powinna tę propozycję przyjąć. Dick Barrett ją osaczał, w dziwnych porach wpadał do redakcji pod takim czy innym pretekstem. Angela to komentowała. Esty zareagowała na te komentarze dosyć gwałtownie i zaraz zrobiło jej się przykro. Artykuł Dicka Barretta był okropny. Napracowała się, powycinała prawie wszystko, ale ostatecznie stwierdziła, że długi czy krótki nie będzie ani trochę lepszy. Bo po prostu nie ma sensu. Podejrzewała, że Dick pisze nie to, co myśli, tylko to, co w jego mniemaniu chcą czytać jego wyborcy. Tym razem napisał na temat zgoła niedrażliwy - o parkowaniu samochodów. Za duży jest ruch na trasie przelotowej, trudno znaleźć miejsce, żeby samochód zostawić, to odpędza klientów od sklepów, wolą kupować na deptaku. Co do tego miał rację, ale po co zachwala liczniki parkowania, chociaż chyba wie, że w Edgeville nie mogą się sprawdzić. Takie liczniki dobre są w dużych miastach. Ludzie w małych miasteczkach nigdy się nie pogodzą z koniecznością wybiegania raz po raz ze sklepów, pamiętania, że trzeba wrzucić dziesięciocentówkę do licznika. I dlaczego ani słowem nie wspomniał o innym projekcie, jaki rozważa rada miejska - o zbudowaniu dużego parkingu niedaleko ulicy Kongresu. Wzmianka o tym jeszcze by nadała temu przelewaniu z pustego w próżne jakiś sens.

W ostatniej chwili Esty zdecydowała się odrzucić ten artykuł. Wieczorem będzie musiała powiedzieć to Dickowi.

O szóstej wzięła prysznic i włożyła kusą bawełnianą sukienkę w kwiaty z bolerkiem. Przejrzała się w dużym lustrze w sypialni. Absolutne nieporozumienie. Zdjęła tę sukienkę i przymierzyła chłopską białą bluzkę z dekoltem w łódkę i długą, szeroką, kraciastą spódnicę. Sandały. O wiele lepiej. Przeszła się po sypialni. Dlaczego jest taka zdenerwowana? Przecież postanowiła, że już nie pójdzie z Dickiem Barrettem do łóżka. W niedzielny wieczór to był przypadek, błąd, rezultat zmęczenia po biegu, stresu po wyprawieniu Hanka do szpitala, no i za dużo wypła alkoholu. Wezmę się w karby, przyrzekła sobie. Ale rozwaga uleciała przez okno, gdy Dick wkroczył do domu bez pukania, podniósł Hildy'ego z dywanu i powitał ją mocnym uściskiem. Kociak wił się, po czym - już spokojny - zaczął mruczeć. Dick nie wypuszczał jej z objęć, chwiał się z nią z boku na bok. Wbrew sobie zachichotała.

- Czy to będzie nasza przyzwoitka? - W końcu odebrała mu kociaka i postawiła na podłodze. - Jak dotąd, nie spisuje się dobrze.

- Właśnie dlatego taką przyzwoitkę zaangażowałem - powiedział i nagle ją pocałował.

Poczuła, że się trzęsie. Walczyła ze sobą, żeby go nie objąć. Sromotnie przegrała tę walkę. Całował ją długo i przestał tak raptownie jak zaczął. Opuścił ręce, patrzył na nią, z wolna jedną rękę podniósł i pogłaskał ją po włosach. Czując mrowienie ust od jego pocałunków, po prostu nie mogła się nie uśmiechnąć.

Odszedł od niej, pochylił się nad stolikiem. Przyjrzał się fotografiom w ramkach.

- Kto to jest? - zapytał. - Niezła babka.

- To babka to Jessica, moja córka - powiedziała Esty. Zagwizdał. Postawił fotografię Jessiki, wziął fotografię Erika.

- A ten rycerzyk?

- Mój mąż - powiedziała. - Poległ w Wietnamie. Zaraz po narodzinach Jessiki.

- Przepraszam. - Postawił tę fotografię.

Miała kulę w gardle. Sięgnęła po Hildy'ego. Przytuliła kociaka, ukryła twarz w czarnym futerku. Nie, łez nie będzie. - Esty - powiedział Dick.

Opanowała się, postawiła kociaka na podłodze.

- Słucham.

- Bardzo chcesz pojechać na tę zabawę?

- Nie za bardzo. To był twój pomysł. Więc o co chodzi?

- O to, że mam tego klubu dosyć.

- Obawiasz się, co ludzie powiedzą?

- Nie, nie - zaprzeczył zbyt prędko. - Dlaczego miałbym się obawiać?

- Tak tylko się zastanawiam. Myślałam, że ci zależy...

- Może darujmy sobie balowanie, kupmy stek albo rybę. Ja upiekę na rożnie i popatrzymy na film.

Wypożyczyłem parę dobrych filmów.

A potem pójdziemy do łóżka? Esty myślała szybko. Jak wyplątać się z tego z gracją, nie obrażając go?

- Mam lepszy pomysł - powiedziała. - Kompromis. Tym razem ja zrobię coś do jedzenia. I popatrzymy tutaj na film *Kolacja u André*. - Widziałem to.

- Ja także. Więc zobaczymy to znowu. A po filmie wyproszę cię stąd. Raczej wcześniej.

- Wyprosisz mnie? Przytaknęła. - Tym razem krótki przyjacielski wieczór. Jestem zmordowana, Dick, ja... - Jeszcze przed chwilą nie wydawałaś się zmordowana.

- Bo całujesz bardzo przekonująco.

Napuszył się, chociaż zachował na twarzy wyraz rozczarowania.

- Usiądź - powiedziała. - Przyniosę coś mocnego. Wypijesz i powiem ci niedobłą wiadomość.

Usiadł. Poszła do kuchni, jakoś strasznie zawiedziona. Ale wyłożyła swój plan, musi się tego trzymać.

Już żałowała. No, ale cóż. Napęłniła dwie szklanki wódką z tonikiem, chwyciła trójkąt sera i krakersy i wróciła do Dicka.

- Mam kotlety jagnięce - oznajmiła.

- Skrop je trochę saletrą - doradził.
- To dobrze, że zgodziłeś się na wieczór celibatu - powiedziała z uśmiechem. - Miła jest taka zgodność. - Usiadła, podwinęła nogi pod siebie i popijała wódkę z tonikiem. On nadal był naburmuszony. Może trzeba, żeby naburmuszył się jeszcze bardziej?
- A więc - powiedziała - co do twojego artykułu...
- Ta niedobra wiadomość?
- Tak. Odrzucony.
- Nie możesz mi tego zrobić!
- Mogę. Dla twojego własnego dobra, Dick. Nie przemyślałeś go. Żadne redagowanie nie pomoże. Tylko sobie zaszkodzisz, jeżeli będziesz głosił takie rzeczy. Artykuł wstępny to przemowa z podium. A ty siedziałeś na płocie. Odstawił szklanę. Pochylił się ku Esty.
- Czy dlatego nosisz pas cnoty? Bez słowa patrzyła na niego.
- Wybacz, nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. - Mam nadzieję, że nie chciałeś.
- Chyba odzywa się we mnie autorska duma.
- Chyba się odzywa. Słuchaj, przecież nic złego się nie stało. Napiszesz nowy artykuł w przyszłym tygodniu. I nie spiesz się z tym. Ludzie rzeczywiście czytają artykuły wstępne. To i listy do redakcji. Chętniej niż cokolwiek innego.
- Zapewne mam ci podziękować?
- Podziękowanie byłoby przegięciem za daleko w drugą stronę. Przykro mi, Dick. Staralam się twój artykuł poprawić. Przez chwilę siedzieli w milczeniu patrząc, jak cienie na trawniku się wydłużają. Hildy z brzuszkiem przy ziemi przemknął się w krzaki. - Nie zginie? - zapytał Dick.
- Wróci - powiedziała Esty. - Chcesz coś na osłodę? Poszedł za nią do kuchni. Włożyła do mikrofalówki dwa duże kartofle. Wzięła z lodówki dwa pomidory i avocado.
- Dick napełnił szklanki. Usiadł przy kuchennym stole, opierając nogi na drugim krześle.
- Nie lada z ciebie kobieta, pani redaktor - powiedział.

Esty wycisnęła na kotlety sok z cytryny, wsunęła je do piecyka.

- Czy dlatego, że odrzuciłam twój artykuł?

- Nie. To nie ma nic do rzeczy. Po prostu... nie lada.

- No - powiedziała. - Dziękuję. Przypuśćmy.

- Opowiedz mi o sobie.

Może, pomyślała Esty, powinniśmy ostatecznie pojechać do klubu. Przecież nie zdołam podtrzymać rozmowy. - Mam czterdzieści osiem lat... Zamrugął.

- Nie...

- Tak. Jessica, moja córka, ma dwadzieścia osiem. Mieszka w Teksasie, prowadzi praktykę adwokacką. Moja matka, Elizabeth, ma siedemdziesiąt lat i mieszka w Massachusetts.

- Czyli już znam wiek was wszystkich - powiedział. - Więcej o tobie, proszę.

Esty zdała mu szybką relację ze swojego życia w Teksasie, ze swojej pracy w mieście Galena. I dodała, że przeniosła się z powrotem na Wschód za radą Connie. Sprawę Jacka pominęła.

- Coś opuściłaś - zauważył Dick.

Pokroiła już pomidory i avocado, sięgnęła po oliwę i cytrynę. Sok z cytryny zapiekł ją w palec, skaleczony ostrym brzegiem papieru. Possała ten palec. Pragnęła, żeby już było po kolacji. Pragnęła spokojnie odpocząć. W obecności Dicka Barretta traciła równowagę - zupełnie tak, jakby chodziła w szpilce na jednej nodze i w tenisówce na drugiej.

- Mówię, że coś opuściłaś - powtórzył. - W ciągu tych wszystkich lat już ani razu... nie wyszłaś za mąż? - Ani razu - odpowiedziała. - A ty się żeniłeś? - Nie.

- Opowiedz mi o sobie. - Miała nadzieję, że on me opowie. Nie opowiedział. Wstał, włączył radio, ofiarował się nakryć do stołu.

- Nie jesteś zbyt relaksowy - stwierdziła. - Usiądź spokojnie. Pozwól, że ja cię obsłużę.

- Nie potrafię usiedzieć w miejscu - powiedział. - Podrywa mnie. Kelly mówi, że... - Urwał.

- No, co mówi?

- Że mam rozlataną uwagę.

- Ja wiem, jak przyciągnąć twoją uwagę i zatrzymać - powiedziała prawie szeptem i ponieważ ugryzła się w język. Skąd to licho, ten demon w niej przycupnięty. Czepia się tego biednego Dicka Barretta, jak gdyby był Bóg wie czym!

Podszedł do niej bliżej.

- Powtórz - szepnął. Odeszła.

Jakoś przebrnęli przez następne dziesięć minut bez przypalenia kotletów, bez walki, bez wylądowania na podłodze. Muszę z tym skończyć, powiedziała sobie nad gotową kolacją.

Dick otworzył lodówkę jak właściciel i wyciągnął butelkę chardonnay. Odebrała mu ją i wstawiła do lodówki z powrotem.

- Spróbujmy to czerwone. - Przyniosła z barku butelkę miejscowego czerwonego wina. - Korkociąg jest w górnej szufladzie.

Mieli jeść na powietrzu. Gwizdnięciem przywołała Hildy'ego, patrzyła, jak kociak w podskokach biegnie do niej. Zapaliła dwie świece i usiadła.

- Zawieszenie broni? - siadając naprzeciwko niej, zapytał Dick.

- Zawieszenie broni - odpowiedziała z uśmiechem. Jeszcze godzina i odprawi go do domu. Jeżeli tylko zdoła

wytrwać w swoim postanowieniu.

Udało jej się. Poszedł sobie, miłosiernie usprawiedliwiając się zmęczeniem. Filmu nie oglądali. O dziesiątej była już w łóżku. Usiłowała czytać. Wstała, włączyła telewizor, popatrzyła na dziennik wieczorny. Czowała się okpiona, żałowała, że odprawiła Dicka Barretta. I cieszyła się, że go odprawiła. Była wyczerpana, ale nie chciało jej się spać. Gdybym mogła mieć kogoś do rozmowy! Ale kogo?

Takiego kogoś nie ma. Przelotnie pomyślała o Jacku, od którego dostała list. Zdumiewające, że myśli o nim tak mało. Po miesiącu, dwóch miesiącach nie powinna już o nim zapomnieć. No, ale nigdy nie kochała go naprawdę, tylko usiłowała go kochać! Ostatecznie wróciła do łóżka i wreszcie zasnęła. Przed samym zaśnięciem przyszło jej na myśl, że skrócenie tego wieczora to tylko zyskanie na czasie. Dick Barrett me odejdzie, chociaż może lepiej byłoby dla niej, gdyby odszedł. Dlaczego bliskie „znajomości” nie mogą być proste. Ale jedynym jej bliskim znajomym w tej chwili był kłębek biało-czarnego futerka mruczący u jej stóp.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Esty obudziła się wypoczęta. Szybko wzięła prysznic, chwyciła banana i jadła idąc do redakcji. Nie było samochodów na parkingu, w całej redakcji nikogo. Sprawdziła główną sekretarkę automatyczną za biurkiem Angeli. Nic. Miała przed sobą wolny weekend.

Jeszcze wstąpiła do piekarni na ulicy Kongresu, kupiła makaroniki z rodzynkami dla bliźniaczek, bochenek chleba siedmioziarnistego dla Hanka i wróciła do domu. Cudownie, że w Edgeville wszędzie można dojść pieszo. Czuła się już bardzo swojsko na tych popękanych, porośniętych gdzieśgdzie mniszkiem chodnikach małego miasteczka.

- Dobrze ci tutaj, Hildy? - zagadnęła kociaka, który czekał na nią przy drzwiach domu. - Myślę, że jesteś częściowo psem. - Pochyliła się i uszczypnęła go w ogonek zakręcony jak znak zapytania. Dała mu jeść, narzuciła na siebie sweter i wyruszyła w drogę do posiadłości Hanka Morrisona.

Jechała tam mniej więcej czterdzieści minut. Otworzyła wszystkie okna samochodu, wsunęła w magnetofon kasetę Franka Sinatry, łokieć oparła w otwartym oknie, zrzuciła z nóg sandały i prowadziła samochód boso. Drzewa ją pozdrawiały kolorami jesieni, puszyste białe obłoki sunęły po niebieskim niebie. Na stoku wzgórza stały rude i białe krowy, wszystkie zwrócone w jedną stronę. Boczna szosą zjeżdżał szereg rowerzystów zgiętych nad kierownicami, żywiołowo pędzących w dół po uciążliwym wjeżdżaniu na to wzgórze.

Bujała myślą. Dwa miesiące... i tyle zmian! Ten wczorajszy list od Jacka. Przeczytała go dopiero po odejściu Dicka Barretta. Ciekawe, że ten list wcale jej nie poruszył.

Brak mi ciebie - pisał Jack - myślę o Tobie bardzo często. Mieliśmy wiele dobrych chwil. Przez jakiś czas bytem rzeczywiście przygnębiony, ale życie zaczyna toczyć się dalej. Pamiętasz, jak powiedziałem, że nie jestem gotów spotykać się z żadną inną? Otóż teraz się spotykam. To znaczy, tylko się spotykam - nic poza tym. Jeszcze nie. Lynn timer staroświecka i ten jej dzieciak...

Aż zamrugła. Wiedziała, że Lynn timer staroświecka nie jest. A więc Lynn timer Hobart udaje, a głupi Jack tego nie widzi. Dlaczego mężczyźni są tacy tępi?

No co mnie to obchodzi? Jack już ruszył z miejsca. Napisał trochę - takie tam plotki - o ludziach, których prawie nie pamiętała, i zakończył list mnóstwem całusów i uścisków. Jutro, przysięgła sobie, zadzwonię do Jacka. Może potrafimy być przyjaciółmi. Na odległość. Wczoraj przed zaśnięciem zastanowiła się - szczerze, uczciwie - czy boli ją to, że Jacka utraciła. Nie boli. Pozostaje tylko lekka nostalgia, prawdziwa sympatia i nadzieja, że jeśli Jack da się złapać - o czym zresztą nie wątpiła - owa kobieta będzie jego godna.

Wczoraj też dostała przekazaną przez automatyczną sekretarkę wiadomość od Jessiki. Jessica rozmawiała z łabcią, wie

o Arcie Andersonie, uważa, że to cudowne i jak mama mogła nie mówić jej o tym! Bardzo chce poznać Artę i niech mama prędko zadzwoni do niej i powie więcej !

Esty nie kontaktowała się z matką od dwóch tygodni. Może powinny razem spędzić Boże Narodzenie w Seaview. Pojechałyby samochodem... Jessica by przyleciała z Dallas.

Czy może lepiej zaprosić matkę i Artę Andersona na Święto Dziękczynienia do Edgeville? Mogłoby zatrzymać się w gospodzie...

Zdumiona zdała sobie sprawę, że Frank Sinatra już nie śpiewa. Przewinęła kasetę i znów słuchała tych piosenek od początku. Kącikiem oka zobaczyła tablicę na granicy stanu. A więc wjechała do Connecticut. Teraz trzeba uważać na znaki drogowe.

Będziemy razem w Święto Dziękczynienia, pomyślała trochę jednak zaniepokojona. To za sześć tygodni. Przez sześć tygodni wiele może się zdarzyć. Wiele albo nic. W każdym jednak razie jej spostrzegawcza córka i jeszcze bardziej spostrzegawcza matka przejrzą ją na wskroś, głowę i serce, ledwie znajdują się w Edgeville.

Nowe życie, umysł i serce w stadium pierwszego szkicu - to nie nadaje się do rozpatrywania. Ale może nie będzie tak trudno, może skoncentrujemy się na „znajomości” Elizabeth z Artem Andersonem.

Zrobiło się Esty nieswojo. Oczywiście chciała, żeby matka była szczęśliwa, żeby nie była samotna. Ale jakkolwiek by rozumowała, jak tu sobie wyobrazić własną matkę z mężczyzną? Spróbowała sięgnąć po parę scenariuszy. Matka w kuchni gotuje swoją słynną zupę rybną, Art Anderson popija piwo przy kuchennym stole... Nie, przecież nie tak. Elizabeth czekałaby na niego z gotową kolacją, przebrałaby się w jakąś jedwabną szatę i popijałoby cocktaile we dwoje w saloniku albo latem na ganku...

Inna scena. Matka i Art Anderson jadą samochodem do kościoła w niedzielę rano. Wszyscy by się gapili? Uśmiechaliby się głupio? I czy oni we dwoje wstąpią po kościele do cukierni, jak dawniej mama z ojcem, żeby kupić lody waniliowe na niedzielny deser?

To również nie wydawało się realne. Ale następna scena była jeszcze gorsza. Matka rozbiera się do snu, nocna koszula jak mgiełka leży rozłożona na łóżku, a Art Anderson, prezes banku, śpiewa pod prysznicem, wynurza się w ręczniku zamotanym na biodrach i jego łysa głowa błyszczy...

Zboczyła raptownie, żeby nie przejechać królika kicającego w poprzek autostrady. Dość już takich obrazków Arta Andersona. Niech ja go widzę w trzyczęściowym garniturze z dewizką na kamizelce - tak, jak go pamiętam, powiedziała sobie.

Zwolniła i spojrzała na wskazówki, które wypisała drukowanymi literami, żeby łatwiej czytać prowadząc samochód. Jeszcze dwie mile i zjazd z autostrady. Uśmiechnęła się. Wyczekiwała tego dnia. Miło będzie porozmawiać z kimś, kogo się znało dawno temu, z kimś, z kim się ma trochę wspólnej wspaniałej historii - zawsze takiej więzi zazdrościła Connie i Alowi - posiedzieć i zwyczajnie pogawędzić z kimś bezpiecznym, z kimś bez zamiarów... och, z kimś, kto nie jest Dickiem Barrettem.

Nellie, Yvonne i dwa ostrowłose teriery czekały na nią u wylotu długiej alei wjazdowej. Dziewczynki siedziały na kamiennym murku i machały nogami. Zeskoczyły, gdy podjechała.

Yvonne podniosła kciuk klasycznym gestem autostopowicza, Nellie po prostu otworzyła tylne drzwiczki samochodu i wsiadła.

Yvonne usadowiła się na przednim siedzeniu.

- Ty wygrałaś - powiedziała przez ramię. - Jestem ci winna dwadzieścia pięć centów.

- O co zakład? - zapytała Esty, uważnie prowadząc samochód po dosyć pooranym żwirze. Z obu stron alei kwitły różnobarwne polne kwiaty.

Nellie na tylnym siedzeniu zepchnęła psy z kolan i parsknęła śmiechem.

- O to, czy pani przyjedzie punktualnie - odpowiedziała. - Yvonne mówiła, że pani się spóźni.

- Wszystkie bogdanki taty się spóźniają - powiedziała Yvonne.

Nellie syknęła, Esty spojrzała na Yvonne surowo.

- Może dlatego przegrałaś zakład - powiedziała. - Zapomniałaś, że ja nie jestem bogdanką. - Usłyszała swój ostry ton i już była zła na siebie, widząc jak Yvonne się rumieni.

- Ja tak nie myślałam - bąknęła Yvonne. - My zawsze się zakładamy. - Przesunęła się na siedzeniu, odgarnęła grzywkę z czoła. - Zwykle ja wygrywam. - Spojrzeniem przez ramię zasztyletowała swoją bliźniaczkę. - Przepraszam - powiedziała Nellie cicho. - Nie chciałam zacząć o bogdankach. I tatuś wcale nie... - Tylko pogarszasz - dobitnie upomniała ją Yvonne, teraz świętoszka.

Esty poklepała Yvonne po ręce.

- Stare przyjaciółki zawsze mogą sobie troszkę podokuczać. Jak się czuje wasz tatuś?

Yvonne jęknęła.

- Usługujemy mu na czworakach - powiedziała.

- Właściwie nawet jest zabawnie - powiedziała Nellie. - Gramy dużo w karty i jadamy na tacach na werandzie. On dosyć łagodnieje.

- Czasami - zaznaczyła Yvonne.

Zatrzymały się na podjeździe. Nellie otworzyła drzwiczki, wypuściła psy i wysiadła. Yvonne zaczekała, aż Esty schowa do torebki kluczyki.

- Mamy zabrać panią na obchód przed obiadem - oznajmiła.

- I - dodała Nellie - mamy panią zapytać, czy pani nie chce najpierw się odświeżyć.

- No tak - potwierdziła Yvonne i spojrzała na nią spode łba. Esty się roześmiała.

- Chętnie pójdę na obchód i odświeżę się później. Dziewczynki wzięły ją między siebie i poprowadziły - przez

łąkę do kołowrotowej furtki i za furtkę na drugą łąkę zdającą się rozciągać całe mile ku linii drzew.

Skreśliły na wąską ścieżkę, a potem w zaułek, który tworzyły sosny, i wyszły - chyba cudem,

pomyślała Esty - nad staw, ten staw widoczny z alei wjazdowej. Spośród krzaków róż wysuwało się proste drewniane molo, uwiązana przy molo kołysała się na wodzie zielona łódka. Nie opodal stała nieduża szopa z szeregiem haków wbitych w ściany.

- To na kostiumy kąpielowe - powiedziała Yvonne. - Możemy się tam przebierać. I kio jest także. Ale lato się skończyło, niestety. Teraz tam mieszkają pająki.

Yvonne pociągnęła ją dalej.

- Mamy obejść cały staw naokoło. Tatuś kazał. Żeby pani zobaczyła cienie na wodzie pod każdym kątem. To znaczy, jeżeli pani chce.

Esty powiedziała, że chce. Szły wpadając na siebie, bo ścieżka była za wąska dla dwóch osób, a cóż dopiero trzech. **W** połowie tej okólnej drogi stała nad stawem ławka.

- Tutaj babcia siedzi, kiedy przyjeżdża - powiedziała Nellie. - Siedzi przez cały dzień. Szalenie lubi.

- Rozumiem ją. - To piękne odosobnione miejsce, gdzie nikt z zewnątrz nie może przebywać bez zaproszenia, towarzystwo tych przemyłych płowowłosych dziewczynek i ich podskakujących terierów

- teraz oba pływały w stawie - sprawiło, że Esty ogarnęło uczucie pogodnego spokoju bliskie euforii.

Gdy znalazły się znów przy molo, Nellie zapytała:

- Ma pani dosyć?

Esty powiedziała, że nie. Bliźniaczki chwyciły ją za ręce i pociągnęły, żeby z nimi pobiegła inną długą ścieżką na wzgórze. Tam skręciły między drzewa. Teraz pod stopami słał się dywan z brunatnych igieł sosnowych. Było chłodno, słońce przenikało tylko migotliwymi plamkami. Stały cicho jak Indianie, aż wyszły na małą okrągłą polankę z jamą do gotowania pośrodku i z nie heblowanym stołem i ławkami. **Z** wysokiego konaru sosny zwisała na linie stara opona samochodowa. Esty się rozglądała, dziewczynki patrzyły na nią, ciekawe reakcji.

- To jest nasza kryjówka - powiedziała Nellie.

- Mamie nigdy nie mówiłyśmy o tym - dodała Yvonne. Odczytały w oczach Esty pytanie.

- Bo mama nie znosi owadów - wyjaśniła Yvonne. - Nigdy nie chciała jeździć na pikniki.

- Ale tatuś nas zabierał, kiedy byłyśmy małe - powiedziała Nellie. - Gotowaliśmy parówki i w ogóle. Ale musieliśmy wracać punktualnie na jego kolację z mamą. Mama nie lubiła, kiedy się spóźniał.

Wirginia Morrison zaczynała się wydawać jeszcze gorsza niż potwór, za jakiego Esty ją uważała. Że też Hank ożenił się z taką straszną dziewczyną! Przecież mógł mieć każdą, którą by chciał.

- Przestań! - Yvonne skarciła siostrę. - Zanudzimy panią. I już czas wracać.

Wróciły do domu ścieżką jeszcze inną i jeszcze dłuższą. Gdy wyszły z za drzew, Esty miała wrażenie, że dom stoi nie tam, gdzie powinien stać. Jak mogło jej się tak pokręcić?

Nellie zauważyła jej zdumienie.

- U nas można zabłądzić - powiedziała. - Nawet my czasami błądzimy. Tatuś specjalnie kazał zrobić te wszystkie ścieżki. Lubi zawracać ludziom w głowach.

Podeszły do domu od tyłu i Esty zobaczyła warzywnik - pulchne, ciężkie na gałązkach, czerwone wprost grzesznie pomidory, ogromne głowy kapusty i kalafiorów, dynie. Weszły kuchennymi drzwiami i Yvonne zaprowadziła Esty do kuchennej łazienki.

- Teraz może pani się odświeżyć - powiedziała.

Esty umyła twarz, umalowała usta i rozejrzała się w tym pokoiku. Któż zaprojektowałby taką łazienkę - i to na wsi? Tapeta w kwiatki z kontrastującym kłaczkowym szlakiem w kratkę. Klozet i umywalnia ciemnokasztanowe, krany złote w kształcie delfinów, płynne mydło mieniące się tęczo w kryształowym naczyniu. Ręczniki były z grubego płótna z aplikowanym monogramem. Wytarła ręce i porządnie powiesiła ręcznik z powrotem na złotym drążku. Na podłodze leżał dywan przymocowany, żeby się nie ślizgał, na suficie niebieskim jak niebo wychylał się pomiędzy dwóch namalowanych obłoków również finezyjnie namalowany cherubin. No, pomyślała, przynajmniej ktoś miał poczucie humoru. To jest tak okropne, że aż cudowne.

Wyszła z łazienki i usłyszała wołanie:

- Esty!

Poszła więc tam, skąd dolatywało. Na frontowej werandzie siedział majestatycznie Hank Morrison z ogromnym gipsem opartym na drugim leżaku. U jego boków stały okrągłe stoliki, na których piętrzyły się książki i gazety. Stopy miał bosc.

Bardzo ładne. Z podziwem zagapiła się na nie, zanim podniosła wzrok na jego twarz.

- Ahoj, Est - powiedział. - Wstałbym, ale...

Usiadła w czarnym fotelu z łoziny. Od razu dostała wysoką szklankę mrożonej herbaty z miętą i zobaczyła przed sobą na podsuniętej paterze maleńkie herbatniczki. Wzięła dwa.

- Używaj sobie - powiedział Hank. - Nikt się nie oprze herbatnikom Hetty.

- Nasza gosposia - wyjaśniła Nellie - jest z Południa. Dlatego mamy szynkę zawsze pokrajaną cieniusieńko. - Ale prosiła, żeby pani teraz nie jadła za dużo - włączyła się Yvonne. - Bo mogłaby pani stracić apetyt na obiad.

- Nie ma obawy - powiedział Hank. - Pani Foster, jeżeli zanadto się nie zmieniła przez te lata, ma nieustannie wielki apetyt.

Esty roześmiała się i zjadła jeszcze dwa herbatniczki.

- Przypomniało ci się - powiedziała.

- Przypomina mi się więcej, niż myślisz. Czasami więcej niż bym chciał. Esty, dobrze wyglądasz. Tych lat prawie nie widać. Chyba wyładniałaś.

- Czy nosisz dobre okulary?

- Dobre.

Esty spojrzała na bliźniaczki. Stały przy balustradzie werandy i patrzyły na ojca i na nią, jakby widziały ich oboje po raz pierwszy. Hank to zauważył.

- Bądź jagniątkiem - powiedział - poproś Hetty, żeby nam podała napitki.

- Tatusiu, jest dopiero... - Nellie zerknęła na swój zegarek - za dziesięć dwunasta.

- Słońce, mój skarbie, stoi gdzieś nad żaglem. I upał taki, a ja godzinami czekałem na was, trzy nadobne damy, abyście przyszły umilić mi czas...

- Ty idź - mruknęła Nellie. - Powiedział: jagniątko. To ty. - Nie, ty!

Poszły we dwie chichocząc.

- Est - Hank wyciągnął rękę. - Przysuń się z fotelem bliżej. O, tak właśnie. I teraz mów, jak się czujesz.

Wzrok miał badawczy i Esty wiedziała, że on pyta: czy przebolełaś Erika?

- Czuję się doskonale - odpowiedziała. - Jak nigdy. Przeprowadzka w te strony była moim najmądrzejszym posunięciem. Myślę, że jestem gotowa... rozpocząć nowe życie.

- Ja cię zawiodłem - powiedział Hank. - Po prostu wyniosłem się wtedy, gdy rzeczywiście potrzebowałaś przyjaciół. Esty, od lat mi przykro z tego powodu. Naprawdę przykro.

- Brakowało mi ciebie, Hank. Ale niech ci nie będzie przykro. Mój dawny szef mawiał: dziewczyna radzi sobie tak, jak musi. - Podżegacz - stwierdził Hank.

Spojrzał na drzwi, jak gdyby podejrzewał, że bliźniaczki podsłuchują.

- To cudowne dziewczynki - powiedziała Esty. - Zabrały mnie na taki miły obchód. Z pewnością niełatwo ci z nimi. - Owszem - przyznał. - Tym bardziej, że jestem chwiejny.

- Ale jak się to stało? Gdzie Quarry?

Hank wybuchnął niskim barytonowym śmiechem nieomal brzuchomówcy. Przy oczach miał zmarszczki. Patrząc, jak on się śmieje, pomyślała, że jest zadziwiająco przystojny. Zadziwiająco... pojętny. Uroczy mężczyzna. A na świecie produkcja uroczych mężczyzn już się skończyła. Z naszym pokoleniem wygaśnie ostatnie pokolenie takich właśnie - mądrych, dobrych, nie cynicznych. Takich jak Erie... - On od dawna nie jest Quarry - powiedział Hank. - Nie daj Boże, żeby cię przyłapał na wspomnianiu tego zdrobnienia. On teraz jest Deke. Deke Harrison. Rzeczywiście męskie imiona. - Zabrzmiało w tym trochę goryczy. - Ukończył prawo. Ma kancelarię adwokacką w Hartford. Pracował u mnie przez jakiś czas, ale... nie zgadzał się ze mną zbyt dobrze. Uważa mnie za kołtuna. Jest liberałem, chce ocalić świat.

- Chłopak w moim typie - powiedziała Esty.

- Nie. - Hank potrząsnął głową. - Nie w twoim typie. To nie idealista, optymista, chodząca dobroć jak Eric. On jest liberałem brutalnym. Hillary Clinton w męskim wydaniu.

Esty roześmiała się tak serdecznie, że prawie się zadławiła mrożoną herbatą. Już zapomniała, jak Hank potrafi mówić. On wyraźnie się ucieszył z jej śmiechu.

- Hej - powiedział. - Człowiek nie powinien obgadywać swojego syna. I pani Białego Domu. Kocham tego bachora, ale powinien w dużym stopniu zmięknąć.

Esty przypomniała sobie, jak Jessica znienawidziła małego Quarry'ego Morrisona. „On jest gnojek, mamo, nienawidzę go! Czyja muszę jeszcze kiedyś się z nim bawić?” - lamentowała Jessie. No i nie musiała.

- Z kolei - zapytał Hank - co słyhać u ślicznej Jessiki? Esty go poinformowała. Jessica też jest adwokatem, ale to do szpiku kości konserwatystka. Skąd się wzięła taka? Może bunt, czy może po prostu skutek dorastania w Teksasie. Przyjedzie wkrótce. Na Święto Dziękczynienia.

Wróciły dziewczynki. Przyniosły na tacy kieliszki, szklanki, butelkę sherry i dwie butelki imbirowego piwa. Yvonne napełniła szklanki i kieliszki. Nellie znów podała herbatniczki.

- Hetty mówi, że obiad będzie punkt o wpół do pierwszej i nie później, bo suflet klapnie - powiedziała.

- Poproście ją - polecił Hank - żeby podała tutaj. Na tamtym stole.

Nellie jęknęła, ale Yvonne pociągnęła ją za rękę z powrotem do domu.

- Zanim one wrócą - Hank pochylił się ku Esty - coś ci powiem. Virginia... moja żona... porzuciła mnie bardzo pochopnie... dla młodszego faceta. Poniekąd zrobił się skandal. Dziewczynki były dość duże, żeby się zorientować. Jest im ciężko. Bądź dla nich raczej pobłażliwa, Est. Chyba nie najlepiej uczę je dobrych manier...

To akurat nie było ważne. Esty spojrzała Hankowi w oczy, dobrotliwe, smutne. Czy ta rana jeszcze go boli?

- Virginia jest szczęśliwa? - zapytała. Rozłożył ręce.

- Jeśli nie, duma by jej nie pozwoliła tego przyznać. Oni mieszkają w Arizonie. Dziewczynki były u nich przez dwa tygodnie, ale nigdy o tej wizycie nie mówią.

- A ty? - zapytała Esty prawie szeptem.

- Ja? Szczęśliwy? - Hank łyknął sherry i w zamyśleniu popatrzył na swoje łąki. - Dochodzę do siebie. Ona była jak nałóg. Jestem na odwyku. I tobie mogę to powiedzieć. Dziwka.

Esty zastanowiła się nad tym. Hank zrażony do swego syna, pełen żalu do wiarołomnej żony i teraz z nogą złamaną. Mam szczęście, pomyślała. Mnie uwiera tylko jeden kolec - ten cholerny drań, Dick Barrett.

- Do czego się uśmiechasz? - zapytał Hank. - Znam taki twój uśmiech.

- Myślałam o czymś - odpowiedziała. - Boże, jak miło widzieć cię znowu.

- I mnie miło widzieć ciebie. Wy, dziewczyny, starzejecie się lepiej niż my. Ani trochę nie przytyłaś.

- Pochlebco. - Nagle poczuła skrepowanie. Są starymi przyjaciółmi, ale są także mężczyzną i kobietą. Hank w tej chwili to mężczyzna. Nie mogła nie widzieć jego szerokich barów pod jedwabistą bawełnianą koszulą, smukłości w pasie i - właśnie - tych ładnych stóp. Stopy na ogół bywają brzydkie, czyż nie? Dziewczynki wróciły i za nimi przyszła gospodyni - wysoka, grubokoścista w uniformie pokojówki, w wy krochmalonym białym fartuchu. Milcząc nakryła do stołu, postawiła pośrodku wazon z czerwonymi różami. Zabrała herbatniki i szklanki, przyniosła półmiski, butelkę wina w kubelku z lodem i ostatecznie wycofała się do kuchni.

- Obiad - zaanonsowała Nellie - podany.

- Stół jest za daleko - powiedział Hank. - Esty, pomóż im przesunąć. Nellie, proszę, daj mi tu moją deskę do pisania.

Nellie usłuchała, podniosła oparcie jego leżaka i gestem poprosiła Esty, żeby nałożyła suflet na talerze. Podała mu talerz, kieliszek do wina, szklankę do wody, salaterkę sałatki i kromkę francuskiej bułki. Potem one we trzy, Nellie, Yvonne i Esty, usiadły przy okrągłym stole, tak że wszystkie były zwrócone do Hanka.

W czasie obiadu dziewczynki opowiadały o szkole, o paskudnych chłopcach w klasie - takich kurduplach! - i o strasznej nauczycielce literatury angielskiej, która każe im czytać *Sędziwego Żeglarza*. Yvonne uraczyła Esty wrażeniami z letniego obozu - to był obóz koncentracyjny! - a Nellie wyjawiała, że marzy o tym, by zostać gwiazdą szkolnej bieżni. Hank promieniał, niech kobiety się nagadają, i jadł z apetytem. Przed

deserem spróbował zmienić pozycję swojej nogi w gipsie. Dziewczynki przyskoczyły, żeby mu pomóc, po czym znów usiadły przy stole. Hetty przyniosła makaroniki przywiezione przez Esty i czarki ze świeżymi malinami ze śmietaną. Gdy podała kawę, dziewczynki zapytały, czy mogą odejść.

- Mama Jill ma po nas przyjechać - powiedziała Yvonne.

Esty patrzyła, jak obie wiercą się niecierpliwie. Przypomniała sobie, że sama też nie cierpiała mówić matce, z kim idzie i dokąd, i o której wróci. Teraz mogła już te bliźniaczki rozróżnić. Wyglądają identycznie, ale są inne z usposobienia. Nellie jest spokojniejsza, rozważniejsza. Mniej bezpośrednia, być może. Gdy odeszły, usiadła przy Hanku.

- Podać ci coś? - zapytała. Zmarszczył brwi.

- Boże, do szalu mnie doprowadza to kalectwo. Ja powinienem tobie wszystko podawać. Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba.

- One są wspaniałe, te twoje córki - powiedziała.

- Owszem. Wiesz, Virginia nie chciała ich. Były jej pomyłką. Po Deke'u już nie chciała mieć dzieci.

- A ty chciałeś?

- Byłem uszczęśliwiony. Deke... oczywiście wtedy jeszcze Quarry... miał dwanaście lat, już wkroczył w fazę dystansowania się. Ginny była... wciąż czymś zajęta. Nie żyliśmy zbyt zgodnie. Myślałem, że nowe dziecko znów nas połączy. - Chyba nigdy tak nie jest - odpowiedziała Esty.

- No, ja żywiłem nadzieję. Ale ona źle znosiła tę ciężę. Bliźniaczki urodziły się przedwcześnie, musiały na kilka tygodni zostać w szpitalu. A kiedy przyjechały do domu...

Esty czekała. Hank znowu zapatrzył się gdzieś na łąki. Zanim zaczął mówić dalej, przybiegły teriery. Jeden wskoczył mu na kolana, drugi położył się u stóp Esty. Hank głaskał psa obiema rękami.

- Ona wcale... Nazywają to więzią?

- Niektórzy. Ja to nazywam po prostu „czuć się matką”.

- Ona wcale nie czuła się ich matką. Rzuciła się w wir swojej pracy charytatywnej, grała częściej w tenisa i... puszczała się.

- Przykre.

- Dla mnie bardzo. Nadal ją kochałem. Dlaczego? Bo ja wiem. Ona mnie nie kochała. Kochała jednak Quarry'ego. Tym bardziej zbliżali się do siebie, im bardziej myśmy się od siebie oddalali.

- Ale jeszcze byliście razem?

- Dopóki... dopóki Dekę nie ukończył studiów. Jak gdyby to było dla Virginii sygnałem, końcem naszego małżeństwa. Nie wiem, dlaczego. Po uroczystości rozdania dyplomów wróciliśmy do domu i od razu poprosiła mnie o rozwód.

- I ty się zgodziłeś?

- Nie. Sprzeciwiałem się. Zachowywałem się jak smarkacz. Nie ustawałem. Błagałem. Patrzyłabyś na to ze zgrozą. I Erie też.

Gdyby żył. Esty musiała dowiedzieć się wszystkiego. Przypuszczała, że Hank musi to wszystko komuś opowiedzieć.

- I co? - zapytała, żeby mówić.

- Była nieugięta. Powiedziała, że niczego ode mnie nie chce. Mogę zatrzymać dom, konto w banku... I bliźniaczki. - Nie chciała swoich córek? - Nie chciała.

- ... i nigdy nie pytała o nie?

- Ani razu. W tym roku po raz pierwszy je zaprosiła. Ta wizyta, o ile się orientuję, niezbyt się udała. One mi nie powiedzą. Bogu dzięki, że mają siebie nawzajem.

Przyglądała mu się. Wiedziała, że opowiadanie tego nie przychodzi mu łatwo. Ale miała już pewność, że on musi zrzucić z serca cały ten ciężar.

- Tak to więc - powiedział i umilkł na długą chwilę. - Co ja robiłem? Rozpamiętywałem ponuro.

Miałem pretensję do świata. Piłem za dużo. Nic dziwnego, że Dekę nie chciał być moim współnikiem.

Przez jakiś czas nikomu nie wydawałem się do rzeczy. Jednego tylko nie robiłem, nie łajdaczyłem się.

- Nie miałeś żadnych przyjaciółek? Parsknął krótkim gorzkim śmiechem.

- Żadnych szanujących się. Żadnej takiej, którą bym wprowadził na dobre do domu.

- Czy... czy to ci już minęło? - Esty natychmiast pojęła, jak bardzo głupie jest jej pytanie. Czy ból utraty kiedykolwiek mija?

- W sporym stopniu - odpowiedział Hank. - Tej wiosny. Zredukowałem spożycie alkoholu. Przystałem się nad sobą litować. Kandyduję do legislatury stanowej i myślę, że wygram.

- Poważnie?! - wykrzyknęła Esty. - To wspaniale! Connie też będzie kandydować.

Przez kilka minut była mowa o Connie i Alu. Esty zainteresowała Hanka wiadomościami o nich i postanowili, że wkrótce wszyscy się spotkają. Ale Hank miał więcej do powiedzenia o sobie.

- I widzisz - zaczął znowu - ledwie wynurzyłem głowę nad wodę, walnąłem nią w asfalt. Ten wypadek trochę mną wstrząsnął. W kancelarii wprost katastrofa, tyle mam ważnych spraw. Ale... - uśmiechnął się do niej przelotnie, nieśmiało - coś zyskałem.

Poczuła, że się rumieni. Dlaczego?

- I ty wiesz, co. Ten wypadek przywrócił cię w moje życie. Esty, brakowało mi ciebie. Erie był moim najserdeczniejszym przyjacielem. Mężczyznom trudno się przyjaźnić. Taka przyjaźń nie zdarza się często. Utrata Erika była dla mnie ciężkim ciosem. Cięższym chyba niż utrata Virginii.

- Wiem - powiedziała. - Byłeś dla niego kimś szczególnym.

- Ale czy... czy dobrze, że o nim mówimy? Jesteś pewna? Przytaknęła.

- Potrzebuję tego. Nie mam z kim o nim rozmawiać. Tak długo byłem... daleko od domu. Moja matka, jeśli o nim wspomina, to tylko wtedy, gdy mnie namawia, żebym sobie znalazła nowego męża.

- Jak wszystkie matki.

- Hank, on był... czarodziejski. Aż trudno go określić.

- Jednak nie przesadzaj, Est. Nie obwołuj go świętym. On święty nie był. Możesz mi wierzyć.

Esty się zjeżyła.

- Był święty, oczywiście.

- W porządku - powiedział Hank. - Takie rozmowy są jak martini. Dobre od czasu do czasu, byle nie co wieczór.

- Eric bardzo lubił martini.

- Titini. Pamiętasz, tak martini nazywał.

Rozciągnął się łańcuch wspomnień, ogniwo po ogniwie. Dwoje starych przyjaciół opowiadało na zmianę historyjki z czasów, gdy Erie zalecał się do Esty, z ich ślubu i z wesela i z odwiedzin Hanka u nich w Teksasie przed samym wyjazdem Erika do Wietnamu. Hank przyjechał wtedy bez żony, we troje poszli na długi, długi spacer i zaśmiewali się do łez. I zaraz potem Erie...

Później wspomnieli ostatni pobyt Hanka w Dallas, w kilka lat po śmierci Erika.

- Właściwie kiedy to było? - zapytał Hank. Esty wiedziała.

- Jessie miała sześć lat. Przywiozłeś Quarry'ego. Pamiętasz, myśleliśmy, że będą ze sobą ładnie się bawić, kiedy my będziemy rozmawiać.

- A tymczasem od razu się znienawidzili - powiedział Hank. - Twoja śliczna córeczka nazwała mojego syna... - Zapomnijmy o tym - przerwała mu Esty. - Proszę.

- Dobrze. Jeżeli ty zapomnisz, co mój syn jej zrobił.

- Naprawdę nie pamiętam. Co?

- Rysowali kredkami obrazki. Jak możesz nie pamiętać? Jessica była bardzo z siebie dumna, bo narysowała psa, a Quarry wziął brązową kredkę i cały jej ten obrazek zamazał.

Esty zupełnie o tym zapomniała. Pamiętała tylko wyraz twarzyczki Quarry'ego, włosy ostrzyżone za krótko i jego zaciśnięte pięści. Miała nadzieję, że z wiekiem stał się sympatyczniejszy, niż się zapowiadał. - Ja... wtedy nie powiedziałem ci wszystkiego, co chciałem powiedzieć - mówił dalej

Hank. - Chciałem ci powiedzieć, żebyś na mnie polegała, żebyś zwracała się do mnie zawsze w razie jakiegokolwiek potrzeby. - Nie odniosłam wtedy takiego wrażenia - powiedziała Esty. - Wydawało mi się, że chcesz jak najprędzej uciec. Że składasz mi wizytę tylko ze względu na pamięć Erika.

- Właściwie tak - przyznał Hank. - Bo nie byłem...

- Hej - znów mu przerwała. - To przeszłość. Przetrwaliśmy. Możemy teraz zacząć na nowo, być kumplami. Co ty na to?

Uśmiechnął się.

- Co ja na to? Szkoda, że nie trochę wcześniej. Cieszę się, że ten cholerny pies zabiegł mi drogę, wolałbym jednak, żeby ucierpiała tylko moja głowa, a nie ta noga.

- Pozwól mi być twoimi kółkami na razie - powiedziała Esty. - Dzwon do mnie. Mogę załatwić twoje zlecenia. - Tylko przyjeżdżaj tu często. Dobrze?

Esty myślała przez chwilę. Życie jest ostatnio takie gorączkowe... i w redakcji... zupełnie nowe życie, do którego trzeba się przystosować. I ten Dick Barrett, z którym się trzeba uporać. Co do Hanka, to pomaganie mu będzie dla mnie czymś najlepszym na świecie.

- No więc? - zapytał Hank. - Patrzysz teraz na odległość miliona lat świetlnych stąd.

- Tylko za granicę tego stanu - powiedziała.

- Przyjedź po pracy któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Zjemy razem kolację, przenocujesz i wrócisz tam wczesnym rankiem. - Ja...

- Podejrzewasz mnie o coś, staruszko? U mnie jesteś zupełnie bezpieczna. Przynajmniej dopóki nie zdejmą mi gipsu. Obiecała przyjechać w przyszłym tygodniu.

Potem przez jakiś czas oboje milczeli, patrząc w dal na łąki. Teriery spały, jeden z nich głośno chrapał. Hetty przyniosła znów mrożoną herbatę. Esty zjadła dwa makaroniki. Hank znów śmiał się z jej apetytu. Pytał, jak jej się pracuje w „Nowinach Cumberland”. Zabawiła go barwnym opisem zespołu redakcji, psów i Angeli, i pań w poszczególnych działach, i Squeecha, który nadmuchuje papierowe torby i chce ratować świat.

A słońce osuwało się na zachodzie. Bo dni były już krótsze. Esty uznała, że czas ruszyć w drogę.

Wstała, ale Hank chwycił ją za rękę.

- Est. Jeszcze jedno muszę ci powiedzieć. Usiadła z powrotem.

- Erie przed wyjazdem do Wietnamu zadzwonił do mnie. Słuchaj, Est, najbanalniejszy melodramat na świecie, ale muszę ci to powiedzieć. Zadzwonił do mnie i poprosił...

- Gdyby tam w Wietnamie coś mu się stało...

- Skąd wiedziałaś?

- Domyśliłam się.

- „Gdyby coś mi się stało, zaopiekuj się Esty i maleństwem”. Teraz zabrakło jej słów.

- Mówię ci to tylko dlatego, że czułem się cholernie winny. Tylko raz wybrałem się do ciebie i na tym koniec. Po prostu... ulotniłem się. Tak mi przykro. Znów w kółko to samo. Powtarzam się, wybacz.

Uścisnęła mu rękę.

- Nigdy nie jest za późno - powiedziała. - Myślę nawet, że to nasze spotkanie po latach jest właśnie w porę. Pamiętaj, że ja ze swojej strony też ciebie nie szukałam. Żeby była przyjaźń, trzeba dwóch osób. W tamtych latach nie zdołałabym wyciągnąć ręki do nikogo. Może po prostu za długo i ty i ja musieliśmy dojrzewać.

Znowu wstała. Pochyliła się i lekko pocałowała Hanka w czoło.

- Cześć, kolego - powiedziała. - Do widzenia. Uśmiechnął się i pomachał ręką.

- Do widzenia.

Gdy samochód podskakiwał na wybojach i koleinach zwirowanej alei wjazdowej pomiędzy kępami kwiatów polnych, Esty nie mogła się nie uśmiechać.

To chyba błogosławieństwo niebios, myślała, przejeżdżając granicę stanu Nowy Jork. Mam nowych przyjaciół i starych przyjaciół, i odnowionych przyjaciół, i całe nowe życie przed sobą. Po raz pierwszy rzeczywiście rozmawiałam o Eriku i nie załamalam się. Może więc idę już naprzód - rzeczywiście.

Ale gdy podjechała przed swój domek i zatrzymała samochód, zobaczyła opartą o frontowe drzwi paczkę w brązowym papierze. Tylko on spośród wszystkich, których знаła, zostawiłby paczkę pod drzwiami w sobotę po południu.

Na trawnik padł wielki cień, aż się zachłysłęła. Dick Barrett to nadal... siła, z którą trzeba się liczyć. Przyhamuj dziewczyno, powiedziała sobie.

Ach, co... co jest w tej paczce?

Tylko że ta paczka nie była od Dicka. Była od matki. W brązowym papierze torba z celofanu, w torbie starannie poprzekładana bibułą bladozielona jedwabna sukienka z rękawami jak pelerynka i paskiem uplecionym z tego samego jedwabiu. Konserwatywna, akurat do wiejskiego klubu. Wbrew sobie Esty stwierdziła, że ta sukienka jej się podoba.

Z dobrze znanej niebieskawej koperty z monogramem matki wyciągnęła kartkę:

Esty, kochanie,

Wiem, że bardzo nie lubisz niespodzianek, ale Art i ja zdecydowaliśmy się przyjechać tu na krótki weekend. Jeżeli jesteś dziś wieczorem zajęta, nie zmieniaj planów, tylko jutro zachowaj dla nas parę godzin. Może na drugie śniadanie. Jesteśmy w gospodzie.

Esty od razu wiedziała, z jaką wiadomością przyjechała Elizabeth. Wychodzi za mąż za Artę Andersona.

Zgarnęła sukienkę, torbę i papier i weszła do domu, gdzie Hildy czekał na nią i miauczał. Dała mu jeść, a potem usiadła na tym małym krześle z prostym oparciem przy dębowym sek-retarzyku i przez chwilę porządnie się zastanawiała. Nie, drugie śniadanie jutro odpada. Jutro w kościele błogosławieństwo zwierząt. Muszę tam być. To znaczy, Hildy musi. Czyli zostaje dzisiejszy wieczór. Wstała, poszła do kuchni, zajrzała do lodówki. Ugotować coś dla nich? Nie, zdecydowała, że zaprosi ich do restauracji. Tylko trzeba zarezerwować stolik.

Załatwiła rezerwację i zatelefonowała do gospody. Ani matki ani Artę nie było w ich pokojach - czy też pokoju. Pytała o nich osobno, o panią Ames, o pana Andersona, a portier po prostu powiedział:
- Nie odbierają.

Bardzo nietaktownie.

Dlaczego ja się przejmuję takimi rzeczami? - zadała sobie pytanie. Ale się przejmowała.

Już miała wziąć prysznic, gdy ktoś zadzwonił do drzwi frontowych. Jeżeli to Dick Barrett...

Ale nie. To była Elizabeth. Sama. Esty uściskała ją i wprowadziła do saloniku.

Elizabeth nie usiadła. Stała pośrodku, splotła ręce. Wyglądała ładnie w tweedowym kostiumie w przygaszoną kratę z dosyć długą spódnicą i w jasnoniebieskiej jedwabnej bluzce. Makijaż miała doskonały, rudą chmurę włosów, jak zwykle, i w uszach kolczyki z szafirami, których Esty nie znała. Torbę też miała nową - torbę-koszyk z wielorybem z kości słoniowej na pokrywie. Esty się uśmiechnęła. Dotychczas matka nie cierpiała takich toreb.

Elizabeth zauważyła, że ona patrzy na ten koszyk.

- Wiem - powiedziała. - Ale to prezent.

Esty stała przed matką. Była zmęczona po dniu pełnym wrażeń - Hank, rozmowa o Eriku - a zwłaszcza po wczorajszym denerwującym wieczorze z Dickiem Barrettem. Teraz w dodatku te niespodzianki... - Zarezerwowałam stolik na kolację - oznajmiła. - W miłym lokalu pod miasteczkiem. Gdzie jest... pan Anderson? - W klubie, kochanie. Gra w golfa. Al Springer go zaprosił. Esty się zachłysnęła. - Skąd Al wiedział...?

Elizabeth usiadła na kanapie, poklepała miejsce przy sobie, więc Esty usiadła przy niej.

- Nie bądź zła - powiedziała matka. - Myślisz, że tak łatwo przyjechać tutaj i rozmawiać z tobą w ten sposób? Zadzwoiłam najpierw do Connie. Wiem, jakie jesteście zżyte. Chciała zaprosić nas wszystkich do klubu, ale jej wyjaśniłam, że chcemy się zobaczyć z tobą samą. Cieszę się, kochanie, że masz wolny wieczór.

- Oczywiście - powiedziała Esty. - Gdybym miała zajęty, przecież bym to odwołała. Czuję, że... coś się święci.

- Coś się święci - przytaknęła Elizabeth i zarumieniła się. Ojej! pomyślała Esty. - Czy mogę ci powiedzieć teraz?

- Powiedz - Esty ujęła matkę za rękę. Były zimne. Nigdy dotąd nie widziała jej tak zdenerwowanej.

- No, więc palę od razu. Art i ja... - Mam zgadnąć?

- Nie. Pozwól, że ja ci powiem. My... bierzemy ślub. Esty objęła matkę i mocno ją uściskała.

- Wiedziałam.

- Czy jesteś temu przeciwna? Czy jestem temu przeciwna?
- Chyba nie - powiedziała Esty. - Chcę, żebyś była szczęśliwa, mamó. Wydawałaś się taka zadowolona ze swojego życia, pomijając tę złamaną nogę, oczywiście.
- Co próbujesz mi przez to powiedzieć?
- Tylko... że jesteś taka niezależna. Twój dom aukcyjny daje ci tyle radości. I te psy. I grono przyjaciół. Własny sposób życia. Czy masz pewność, że potrafisz z tego wszystkiego zrezygnować? Czy nie będziesz musiała zamieszkać w jego domu?
- Wolnego - powiedziała Elizabeth. - Wiem, jakie sprawiałam wrażenie: kobieta czerpiąca szczęście ze swojej samotności. Kreowałam to, Esty. Nastawiłam się na samotność już do końca życia, więc zaczęłam tę samotność układać. Uważać się za starą kobietę, uczyć się być stara, pomimo że naprawdę taka się nie czułam. Wmawiałam sobie, że wystarczają małe przyjemności: czytanie dobrej książki na ganku, prowadzenie domu aukcyjnego... nawiasem mówiąc, większość tych spraw załatwia Christine... wyprowadzanie psów na plażę, Boże Narodzenie z dziećmi Keitha i może dzieckiem Jessie kiedyś. Rola babci.
- Nie wydaje to się zbyt żałosne - powiedziała Esty, chociaż wydawało się to bardzo nudne.
- I nagle zjawił się Art. - Policzki Elizabeth zaróżowiły się pod makijażem. - I pojęłam, że jeszcze nie czas, żebym była staruszką. Pojęłam, że jeszcze mogę mieć... siedemnaście lat.
- To czyni cię moją córką - powiedziała Esty. - Może powinnam udzielić ci matczynych rad przed ślubem? Wyraźnie sprawiła tym matce przykrość. - Pokpiwasz ze mnie, Est? Uprzytomniła sobie, że tak, ale powód tego jest inny niż myśli Elizabeth.
- Może ci zazdroszczę - przyznała. - Może wolę, żebyś była dystygowaną starszą panią, moją mamą, bo taka jest twoja rola, i żebym to ja czuła się teraz siedemnastolatką. Ja albo Jessie. Ale czy mogłabym być aż tak małoduszna?
- Staraj się nie porównywać, kochanie. My ze sobą nie współzawodniczymy. - Elizabeth ją pocałowała. - Wiem.

Rozumiem. Ten mój mariaż wydaje się... czymś na opak. Ale porozmawiaj z Artem. Nie musisz go lubić, musisz tylko przyjąć go do wiadomości. - Umilkła na chwilę. - Jego dzieci chyba mnie lubią. Przedwczoraj byłam na kolacji u Phila i Sally. Ona pokochała szpinet. Pytali o ciebie.

- Będziemy przyrodnim rodzeństwem - powiedziała Esty.

- Wciąż jeszcze się nie orientuję, co odczuwasz - stwierdziła Elizabeth. - Bałam się, że zaczniesz płakać. - Nie zacznę. - Albo śmiać się.

- Też nie. Mamo, bardzo się cieszę ze względu na ciebie. Tylko że to dla mnie niespodzianka. Ach, właśnie, dziękuję za sukienkę.

- Dopiero potem przyszło mi na myśl, że może padać deszcz, zanim ją znajdziesz.

- Włożę ją dzisiaj.

- Zjemy razem kolację i jutro wyjedziemy, Art i ja, z samego rana. Przyjechaliśmy na króciutko. Takiej nowiny nie mogłam powiedzieć ci przez telefon. Ani napisać w liście.

- Przyjedziesz na Święto Dziękczynienia? Ja wszystko ugotuję. I przywieź Arta. Jessie też będzie. Elizabeth zawahała się.

- Phil i Sally już nas zaprosili.

Esty poczuła, jak twarz jej się wydłuża. To rzeczywiście odwrócenie pokoleń, pomyślała, raptem konieczność dzielenia się własną matką z nową matką rodziną.

Widząc jej speszenie, Elizabeth ujęła ją za rękę.

- Przyjedziemy do ciebie - powiedziała. - Z jego dziećmi możemy się widzieć kiedy indziej.

Esty podała herbatę i rozmawiały, dopóki nie nadszedł czas, żeby pojechać do klubu po Arta. A więc ślub odbędzie się w Boże Narodzenie. Oczywiście Esty i Keith ramię w ramię poprowadzą pannę młodą do pana młodego. Nie, oni po ślubie nie zamieszkają u Arta Andersona w Arizonie. Elizabeth przyjmie go do swego domu i do spółki w swoim przedsiębiorstwie.

- Będziemy pracować, aż padniemy - powiedziała Elizabeth. - Art kolekcjonuje antyczne srebra i porcelanę.

- I psy?

- A jakże, to psiarz. Ma dwa. Jego i moje jeszcze są bardzo wobec siebie... ostrożne.

- Jak my - powiedziała Esty.

- Mów tylko w swoim imieniu, kochanie. Ja nie jestem ostrożna.

Rzeczywiście nie jest, pomyślała Esty. Wcale nie jest ostrożna, jest po prostu szczęśliwa. Jest zakochana. Ma nowe życie wytyczone i będzie je kochać. Jedyne kłopot z tymi czterema ostrożnymi psami. Ale psy się przyzwyczajają. Nawet szybko. Mogłabym wielu rzeczy nauczyć się od psów, pomyślała. - Mamo, żałuję.

- Wiem, że żałujesz.

- Gdybyśmy miały rozpocząć tę rozmowę na nowo, skakałabym z radości, ścisłałabym cię, aż byś piszczała. Naprawdę cieszę się ze względu na ciebie. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Proszę, niech moja ostrożność... - O czymś zapominasz. - Elizabeth wstała obciągając spódnicę. - Jestem twoją matką. Dobrze cię znam. Dla ciebie wszystko musi się uleżeć. Reagujesz po swojemu, kochanie, w porządku. Dlatego przyjechaliśmy. Żeby...

- ... mnie nie zaskoczyć? Bo ja nie lubię niespodzianek?

- Powiedzmy, że tak. No, przebierz się. Włóż tę zieloną sukienkę. Czy aby na pewno nie pokrzyżowałam ci planów na dzisiejszy wieczór?

- Żadnych - odpowiedziała Esty i zerknęła na automatyczną sekretarkę, której światełko mrugało. Ta wiadomość musi poczekać do mojego powrotu po kolacji.

Art Anderson był akurat taki, jakiego Esty pamiętała - rumiany, wylewny, dobroduszny, może trochę nudny. Teraz dodatkowo pełen uwielbienia. Oczu nie odrywał od Elizabeth. Ma siedemdziesiąt pięć lat ni mniej ni więcej, myślała Esty, a zachowuje się jak zadurzony uczeń. Ku swemu zdumieniu uznała, że to ujmujące.

Rozmawiało się nieoczekiwanie łatwo. Ostatecznie było o czym - o spotkaniu Esty z Philem, o szpince, o miasteczku

Edgeville. Art interesował się pracą Esty, powiedział, że woli prasę prowincjonalną niż „New York Times” i „Wall Street Journal”, które nadal czyta codziennie.

- Ale to jest praca - wyjaśnił. - Natomiast czytanie miejscowego tygodnika jest rozrywką. I można się dowiedzieć, jakie specjały są w miejscowym samie. - Mrugnął, Elizabeth odmrugnęła. Łączność między nimi zaznaczała się tak wyraźnie, jak łączność między Connie i Alem.

Niech cię лихо porwie, Erie, jęknęła Esty w duchu.

- O co chodzi, kochanie? - zapytała Elizabeth.

Ale Esty wiedziała, że matka ją zrozumie. Czy jej będzie kiedykolwiek dana taka łączność z mężczyzną? Postarała się ożywić. Zaczęła opowiadać o konkursie. Art śmiał się do łez.

- Pomyśl, Betty. - Tak nazywa moją matkę? Betty? Nikt nigdy do mojej matki nie mówił: Betty. - Chyba mogłabyś zgłosić mnie. Wystąpiłbym jako drugi Fabio.

On wie, kto to jest Fabio, zdumiała się Esty. Zauważył jej zdumienie.

- Sally czyta te romanse - wyjaśnił. - Zostawia je czasami. Wziąłem jeden tak tylko z ciekawości i przeczytałem od deski do deski. Coś tam było o Wikingach. Z zapartym tchem czytałem.

Elizabeth, patrząc na niego, promieniała.

- Art mi czytał fragmenty o seksie - powiedziała. - Rzeczywiście nie pojmuję, jak takie rzeczy przechodzą przez cenzurę.

- Nie sądzę, żeby wtedy był jakiś cenzor - powiedziała Esty. Art zamówił deser - niech będzie coś *flambé* - i butelkę

szampana. Elizabeth protestowała, ale się uparł.

- Mamy okazję - wysunął argument. - Nie to, że się pobieramy, bo to już nic nowego. Moją specjalną okazję. Dzisiaj oto się zaprzyjaźniam z tą małą panią. Phil dobrze ją określił. Istna brzoskwinka.

Brzoskwinka. Esty się uśmiechnęła. Polubiła Arta Andersona. Tak miło odnosi się do jej matki i matka przy nim promienieje i tak ładnie patrzy na siebie. Elizabeth będzie z nim szczęśliwa.

- Wie pan - powiedziała - w szkole podkochiwałam się w pańskim synu. Był wspaniałym chłopcem. Naprawdę się cieszę, że będziemy bratem i siostrą.

Art wydawał się bliski płaczu. Odetchnął przeciągle. Nad stolikiem ujął Esty za rękę.

- Czy mogę to uznać za aprobatę?

- Tak. A ja czy mogę uznać się za aprobowaną?

- Oj, przestańcie, dzieci - powiedziała Elizabeth. - Ckliwe to i banalne. Oczywiście, że on może, oczywiście, że ty możesz.

- Podniosła swój kieliszek. - Zdrowie nas wszystkich. Wszystkich pokoleń. Nowej rodziny.

Wypili.

- Kto teraz jest banalny? - zapytała Esty, ale poczuła w sercu ciepło nie tylko od szampana.

- To był dobry pomysł - powiedział Art, zdejmując okulary i przecierając je serwetką. - Takie przypieczętowanie zaręczyn. Warto było przyjechać. I podoba mi się tutaj. Ładne miasteczko.

Wieczór się skończył. Esty odwiozła matkę i Artę do gospody. Pożegnali się. Obiecali, że przyjadą na Święto Dziękczynienia, na cały weekend. Art uściskał Esty, Esty uściskała matkę.

Ale gdy wyjechała z parkingu przy gospodzie, po twarzy płynęły jej łzy. Nie wiedziała, czy to łzy radości, czy ulgi, że ma ten wieczór za sobą, czy zmęczenia, czy jakiegoś małego smutku czającego się pod jej zadowoleniem z nowego życia. Ale czy to ważne? Łzy są dobre od czasu do czasu, byle nie co wieczór. Uśmiechnęła się: Hank tak powiedział o martini i wspomnieniach. Od czasu do czasu to jest dobre. W domu wytarła swoje łzy o futerko Hildy'ego. Kociak wił się i sprzeciwiał.

Teraz sekretarka automatyczna mogła przekazać wiadomość.

- Pewnie mamy się ograniczyć do spotkań w kościele

- zabrzmiał głos Dicka Barretta. - Czy po nabożeństwie zjesz ze mną obiad? Na cześć twojego... kiciusia.

- Och, rzeczywiście - powiedziała Esty głośno. - Jakież on młodzieżowy.

Ale podeszła do szafy i zastanowiła się głęboko. W co się ubrać na Błogosławienie Zwierząt?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W czasie psalmu pochwalnego Esty płakała. I potem na końcu nabożeństwa znów płakała - jak zawsze, ilekroć śpiewała *Wszystkie stworzenia świetne i piękne*

Ale to tylko przelotne łezki. Za dużo było do obserwowania. Podobało jej się takie zgromadzenie zwierząt, a zwłaszcza podobał jej się kundelek Sary Waite, ta suczka imieniem Frezja. Patrzyła, jak Wally prędko, wściekle pstryka zdjęcia, uśmiechała się, widząc Prescottów z ogromnymi psiskami szarpiącymi się na smyczach. Po nabożeństwie podano ciastka i kawę, suchary dla psów, marchew dla koni. Dwa psy skłębily się ze sobą w zażartej walce, aż trzeba było je oblać zimną wodą. Kot żony proboszcza czmychnął na drzewo i nie chciał zejść.

Stopniowo tłum się rozrzedził, samochody combi odjeżdżały z parkingu. Esty z Hildym w koszyku ruszyła do swojego samochodu. Na piaszczystej drodze poczuła, że ktoś idzie za nią. Wiedziała, kto to. Coraz bliżej. Nie miała zamiaru ani się obejrzeć, ani przyspieszyć kroku.

- Buu! - spróbował ją przerazić Dick Barrett. Wziął od niej koszyk i teraz szedł przy niej. -

Wyczekiwałem, żeby się rozeszli, bo wiem, jaka jesteś uczulona na plotki.

Roześmiała się.

- Wyczekiwałeś. To był kościół, Dick. Czy nie ma dla ciebie nic świętego?

- Raczej nie ma, kiedy Stara Sara Jeszcze Nie Na Mara-ch jest w pobliżu. Ona tylko zbiera wszystkie soczyste kąski. Jej stare kumy w Domu Rencisty liczą na nią.

- Tam pozwalają im trzymać psy?

- No pewnie - powiedział Dick. - Dzięki twojemu niżej podpisanemu. Wszczęliśmy kampanię. Zarząd musiał zmienić przepisy. Psy jednak mają być nieduże. I kastrowane.

- Pogratulować - powiedziała Esty.

- A więc - powiedział - zapraszam cię na obiad. Zawahała się. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były trochę zbyt pełne wrażeń. Jest zmęczona. Potrzebuje czasu, chce spokojnie przemyśleć wszystko

- mama i Art, Hank... - Wolisz kolację? - zapytał. - Właściwie to i ja bym wolał. Zastanowiła się nad tym. Niedzielny wieczór lepiej mieć dla siebie. No i obiad zawsze bezpieczniejszy. Nie była pewna swojego opancerzenia. Nigdy dotąd nie czuła takiego pożądania, jakie budził w niej sam widok Dicka Barretta. A on uśmiechał się do niej, lekko wymachując koszykiem z Hildym.

- Obiad - zdecydowała.

Zostawili kociaka w jej domu i wsiadła do czerwonej miaty Dicka. Wyjechali z miasteczka.

Autostrada przed nimi biegła na północ.

- Urowadzasz mnie? - Wiatr porywał słowa z ust Esty. - Dokąd jedziemy?

Dick chytrze łypnął okiem.

- Do tajemniczej meliny - powiedział. - Tak, uprowadzam.

- Och! - Wtuliła głowę w oparcie siedzenia. Jakże łatwo, pomyślała, dryfować...

Dick włożył ciemne okulary; jechali pod słońce. Uśmiechnięty, był z profilu znów podobny do Erika, aż musiała szybko odwrócić od niego wzrok. To tylko dlatego, że mówiłam o Eriku wczoraj, wyjaśniła sobie, to tylko moja imaginacja. A jednak czuła się dziwnie bezwolna. Nawet po godzinie tej jazdy jakoś nie zdołała powtórzyć pytania, dokąd jadą. Może nieważne, dokąd. Świst opon ją usypiał, słońce grzało w twarz. Może, myślała, kiedy się w życiu rusza naprzód, trzeba czasami zboczyć. To ci dopiero rozumowanie, Esther, upomniała siebie. I przestała myśleć, dopóki jakiś cichy w niej głosik nie szepnął, co się stało ostatnim razem - wtedy, gdy ją poniosło z Dickiem Barrettem. Tak już nie będzie, przysięgła sobie dosyć słabo. Jestem w pełni przytomna. Trzeźwa. Panuję nad sytuacją.

- Hej - powiedział Dick, skręcając na boczną szosę. - Jesteś jeszcze przy mnie?

- Tak. Gdzie lądujemy?

- Gdzieś, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy nas szukać.

Prawie zaraz wjechał na szeroki parking. Stały tam ciężarówki ogromne, osiemnastokołowe i dwie platformy z nowymi fordami, ciężarówka mleczarni, ciężarówka do przewozu bydła. Tyle było tych olbrzymów, że Esty dopiero po chwili zobaczyła kryty gontem parterowy zajazd. Neon zapraszał na piwo. Drzwi się otworzyły, wyszli trzej mężczyźni i śmiejąc się skierowali do swoich ciężarówek.

- Odosobnione miejsce wiejskich schadzek - powiedział Dick. Najpierw odpiął pas jej, poufale, intymnie zdawałoby się, a potem sobie. - Tylko nie pisz o tym w gazecie. To jest mój sekret. - Pochylił się ku niej, ujął w dłoń jej podbródek. - Nasz sekret.

Nasz i czyj jeszcze? Esty nie mogła się nie uśmiechnąć. Dick Barrett jest przezroczysty jak szkło. Z zajazdu wyszli jacyś dwaj mężczyźni. Zataczali się trochę, idąc przez parking, szturchali jeden drugiego i kopniakami wzbijali z ziemi kamyki.

Dick zamknął samochód i wziął ją pod rękę.

- Pani pozwoli?

Ale nie weszli frontowymi drzwiami. Poprowadził ją na tyły, na betonową rampę, na której stały stoliki i długie ławki. Z trzech stron rampy była krata oblepiona winoroślą ciężką od kiści zielonych winogron.

- Będzie ci dosyć ciepło? - zapytał Dick. Czy coś kryje się w tym pytaniu? Esty nie wiedziała.

Przytaknęła i rozejrzała się. Przy prawie wszystkich stolikach siedzieli sami mężczyźni.

- Czy na pewno tu wpuszczają kobiety? - zapytała.

- Oczywiście - odpowiedział. - Nawet jest sala dla małych dziewczynek. Z białym barankiem na drzwiach. Popatrz. - Wskazał stół zajęty przez trzech mężczyzn i trzy kobiety w kwiecistych domowych sukienkach. Siedzieli wszyscy podpierając się łokciami i wyraźnie było im wesoło. Niemłoda kelnerka w obcisłym kitlu z nylonu odstawiła tacę i podeszła do Dicka.

- Fik fik, wielki Dick! - wykrzyknęła. Esty nie wierzyła własnym uszom.

- Przemiała Marcio - Dick klepnął kelnerkę w pokaźny zadek. Esty czuła, jak usta same jej się rozdziawiają.

Przemiała Marcia zobaczyła ją i przymrużyła jedno oko.

- Wzięło się sobie jeszcze jedną? - zapytała Dicka.

- Nie dam ci napiwku - powiedział Dick. - Marcio, poznaj Esther. To nowa redaktorka „Nowin Cumberland”. Czytujesz tę gazetę, Marsh?

- Gdzie tam - odpowiedziała Marcia. - Za duża strata czasu. Esther, nie obraż się.

Esty przenosiła wzrok z Dicka na Marcie i z powrotem. Dick trzymał się pod boki, spokojny, swobodny... zadowolony. Marcia poprowadziła ich do stolika na końcu rampy.

Usiedli. Esty ze swego miejsca widziała staw pośród wierzb płaczących, lilie wodne na wodzie. Słońce, przenikając przez winorośl, cętkowało stół blaskiem. Marcia rozpromieniona czekała z ołówkiem w ręce.

- Dużo lemoniady - zamówił Dick. - Bo dziś niedziela. I dwie specjalności zakładu.

Marcia uniosła brew.

- Chcecie na pewno? - Zwróciła się do Esty: - Masz mocny żołądek, kochasiu?

Dick Barrett powiedział: - Chcemy na pewno.

Gdy Marcia odeszła, pochylił się nad stolikiem.

- Powiedzieć ci, co dostaniesz?

Może raczej: w co się dostałam, pomyślała Esty.

- Czy trochę nie za późno? - zapytała. Zignorował to.

- Zgadnij. Dla ułatwienia: jest taki kraj w Ameryce Południowej.

Esty rozejrzała się po biesiadnikach. Przeważnie mieli przed sobą duże kufle piwa. Zauważyła, że jedzą z głębokich talerzy.

- Czy stolica tego kraju to Santiago?

- Zgadłaś! - ucieszył się Dick. - Hej, pasujesz tutaj jak ulał. Wiedziałem, że tak będzie.

Właśnie. Jak ulał.

- Często tu przyjeżdżasz? - zapytała.

- Kiedy tylko mogę. Z Edgeville to szmat drogi nie mniejszy niż na Biegun Północny. Podoba mi się tu. Nie czuję się tu burmistrzem. Ani mierniczym.

Zastanowiła się, co takiego Dick Barrett mierzy. Co on właściwie robi przez cały boży dzień? Nie zapytała o to. Marcia podała chili. Z tartym serem amerykańskim, z pomarańczą i pajdami zakwaszonego chleba. Para unosiła się z talerzy, Esty jedząc parzyła usta. Dick pożarł swoją porcję i zamówił następną. Marcia mu podała. - Niczego mi nie brak do szczęścia - oświadczył. - Myślę, że zapiekankę *a la mode* sobie daruję. Gdy Marcia podała w grubych białych kubkach kawę, wstał, wziął kubki i bez słowa poprowadził Esty przez podwórze nad staw. W cieniu wierzb nawet powietrze wydawało się zielone i mokre. Ruchem głowy wskazał ławkę z giętego drewna.

- Siadaj. - Usiadł przy niej. Dał jej kubek z kawą.

Patrząc na niego znad kubka zauważyła, że jest rozplómienny. Czy po tym gorącym chili? Czy może ja jestem gorącą kobietką? Co się ze mną dzieje?

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego cię tu przywiozłem
- powiedział. Takiej powagi w jego głosie dotychczas nigdy nie słyszała.
- Naprawdę się nie zastanawiam - zbyła tę powagę niefrasobliwie. - Jest mi przyjemnie. Podoba mi się miejsce twoich schadzek.
- Miejsce specjalne. - Nie dostosował się do jej lekkiego tonu. - I ty... ty też jesteś czymś specjalnym dla mnie. - No... dziękuję.
- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Poniosło mnie tamtej nocy. Zdobyłem cię, wykorzystałem cię po tym biegu... - Nie - powiedziała Esty. - Nie wykorzystałeś. Mnie też poniosło. - Wyraźnie zdębiał. - Nawet przyzwoite dziewczyny - dodała cicho - czasami ponosi.
Dopiero po długiej chwili odzyskał kontenans.
- Jestem... chcę powiedzieć, że... chcę, żeby to się stało znowu. Inaczej. Chcę się do ciebie zalecać. Ja... szaleję za tobą. - Włosy cętkowało mu słońce, cienie pląsały po twarzy. Wcale nie wyglądał jak Erie. To dobrze. Uśmiechnęła się patrząc mu w oczy.
Postawił swój kubek na ziemi i sięgnął po jej kubek, ale mu nie dała. Nie chciała, żeby ją pocałował - nie tutaj, nie teraz. Na rampie pełno ludzi, słyhać szczęknięcie sztućców.
- Zdobywam cię znowu - powiedział Dick.
Znów się uśmiechnęła. Jeszcze trochę i czeka mnie romans w bardzo złym guście, pomyślała. Nigdy tego nie robiłam. Igram z ogniem. Milczała.
- Czy jest... ktoś inny? - zapytał.
Przecież wie. Wie, że niedawno przyjechałam do Edgeville sama. Kto inny mógłby być? On się denerwuje. Niezła zabawa. Ale ja mam zawód, stanowisko, i to w małym miasteczku, powinnam być bez zarzutu. Ostrożna. Cóż, kiedy odezwał się w niej ten cichy głosik i nagle usłyszała swój okrzyk!
- Co do diabła? - Co? - Dick Barrett aż drgnął.
- To jest moja najmilsza schadzka. - Ujęła go za rękę. - Czy raczej najmilsze uprowadzenie, więc uprowadzaj. U ciebie czy u mnie?

Oczy mu się zrobiły okrągłe.

On jest dziwkarczem, więc ja też będę dziwkarczem. Mówiąc ściślej, chłopiarą.

Wzięła oba kubki i ruszyła z powrotem na rampę.

Żądza, powiedziała sobie. Czysta żądza. O tym właśnie marzą kobiety. Nie o szczęściu „już zawsze” z przyzwoitym facetem, czułym i wiernym bohaterem snów, tylko o takim właśnie interludium. Z dziwkarczem, któremu nie można ufać. Będę miała interludium.

Ale czy ja potrafię?

Gdy dojechali z powrotem do Edgeville, Dick ofiarował się zostawić swoją wszech i wobec znaną miatę gdzieś w miasteczku.

- Może na parkingu kościelnym, ha ha ha!

Esty jednak pozwoliła mu zaparkować przed jej domem.

- Bezwstydne ladacznice nie przejmują się sąsiadami - powiedziała. Jeśli on się przejmuje, pomyślała, tym, co sąsiedzi będą mogli mówić o swoim burmistrzu, no to trudno.

Otworzyła drzwi swego domu, wypuściła Hildy'ego i wpuściła Dicka Barretta.

Zadziwiła samą siebie. Zawsze lubiła seks, brakowało jej seksu strasznie przez te długie lata samotności. I dobry był seks - łagodny, tkliwy - z Jackiem, ale dotychczas nie wiedziała, że może być aż tak. Ona stała się agresorem, a Dick Barrett po prostu osłupiał, gdy wprowadziła go do pokoju i natychmiast zaczęła się rozbierać. - Esty, to nie jest...

- Owszem, jest, panie Dicku Barrett - powiedziała. - Właśnie. Wciąż jeszcze miał niepewną minę.

Naga poszła do kuchni,

wyjęła z lodówki dwie niskokaloryczne coca-cole. Dała mu jedną, wypła duszkiem połowę drugiej.

Wciąż jeszcze patrzył osłupiały.

- Chodź - powiedziała.

Poszedł za nią do sypialni, rozbierając się pomógł jej zdjąć kapek z łóżka. Szarpnięciem opuściła roletę w oknie. Położyła się na łóżku i wyciągnęła do niego rękę.

Kochali się przez całe popołudnie. Gdy mrok zapadł, wstali, wzięli prysznic, przyrządzili sobie przekąskę w kuchni i wrócili do łóżka. Miata nadal stała przed jej domem.

O siódmej włączyli telewizor. Oglądali *60 minut* jeszcze me ubrani, a potem *Morderstwo*. Dopiero w czasie drugiej przerwy na reklamy Esty poczuła pierwsze dźgnięcie zażenowania. Boso poszła do sypialni, włożyła dżinsy i koszulkę. Wróciła do saloniku. Dick Barrett wkładał spodnie, które zostawił w stercie swojej garderoby na podłodze. Wydawał się też zażenowany. Wyłączyła telewizor.

- Hmm... nie wiem, co powiedzieć - zaczął.

- Byle nie to, że mnie wykorzystałeś.

- Nie.

- Ja... nie wiem, co we mnie wstąpiło. Uśmiechnął się mizdrząco.

- Mógłbym zgadnąć, co.

Parsknęła śmiechem. Ku swojemu zdumieniu. Zwykle me bawiły jej takie wygłupy.

- Ale mnie chodziło o coś innego - powiedział - o coś bardziej romantycznego.

- Co może być bardziej romantyczne niż dobre potarżanie się w łóżku? - wzdrygnęła się na dźwięk własnego głosu. Czyżby miała rozdwojenie jaźni? Czy jakaś druga bardziej zmysłowa Esty ukrywa się pod schludną powłoką redaktorki naczelnej „Nowin Cumberland”? Podrywaczka, puszczałka? Dick wpatrywał się w nią, potrząsnął głową.

- Przecież ci mówiłem, że za tobą szaleję. Chcę, żebyśmy znaczyli dla siebie więcej niż...

Czekała. Jakoś nie mógł znaleźć właściwego słowa.

- Chcę, żebyśmy znaczyli...

Nagle poczuła się tak, jakby miała migrenę. Patrzyła na Dicka który usiłował się wypowiedzieć, borykał się z czymś, czymś męskim, z czymś, co chyba nie akceptuje kobiet zapraszających do łóżka, przejmujących inicjatywę. Patrzyła na niego i zdawała sobie sprawę, że nigdy go nie pokocha, tak naprawdę nigdy nawet go nie polubi. Czy ja go wykorzy-

stuje? Zastanowiła się. Nie. To dorosły chłopiec, już potrafi się strzec.

Ale w tej samej chwili zapragnęła znów pociągnąć go do sypialni. Do tej jaskini. W zasięg swojej władzy.

Zapaliła światło. Dick włożył koszulę. Ten wieczór nie miał dokąd posuwać się dalej. Patrzyła, jak on wsuwa stopy w mokasyny i jak przeczesuje palcami włosy. Nie zrobiła nic, żeby go zatrzymać.

Chciała, żeby jak najprędzej wyszedł.

No i wyszedł. Zaparzyła sobie herbatę, usiadła za domem owinięta kołdrą, bo wieczory były już chłodne. Ciało jeszcze nuciło, śpiewało, ale myśli ją dręczyły. To źle, to bardzo źle kochać się z kimś bez miłości. To źle kierować się samym pożądaniem. Czy ja wpadłam w nałóg? Czy tak się zaczyna ten seks na lewo i na prawo z każdym supermenem, który się nawinie? Jaki będzie następny krok?

Podrywanie mężczyzn w knajpie?

Wiedziała, że przesadza. Nie wpadła w nałóg, nie cierpi na rozdwojenie osobowości, nie przekroczy granicy, nie będzie się puszczać, podrywać marynarzy. Czy w ogóle są jeszcze marynarze?

Nie. To po prostu jedna z faz zmieniania sobie życia. Chociaż lepiej byłoby trzymać się zmian bezpiecznych, takich jak nabycie dębowego sekretarzyka hiszpańsko-misyjnego - żeby na pewno nie sprawiać nikomu przykrości.

A jednak słysząc ryk miaty odjeżdżającej sprzed domu, poczuła nie tylko ulgę, ale i pewność, że będzie następny raz. Ona to zrobi znowu.

Nie dasz sobie z tym rady - mówił jej cichy wewnętrzny głosik. I wiedziała, że ten głosik ma rację.

- Na ostatni guzik! - w poniedziałek rano wykrzyknął Wally Mason, gdy Esty weszła do redakcji. -

Udało się, Esty! Mamy więcej zgłoszeń na ten konkurs niż kiedykolwiek listów na jakikolwiek temat!

Chodź, Esty, zobacz.

Wprowadził ją do sali konferencyjnej, gdzie Squeech i Jody stali nad stertami posegregowanych fotografii przysłanych

z poszczególnych miasteczek. Jedna sterta była o wiele wyższa niż wszystkie inne - oczywiście sterta Edgeville. - Dzięki tym wszystkim, który przyjeżdżają tu na weekend

- wyjaśnił Sąueech. - Ale żaden z przyjezdnych nie może wygrać. Tylko stały mieszkaniec.

- Wally, zaznaczyłeś to w zawiadomieniu o konkursie?

- zapytała Esty. Wally się zmieszał. - Nie.

- No cóż, pozostaje nam mieć nadzieję, że ci przyjezdni to same neptki - powiedziała. - Co jeszcze?

Sąueech wyjął z brązowej torby papierowej ogromne jabłko i wgrzył się w nie. Przerwał jedzenie, nadmuchał torbę. Huknęło.

- Aha - powiedziała Esty - tydzień się zaczął.

- Ja nadal potępiam ten konkurs.

- Za późno, Sąueech. Jody, czy jesteś gotowa napisać następny artykuł o zwierzętach? Przyjdź do mnie na górę, to porozmawiamy, kiedy już - wskazała sterty fotografii - załatwimy się z konkursem.

Wally! Restauracja, kolacja? Wszystko ustalone?

- Wszystko.

- Jury w komplecie?

- W komplecie. Cały komplet się stawi wieczorem w auli gimnazjum. Przedtem każda z nich wybierze zwycięzcę swojego miasta. Dzisiaj dostarczę im zgłoszenia.

- Jeżeli jest ich sześć i każda wybierze swojego, kto obejmie przewodnictwo? - zapytała Esty.

Wally'emu zrzęda mina.

- Nad tym się nie zastanowiłem.

- To się zastanów. Mam pomysł, ale nie powiem, jaki.

- Gubernator? - zapytała Jody. Esty potrząsnęła głową. - Nie ta płeć.

- Och! - Sąueech wrzucił ogryzek jabłka do kosza na śmieci. - Chyba wiem. Nasza pani z Kongresu we własnej osobie.

Esty przytaknęła.

- Więc, Squeech, masz zadanie. Namów ją.
- Dlaczego ja? To pomysł Wallace'a.
- Mój i zrobię to - powiedział Wally. - Nawet bardzo chętnie. Miałem z nią wywiad. Jest sympatyczna, nie jakaś straszna stara...
- Pohamuj się - powiedziała Esty. - Zrób to dzisiaj. I co do tej uroczystości w sobotę, o czym jeszcze zapomniałeś? - O niczym. Najpierw pizza dla wszystkich. I będzie nawet pokój z opieką nad dziećmi. Jeżeli ktoś się przytaszczy z dziećmiakami.
Esty miała wątpliwości, czy w ogóle ktokolwiek się przytaszczy, nawet bez dzieciaków.
Ale Jody promieniała. Mary Prescott stanęła w drzwiach i promieniała także.
- Z początku nie podobał nam się ten pomysł - oświadczyła. - Teraz nam się podoba. Jody, pokaż Esty, ile przybyło prenumeratorów. - Był to długi na kilku stronicach spis nazwisk, adresów, numerów telefonów. - Głupio mi przyznać, ale pomysł rzeczywiście dobry. Brawo, Wally, Jody.
Pochwała z ust wydawców nie pada co dzień. Dwoje młodych reporterów jeszcze bardziej się rozpromieniło. Squeech wyciągnął z kieszeni dużą białą chustkę do nosa i zaczął przecierać okulary. Esty zwróciła się do niego. - Twój reportaż z niedzielnego biegu był świetny, Squeech. Z czego będzie następny? Sięgnął do kieszeni po notatnik, ale się rozmyślił.
- Przyjdę później - powiedział. - Mam dwa nowe tematy.
Esty zabrała Jody do swojego gabinetu. Patrząc, jak dziewczyna z wdziękiem osuwa się na krzesło ergonomiczne, zapytała z nadzieją: - Chcesz je mieć?
- W żadnym razie.
Z grubsza nakreśliła pomysł na jeszcze jeden artykuł o zwierzętach - teraz niech to będą zwierzęta w Domu Rencisty.
- Powinnaś tam pojechać, Jody - powiedziała. - Zrobić trochę zdjęć. Porozmawiać z tymi, którzy mają jakieś zwierzęta, zapytać, jak na nich to wpływa. No i porozmawiać także z tamtejszą pielęgniarką, z ich lekarzem, jeżeli się da. Dowie-

dzieć się wszystkich szczegółów. A potem - zawahała się

- pomów z burmistrzem. Podobno on się przyczynił do tego, że wolno tam trzymać zwierzęta.

- Pan Barrett? Rzeczywiście?

- Jesteś zdumiona?

- Przecież chciał przeforsować nakaz prowadzenia psów na smyczach. Wszystkich doprowadził do szału. Ludzie tutaj lubią, jak psy swobodnie biegają.

Esty to rozważyła.

- Głupota trwania przy swoim... - zacytowała.

- Wiem - podchwyciła Jody - mąciwoda ciasnych umysłów. Emerson. Porozmawiam z burmistrzem. Chciałabym w to włączyć doktora Sweeta. Ręczę, że on jest ich weterynarzem.

- Logicznie. A teraz jaki główny temat w tym tygodniu?

- Zebranie rady miejskiej. Jutro wieczorem. Squeech to opisze. - Możesz tam być i ty?

- Tak, ale...

- Chciałabym mieć dwie relacje z tego zebrania. Jedną od niego, drugą od ciebie. Nie pytaj, tylko bądź tam. Dobrze? Jody wstała z ergonomicznego krzesła i uśmiechnęła się.

- Lubię tę pracę - powiedziała. - Wszyscy mówią, że gazeta się poprawiła. Ludziom podobają się te nowe rubryki. Zwłaszcza o odżywianiu i twoja, Esty. Ta twoja Mona Lamb. I dostaliśmy dwa listy z pochwałą, że nasza zagadka-akrostych jest lepsza niż w „New York Times”. Tak czy owak...

- Zaróżowiła się, zakłopotana.

- To dzięki wam gazeta się poprawiła - powiedziała Esty.

- Jesteśmy z was dumni. No, zmykaj.

Po chwili ucichł tupot nóg Jody zbiegającej na dół. Wzięła niebieski ołówek i zabrała się do redagowania artykułów.

W przerwie obiadowej Esty weszła do sali konferencyjnej, usiadła przy dużym stole, rozłożyła swoje notatki. Większości fotografii już nie było, zostały tylko te z Edgeville. Wzięła

leżącą na wierzchu. Subiekt ze sklepu wyrobów żelaznych. Sfotografował się w smokingu i z włosami przyznanymi. Elegant. Mężczyzny na następnym zdjęciu nie rozpoznała. Siedział tęgi, uśmiechnięty, z kotem w objęciach. Na trzecim z kolei zdjęciu uśmiechał się pastor Kościoła Kongregacyjnego w koloratce. Rzeczywiście przystojny. Czwarte zdjęcie omal nie wyleciało jej z ręki. Dick Barrett w opasce na głowie, z torsem obnażonym i w krótkich szortach uśmiechał się prosto w aparat fotograficzny. Ciekawe, kto go zgłosił na konkurs.

Przerzucała dalej stertę fotografii, zatrzymując się przy niektórych. Nauczyciel matematyki w gimnazjum. Przedsiębiorca pogrzebowy. Widywała go, gdy stał przed swoim salonem albo gdy pomagał żałobnikom wsiadać do limuzyn. Ręce jej opadły nad jeszcze jedną fotografią Dicka Barretta - tym razem w dżinsach i koszuli polo zaglądającego do jakiegoś instrumentu na trójnogu. Przeczytała doklejoną etykietkę: *Król wszystkiego, co mierzy*. Charakter pisma był pajęczy. Może gdzieś tam on ma starą matkę? Z pewnością nigdy o matce nie mówił.

Równy złożyła wszystkie zdjęcia w plik i zajęła się swymi notatkami. A więc dwa reportaże z zebrania rady miejskiej, jeden przy drugim, na pierwszej stronie...

Trudno jej było się skupić. Wciąż kołatały się reminiscencje popołudnia z Dickiem Barrettem, wciąż czało się pytanie: kiedy - a nie czy - to się powtórzy? To nic złego, powiedziała sobie, przecież nikogo nie krzywdzimy. To jest romans na boku, skok w bok. Rozegram to do końca, rozplynie się i nikt nie ucierpi. Może dziś wieczorem...

- Buu! - ryknął Wally za jej plecami. - Zimna krew, szefowo, nawet nie drgnęłaś.

- Wiedziałam, że wszedłeś - powiedziała. - Podłoga skrzypi.

- Jest dobra wiadomość. Ona się zgodziła.

- Ona?

- Zaczyna członkini Kongresu. Śmiała się, ale się zgodziła. Ma jakąś kwestę wcześniej wieczorem, ale obiecała przyjechać na deser. Pyta, w co się ubrać.

- Sama powinna wiedzieć. Ale poradź jej, żeby zadzwoniła do pani Springer. Nie, ja zadzwonię najpierw do pani Springer, a potem do niej. Jak jej na imię?

- Margaret. Nazywają ją Maggie. - Wally odwrócił się i wybiegł.

Esty przetarła oczy, znowu zmęczona. Już nie mogła usiedzieć na miejscu. Poszła na górę po torebkę i zamiast zadzwonić ruszyła do kancelarii Connie w ratuszu. Może Connie będzie miała czas na obiad. Fotografie z Edgeville wepchnęła w dwie plastikowe torby i zostawiła Wally'emu kartkę, że dostarczy je pani Springer.

Connie przeglądała fotografie. Esty stała za nią.

- Co ty wstrzyknęłaś temu spokojnemu miasteczku? - dziwiła się Connie. - Własnym oczom nie wierzę, tyle jest tych zgłoszeń. Popatrz na niego. Znam go, przyjeżdża na weekendy, namiętnie gra w tenisa - podała Esty zdjęcie łysawego jegomościa po sześćdziesiątce. - Czy on trochę nie za stary na konkurs kulturystów? Esty roześmiała się.

- Jakaś pani tak nie uważa. Sympatyczny jest. Dobrotliwy.

- Owszem. - Connie wzięła inną fotografię. - No, ten ma bzika. Męska latawica.

- Któraś go kocha - zauważyła Esty.

Connie wzięła fotografię Dicka Barretta w szortach.

- To ma sens - przyznała. - Zgłosiła go na pewno Kelly Riordan.

- Są dwa jego zdjęcia - powiedziała Esty.

- Ty też go zgłosiłaś? - zapytała ostro Connie z miną dopasowaną do tonu.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Esty bardzo szybko. - Ja pracuję w tej gazecie. Nie możemy uczestniczyć. Poza tym...

- Dobrze. Trzymaj się z daleka od tego drania.

Esty przyciągnęła krzesło do biurka i usiadła przy Connie.

- Drania? - powtórzyła. - Nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówiła o kimkolwiek.

- Więc masz raczej słabą pamięć. Esty czekała.

Connie odsunęła stertę fotografii na róg biurka i złożyła ręce przed sobą.

- Zapomniałaś, kto ci złamał serce na pierwszym roku studiów?

Esty nie zapomniała, jakkolwiek tamten dramat już dawno zszarzał.

- Ale on nie był draniem. Był tylko...

- Gnojkiem. Wszystkie to wiedziałyśmy od razu, kiedy cię poderwał w akademiku. Usiłowaliśmy ci powiedzieć. Esty, ty masz predylekcję do takich. Mówię o tym tylko dlatego, że...

- Że słyszałaś następne opowieści o mnie i o Dicku Barrecie.

- Szacowny burmistrz nie jest godny szacunku. Jakoś nie mogę wbić ci tego do głowy. - Connie umilkła. Uśmiechnęła się, żeby rozładować nastrój. - On prawdopodobnie sam przysłał swoją fotografię.

- Nie obawiaj się - powiedziała Esty. - Już nie jestem na pierwszym roku studiów.

Connie wstała.

- Co słyhać u Hanka Morrisona? Jak jego noga?

- Zaprosił mnie na kolację jutro wieczorem. Jego córki mnie polubiły. Jego psy także.

- Brawo. - Connie poklepała Esty po ramieniu. - To przyzwoity człowiek. Stary znajomy. Jest...

- Connie - przerwała jej Esty - co to takiego z Dickiem Barrettem, przed czym raz po raz mnie ostrzegasz? Jeżeli wiesz coś...

- W tym właśnie sęk - powiedziała Connie - że nie wiem.

- Pójdziemy na obiad? - zapytała Esty. Przysięgła sobie już więcej nie poruszać z Connie tematu Dicka Barretta. Bo to tylko krążenie w kółko.

- Pójdziemy. - Connie wyjęła z szuflady biurka torebkę. - Do wagonu.

Poszły tam raczej milcząc. Gdy zamówiły kotlety, frytki i mrożoną herbatę, niezręczna chwila już minęła. Connie zaczęła opowiadać o transakcjach Ala i handlu nieruchomościami, o swoich dwóch synach pracujących na Wall Street w Nowym

Jorku, o swoim kocie, który zostawił na stole w kuchni martwego sorka.' Zdecydowały, w co się ubrać na konkurs w sobotni wieczór i podzieliły się jedną porcją puddingu z tapioki z rodzynkami. Ale gdy wyszły z wagonu, żeby wrócić: Connie do ratusza, listy do redakcji, Connie powiedziała cicho, poważnie: - Bądź ostrożna, Esty.

Esty uścisnęła jej rękę i przytaknęła.

- Będę przyzwoitą dziewczyną - zapewniła. Wcale jednak tak nie myślała.

Wieczorem w domu sekretarka automatyczna miała mnóstwo do przekazania.

- Dlaczego my nie mamy wiadomości od ciebie? - Matka.

My.

Jedna z dziewczynek Hanka przypominała o jutrzejszej kolacji, nadmieniając, że tatuś coraz lepiej chodzi o kulach, więc będą mogli zjeść w jadalni.

I zabrzmiał głos Dicka Barretta:

- Chciałbym wpaść do ciebie. Koło dziewiątej, dobrze? Następnego głosu Esty nie rozpoznała. Jakaś kobieta. Może specjalnie trzymała chustkę na ustach.

- Miej się na baczności, pani dziennikarko! - syczał ten głos. - Miej się na baczności!

Dreszcz jej przebiegł po krzyżu. Kelly Riordan? Czy to taki typ, który anonimowo grozi przez telefon? Nie skasowała taśmy, chociaż o tym ostatnim telefonie chciała jak najprędzej zapomnieć. Ostatecznie nie robię nic...

Usiadła przy sekretarzyku i spróbowała pisać. Bez skutku. Usiadła z Hildym na podłodze, patrzyła, jak on się bawi sztuczną kocimiętką, a potem wzięła go na kolana. Potem poszła do kuchni i zrobiła klops według przepisu matki. Wstawiła klops do piecyka z jednym kartoflem. W pięć minut później otworzyła piecyk, dodała drugi kartofel. Spojrzała na zegarek. Za parę minut ósma.

Rozłożyła deskę do prasowania. Uprasowała trzy bluzki, spódnicę, sześć płóciennych serwetek i laufer na toaletkę.

Schowała deskę. Kwadrans po ósmej. Poląła klops tłuszczem. Widzę cię na wskroś, dziewczyno - mruknęła do siebie - nakarmisz Dicka Barretta. Podeszła do okna. Patrzyła na trawnik za domem. Dużo liści już opadło z klonów, więc mogła wyraźnie widzieć sąsiednie domy. I om" mogą widzieć mój dom, pomyślała. Patrzyła, jak sąsiad wychodzi swoimi tylnymi drzwiami, wsiada do samochodu i odjeżdża. Rudy seter szczekał. Inny pies gdzieś dalej zawtórował szczekaniem.

Dick Barrett „wpadł” wcześniej. Jeszcze nie jadł kolacji. Dała mu piwo. Nakryła do stołu. Poszła do kuchni, żeby zagotować wodę i zaparzyć fasolkę szparagową.

Przyszedł do kuchni za nią.

- W życiu nie spotkałem takiej kobiety jak ty - powiedział, opierając się o kontuar.

Podniosła wzrok na niego. Powinien się podstrzyc, kędziory spadają mu na kark. Okulary podsunął na ciemność. Zupełnie jak Erie, pomyślała i zmarszczyła brwi.

- Mówię to jako komplement - powiedział. - Ale przyznam, że...

- Może byśmy o mnie nie mówili - przerwała mu. - Ogranicz się do tego, że szczęśliwie trafiłeś na kolację za darmo.

Napełniła dwa talerze w kuchni i poprowadziła go do stołu. Już było za zimno, żeby jeść na świeżym powietrzu. Chciał zapalić świece, zaczął szukać zapalek. Ona znalazła. Usiedli.

- Hm... rozmawiałem z Kelly - oznajmił. Z widelcem w ręce znieruchomiała.

- Ja chyba też - powiedziała patrząc mu w oczy. - Miałam telefon. - Zerwała się od stołu, podeszła do telefonu, nacisnęła guzik.

Usłyszał ten głos i potwierdził.

- To Kelly, a jakże. Powiedziałem jej... że już nie mogę się z nią widywać.

- Dick, nie powinieneś być.

Odchylił się z krzesłem i już zaraz znów siedział prosto. Przez chwilę myślała, że on zacznie chodzić po pokoju, ale nie. Siedział.

- Nie lubię prowadzić z ludźmi żadnych gier - oświadczył.

Nie uwierzyła w to. Milczała. Ściągnął skórkę ze swojego pieczonego kartofla, pokroił kartofel na równe małe kawałki i powoli jadł jeden po drugim. - Więc dlaczego jesteś tutaj? - zapytała. Spojrzał na nią pytająco. Najwidoczniej stracił wątek. Ale przypomniał sobie, o czym mowa. Odłożył widelec i pochylił się ku niej nad stołem.

- Dlatego, że jak ci już powiedziałem, szaleję za tobą. Niestety, przestaję panować nad sytuacją, jaka jest między nami. To tak, jakby w samochodzie kierownica wysunęła mi się z rąk.

- I jakbym ja ją ujęła i zaczęła kierować. - Zrozumiałaś.

- I to ci się nie podoba.

- Mnie... hm... nie przywykłem do tego. Chcę, żeby było inaczej. Chcę... chyba chcę tego, czego chce każdy facet. Zalecać się, uwodzić.

Teraz miał twarz małego chłopca. Na chwilę Esty zjechała ze swego tonu, rozbrojona. Po chwili znów wzięła się w karby. - I ja nie chcę prowadzić żadnych gierek - powiedziała.

- Ale myślę, że... również nie chcę być uwodzona. - Przeze mnie czy w ogóle?

- Trudne pytanie.

- Więc dlaczego...

- Dlaczego przy każdej okazji wskakuję z tobą do łóżka?

- umilkła. Zaczęła starannie dobierać słowa. - Powiedziałam, żebyśmy nie mówili o mnie, ale zmuszasz mnie. Możesz mi wierzyć albo nie wierzyć, nigdy dotąd tak nie postępowałam. Żyłam w celibacie przez długie lata po śmierci mojego męża. Był potem jeden prawdziwy związek... ten, który zerwałam, żeby przenieść się tutaj. Myślałam, że kocham go. Teraz przypuszczam, że go nie kochałam. Ale ja nigdy... - Czy to mi ma pochlebiać?

- Nie sędzę - powiedziała Esty. - Kobiecie nie pochlebia fakt, że mężczyzna chce tylko dostać się w jej majtki. - Nie bądź ordynarna.

- Jestem ordynarna. W moim pojęciu tego określenia. Wyjaśnię ci to uczciwie, Dick. Lubię kochać się z tobą. Sprawiasz, że żyję całym ciałem. - Urwała. - Ale nie sercem.

Poczuła w oczach piekące łzy. Dick Barrett ich nie zauważył. Wstał, odniósł talerze do kuchni, wrócił, stanął nad nią, położył dłonie na jej ramionach. Usłyszała jego głos jak gdyby z daleka.

- Dziwne. O tym właśnie marzy niejeden facet. Kobieta pożąda go, rozkłada się, kiedy tylko on zechce... - Rozkłada się, to nieładnie.

- I coś takiego spotyka właśnie mnie, a ja wcale nie czuję się z tym dobrze. To znaczy, kiedy o tym myślę, a nie wtedy, gdy...

- Dick, nie omawiamy tego w nieskończoność.

- Pozwól, że się wypowiem. Nie jest... nie jest miło być obiektem seksu. Doznaję wrażenia, że ty się mną bawisz. - Wrażenie zupełnie słuszne. Bawię się. Zdjął dłonie z jej ramion.

- Więc - powiedziała wstając i odwracając się do niego - nie miałabym ci za złe, gdybyś wyszedł tymi drzwiami i nigdy nie wrócił. Będziemy sobie mówili „cześć” na ulicy. I będę łagodna dla twoich artykułów wstępnych. - Czyli mówisz mi: „bądźmy przyjaciółmi”?

To dzieje się znów, pomyślała Esty. Nie odpowiedziała.

- No?

- Mówię, że nie chcę prowadzić żadnych gierek. Proszę, Dick, teraz twój ruch.

- Skoro tak - powiedział - będę brał to, co mogę brać. - Objął ją. Czowała zar jego ciała. Wtuliła twarz w jego szyję, ale łzy popłynęły jej po policzkach; nie chciała, żeby o nich wiedział, więc odsunęła twarz. Poprowadził ją do kanapy i posadził. - Ty płaczesz - stwierdził, ujmując jej podbródek.

- Nie, nie płaczę. - Ale jeszcze dwie łzy kapnęły.

- Ja stąd nie wyjdę - powiedział. - Ponieważ ta zabawa mi się nie podoba, zmienię pravidła.

Potrząsnęła głową. - Nie sędzę, żeby...

- A więc... - Rozluźnił krawat.

Pomogła mu, rozpięła guziki jego koszuli w białe i niebieskie paski.

I znów mnie ponosi, pomyślała, gdy pchnął ją na poduszki kanapy. I już zaraz gorączkowo reagując, gdy ją pieścił, przestała myśleć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kolacja u Morrisonów była przyjemnością. Yvonne i Nellie prawie same przygotowały tę ucztę i z wielką dumą pełniły role pań domu. Hank spokojny i zadowolony - już nie krzywiąc się z bólu, nie mając oczu matowych od środków uśmierzających - wydawał polecenia najpierw w saloniku, gdzie pili cocktaile, a potem u szczytu długiego mahoniowego stołu w jadalni.

Bliźniaczki podały piersi kurze z różną, tłuczoną rzepę i zieloną fasolkę ze swojego warzywnika. Esty pałaszowała, prosiła o dokładki. Na deser mieli szarlotkę z sosem karmelowym.

- Hetty to dla nas zrobiła - zaznaczyła Nellie. - Wiedziała, że pani przyjedzie.

Gdy Esty chciała sprzątnąć ze stołu, dziewczynki zaprotestowały.

- Pani jest gościem honorowym - powiedziała Yvonne.

- Następnym razem będzie pani mogła pomagać - powiedziała Nellie.

Hank pochylił się ku Esty.

- Niech sprzątają - szepnął. - Takie podniecone czekały na twój przyjazd. One... to dla nich ewenement.

Esty poczuła, że się rumieni. Czy Nellie i Yvonne uważają ją za „bogdanę” ich ojca?

- Są świetnie ułożone - powiedziała, a Hank tak się roześmiał, że omal nie spadł z krzesła.

Potem wstał o kulach i przeszedł z Esty i Yvonne do pokoju południowego. Yvonne zapaliła dwie lampy, przygasiła ich żarówki. Łagodne światła i cienie wytworzyły przytulny nastrój. Hank usadowił się w ogromnym fotelu z pękatymi poręczami, kładąc nogę w gipsie na pękatym taborecie. Esty usiadła w fotelu wolterowskim naprzeciw niego. Yvonne kręciła się przez chwilę, przyniosła brandy, po czym powiedziała „dobranoc” i poszła odrabiać lekcje.

- One chyba spiskują - powiedział Hank. - Podśluchałem ich rozmowę w kuchni dziś po południu.

Chyba chcą nas wyswatać. - Mrugnął do Esty zgoła nie zakłopotany, a jej zrobiło się gorąco w szyję.

Potrzymał kieliszek z brandy między swymi piegowatymi dużymi dłońmi i odstawił na stolik.

- Wiesz, odkąd tyś... się zjawiała, myślę o Eriku. Prawie ciągle. Jak gdyby to stało się wczoraj, a nie tyle lat temu. Czy z tobą też tak jest? Nasze spotkanie, rozmowa o nim, o tamtych czasach nie sprawiły, że...? Jeśli tak, pamiętaj: jeszcze ja jestem... twój przyjaciel.

- A nie mój wielki zalotnik? - Esty ugryzłaby się w język, ale już było za późno. Słowo się rzekło.

- Hej - powiedział Hank. - Chcesz wysuwać rogi, proszę bardzo. Tylko nie zamykaj się przede mną, Esty.

- Przepraszam.

- Właściwie jak się czujesz?

- Znakomicie. Ale pod jakim względem? - Nie chciała mu kłamać, nie zasługiwał na to. - Więc powiem ci. Czuję się znakomicie w pracy. Kocham tę moją nową posadę. Kocham Edgeville. Ja... - Czy można mu powiedzieć, że fotografia Erika już nie stoi przy jej łóżku? - Podjęłam wiele kroków. Kupiłam sekretarzyk... - Kupiłaś sekretarzyk?
 - Nie rozumiesz - stwierdziła. - Kupienie sekretarzyka... posiadanie mebla to przecież coś na stałe. Już nie jestem włóczęgą. Sekretarzyka nie mogę wrzucić na tylne siedzenie samochodu, żeby z nim uciec. I mam kota. - Niegłupio - powiedział Hank. - Każdy powinien mieć kota.
 - Tylko... - Tylko?
 - Nie wyjdę drugi raz za męża. Po Eriku... nie mogę...
 - Nie ma teraz w twoim życiu nikogo?
- Potrząsnęła głową, niezupełnie jednak. Rozmawia z prawdziwym przyjacielem. A więc szczerze.
- Jest w Edgeville ktoś, z kim się widuję. Burmistrz.
 - Richard Barrett? - Znasz go?
 - Nie - odpowiedział Hank może trochę za prędko. - Ale słyszałem o nim. Podobno będzie kandydował do legislatury przyszłej kadencji. My, którzy paramy się polityką, nieraz przekraczamy granice stanów.
- Czekała, żeby mówił dalej, i gdy patrząc na nią milczał, powiedziała:
- To nic poważnego.
 - Bądź ostrożna - powiedział.
 - Nie ty pierwszy mnie ostrzegasz. Wyjaśnij. Czy ten człowiek morduje siekierą, czy jak i wszyscy oprócz mnie o tym wiedzą?
 - Wątpię, czy morduje. Ale... nie cieszy się zbyt dobrą reputacją.
 - Co on takiego zrobił?
 - Kto wie? Nic, być może. Tyle że... nie jest jednym z nas.
 - Więc stałeś się snobem, Harrisonie Morrisonie Trzeci?

- Zawsze byłem, Esty, jeżeli to oznacza snobizm. W moim pojęciu mężczyzna musi mieć pewne cechy. Tych mężczyzn, którzy ich nie mają, po prostu nie zaliczam do...
 - Ludzi z Naszej Sfery?
 - *Touche*, ale chyba wiesz, o czym mówię. A mówię to dla twojego dobra, Esty.
 - Jakbym słyszała moją matkę, kiedy spotykałam się z małomiasteczkowym chłopakiem uczesany w kaczy kuper. - I matka miała rację? Esty zawahała się i uśmiechnęła.
 - Miała rację. Tylko że to był groch o ścianę.
 - Powiedziałaś, że ta sprawa jest niepoważna?
 - Tak.
 - Więc następne nasze spotkanie nazwijmy rzeczywiście randką. Zabiorę cię do restauracji. Ty poprowadzisz samochód. Ustalmy, kiedy.
 - Rzeczywiście randka?
 - Czy to takie niedorzeczne?
- Wiedziała, że to wcale nie jest niedorzeczne, i zobaczyła Hanka w innym świetle. Stary znajomy, ale bardzo pociągający mężczyzna. Co więcej, wolny i w moim wieku. I z naszej sfery.
- Nie - odpowiedziała. - Tylko mnie zdumiewasz.
 - Znam wspaniały lokal za granicą Massachusetts. Dobre homary. Już się umówmy. Zadzwoń do ciebie, żebyś nie zapomniała. Naturalnie mój terminarz teraz nie jest tak przepełniony, jak twój. Ustalili, że to będzie w przyszły wtorek. Jadąc z powrotem do domu, Esty zdała sobie sprawę, że już czeka niecierpliwie na wtorkowy wieczór. Włoży nową zieloną sukienkę. Prawdopodobnie w tym celu matka ją kupiła. Matka zaaprobuje Hanka Morrisona. Chociaż jest wolna duchem, w głębi ducha jest konwencjonalna, ceni wartość rodziny w najlepszym wydaniu. I ja też jestem taka, rozmyślała Esty. Poza tym jedynym uchybieniem. Poczwała, że stopa na akceleratorze jej ciąży. No, bo stanął jej przed oczami Dick Barrett. Przestane się z nim widywać. Przestane go pożądać, zapewniała siebie. Przestane oddychać.

Telefon dzwonił, gdy weszła do domu, więc przebiegła przez pokój, żeby odebrać. Oczywiście on. Któż by telefonował o jedenastej w nocy?

- Więc gdzie byłaś? - zapytał.

- W Connecticut - odpowiedziała.

- Tylko tyle mi mówisz?

- Tylko tyle. Co się stało? Jest późno.

- Co się stało? Nie wolałabyś nie wiedzieć?

Nie zaciekał jej. Postarała się, by usłyszał jej przeciągłe westchnienie.

- Najpierw dobra wiadomość - zaczął. - Rozmawiałem z Kelly. Powiedziałem, co myślę o tej groźbie w twojej sekretarce. Ona już do ciebie nie zadzwoni.

- *Mocom piekielnym nie wystarczy furii* - zacytowała Esty.

- Dziękuję. A ta zła wiadomość?

- Słuchaj, powiem bez ogródek. Żeby nie było żadnych nieporozumień. Okazało się, że ona wysłała moje zdjęcie na ten konkurs. Esty milczała. - Jesteś tam?

- Jestem tu. Twoje zdjęcia przysłały dwie osoby. - Och, czyżby?

Dosłyszała, jaki jest z siebie zadowolony.

- Ta zła wiadomość, proszę. - Chciała już skończyć rozmowę. Hildy wskoczył jej na ramię i żuł sznur przy słuchawce. Był głodny. - Mielśmy mały zatarg na zebraniu rady - powiedział Dick.

- Dwoje twoich reporterów tam było. Długopisy im latały. - Jaki zatarg?

- No... wdałem się w mecz wrzasków z prezesem Nieruchomości Edgeville.

- Z Samem? Nie wyobrażam sobie, żeby Sam wrzeszczał.

- Ale wrzeszczał. No... zamierzyłem się na niego.

- Dick... - powiedziała Esty - niemożliwe. Mówisz, że będziesz kandydował. Coś takiego mogłoby...

- Powstrzymali mnie. Po prostu straciłem panowanie nad sobą, Est. Znow chodziło o tę sprawę parkingu. Są w błędzie, te matoly. Nie mogę...

- Jak to się skończyło?
- Wyprosilili mnie z zebrania. Nagle Esty wyczuła, co nastąpi.
- Esty...
- Słucham, Dick.
- Twoi reporterzy, ten facet Squeech, zagorzały liberał. I ta lala...
- Dziewczyna.
- Niech będzie. Czy możesz...
- Wysłałam ich dwoje na to zebranie, bo wiedziałam, że dojdzie do sporu. Prosiłam, żeby napisali osobno. Jeżeli te relacje okażą się dobre, puszcze jedną przy drugiej na pierwszej stronie. Tak się nie robi, ale ja tak zrobię. Zamiast artykułu wstępnego - reportaże. Tak właśnie zaplanowałam.
- Ale chyba możesz... - Przeredagować? Złagodzić? - No?
- Nie, Dick. Wykluczone. Skracam, żeby dopasować długość, poprawiam, żeby się lepiej czytało. Zresztą jeśli chodzi o pierwszą stronę, Mary ma ostatnie słowo. Przypuszczam, że mógłbyś zadzwonić do niej... - Żartujesz.
- Ale telefon w tej sprawie do mnie jest w porządku?
- To co innego. Ty i ja jesteśmy...
- Nie ma to nic wspólnego z gazetą. Daj spokój, Dick. Rozgniewała się. Tak zacisnęła palce na słuchawce, że kłykcie jej zbieleły. Jak on może? Jak... Bądź ostrożna, Esty.
- Esty?

Nie odpowiedziała Nie była pewna, czy powie, tak jak powinna, że jego prośba jest gorsząca i obrzydliwa. Że ona nie chce go widzieć już nigdy i że zamieści wszystko, cokolwiek Squeech i Jody o tym zebraniu napisali. A potem także odzew czytelników, listy, które napłyną w ciągu najbliższych dni, przeważnie doręczane osobiście, żeby zdążyć przed oddaniem numeru do druku. Z całym rozmysłem cicho położyła słuchawkę na widelki.

W parę minut później telefon znów zadzwonił. Przełączyła na sekretarkę. Oczywiście Dick próbował znowu. - Jutro rano będziesz miała na biurku artykuł wstępny

- powiedział spokojnie. - Rozumiem, dlaczego się wściekasz. Postaraj się mi przebaczyć. - I wyłączył się. Dała kolację Hildy'emu i nastawiła dziennik telewizyjny, żeby dowiedzieć się, jaka będzie pogoda, ale nagle zmogło ją zmęczenie, już by nie zdołała przeczekać reklam. Wsunęła się do łóżka, mając nadzieję, że Dick Barrett - skoro tak bardzo rozczarował ją swoją nędzną postawą - nie będzie już budził w niej pożądania. Żywiła jednak co do tego niejakie wątpliwości.

Jutro, zdecydowała, porozmawiam z Connie. Muszę komuś o tym powiedzieć. Tylko czy to honorowo teraz, kiedy Connie będzie sędziować w konkursie? Nie wolno mi, doszła do wniosku. Przynajmniej dopóki nie przeczytam tych reportaży i tego artykułu wstępnego.

Ale tak być nie mogło. O godzinie siódmej rano na progu domu Esty stanęła Connie z torbą rogalików w ręce i z miną ponurą. Esty, przygotowując się do odparcia ataku, zaparzyła kawę.

- Słyszałaś o zebraniu? - zapytała Connie. Włożyła dwa rogaliki w toster, nałala do dwóch szklanek sok pomarańczowy.

- Dla mnie kawa mocna, proszę.

- Ty mi opowiedz. - Nigdy dotąd Esty nie widziała Connie tak gniewnej.

- Zanadto jestem oburzona, żeby to opowiedzieć. Przeczytaj relacje swoich reporterów. Jody Sands prawie miała pianę na ustach, kiedy skończyła notować. Squeech wyglądał, jakby połknął kanarka.

Ludzie wychodzili wcześniej, potem wracali w obawie, że coś ciekawego ich ominie. Po raz pierwszy... - Connie łyknęła tyle kawy, że omal się nie zadławiła - ... po raz pierwszy odkąd tu mieszkam, zdarzyła się taka historia. Zwykle jesteśmy... bardzo cywilizowani.

- Cywilizowani - powtórzyła Esty.

- Niech twoi reporterzy zdadzą ci z tego sprawę. Ciężko się napracujesz, żeby zrównoważyć tonację. Mary też tam była, rzeczowo ci oświeci. Ja tylko chcę ci powiedzieć...

- Coś w związku z konkursem, prawda?

- Esty, zamierzałam z konieczności przyznać palmę pierwszeństwa Barrettowi. Oglądałam wszystkie zdjęcia tak, jakbym wcale tych zgłoszonych nie znała. Inaczej bym nie mogła być sprawiedliwa. I rzeczywiście on jest najlepszy w myśl nieco wątpliwych wymagań waszego nieco wątpliwego konkursu. Ale teraz, w tych okolicznościach odpada, jego nie wybiorę. Nie powinnam ci tego mówić, ale muszę. Muszę to zrzucić z serca.

- Żałuję, że prosiliśmy cię, żebyś sędziowała.

- Ja też żałuję. Nie moja domena. Rozumiałam jednak, że to dobry chwyt, dobry dla gazety, więc poszłam wam na rękę. On dostałby wszystkie głosy, nie tylko mój. Ale po tym wczorajszym...

- Na myśl mi nie przyszło, że mógłby wygrać - powiedziała Esty.

Connie uniosła brew.

- Tak? Może myślałaś, że wygra przedsiębiorca pogrzebowy?

- Nie... nie myślałam. Właściwie nie oglądałam wszystkich zdjęć.

- Barrett ze wszech miar chłop na schwał. I burmistrz, w dodatku. Ale teraz... odpada. Wybrałam innego. Porządnego człowieka. - Nie powiesz mi, kogo. - Pewnie, że nie. Zobacysz.

- Ale chciałaś, żebym o tym wiedziała. Czemu? Connie wrzuciła dwa słodziki w swoją drugą filiżankę kawy i westchnęła. - Bo kocham cię, ty głuptasie. Ostrzeżenie cię przed tym krasawcem nic nie dało. Teraz on zrobił z siebie ryczącego osła i szkoda, że ciebie przy tym nie było. Może jednak...

- Chcesz, żebym przestała się z nim spotykać? - Chcę.

Esty zakipiała gniewem. Oczywiście, z Dickiem Barrettem już skończyła, ale jakim prawem Connie się wtrąca? Otworzyła usta, gotowa to powiedzieć, rozmyśliła się jednak. Connie jest przyjaciółką.

- Czy dla mojego dobra? - zapytała łagodnie.

- A niby dla czyjego? Esty, potrafisz być strasznie tępa. Czy miałam cichą nadzieję, że Dick Barrett wygra? - zadała

sobie Esty pytanie. Czy miałam cichą nadzieję, że będę z nim na lej uroczystej eleganckiej kolacji?... I po kolacji?

- Dlaczego się czerwienisz? - zapytała Connie.

- Nie czerwienię się - powiedziała Esty. - Kawa jest za gorąca.

Connie wstała, wzięła z talerza ostatni kawałek rogalika i papierową serwetką wytarła palce.

- Dziękuję za śniadanie. - Esty też wstała.

Ale Connie nagle przebyła dystans, jaki wytworzył się pomiędzy nimi. Chwyciła ją w objęcia i uściskała doprawdy jak niedźwiedź. Nie puszczała jej.

- Hej, wszystko dobrze - powiedziała. - Nic nie ucierpiało poza karierą Barretta. Będiesz się czuć doskonale. - Puściła ją. - Al chce być na konkursie z tobą, bo ja będę musiała siedzieć na podium.

Przyjdź do nas, wypijemy i razem pojedziemy na tę galę.

Esty zgodziła się, zadowolona. Miała pojechać ze Sque-rchem, Jody i Wallym, którzy prawdopodobnie lepiej będą się ha wić bez niej.

- Tak więc - powiedziała, odprowadzając Connie do drzwi racja po twojej stronie. Czy to teraz myślisz?

- Nie potrzebuję przyznawać sobie racji - powiedziała Connie. - Tylko sobie wieszczę nosa co do Dicka Barretta. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. - Umilkła na chwilę. - Słuchaj, I isty, wszyscy mamy słabe punkty. Twój to mężczyźni, którzy... nie są wzorem zacności. Bóg wie, jakim cudem dostałaś się lirikowi, kiedy jest w tobie coś, co przyciąga tych niewłaściwych... a potem całą niewłaściwość z nich wyzwala. Jakimś cudem wyjątkowo trafił się Erie. I może ten Jack także. Ale znowu widzę cię z takim jak Dick Barrett, więc muszę wkroczyć... Sprzeciwić się. Znowu.

Esty słuchała. Wiedziała, że Connie ma rację. Również co do konkursu. Już zdecydowała się skończyć z Dickiem Barrettem. Prawie się zdecydowała.

Nie mogła zamieścić ani jednej, ani drugiej relacji z zebrania rady miejskiej. Sąueech, dziennikarz bardziej doświadczony, opisał fakty dosyć dokładnie, ale jego polityczne uprzedzenie do republikańskich władz miasteczka przenikało ten opis tak wyraźnie, że nie sposób było to stonować.

- Sąueech, miał być reportaż, a nie artykuł ideologiczny - powiedziała Esty. - Nie wiedziałam, że muszę ci o tym przypominać.

- Słusznie - przyznał Sąueech. - Ale... nie mogłem się powstrzymać. Przecież nawet dziecko by się zorientowało, że on wziął łapówkę.

- Uważaj. Takimi słowami nie można szastać. Łapownictwo jest przestępstwem kryminalnym.

Zajęła się relacją Jody.

- Reportaż ładny. Ale w twoim ujęciu to zebranie wydaje się kłótnią chłopców na boisku. Gdybym tylko tyle o tym przeczytała, myślałabym, że tam zrobił się jakiś cyrk.

Jody się zarumieniła.

- Przykro mi - powiedziała. - Czułam, że to nie tak, ale nie potrafiłam opisać tego inaczej. To było...

- Absurdalne - dokończył Sąueech. - Oni rzeczywiście byli jak gromada dzieciaków. Wszyscy oprócz pani Springer. Ta nie traci głowy.

No pewnie, pomyślała Esty. Connie zawsze jest taka - zachowuje równowagę, jednocześnie ogarnia całość sprawy i widzi najdrobniejsze szczegóły.

- No, trzeba zacząć od początku - powiedziała. - Myślicie, że możecie popracować razem i napisać coś wypośredkowa-nego? Jak przystało na reporterów? Podpiszcie oboje. Muszę to mieć w południe, żeby Mary mogła przeczytać.

Sąueech i Jody skierowali się do komputera, a Esty do drucianego koszyka na biurku Angeli. Jeszcze zanim zdążyła zapytać, Angela dała jej artykuł wstępny Dicka Barretta w dobrze znanej brunatnej kopercie. Udawała, że parzy sobie tą kopertą palce.

- Ooo! Gorący materiał! - jęknęła.

Esty wzięła kopertę do swego gabinetu i tym razem wyjątkowo zamknęła drzwi.

Ale niepotrzebnie się przejmowała. Ten artykuł wstępny był arcydziełem dyplomatycznego mydlenia oczu. Burmistrz przeproszał, że się zdenerwował, tłumaczył swoje zdenerwowanie Żarliwością, z jaką służy *najlepszym interesom miasta*. Wykazywał słusność zbudowania ogromnego parkingu, nie nadmieniając o swoich powiązaniach z przedsiębiorstwem brukarskim, które wygrało przetarg na to zamówienie. A przy tym nadzwyczaj chytrze, w aksamitnych rękawiczkach atakował wszystkich radnych - zbyt konserwatywnych, zbyt staroświeckich, zbyt krótkowzrocznych, najwyraźniej zapominając, że sam jest największym arcykonserwatystą w miasteczku. Zakończył cytatem z „Koriolana”, wprawdzie raczej nie znanym czytelnikom „Nowin”, ale sugerującym, że ich burmistrz to prawy władca, jakże nie doceniany przez poddanych. Stąd jego fałszywy krok i on oczywiście nieskończenie żałuje... Esty nie zmieniła w tym elaboracie ani słowa. Wbrew sobie uśmiechała się, gdy czytała to ponownie. Doprawdy Dick Harrett jest tym sprytnym obwarzankiem z bajki, który nie da się pokruszyć. Otworzyła drzwi, przeszła przez korytarz i położyła artykuł burmistrza na biurku Mary. Potem zeszła na dół, żeby się dowiedzieć, co ze wspólnym reportażem Jody i Sąuecha.

Na parkingu przed gimnazjum stało już tyle samochodów, że Ic, które teraz podjeżdżały, trzeba było parkować na ulicy. Al Springer zatrzymał się za jeepem-wagonerem z trzema psami na tylnym siedzeniu, zgasił światła i uśmiechnął się do Esty. Connie, jak się okazało, musiała tam być znacznie wcześniej.

- Niech mnie - powiedział - przegrałem zakład.

- Z Connie?

- A z kim innym? Założyłem się z nią, że wasz konkurs nie wypali i będzie siedziała na tym podium zapatrzona w pustkę. Może ty mi powiesz, skąd się ci wszyscy zjechali?

- To jest duże hrabstwo.

- Nie bardzo jednak zwarte. Dotychczas nigdy nie widziałem takiej frekwencji. Myślałby kto, że ma wystąpić O. J. Simpson czy Madonna.

Esty wzięła Ala pod rękę i ruszyli do otwartych dwuskrzydłowych drzwi sali. Tłum się kłębił. Ludzie wchodzili z dziećmi, nawet z niemowlętami w plecakach i torbach. Przed drzwiami stał żółty autobus, z którego pomagano wysiadać staruszkom płci obojga. Esty rozpoznała wśród nich Sarę Waite. Zachichotała.

- Myślisz, że wycieczka na konkurs piękności męskiej jest stosowna dla pań i panów w złotym wieku?
- zapytała Ala.

- Zastanów się, Est. Jeszcze parę dekad i to będziemy my. Czy nie zechcemy wtedy popatrzeć na młode ciało?

Znaleźli miejsca w głębi sali, potem jednak - żeby Al mógł lepiej wszystko widzieć - przenieśli się bliżej podium, gdzie siedziała Connie wśród sędziujących przedstawicielek pięciu innych miasteczek. Gimnazjaliści roznosili po sali programy.

- Nie wiedziałam - Esty przeczytała program. - To nie tylko konkurs, ale i wieczór rozrywki. Czuję, że mój personel coś szykuje, no... Dlaczego ja o tym nie wiedziałam?

Al się roześmiał. - Connie dowiedziała się o tym przed samym wyjściem z domu - powiedział. - Tamte z jury do niej zatelefonowały. Słyszałaś kiedy o Adelinkach? - Tutaj nie. Były w Illinois.

- Są wszędzie w takich miasteczkach - powiedział Al. - Pan Bóg je kocha.

Damski chórek Adelinki wystąpił na początek. Odśpiewał harmonijnie wiązanek starych piosenek. Słyszac *Leć, ptaszku, leć*, jedną z ulubionych piosenek Erika, Esty miała łzy w oczach. Al pogłaskał ją po ręce. Pamiętał. Następnie produkował się młody - i bardzo kiepski - komik, potem stepowało troje dwunastolatków, a po nich zadziwił publiczność dosyć pikantną balladą solista z chóru Kościoła Kongregacyjnego, śpiewając w nosowej tonacji country western.

Występy się skończyły. Zaległa cisza. Do mikrofonu podeszła Margaret Ellis, członkini Kongresu. Powiedziała kilka dowcipów na rozgrzewkę i przystąpiła do rzeczy:

- Wszyscy popieracie coroczne huczne wybory Miss Stanu Nowy Jork. Otóż ostatnio zwróciliśmy uwagę, że nie ma żadnego forum dla facetów, żeby wystawiali swoją urodę.

Dzięki zespołowi redakcji „Nowin Cumberland” witamy was dzisiaj na pierwszym corocznym konkursie Mężczyzny Roku. Zaraz zobaczymy już wybranych zwycięskich kandydatów z poszczególnych miast. Spośród nich wyłoni się ostateczny zwycięzca, Hrabia Cumberland.

- Ojej! - jęknęła Esty - skąd ona to wzięła?

Al pokręcił głową, uśmiechnął się szeroko, dobrze się bawił.

Światła przygasły. Tylko podium jaśniało, gdy paradnie wmaszerowało sześciu finalistów w identycznych białych koszulkach polo i szortach khaki. Kolejno podchodzili do mikrofonu, przedstawiali się, mówili krótko o swojej pracy. Margaret czytała opisy przysłane ze zgłoszeniami. Wstrzymała oddech, zanim zaczęła czytać to, co o finaliście Edgeville pastorze - napisała jego żona.

- On jest człowiekiem Bożym przy kazalnicy, człowiekiem pełnym ciepła i współczucia jako głowa rodziny, człowiekiem dystyngowanym w smokingu, ale dla mnie to po prostu mój mężczyzna.

Esty spojrzała na Alę. Nie zrobił miny.

- Rzeczywiście oddała mu hołd - powiedział.

Esty własnym uszom nie wierzyła. Jej zdaniem, cała ta sprawa była dosyć żenująca. Pastor jednak najwyraźniej czuł się jak pączek w maśle. Nie miał nic przeciwko podziwianiu jego urody, nie uważał, że to go deprecjonuje. Męska kobiecość czy jak tam to nazwać, pomyślała, już wschodzi i rozwinię się w dwudziestym pierwszym wieku. Wtedy wszyscy Fabio tego świata będą trzymać sobie włosy, ukrywać swoje umięśnienie i mówić, że są kochani. I wtedy, zastanowiła się, gdzie my, kobiety, będziemy? Finaliści gęsiego zeszli z podium. Przez parę minut ktoś grał na fortepianie, dopóki nie wrócili, teraz wszyscy obnażeni do pasa i w identycznych białych szortach.

- Mnie to wystarczy - powiedział Al, patrząc na tę reprezentację.

Jeden młodzieniec, co najwyżej dwudziestoletni, był bardzo chudy, ręce i szyję miał opalone na ciemny brąz, ale tors trupio blady. Z pewnością rolnik, pomyślała Esty. Inny miał wielki brzuch i włochate plecy.

- Nasz jest najlepszy - szepnęła.

- Nie wiem - powiedział Al. - Już wolę tego rudego. Esty popatrzyła. Istotnie, rudzielec stojący pośrodku był

„chłopem na schwał", poruszał się z wdziękiem, dobrze zbudowany i uśmiechnięty. Właśnie tym uśmiechem mógł oczarować. A jednak, pomyślała, cieszyłabym się, gdyby wygrało miasto Edgeville. Finaliści usiedli rzędem na stołkach, do mikrofonu podeszła Margaret.

- Proszę państwa - powiedziała - jak widzicie, nasza asystentka rozdaje kartki do głosowania paniom zasiadającym w jury. Kiedy one będą podejmować decyzję, dla was jeszcze trochę rozrywki. I wkrótce nastąpi... ta wielka chwila.

Na podium wszedł kwartet wokalny członków miejscowego klubu Rotary, trzymając w rękach płaskie słomkowe kapelusze. Samuel, prezes Nieruchomości Edgeville, którego Dick Barrett próbował znokautować na zebraniu, miał głowę opasaną białym bandażem. Co za ostentacja, pomyślała Esty. Widziała Sama w miasteczku w ten poranek - był bez bandaża. No, Dickowi Barrettowi chcą równi mu stanem coś niecoś pokazać. Szkoda, że Dicka tu nie ma; byłoby dobrze, żeby to zobaczył. Kwartet zakończył swój występ bardzo starą pieśnią. Al łokciem trącił Esty.

- To dla tych w złotym wieku - powiedział - czy może dla ich babek.

Oklaski były głośne i entuzjastyczne. Kwartet uklonił się i zszedł z podium. Reflektor skierowano na sześć pań z jury, ich zsunięte głowy, długopisy w rękach. Margaret, rozpromieniona, znów stanęła przy mikrofonie. - Dziewczyny gotowe? - zapytała.

- Gotowe - odpowiedziała Connie. Włożyła kartkę w kopertę i podała asystentce, która stała z nadstawioną dłonią.

Cicho było w sali jak makiem zasiał, gdy finaliści, już znowu w koszulkach polo, wrócili gęsiego i usiedli na stołkach.

- Kopertę, proszę - wyskandowała Margaret. Cisza.

Okragłym ruchem Margaret otworzyła kopertę.

- A więc Hrabia Cumberland jest... - urwała dla efektu i po chwili wykrzyknęła: - Donald Colby z naszego sąsiedniego miasta Runkill! Don, prosimy tutaj!

To był ten rudy. Zerwał się ze stołka, napiął muskuły, uśmiechnął się od ucha do ucha i podszedł do pani z Kongresu wyciągającej do niego rękę. Otworzył ramiona, zamknął ją w potężnym uścisku. Publiczność wiwatowała. Pastor z Kościoła Kongregacyjnego uśmiechał się. Chyba z ulgą, pomyślała listy. Sprostował swemu zadaniu, ale oczywiście to nie było jego podwórko. Na swoim podwórku natomiast poczuł się Donald Colby. Wychylił się z podium i wrzasnął:

- Callie! Właź tutaj!

Smukła, też rudowłosa kobieta wstała ze swego miejsca wśród publiczności i wbiegła na podium. Spotkali się pośrodku. Uściskali się i on głośno cmoknął ją w jeden policzek i w drugi. Sięgnął po mikrofon, jeszcze ją obejmując. Margaret odeszła na bok i czekała, żeby przemówił, ale nagle oniemiał. Tylko pomachał mikrofonem i znów cmoknął żonę. Publiczność biła brawo, w tylnych rzędach już kotłowała się, żeby wyjść.

Margaret Ellis odebrała zwycięzcy mikrofon. Oznajmiła, jaka jest nagroda, podziękowała uczestnikom i skinieniem wezwała kwartet wokalny. Ci panowie wyszli na podium, zatańczyli i zaczęli z wielką werwą śpiewać *Dobranoc paniom*. Światła zgasły.

Ktoś skubnął Esty za rękaw. Otoczyli ją w przejściu Jody, Sąquech i Wally. Jody była różowa z podniecenia i nawet Sąquech się uśmiechał. Wally, chociaż wyraźnie zmęczony, triumfował. Esty im pogratulowała. - Esty - szepnęła Jody - popatrz.

W głębi sali stał Dick Barrett. Samotny, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z miną ponurą. Był w czarnym golfie, w czarnych spodniach, wyglądał jak anioł zemsty.

- Wszedł przed chwilą - powiedziała Jody. - Poczułam, że ktoś za mną stoi, odwróciłam się, a to on. Coś do mnie wymamrotał; nie dosłyszałam, co. Patrzy tak, jakby chciał mnie zabić. A jeszcze nawet nie widział naszego reportażu.

Esty poklepała ją po ręce i czekała na Ala.

- Hej, ferajna! - Connie zeszła z podium i przyłączyła się do nich w rzęsiście już oświetlonej sali. - Jesteście zadowoleni?

Wally i Jody przytaknęli. Sąueech spróbował zarechotać szyderczo, ale rechot zmienił się w serdeczny śmiech.

- Tylko nie zapraszajcie mnie znów do takiego sędziowania

- powiedziała Connie. - Czułam się jak ryba na piasku. Zwycięzca jednak miał uciechę. Jest szczęśliwy. Al ujął ją za ramię.

- Szlachetna pani, rydwan czeka. I zimne piwo.

Esty pomachała ręką do reporterów i z przyjaciółmi wyszła z sali.

- To piwo sobie daruję, Connie - powiedziała, gdy doszli do samochodu. - Czy możecie mnie po drodze wyrzucić w miasteczku?

Daremnie ją namawiali, żeby oblała ten wieczór z nimi, uparła się, że musi już wrócić do domu.

W dziesięć minut później, idąc alejką do swoich tylnych drzwi, jednak żałowała, że nie pojechała z nimi. Przy drzwiach stał ktoś wysoki w czerni, z włosami posrebrzonymi księżycową poświatą.

Wszedł za nią do domu. Czuła jego ciepło, był tak blisko. Zapaliła w saloniku wszystkie światła, on natychmiast dwa zgasił. - Już mam pełny obraz - powiedział.

Stała przed nim, obronnie trzymając się za ramiona. Nigdy dotąd nie wydawał jej się aż tak pociągający. Zawstydzienie - czy też udawanie zawstydzienia - sprawiało, że twarz miał chłopięcą.

- Jaki obraz? Czego obraz? - zapytała w miarę możliwości lodowato.

- Tego, że jesteś na mnie zła. - Gdy milczała, zapytał usiłując się uśmiechnąć: - Jak ci się podobał mój artykuł? - Przekazałam go Mary. Z punktu widzenia redakcji jest świetny. Puścimy go bez żadnych zmian. Chyba że Mary coś poprawi.

- Ale ja pytam, jak tobie się podobał, Esty?

Ważyla słowa, bo to w niej, z czym walczyła, pragnęło rzucić się Dickowi Barrettowi na szyję, wsunąć palce w te jego lśniące

włosy, poprowadzić go za rękę do łóżka. Pocieszyć go. Pocieszać padalca?

- Powiedziałam, że puszcze twój artykuł bez zmian. A co myślę, nie ma znaczenia.

- Nie powinienem był uderzyć Sama. Nie powinienem był przegrać.

Stała nieruchomo. Nawet nie drgnęła. Ten człowiek to przestępca. Niewielki, pozostający pod znakiem zapytania, ale przestępca. Jeszcze jej było żal, że go utraci, jeszcze go pożądała. Ale nie!

- No - powiedział w końcu - jeżeli nie zaprosisz mnie, żebym usiadł...

- Nie dzisiaj.

- Jutro wieczorem? - Miało to zabrzmieć wesoło.

- Nie sądzę, Dick.

- Czego chcesz? Mam przejść przez jakąś próbę? Odpokutować? Czołgać się?

Jak wierzchołek góry lodowej w morzu zobaczyła jego ujawniający się gniew.

- Myślę, że powinieneś trochę się zastanowić.

- Tak myślisz? Czy wiesz, z taką arogancją nigdy dotąd się nie spotkałem.

Esty drgnęła. Słyszała tę arogancję w swoim głosie, ale za nic by tego nie przyznała.

A Dick teraz się rozplomienił. Podeszedł do niej, wziął ją w objęcia. Zaleciało od niego alkoholem.

Odsunęła twarz. Ale nie wysunęła się z jego objęć, tyle tylko, że zeszywniała. Boże, nie zmięknąć.

- Nie - powiedziała. - Nie, Dick.

Patrzył jej w oczy przez chwilę, po czym opuścił ręce. Odwrócił się i podeszedł do drzwi. Włożył ręce do kieszeni, brzęknął monetami, wyciągnął ręce z kieszeni. Z gniewnym rozmachem otworzył drzwi.

- Do zobaczenia przy okazji - powiedział.

I wyszedł trzaskając drzwiami tak mocno, że dzbanek spadł z półki w kuchni, a Hildy czmychnął pod kanapę.

Potem Esty z Hildym na kolanach siedziała na tym małym krześle z prostym oparciem przed sekretarzykiem. Leniwie

przesunęła palcami po klawiaturze komputera, wyrównała długopisy w kubku, wzięła różową gumę do ścierania i ugryzła. Odłożyła tę gumę ze śladami zębów. Poglaskała czarny dąb sekretarzyka, ujęła rogi blatu w dłonie. Czuła wokół siebie przestrzeń, pustkę. Czuła w sercu smutek samotności, opuszczenia. I coś jeszcze - coś zakrawającego na triumf.

- Rzuciłam pożądanie - powiedziała głośno. - Tak jak się rzuca palenie. Z miejsca. Już nigdy nie oddam się Dickowi Barrettowi. Już nigdy. Koniec.

Bądź ostrożna, Esty. Nie byłam. Teraz będę.

Zgasiła światło i słuchając, jak Hildy na jej kolanach mruczy, długo jeszcze siedziała oparta łokciami o hiszpańsko-misyjny dębowy sekretarzyk, który stał się symbolem jej nowego osiadłego życia.

Nikt nie mówił, że to ma być łatwe, powiedziała Hildy'emu, gdy w końcu wstała, przeciągnęła się i ruszyła do sypialni, żeby położyć się spać. No, ale też nikt nie mówił, że to trudne.

Część druga
Przystań

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jim i Mary Prescottowie nazajutrz rano postawili na biurku Esty kwiaty, a potem w przerwie obiadowej zabrali ją i troje reporterów do najelegantszej restauracji Edgeville. Sprzedaż wszystkich sześciu gazet Cumberland wzrosła, konkurs był wielkim sukcesem.

- Teraz, dzieci - powiedziała Mary - skoro jesteśmy na świeczniku, pokażmy, czym jest prawdziwe dziennikarstwo.

Jody przedstawiła swój plan: serię artykułów o zwierzętach przy współpracy doktora Sweeta. Wally znalazł kogoś do pisania o książkach - miejscowego powieściopisarza, któremu jeszcze nie udało się żadnej swojej powieści zobaczyć w druku - a sam zamierzał pisać o filmach. Squeech puszył się

słuchając, jak dobrze, spokojnie i rzeczowo napisał zamieszczony na pierwszej stronie reportaż z pamiętnego zebrania rady miejskiej (ostatecznie Jody się z tego wycofała), po czym nakreślił z grubsza tematy swoich przyszłych artykułów o polityce. Pociągnął wielki łyk szampana i zapowiedział stanowczo:

- Teraz będę się starał widzieć obraz polityczny z obu stron. Wszyscy mu przyklasnęli.

Mary zaproponowała wprowadzenie stałej rubryki o zdrowiu i racjonalnym odżywianiu, interesującej zwłaszcza dla osób starszych, ale tego nikt nie podchwycił. Esty poruszyła sprawę nowego układu gazety. Jim zamówił drugą butelkę miejscowego szampana i toastami uczcili wysiłki, jakie obiecali sobie czynić. Potem wrócili do redakcji.

Rzeczywiście, napływały listy czytelników. Wielu popierało Dicka Barretta, wielu go nie popierało. Esty zamieszczała wszystkie te opinie. Było też do zamieszczenia zdjęcie Dicka i Sama przed drogerią podających sobie ręce. W jaki sposób Sąuech zdołał tak ich upozować, pozostawało zagadką, ale najwidoczniej zdołał, chociaż mówił, że to nie jego zasługa.

Dick Barrett wciąż telefonował. Esty nie reagowała. Po kilku dniach może nawet już niepotrzebnie zaciskała pięści, żeby na dzwonek telefonu nie podnieść słuchawki. Ale wieczorem, kładąc się spać, mniej się pilnowała, nie mogła do niego nie tęsknić. Tylko ciałem, upominała siebie. Nie sercem, nie duszą. Tylko niemym ciałem. Koniec z tym, powtarzała. Tylko że, jak wiedziała, na odwyku łatwo znów popaść w nałóg. Będę ostrożna. Ostrożna.

Zaabsorbowana swoją ostrożnością, prawie nie pamiętała o „randce” z Hankiem Morrisonem. Prawie nie pamiętała, dopóki telefon - pięści miała zaciśnięte - nie zadzwonił jeszcze raz i to nie był Dick Barrett. - Przyjedź po mnie o siódmej - usłyszała głos z automatycznej sekretarki. - Bądź jagniątkiem, dobrze? Uśmiechnęła się, odczekała dziesięć minut i zatelefonowała do Hanka Morrisona.

- Nie odbierasz telefonu? - zapytał.

Wyjąkała coś w odpowiedzi, ale uprzytomniła sobie, że nie musi się kępować. Hank to przecież stary znajomy.

- Jest ktoś, z kim nie chcę rozmawiać - powiedziała.
 - Ręczę, że odgadłbym, kto.
 - Skąd byś...?
 - Mały dzbanuszek, jak dawniej się mawiało, ma duże ucho. Nellie w szkole słyszała plotki o waszym konkursie. Podслуchała nauczycielki. Twój koleś, Dick Barrett, podobno trochę się naraził na zebraniu... - Wiadomości lecą szybko - powiedziała Esty. - Nawet ze stanu do stanu.
 - Więc? - Co więc?
 - Więc jak to będzie z tobą i z nim?
- Esty zaczęła znów nerwowo bełkotać, ale się zmytygowała.
- Przestałam się z nim widywać, gdybyś o to miał zapytać. Zresztą zapytałeś, pojęcia nie mam, dlaczego.
 - Daruj to sobie, Esty - powiedział Hank. - Mądra decyzja. Słyszałem coś niecoś o tym facecie...
 - Nie chcę wiedzieć - ucieła, chociaż chciała wiedzieć.
 - Dobrze - zgodził się Hank. - Sprawa zamknięta. Zobaczymy się o siódmej? - Koło siódmej.
 - Nie „koło”, tylko punkt. Będę na podjeździe czekał o kulach. Zlituj się nad biednym kaleką, moja droga. Erie nieraz tak mówił do niej. Rozrzewniła się.
 - Do widzenia, drogi mój.
- Włożyła tę nową zieloną sukienkę i nowe czółenka z czarnego zamszu. Uczesała się trochę inaczej - bez opaski, przedziałek pośrodku - podpięła szylkretowymi grzebieniami swe proste, połyskliwe czarne włosy odgarnięte za uszy, żeby widać było srebrne kolczyki. Musiała je przedtem wyczyścić, bo prawie szerniały. Od jak dawna nie otwierała torby z biżuterią? Odkąd wyjechała z Illinois...
- Wieczór był piękny, chłodny, bezwietrzny, gwiazdzisty. Hank czekał na nią, tak jak zapowiedział, od razu więc zawróciła jego długą aleją wjazdową w kierunku autostrady.
- Jesienny księżyc w pełni - powiedział Hank, gdy już poleciał jej skręcić z autostrady na szosę, którą nigdy jeszcze nie jechała.

- *Księżycu, świeć* - przytoczyła słowa piosenki. Spojrzał na nią. Przypomniała sobie, że przy tej właśnie melodii tańczyła z nim w tamten wieczór, kiedy poznała Erika.

- Świeci dalej - powiedział. - Chyba wszystko nasuwa nam wspomnienia.

Przytaknęła.

- Mamy szczęście, że nasze wspomnienia są radosne. Potem milczeli, ale ona co chwila spoglądała na niego ukradkiem. Był taki pewny siebie i pogodny.

- Noga o wiele lepiej? - zapytała.

- Pobolewa coraz mniej. W przyszłym tygodniu dostanę lżejszy gips. Doktor zabronił mi prowadzić samochód lewą nogą. Jak gdybym ja go słuchał.

Jazda z Hankiem u boku i jazda z Dickiem - Esty nie mogła nie porównywać. W drodze do zajazdu kierowców ciężarówek myślała o następnym zbliżeniu, gdzie będzie i jakie będzie. A teraz z Hankiem jest jej... po prostu wygodnie. Mogę zsunąć z nóg czólenka, mogę wystawić włosy na pęd powietrza w otwartym oknie, mogę nie być błyskotliwa, zabawna. Mogę być sobą. Tylko czy to nie nudne? -

zastanowiła się. Nie ma tego szalonego podniecenia, tej udreki, jak w obecności Dicka Barretta.

Przejechali kilka mil wąską szosą wśród drzew i skręcili na inną autostradę. Esty patrzyła na tablice.

Już wiedziała, dokąd jadą. Do tej samej restauracji, w której uroczyście w nagrodę biesiadował zwycięzca konkursu. Czy Hank wie o tym? Zdecydowała się nie zapytać.

Podwiozła Hanka przed frontowe drzwi restauracji, zaparkowała samochód i wróciła. Maitre d'hotel poprowadził ich do stolika w kącie sali, pomógł Hankowi usiąść.

- Miło tu - powiedziała.

- Miło - potwierdził. -1 jest poniekąd okazja do oblewania. Mój pierwszy od czasu tego wypadku wieczór w lokalu. Dzięki tobie. Co zamówimy?

Dla Esty cocktail owocowy, dla Hanka szkocka, dla obojga beuf Wellinton, z panierowanym pasternakiem dla niej i górą fasolki szparagowej dla niego. On żartował jak zawsze z jej wielkiego apetytu. Ona go pytała o sprawy w jego kancelarii

adwokackiej, o Quarry'ego -pardon! - Deke'a, tylko nie o jego byłą żonę. Rozmawiali o bliźniaczkach, opowiadała mu o Jessie.

- Wydajesz się spięta, kiedy mówisz o swojej córce - zauważył Hank - coś nie tak?

Esty najchętniej zmieniałaby temat, ale Hank wzrokiem dodał jej odwagi.

- W gruncie rzeczy Jessie mnie nie aprobuje - wyznała. Jakoś role się odwracają i próbuje mi matkować. Udziela rad i jeżeli ich nie przyjmuję, wzdycha zrezygnowana.

- Jakich rad ci udziela?

- Chce, żebym ostatecznie urządziła sobie życie. Była przeciwna mojej przeprowadzce do Illinois, potem zmywała mi głowę, kiedy zerwałam z Jackiem i załatwiłam sobie posadę tutaj. Uważa, że ja... wciąż uciekam.

Umilkła, ale Hank słuchał dalej, więc po prostu musiała dalej mówić.

- Dziwne - powiedziała - Jessie chce, żebym osiadła, i to raczej nie sama, tylko z przyzwoitym mężczyzną. A znów mnie trudno akceptować ślub mojej matki. Chyba chciałam, żeby pozostało tak, jak było. Mama na swoim dawnym miejscu. Brzydko z mojej strony, prawda?

Hank ujął nad stolikiem jej rękę, uściśnął i puścił. Wypił trochę kawy. Przez chwilę rozmyślał.

- Dziwne - powiedział. - Ale jest w tym sens. Pamiętam, jak dawniej mówiłaś o matce. Że taka cudowna, bo taka niezależna, zaradna, szczęśliwa, chociaż samotna. Czy nie przypuszczasz, że usiłujesz być drugim wydaniem tej postaci?

- Czy nie przypuszczam? Nie bawię się w żadne przypuszczenia - Esty wysunęła kolce. Nie lubiła być badana, nigdy nie lubiła. Ale postarała się nie kłuć. Przecież Hank to przyjaciel.

- Cieszę się ze względu na mamę - powiedziała. - I Art Anderson jest człowiekiem przyzwoitym.

- Jeżeli jeszcze raz powiesz: przyzwoity... - zaczął Hank. W oczach miał iskielki.

- Przyz-wo-i-ty, przyz-wo-i-ty - wyskandowała i roześmiała się. - Odwołuję. Nie ma tego słowa. Skasowane.

Przytaknął, ale czekał, żeby mówiła dalej.

- A co do Jessiki, przecież nie mogę wybiec i dać się komuś złapać tylko po to, żeby ją zadowolić. Będzie musiała akceptować swoją starą mamę taką, jaka jest.

- Ale chcesz...

- Chyba chcę. Chcę, żeby ona sobie znalazła jakiegoś przy...

- z uśmiechem zakryła usta dłonią.

- Szkoda, że nie potrafimy wszyscy akceptować siebie nawzajem. Dać sobie spokój, nie wtrącać się z nadto - powiedział Hank.

Wiedziała, że on myśli o swoim rozbitym małżeństwie. Oczy miał znowu smutne.

- No - powiedziała. - Dla ciebie i dla mnie to wykonalne. Lubię cię takiego, jaki jesteś. A ty...

- Niezupełnie - przerwał jej. - Mógłbym wnieść parę poprawek.

- To mi się zgadza - mruknęła.

- Co?

Nie zamierzała mu powiedzieć. Potrząsnęła głową.

- Więc i ja ci nie powiem, jakie poprawki. Ale dam ci klucz.

- Raptownie rozmyślił się. Skinął na kelnera, sięgnął do kieszeni po portfel. - Następnym razem - powiedział. Odetchnęła z ulgą. Nigdy dotąd o swojej matce i o swojej córce tak nie rozmawiała z nikim, nawet z Connie. Nawet, być może, z sobą samą. Dość już tej rozmowy. Chciała wrócić do domu. - Idziemy, droga moja - powiedział Hank, gdy kelner pomagał mu wstać i podawał szwedki. - Długa jazda przed nami, długi dzień jutro. Jadąc milczeli. Tylko w pewnej chwili Hank nakrył dłonią jej dłoń na sprzęgle. Nic przy tym nie mówił, nie odwrócił do niej głowy. Czowała, jak jego przyjaźń napływa w jej rękę, rozgrzewa ją. Oto mężczyzna, któremu można ufać. Mężczyzna, którego można lubić. Odczuwała przyjemnie jego dotknięcie. Myślała o swoim bracie, o tym, że nigdy nie była z Keithem szczególnie zżyta. Myślała o Jacku może tańczącym teraz z Linnie Hobart. Zdumiewające, że nie jest jej ani trochę przykro. I nagle stanął jej przed oczami Dick Barrett, coś nią szarpnęło, musiała nabrać tchu. Och, to zupełnie takie uczucie jak po rzuceniu palenia,

kiedy ktoś przy mnie zapalał papierosa i zaciągał się, a ja wiedziałam, że nie mogę...

- Głupiutko się uśmiechasz - powiedział Hank.

- Bo mi dobrze - powiedziała. - Miło być z tobą.

- Miło. Jestem człowiekiem przyzwoitym? Parsknęła śmiechem.

- I to bardzo.

- No, postaramy się to zmienić - powiedział. - Wszystko powetuję, kiedy tylko pozbędę się tych kul.

Podniósł dłoń z jej dłoni i poczuła się stratna. Chciała, żeby jeszcze trwał jego dotyk. Skreśliła w aleję wjazdową.

Przed domem wysiadła, pomogła Hankowi wejść po schodach werandy. Spojrzał w górę na okna.

Wszystkie były ciemne.

- Dziewczynki chyba już śpią - powiedział. Otworzyła drzwi.

- Dasz sobie radę w domu? - zapytała.

- Oczywiście. Dziękuję, Est. Dzisiejszy wieczór mnie ukontentował.

Zachichotała, słysząc to staroświeckie słowo.

- Było fajnie - powiedziała i oboje parsknęli śmiechem zawierającym w sobie bez mała trzydzieści lat znajomości. Poklepał ją po ramieniu; zadarła głowę i lekko pocałowała go w ucho. Potem wsiadła do samochodu i odjechała z powrotem do Edgeville.

W nocy znowu miała sny. Obudziła się o trzeciej rano. Poduszki leżały na podłodze, kociak miauczał.

Czyżby we śnie aż tak się rzuciła, że spadła z łóżka? Usiłowała sobie przypomnieć, co jej się śniło, ale tylko pozbierała jakieś migawki: matka strasznie rozgniewana - niezwykle, bo Elizabeth to uosobienie spokoju. Dick Barrett jedzie swoją miatą z blondynką o długich włosach, rozwianych...

- Cholera! - mruknęła. Ułożyła na łóżku skotłowaną pościel, podniosła kociaka z podłogi.

Nie mogła ponownie zasnąć. Po rozmowie z Hankiem coś we mnie się odkreśliło - myślała - coś, co było mocno zakrecone. Przez cały ten wieczór ani słowem nie wspomniałam Hankowi o Eriku. Może to znaczy, że „przebolełam” i ważniejsze dla mnie są mama i córka...

Ale wiedziała, nawet tego nie formułując, że przede wszystkim musi pokonać swój niedosyt. Jak to jest z nałogowcami? Odwyk wymaga cierpliwości, a ona chce tak od razu...

Cóż, kiedy poza morderstwem nie ma sposobu, żeby ten proces przyspieszyć.

I nagle nadeszło Święto Dziękczynienia. Jessica miała przylecieć do Bostonu w środę wieczorem. Elizabeth i Art mieli ją prosto z lotniska przywieźć samochodem do Edgeville i zatrzymać się w gospodzie. Esty kupiła nowe maty na stół, wybrała specjalne wino, zamówiła upieczonego indyka i w piekarni dwa duże ciasta: jedno z bakaliami, drugie z dynią. Po oddaniu gazety do druku - w tym tygodniu wcześniej - zostanie jej trochę czasu na przygotowanie świątecznej kolacji.

We wtorek rano zatelefonowały bliźniaczki Morrison. Powiedziała: hallo i usłyszała, jak one przy dwóch telefonicznych aparatach chichoczą nerwowo i nawzajem się uciszają.

- Hallo - powtórzyła.

- Chcemy panią o coś poprosić - zaczęła Yvonne.

- O coś ważnego - dodała Nellie.

- Strzelajcie.

- Prosimy, żeby pani przyjechała tutaj na kolację w Święto Dziękczynienia. My ugotujemy. Hetty nam pomoże.

Esty nie zaraz odpowiedziała:

- Kochane... moje kochane, nie mogę. Rodzina do mnie przyjeżdża. Jutro. Moja córka przyleci aż z Teksasu. - Wiemy o tym - oznajmiła Nellie. - Zapraszamy panią ze wszystkimi.

- I państwa Springer - dorzuciła Yvonne. - Panią Connie i pana Ala.

Esty oniemiała na chwilę.

- Dziewczynki, państwo Springer na pewno też, tak jak ja, będą mieli u siebie rodzinę.

- Nie! - zapiała Yvonne. - Myśmy już do nich dzwoniły. Ich synowie nie przyjadą. Przyjęli nasze zaproszenie. - Więc pani też musi. Prosimy.

- Ale...

- To dla tatusia - powiedziała Nellie. - Wymyśliłyśmy dla niego taką niespodziankę. On nie cierpi świąt, zawsze robi się okropnym zrzędą, ale kiedy będzie takie towarzystwo...

- Wasz tatuś okropnym zrzędą? Nie wierzę.

Na to Esty usłyszała w słuchawce dwa przeciągłe westchnienia i chichot.

- Więc jak? - zapytała Nellie. - Przyjedzie pani? Prosimy. Nasz okropny brat będzie, a on nas nienawidzi. Umrzemy bez kogoś innego do rozmowy.

Quarry-Deke zaszczyca dom rodzinny swoją obecnością w Święto Dziękczynienia. To dobrze, pomyślała Esty.

- No? - zapytała Yvonne. - Prosimy panią, pani Foster. Rzeczywiście jestem dla nich pani Foster.

Hank jednak nie byłby zadowolony, gdyby zaproponowała dziewczynkom, by mówiły jej po imieniu.

- Pani jest? - zaniepokoiła się Nellie po chwili ciszy.

- Jestem - odpowiedziała Esty. - Ale to takie... niespodziewane. Muszę się zastanowić.

- Prosimy, niech pani się zastanowi prędko. - Której to był głos? Nie wiedziała.

Zastanowiła się. Elizabeth i Art się ucieszą. Święto Dziękczynienia w prawdziwej jadalni przy prawdziwym świątecznym stole. Jessice też to się spodoba. I nastrój zawsze swobodniejszy, kiedy tyle osób wokoło. A na rozmowy z samą Jessiką wystarczy czasu. Cały długi weekend.

- Już zamówiłam indyka i dwa ciasta - powiedziała.

- Niech pani odwoła indyka. A ciasta pani przywiezie - zdecydowała Nellie. - I tak miałyśmy panią o to poprosić. - Mogłabym też przywieźć wino...

- Państwo Springer przywiozą - powiedziała Yvonne. - Pani tylko te ciasta. I siebie. I swoją córkę. I swoją mamę. Więc przyjedzie pani?

Esty zgodziła się. Będzie przyjemnie, będzie świątecznie, Hank się rozweseli.

- Przyjadę. Przyjędziemy. Jesteście bardzo miłe, że nas zapraszacie.

- Robimy to dla tatusia - znów zaznaczyła Nellie. - Jest dzielny, ale mu łyso. Teraz ma gips dobry do chodzenia, ale

jeszcze nie może się tak ruszać, jakby chciał, więc ryczy zły jak niedźwiedź.

- Na nas!

- O której mamy przyjechać? - zapytała Esty.

- Jemy o siódmej - odpowiedziała Nellie. - W naszej rodzinie w święta nigdy wcześniej. Zawsze wieczorem. Mam nadzieję, że pani nie sprawi to różnicy. Prosimy na szóstą, dobrze?

Esty powiedziała, że dobrze. Już myślała o jakimś ładnym prezencie dla dziewczynek i czymś specjalnym dla Hanka. Czowała ogromną ulgę, że nie musi sama przygotowywać świątecznej uczy. Odwołała zamówienie indyka, zamówiła trzecie ciasto, a potem zadzwoniła do Connie, jak podejrzewała, zrecznej inicjatorce tego przyjęcia.

Popołudnie w środę Esty miała dla siebie, bo przygotowała już prawie wszystko na przyjazd Jessie. Wyciągnęła się na kanapie z nową powieścią kryminalną i nakryła nogi pledem, ciesząc się z takiej możliwości relaksu.

Czytała może pięć minut, gdy ktoś zastukał. Hildy zeskoczył z parapetu okna, miauknął do niej i pomknął do drzwi. Merdał ogonkiem.

- Można by myśleć, że to pies - mruknęła. Zakładką zaznaczyła w książce stronicę, na której przerwała czytanie, i poszła za kociakiem.

To był Dick Barrett. Stał przed drzwiami, ręce trzymał z tyłu, głowę pochylał, żartobliwie pokorny. Stała i patrzyła. Podniósł głowę, uśmiechnął się, wysunął zza pleców rękę z bukietem stokrotek.

- Dla ciebie - powiedział.

Wzięła kwiaty, ale nie zaprosiła go do domu. Najpierw pochylił się i pogłaskał kociaka ocierającego się o nogawkę jego spodni, potem podał jej rękę. Wzdrygnęła się.

- Chyba chcesz wejść - powiedziała z lodem w głosie, z żarem w żyłach. Goście przyjadą za kilka godzin, o tym powinna myśleć, a tu obecność Dicka Barretta znów ją

rozpłomienia. Wściekła na siebie, nieomal warknęła: - Nie mam czasu. Jutro, jak wiesz, jest święto.

Dick spuścił wzrok. - Wiem. To dla mnie zawsze trudne dni. Jestem samotny.

- Jeżeli próbujesz złowić zaproszenie, to nie w tej sadzawce. Jadę do Connecticut.

- Do Connecticut znowu? Więc kim on jest?

- Kto kim jest?

- Słuchaj - powiedział. - Wiem, że jesteś na mnie zła. Wszyscy są na mnie źli. Już nie kandyduję do legislatury. Esty coś o tym słyszała. Odwiedziło go kilku prominentów i nakłaniało, żeby się wycofał. Ale jakoś przypuszczała, że on nie zechce zrezygnować. Teraz szczerze było jej go żal. Niebezpieczny objaw. Esty, bądź ostrożna. Pozwoliła mu wejść.

- Tylko na parę minut, Dick - powiedziała. - Kawy?

- Nie masz piwa?

Podawała mu piwo, sama wzięła sobie niskokaloryczną colę i usiadła daleko od niego. Klapnął na kanapę, pociągnął wielki łyk piwa, po czym spojrzał na nią bacznie, przeciągle.

- Sfuszerowałem - powiedział. - I nie mówię tylko o legislaturze. Tam zawsze jeszcze zdążę. Co się odwlecze, to nie uciecze. Nadal jestem burmistrzem i mierniczym. Wydźwignę się. I to wszystko wypali... no wiesz, kontrakt na brukowanie parkingu. - Ja nie potrzebuję wiedzieć, Dick.

- Więc, jak mówię, z tego się wydźwignę. Ale ty... Naprawdę chciałem, żebyśmy byli...

- Słuchaj - powiedziała Esty. - Powiem ci uczciwie. Wykorzystałam cię tak, jak mężczyźni sławetnie wykorzystują kobiety. I... lubiłam ten seks. - Czowała, że się rumieni, że szyja jej płonie. Najchętniej zapadłaby się pod podłogę, zmusiła się jednak, żeby patrzeć Dickowi Barrettowi prosto w oczy.

- W tym, że się lubi seks, nie ma nic złego - powiedział Dick. - Jesteś damą wyzwoloną. Takie damy zwykle lubią...

- Wyzwoloną? Wątpię. Nie jestem... dość wolna, żeby kogokolwiek pokochać. Już to wiem. I dopóki nie będę mogła jakoś się zaangażować, czy bodaj wyobrazić sobie, że się angażuję... nie będę, nie chcę... tylko się puszczać.

- Ale robisz to ze mną? Puszczasz się po prostu?
 - Staralam się udawać, że to coś innego - powiedziała łagodnie. - Przez jakiś czas fantazjowałam, że zakochałam się w tobie.
 - Przez niedługi czas, Esty. Jesteś tu zaledwie od trzech miesięcy.
 - Jednak - ciągnęła - znam siebie. To nie jest... to, czego chcę, Dick. Nie będę ciebie zwodzić.
 - Och, proszę cię, Esty. Daj mi szansę.
 - O jaką szansę mnie prosisz? - Znów mogła mówić lodowato. Czy nie powiedziałam za dużo? Zastanowiła się. Nie ufała mu, chciała, żeby już wyszedł z jej domu. I jednocześnie wbrew wszystkiemu pragnęła, pragnęła...
 - O możliwość widywania się z tobą, Esty. Zwolnię tempo.
 - Dick, czy nie rozumiesz? Ja nie chcę zwolnionego tempa. Żałuję... że pozwoliłam sobie na tempo tak szybkie, ale to, co było między nami, to już historia, Dick... chyba że chciałbyś, żebyśmy byli przyjaciółmi. Ja bym chciała.
- Dick wstał z kanapy, potrącił stolik, butelka się przewróciła. Twarz miał bardzo czerwoną.
- Dziwka - powiedział prawie szeptem. - Podrywaczka bez pokrycia - powiedział głośno.
- Esty wstała z fotela i cofnęła się. Serce jej łomotało. Dick patrzył na nią twardo, zimno. Wstrzymała oddech. Zmusiła się do oddychania możliwie równo. Wdech, wydech, wdech, wydech.
- Pewnie mam j jakoś zareagować na to... plugastwo - powiedziała w końcu.
 - Dziwka - powtórzył, ale już bez zawziętości. Postawił butelkę na stoliku.
- Esty stała nieruchomo, usiłując miażdżyć go wzrokiem. Hildy wskoczył na stolik, zaczął zlizywać rozlane piwo. Po chwili będącej, zdawałoby się, wiecznością, Dick przeczesał oburącz włosy i, trzaskając drzwiami, wyszedł. - Dziwka! - powiedział raz jeszcze, gdy już pędził alejką. Esty poszła do kuchni po papierowe ręczniki, wytarła piwo.
- Hildy, jak gdyby wiedział, że jest źle, chodził za nią, ocierał się o jej nogi i cicho pomiaukiwał.
- Spojrzała na zegarek: godzina

trzecia. Jej spokojne popołudnie w ruinie. Ale jedno wiedziała na pewno i to było doprawdy coś, za co powinna Dickowi Barrettowi dziękować. Już nigdy nie będzie go pożałowała. Skończyło się. Sam jest sobie winien. Connie ma rację. To drań.

Nie było sensu zabierać się znów do czytania. Esty pojechała do zakładu ogrodniczego i kupiła dwie azalie w doniczkach: jedną postawiła na okrągłym stoliku z fotografiami, a drugą w pokoju Jessie. Nową białą kapą nakryła tam łóżko, które następnie przesunęła bliżej okna, tak jak Jessie lubi. Potem pojechała do delikatesów, kupiła świeżo mieloną kawę, pomarańcze, rogaliki i ten właśnie gatunek płatków, jaki Jessie jada na śniadanie.

A potem przeszła się do redakcji „Nowin”, żeby sprawdzić, czy aby na pewno wszystko tam w porządku. Gazetę oddali do druku, Squeech i Jody już pojechali pociągiem do swoich rodzinnych domów. Był tylko Wally. Jim i Mary wszystkim dzisiaj dali wolne pół dnia. Koszyk na biurku Angeli świecił pustką. - A więc, szefowo - zapytał Wally - upieczesz indyka?

- Nie. Mam kolację u przyjaciół. A ty?

- No, mnie stuknie dwadzieścia siedem lat - powiedział.

- Mama i siostra przygotowują mi urodziny już od tygodni. Muszę teraz przywieźć do domu krzesła, sąsiedzi obiecali nam je pożyczyć.

- Duża rodzina, co?

- Jestem szósty z siedmiorga dzieci. I jest mnóstwo ciotek i kuzynów. Potrzebne aż dwa indyki. - Uśmiechnął się.

- Rwetes, że coś straszego, ale to przyjemne. Raz w roku. Esty znalazła klucz i zamknęła te zwykle otwarte drzwi

wejściowe aż do poniedziałku. Gasząc światło nad drzwiami i schodząc po schodkach za Wallym, już czuła panikę. Cztery dni na łonie takiej rodziny, jaka ta rodzina jest! Cztery dni z... matką i Jessie. Bez możliwości ucieczki do redakcji. Idiotko, skarciła się w duchu, przecież uwielbiam Jessie, prawie przez cały rok jej nie widziałam, czego ja się boję?

- No - powiedział Wally - to ja ruszam. - Podwieźć cię do domu, Esty?
- Nie, dziękuję. - Uśmiechnęła się i zapięła płaszcz. Było zimno. - Chcę się przespacerować.
- Pachnie śniegiem, jak mawiał mój dziadzio. - Wally zawahał się. - Pamiętasz, Esty, pierwszy dzień, kiedy przyjechałaś i pomagałem wyładowywać rzeczy? Wydaje się, że to przed wiekami.
- Pamiętam. Wzięłam cię za licealistę. Jesteśmy dobrym, zgranym zespołem, Wally.
- Ty, Esty, jesteś wspaniałym szefem. Wszyscy tak uważamy.
- Hej - powiedziała - dziękuję. To wy jesteście wspaniali. Poszła żwawo, wiatr rozwiewał jej włosy.

Samolot Jessiki

już ląduje w Bostonie. Matka i Art czekają tam na lotnisku i przyjadą z nią do Edgeville koło godziny dziewiątej. Czy po drodze coś zjedzą? Ale mama na pewno ma kolację do zjedzenia w samochodzie, tak jak dawniej, kiedy byliśmy mali, Keith i ja, myślała. Jutro wszyscy zjemy duże drugie śniadanie w gospodzie, a potem pokażę im okolicę. O piątej pojedziemy do Morrisonów. Ale reszta weekendu? Dlaczego za mało się cieszę tym, że będę miała swoją jedynaczkę u siebie? Dlaczego w głębi ducha wolałabym spędzić te cztery dni sama, z Hildym na kolanach popijać herbatę i oglądać stare filmy, i słuchać muzyki, podrzemać, pobiegać w zimnym ostrym powietrzu...?

Ale zarazem Esty żałowała, że nie ma dużej rodziny, świątecznie rozochoczonej i hałaśliwej, więc nie będzie mogła siedzieć niezauważenie przy obficie zastawionym ogromnym stole - cicho ogryzając udko indyka, być niewidoczna, anonimowa...

Hildy przy drzwiach domu czekał z ogonkiem uniesionym w znak zapytania, z pyszczkiem rozdzieranym salwą miauu! miauu! Upuściła torebkę na stół kuchenny, podniosła kociaka i przytuliła. Wyrwał się jej i uciekł.

- Jesteśmy pokrewne dusze, kotku - stwierdziła. Zostawiła drzwi otwarte. Wiedziała, że on za parę minut wróci.

Przygotowała kolację dla Hildy'ego i dla siebie i usiadła, żeby poczytać, ale nie mogła się skupić. Spoglądała na zegarek,

wstawiała raz po raz, dokonywała oględzin domu. Pokój Jessie: w nogach łóżka świeże ręczniki, na stoliku nocnym nowa powieść kryminalna Sue Grafton, w szafie dostatecznie dużo wieszaków.

Zerwała z azalii zmartwiały listek, wyprostowała dywanik, obciągnęła firankę.

Godzina ósma. Wkrótce przyjadą. Zatelefonują z gospody, że już są w Edgeville, i ona tam pojedzie, wypije z nimi na dobranoc i przywiezie do domu Jessikę. Wszystko zaplanowane.

Ni stąd ni zowąd to zaczęło się wydawać czymś ponad jej siły. Spacerowała po saloniku, sprawdziła, czy jest dość drewna w skrzynce i podpałki w koszu. Przyglądała się fotografiom i wśród nich fotografii Erika. Właśnie. Erie. Nadal Erie. Długą drogę przebyła w krótkim czasie, ale nadal długa droga jest przed nią. Fotografię Erika przeniosła na stolik w saloniku ze swojej szafki przy łóżku, ale nie ze swojej głowy.

Poszła do łazienki, rozpinając na sobie koszulową bluzkę. Dobry gorący prysznic chyba pomoże zmierzyć się z tym świątecznym weekendem. Gdy strużki wody chłostały ją w plecy, szeptała serdeczności do Nellie i Yvonne, wdzięczna za zaproszenie jej rodziny na kolację. Może jest tchórzem, na pewno jednak będzie się czuła swobodniej w większym towarzystwie.

Gdy wyszła z łazienki, światelko automatycznej sekretarki mrugało. Oni są już w gospodzie, czekają w barze.

Od drzwi baru wypatrzyła ich natychmiast. Siedzieli przy stoliku w kącie. Ale też zobaczyła siedzącego przy innym stoliku Dicka Barretta. Z kobietą. Jakaś rudą, której dotychczas nigdy nie widziała. Oderwała wzrok od tych dwojga i podeszła do rodziny.

Uściskały się. Długo Esty tuliła swoją jedynaczkę. Wypuszczając ją z objęć, miała łzy w oczach.

Uściskała ją jeszcze raz. Art stał z kieliszkiem, do którego podstawy przyłgnęła cocktailowa serwetka.

Skinął na kelnera i zamówił brandy dla Esty.

Przez kilka minut wszyscy mówili naraz. Elizabeth i Art omawiali pogodę, martwili się, że będzie padał śnieg. Jessie oznajmiła, że ma pewną wiadomość, ale jaką, powie dopiero w piątek. Elizabeth najwyraźniej wiedziała, co to takiego. Art

promieniał patrząc na nią, i na swoją nową córkę, i na swoją nową wnuczkę. Jessica łokciem trąciła Esty. - Mamo, nie przypatruj się, tylko spójrz na tego gościa.

- Ruchem głowy wskazała stolik Dicka Barretta. Esty spojrzała z miną obojętną.

- Nie wiesz, kto to jest? - zapytała Jessie.

- Wiem. A bo co?

- Jest wspaniały. Tylko że zajęty. Fatalnie.

Esty gorączkowo poszukała w myśli innego tematu, ale zanim znalazła jakiś, Dick Barrett już szedł przez salę do ich stolika. Nie wierzyła własnym oczom. Tak się zachował dziś po południu, tak ją nazwał i teraz śmie podejść do niej, podejść do jej bliskich? Zmarszczyła brwi, twarz miała jak ściętą lodem.

- Dobry wieczór - powiedział Dick, stając przy jej ramieniu.

- Pozwolisz, Esther, że przedstawię się twojej rodzinie? Cóż mogła zrobić? Dokonała prezentacji.

Patrzyła, jak Jessie,

trochę zarumieniona, prostuje się na krześle, podnosi rękę i odgarnia rudawy kędziorek z czoła. Te jej włosy - zupełnie takie, jak Dicka Barretta. Zupełnie takie, jak Erika. I patrzyła jak Elizabeth zamyka rozdziawione usta, opanowuje zdumienie.

- Jessica - powiedział Dick miękko. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Po czym odszedł. Esty stłumiła westchnienie, wypła trochę brandy. Napotkała wzrok matki mówiący „ja wiem, ja wiem”. - Czy on wam się nie wydaje do kogoś podobny? - zapytała Jessie.

Elizabeth szybko zaczęła mówić o czymś innym. Dick Barrett ze swoją rudą towarzyszką wyszedł z baru. Rozmowa warko się potoczyła, ale pytanie Jessiki wisiało w powietrzu.

Czy Jessie zauważyła, że Dick jest podobny do niej? - zastanowiła się Esty. Podobieństwo przecież uderzające. I czy Art to zauważył? Matka zauważyła na pewno.

Ale brandy rozgrzewa.

Czy ten człowiek nigdy nie zniknie mi z oczu?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Śnieg zaczął padać koło północy. Rankiem, gdy Esty się obudziła, ziemię pokrywał biały proszek. Gdy Jessica wygramoliła się z łóżka i przysła do kuchni na kawę, to już był biały puch. Drzewa iskrzyły się ośnieżone, krzaki ugiwały się pod bielą. Potem śnieg przestał padać, wysunęło się słońce. Esty wypuściła Hildy'ego na dwór, ale kotek zaraz wbiegł z powrotem i łapki mu się trzęsły. Nigdy dotąd nie widział śniegu.

Esty wzięła z progu zostawioną przez gazeciarza gazetę, nakryła do stołu przy oknie i napaliła w kominku, chociaż miały wyjść z domu za kilka godzin. Jessica zasiadła z nią do śniadania. Była jeszcze we flanelowej nocnej koszuli i zniszczonym starym szlafroku frotte.

Esty czuła dziwne napięcie. A przecież nic przykrego sobie nie powiedziały wczoraj wieczorem po przyjeździe z gospody,

tylko wypily goracą czekoladę i wczesnie poszly spać, ledwie Jessica zwiedziła dom i orzekła, że owszem, jest odpowiedni. Jeśli już coś, to nastąpił moment niejakiego zakłopotania, gdy Jessie podniosła z okrągłego stolika zdjęcie ojca, przyjrzała się mu, postawiła je i znów sięgnęła po nie.

- Czy nie miałaś tego dawniej przy łóżku, mamó?

- Miałam - odpowiedziała Esty.

Jessica postawiła fotografię ostatecznie i nic więcej nie zostało powiedziane.

Teraz nasaczyła rogalik miodem i, odrywając palcami kawałki, jadła wolno jeden po drugim.

- No... - zaczęła. - No co?

- Nie mogę się doczekać, żeby ci powiedzieć. Ale przyrzekłam, że dopiero w piątek. Najpierw chciałam się rozejrzeć w tym miasteczku. Wczuć się w nastrój...

Esty, zaintrygowana, uznała jednak, że lepiej się nie dopytywać.

- Więc już powiem ci dzisiaj. - Jessie napiła się kawy. - Jeśli chcesz to usłyszeć.

- Zamieniam się w słuch - powiedziała Esty.

- Już mówię. W Dallas nie było mi dobrze. Kończę dwadzieścia osiem lat i ciągle siedzę jak na wylocie. Ta posada jest niezła, ale tylko niezła. W tej kancelarii nie ma dla mnie prawdziwej przyszłości. Nigdy nie będę współniczką, za dużo tam starych wiarusów. A wątpię, czy kiedykolwiek stałabym się starą wiaruską.

Esty się uśmiechnęła.

- Rozumiem cię. Ja też nigdy nie czułam się swojsko w Teksasie. Ale myślałam, że ty tam jesteś u siebie. Urodziłaś się tam i wychowałaś.

- Tylko że nie mam Teksasu we krwi - powiedziała Jessica. - Dobrze mi wyłącznie u babci. Nie wiem, dlaczego, ale w Seaview zawsze czuję się doskonale. Kocham ocean, tę szopę aukcyjną, ten frontowy ganek.

- Ja też - powiedziała Esty. Do czego Jessica zmierza? Wpatrywała się w córkę. Śliczna dziewczyna nawet rano, nawet kiedy taka potargana. Te rudawozłociste kędziory, ta cera

różowa i piegi. Oczy zielone z brązowymi plamkami jak oczy Erika. I ręce takie jak jego ręce -krzepkie a delikatne. Jessie jest wysoka, o wiele wyższa ode mnie, wysoka, długonoga jak jej ojciec. Wygląda cudownie we wszystkim, cokolwiek na siebie włoży, w kostiumie bikini czy w sukni wieczorowej. Nawet w tym szmatławym szlafroku. Gdzie były moje geny, kiedy ona powstała, zastanowiła się Esty nie po raz pierwszy. - Śmiejesz się ze mnie? - Jessica zmarszczyła brwi.

- Podziwiam cię - powiedziała Esty. - Jesteś śliczna, Jessie.

- Dla swojej matki. Nic już nie powiem, a ty sobie patrz, jeżeli tak ci się podobam.

- Przepraszam. Mów.

- No więc, jak wiesz, ciocia Connie zawsze była moją mentorką.

- Trzymała cię do chrztu.

- Więc... ostatnio rozmawiałam z nią przez telefon bardzo często.

Connie nigdy ani słowem nie wspomniała o tych rozmowach z Jessie. Esty się zaniepokoiła.

- Dlaczego taki sekret przede mną?

- Dlatego, że... rozważałam wszystko, żeby dobrze wiedzieć, co robię. Ciągnęło mnie tu na Wschód... i kiedy ty się przeniosłaś, ciągnęło mnie jeszcze bardziej.

Esty słuchała w milczeniu. Była z Jessiką zżyta, ale zawsze na odległość. Przypomniało jej się, jak Jack powiedział: „Myślałem, że wy dwie wszystko sobie mówicie”.

- Więc krótko mówiąc, Connie mi zaproponowała posadę tutaj, w jej kancelarii. Znam prawo cywilne, stronę prawną handlu nieruchomości. I chcę pracować samodzielnie, nie zespołowo. Connie mówi, że przydam się tutaj. Więc... spróbuję. Esty otworzyła usta, ale głos ją zawiódł.

- Nie wydajesz się, mamo, zbyt zadowolona z tego, że będziesz miała mnie w pobliżu - stwierdziła Jessica. - Czy znów strzeżesz swojego terytorium?

- Znów?

- Nigdy naprawdę nie chciałaś, żebym przyjeżdżała do Illinois. Woliałaś przyjeżdżać do mnie do Teksasu. Czy wiesz, że prawie nie widywałyśmy się, odkąd poszłam na studia?

Jessie ma rację, oczywiście, pomyślała Esty. Coś we mnie potrzebowało tego oddalenia. Czy dlatego, żeby nie rozmawiać z nią o Eriku?

- No?

- Nie wiem, co powiedzieć, Jess. To jest małe miasteczko, niewiele tu się dzieje. Jesteś młoda. Czy na pewno nie miałabyś lepszego pola do działania w Bostonie czy w Hartford?

- W Hartford nie znam nikogo - powiedziała Jessie. - Tutaj znam Connie. Zawsze ją kochałam. I ty tu mieszkasz. I chcę być niedaleko babci i Arta. No i przy tobie.

Esty wstała, podeszła do córki i mocno ją uściskała.

- Jessie, znasz mnie, potrzebuję czasu, żeby... reagować na niespodziewane wiadomości. Jestem zachwycona, że będziesz tak blisko. Ale też urażona trochę, bo nie dopuściliście mnie do tego planowania. Wykluczyliście mnie, ty i Connie.

- Musiałam nabrać pewności, mamó, żeby móc ci o tym powiedzieć.

- Jestem zachwycona. Możesz mieszkać u mnie, dopóki nie znajdziesz sobie własnego kąta. Jeżeli ze mną wytrzymasz. Jessie uśmiechnęła się promiennie.

- Connie już ma parę domków na oku. Jutro mi pokaże.

- Kiedy, Jessie? Kiedy byś się przeniosła?

- Zaraz. Złożę wypowiedzenie od razu po powrocie i przyjadę... do domu na Boże Narodzenie.

Ona już nazywa to domem, a widziała tutaj tylko gospodę i tę moją chałupkę.

- Jesteś pewna? - Pewna... za mocno powiedziane. P r a w i e pewna. Ten śnieg chyba dobrze mi wróży. Zawsze kochałam śnieg. Podbiję to miasteczko.

- Porozmawiaj z Hankiem Morrisonem. Czy pamiętasz Quarry'ego?

Jessie pamiętała. Obie śmiały się z jej kredkowanych obrazków i jej świętego oburzenia.

- Ciekawe, czy on mnie pamięta?

- Miejmy nadzieję, że nie. Tylko nie zapominaj, że jemu teraz na imię Deke. Czy Zeke? Czy jakoś tam.

Esty wstała, napełniła ponownie ich kubki kawą. Hildy siedział na kolanach Jessie.

- Wiesz, mam, potrzebny mi samochód. Mam pieniądze, zaoszczędziłam. Myślę, że może używany volvo.

- Mądrze myślisz - powiedziała Esty. Dziwnie jej to pochlebiło: Jessie chce mieć taki właśnie samochód, jaki wybrała sobie ona.

Stała przy swojej pięknej córce i myślała, że większość matek cieszyłaby się, że jedyne dziecko będzie mieszkać w pobliżu. Dlaczego ja się nie cieszę? Dlaczego Connie przede mną ten projekt ukrywała? Ale taka już jest Connie. Świetnie zachowuje sekrety. Tym razem załatwiła sprawę po cichu, pełna najlepszych chęci wobec Jessie i mnie. A przecież... niech to diabli!

- Dużo tu chłopców do rzeczy? - zapytała Jessica nad zlewozmywakiem, gdy zmywały po śniadaniu.

- Dwaj reporterzy w „Nowinach”, ale oni za młodzi dla ciebie...

- A ten superman wczoraj wieczorem? Chociaż przypuszczam, że zajęty.

Esty upuściła kubek, który płuła. Na szczęście, nie stłukł się.

- O co chodzi? - zapytała Jessie. - Tak zbladłaś, mam. Esty odkręciła do ostatka kran z gorącą wodą i postawiła kubek na suszarce.

- Jeszcze przetrzymam tę wiadomość - wyjaśniła. - Zaskoczyłaś mnie, Jess, to cudowne, rzeczywiście cudowne. Tylko daj mi chwilę, żebym mogła się z tym oswoić. Bardzo dobrze, że powiedziałaś mi dzisiaj, nie zwlekałaś do jutra. I postaraj się dziś porozmawiać o tym z Hankiem.

- Czy na pewno nic ci nie dolega?

- Na pewno nic. Oddaliśmy gazetę do druku wcześniej w tym tygodniu. Cała noc zarwana, więc trochę zeszkapiałam.

- Logiczna wymówka, Esther, pochwaliła się w duchu.

- Chcesz wziąć prysznic pierwsza? Jessica przytaknęła i wyszła z kuchni.

Esty podniosła Hildy'ego, przytuliła go do ramienia. Stała przy oknie, przy swoim dębowym sekretarzyku i patrzyła na

trawnik pod śniegiem. Niebo było bezchmurne, niebieskie. Pies sąsiadów zaszczeakał, Hildy wbił jej pazurki w ramię. Pogłaskała go, wtulił łeppek w jej szyję.

Będę musiała trzymać Jessie z daleka od Dicka Barretta. Ale jak?

Niebo się zachmurzyło i późno po południu już znów padał śnieg. Esty i Jessica przespały się - czy raczej Jessie się przespała, a Esty leżała na łóżku i rozmyślała. Strzegę swojego terytorium? Chyba Jessie ma rację. Edgeville jest moje, zaczynam tu błyszczeć, zaczynam należeć do tutejszej społeczności. Czy mogę to dzielić ze swoją piękną córką, efektowniejszą, dowcipniejszą, zabawniejszą niż ja? Głowy się odwracają za Jessie zawsze, odkąd podrosła. I Jessie ukończyła studia z odznaczeniem... Esty, nie mająca w sobie nic z myszy pod miotłą, nagle poczuła się myszą. Te porównania! Miałyby być bieg przez płotki? - zmitygowała siebie. Matki nie powinny współzawodniczyć z córkami. To niezdrowe. To chore.

Zdrzemnęła się, ale niezupełnie.

O piątej wyruszyła z Jessiką z domu, zabrała Elizabeth i Arta z gospody i pojechali do Connecticut. Babcia i wnuczka na tylnym siedzeniu chichotały jak pensjonarki. Są z jednej gliny, pomyślała patrząc, jak śnieg zacina w przednią szybę. Art przy niej zapierał się nogami w podłogę samochodu, najwyraźniej niespokojny. Chciała go uspokoić, że nie będzie kraksy, ale nie wiedziała, jak. Wreszcie skręciła w długą aleję wjazdową Manka. Aleja była świeżo posypana piaskiem.

Na podjeździe teriery doskoczyły do samochodu aż śnieg tryskał. Na werandę wybiegły bliźniaczki. - Witamy! - wołały rozpromienione.

W saloniku kominek jaśniał buzującym ogniem. Hank bardzo spokojnie ubrany - krawat subtelnie wzorzysty o szerokich końcach, jedwabna koszula *beige*, znakomicie skrojone spodnie - głównie zadawał szyku nowym, lżejszym gipsem na nodze. Częstoował wszystkich cocktailem Manhattan.

- To nasz tradycyjny trunek w Dziękczynienie - powiedział.

Esty poczuła zapach pieczonego indyka. Ktoś go chyba przyprawił rozmarynem. Poszła za bliźniaczkami do kuchni i włożyła fartuch, który jej dały. Potrzebowały pomocy.

- Hetty mnóstwo wczoraj zrobiła - powiedziała Nellie - ale nadzienie zrobiliśmy same. Z kasztanów.

- Tylko że - powiedziała Yvonne - jedną rzecz my nie bardzo...

Popatrzyły na siebie.

- Pani powinna u nas być gościem i dobrze się bawić - znów zaczęła Yvonne - tylko że...

- Chodzi o sos? - zapytała Esty. Potwierdziły.

- Sos to trudna sprawa. Dajcie mi mąkę albo krochmal kukurydziany. I czy macie już otwartą butelkę czerwonego wina? Byle jakiego. I łyżkę drewnianą? No, wyciągnijmy to ptaszysko z brytfanny.

Ale indyk był dla nich za ciężki.

- Pójdę po Dekę'a - zdecydowała Yvonne.

Wróciła z ponurym dryblasem w garniturze z kamizelką, białej koszuli, krawacie z zakardu i okularach w rogowej oprawie. Dryblas wyciągnął rękę do Esty:

- Harrison Morrison Czwarty - przedstawił się - Deke. Nie chciał włożyć fartucha, zręcznie zsunął indyka na półmisek, umył i wytarł ręce i poszedł sobie.

Yvonne chichotała. Nellie usilnie zatykała jej ręką usta. Esty udawała, że tego nie widzi, zajęta przyrządzaniem sosu. - Jest niedobra wiadomość - oznajmiła Nellie. - Państwo Springer ostatecznie nie mogą przyjechać. Więc jesteśmy tylko my. Esty nie przejęła się tym.

- Zobaczymy się z nimi kiedy indziej - powiedziała.

- A dziś bez nich nawet będzie przytulniej.

- Pani córka jest wspaniała - powiedziała Yvonne.

- I pani mama także - dodała Nellie. - Nie wygląda dosyć staro, żeby...

- Nellie, to niedelikatnie. Nie mówi się o niczym wieku

- upomniała ją Yvonne. - Doprawdy!

- Ja tylko chciałam...

- W porządku. - Esty zdała sobie sprawę, że czuje się lepiej mieszając sos w kuchni z bliźniaczkami, niż w salonie z dorosłymi.

- Pani wygląda za młodo na córkę swojej mamy - szepnęła jej Nellie do ucha, kiedy Yvonne nie patrzyła. - Panie wszystkie są piękne.

Hank ciężko wkroczył do kuchni, oparł się o kontuar i z uśmiechem ogarnął wzrokiem trzy kucharki.

- Teraz na mnie kolej - powiedział. - Esty, gdzie twój cocktail?

Esty rozejrzała się; zapomniała, gdzie postawiła szklankę. Udał zniecierpliwienie, głośno powłócząc nogą w gipsie poszedł z powrotem do saloniku i przyniósł jej świeżo zmiksowany Manhattan.

- Chodź, Esty. Dajcie indykowi pooddychać przez parę minut, zanim każę Deke'owi go pokroić. Tam jesteś mi potrzebna.

Wziął ją pod rękę. W saloniku Jessie i Deke stali z obu stron kominka jak podpory na końcach rzędu książek. Elizabeth i Art siedzieli pochłonięci rozmową z Theresą, starszą siostrą Hanka, która miała kwiaciarnię w Cincinnati. Wszyscy wydawali się zadowoleni.

- A więc - zacierając ręce Hank zwrócił się do Jessiki i Deke' a - przypomnieliście sobie, że się znacie? -1 gdy młodzi wymienili spojrzenia, dorzucił: - Oboje jesteście adwokatami. Macie o czym rozmawiać.

Esty szturchnęła go. Wiedziała, jak Jessikę zniechęca zachęcanie. Poprowadziła go do kozetki, poczekała, żeby się usadowił, i usiadła przy nim.

- Dziękuję za zaproszenie w imieniu nas wszystkich - powiedziała.

Uścisnął jej rękę.

- Z nikim na świecie nie chciałbym dzisiaj być bardziej niż z tobą - powiedział cicho. - Ale podziękowanie nie mnie się należy, tylko dziewczynkom. Fakt.

Za oknem padał śnieg. Na palenisku kominka płonął ogień, psy leżały w czerwonej łunie. Istny obraz Normana Rock-wella. Powiedziała to Hankowi.

- Tak - zgodził się. - Prawdziwe nowoangielskie Święto Dziękczynienia. - Wstał i sam poszedł do kuchni pokrajać indyka.

Esty obserwowała Deke'a i Jessikę. Deke, stwierdziła, jeśli się patrzy na niego bardzo zmrużonymi oczami, jest nawet przystojny. Gdyby tak nie przylizywał włosów, gdyby ubrał się inaczej... I może szkła kontaktowe...

Deke uśmiechnął się, podszedł do Jessiki, nachylił się i szepnął jej coś. Jessie parsknęła śmiechem i coś szeptem odpowiedziała. Z ognia iskra wyleciała na dywan. Deke wziął pogrzebacz, usunął ją. Potem Hank z kuchni zawołał Deke'a, żeby przyszedł po indyka. Bliźniaczki weszły za bratem, niosąc salaterki ze słodkimi Kartoflami, pasternakiem i dynią, i górą fasolki szparagowej dla Hanka, i sosjerki z sosem i z żurawiną. Wszyscy zasiedli do stołu w jadalni i częstowali się sami. Przy nakryciach były karteczki, na których bliźniaczki pieczołowicie wypisały imiona. Esty przypadło miejsce pomiędzy Hankiem i Deke'em.

Przed deserem, gdy ciasta podgrzewały się w piecyku, a Esty i dziewczynki sprzątały ze stołu, Deke i Jessica włożyli boty i poszli na spacer. Esty wyjrzała przez okno w kuchni. Śnieg już nie padał, świecił księżyc, W pełni. *Księżycu, świeć*. Uśmiechnęła się, widząc jak Deke bierze jej córkę pod rękę i idzie z nią po śniegu. Włosy Jessiki lśniły w poświacie, słychać było śmiech ich obojga.

Pół godziny minęło, a oni nie wracali. Art zaczynał tłumić ziewanie. Bliźniaczki zdecydowały, że deser będzie przy kominku w saloniku, i wyciągnęły małe stoliki dla starszych gości.

Jessie i Deke wrócili wreszcie. Trochę zziębnięci, z kołnierzami postawionymi.

- Jest zimniej niż w cycku wiedźmy - powiedział Deke, zadziwiając Esty. Rozluźnił kołnierzyk koszuli i włosy mu się rozkleiły, opadły kędzierzawo na czoło. Teraz bez okularów był rzeczywiście przystojny, Jessie najwyraźniej też tak uważała.

No, pomyślała Esty, co z tym terytorium? Ale odezwał się głos z lepszej strony jej natury: to dobrze, że Jessie znalazła przyjaciela. Adwokata, w dodatku.

- Grosik za twoje myśli - powiedział Hank, podając jej małą filiżankę czarnej kawy. - Tak, droga moja. Patrzymy na młodość. Tyle nam pozostało.

- Muszę już zawieźć staruszków do gospody - powiedziała. Elizabeth wyglądała świeżo jak zwykle, ale Art kiwał się na kanapie nad talerzykiem z ciastem stojącym u jego stóp.

- Posłuchaj - Hank przysunął się do niej. - Dziś jest wspaniale, ale marzy mi się jeszcze jedna niezupełnie-randka. Mogę prowadzić samochód... Więc przyjadę po ciebie w przyszłym tygodniu, co? Ładnie proszę. Przyjedzie do Edgeville. Esty była zdumiona swoją reakcją. Tak, strzegę swojego terytorium. Tak, siedzi we mnie coś złego. Coś, co zazdrości mojej córce, zazdrości mojej matce. Ileż uczuć w jednej kobiecie i ze wszystkimi sama musi sobie poradzić.

Uśmiechnęła się do Hanka.

- Bardzo ładnie?

- Bardzo.

- Więc dobrze. Przyjedź, powiedzmy, że w... czwartek odpada. Może w...

- We wtorek. Będę przed twoim domem o siódmej. Czy mogę przyjechać prosto z kancelarii? W rynsztunku adwokata? To mi zaoszczędzi mnóstwo jazdy. Powiedziała, że oczywiście.

- Wiesz, Est, wyglądasz dziś pięknie.

- Żartujesz.

- Nie. Wyglądasz... cudownie. Poczula, że się rumieni.

- No, do licha.

- Dziękuję ci, mała. Rozjaśniłaś mi dzień. I zdaje się, że twoja śliczna córka rozjaśniła dzień Deke'owi. Od lat nie widziałem go tak uśmiechniętego. Esty załadowała swoje towarzystwo do samochodu i wyruszyła w drogę powrotną. Art u jej boku chrapał. Jessie i Elizabeth na tylnym siedzeniu tym razem milczały. W pewnej chwili Jessica powiedziała: - Mamo?

Esty nie odrywała wzroku od autostrady.

- Co?

- Podoba mi się tutaj.
- Już?
- Już. Czy możemy jutro się rozejrzeć? Weźmiesz mnie na duży objazd?
- Aż pięciominutowy. Connie nie chce ci pokazać kancelarii?
- To w sobotę.

Esty znów się zirytowała. Wszystko zaplanowały bez niej.

- Jutro rano - powiedziała. - Ale nie na objazd, tylko na obchód. Jeżeli nie przywiozłaś wysokich butów, pożyczę ci swoje. - Przywiozłam. Ty chyba zapominasz, że mam nogi większe o trzy numery. Śmiały się. Esty prowadziła samochód powoli, ostrożnie, aż podjechała przed gospodę, gdzie Art i Elizabeth wysiedli. - Napijemy się brandy - powiedziała Jessice.

- Czy dostanę także herbatę?
- Dostaniesz wszystko, czego zechcesz - zapewniła.

W domu Hildy czekał na nie. Jessica zapaliła wszystkie światła i wzięła ze swojego łóżka kołdrę. Dochodziła północ, ale ona chciała rozmawiać.

Esty usiadła przy niej na kanapie, Hildy mruczał między nimi.

- Mamo, wspaniale być tutaj - powiedziała Jessie.
- Wspaniale mieć tu ciebie - odwzajemniła się Esty i to było szczere. Nie wiedziała, że nie wszystko pójdzie gładko jak po maśle.

Miała jakieś sny. Budząc się nie pamiętała nic a nic. Wiedziała tylko, że śniło jej się coś koszmarnego, bo prześcieradło było skłębione, serce jej waliło, w ustach zasychało. Poszła do łazienki, wypila szklankę wody.

Nie mogła znów zasnąć, rozdrażniona, dezorientowana, pełna wstydu. Wstydziła się, że nie potrafi sklecić sobie życia - nie, to nie tak, przecież już sobie życie skleciła, czyż nie? Tylko jej wstyd, bo tego nowego życia nie chce dzielić z nikim,

nawet ze swoją córką i swoją matką. Nie chce mieć nikogo, nawet Jessie, w swoim domu. Ten dom jest jej. Może jest zupełnie zrozumiała potrzeba takiej samotności, takiego schronienia na pewien czas? Jednak nie! Tyle lat temu utraciłam Erika, myślała. Jeżeli jeszcze nie jestem gotowa dzielić z kimś życia, to czy będę gotowa kiedykolwiek? Jeżeli dając cokolwiek z siebie moim najbliższym uważam ich za intruzów, czyż mogę spodziewać się od nich miłości... i zaufania?

Rankiem, po paru godzinach niespokojnego snu, była niecierpliwa i skwaszona. Gdy zobaczyła rzeczy Jessie rozrzucone w saloniku, zgrzytnęła zębami.

Wzięła się w karby. Jessie spała do dziesiątej, ona tymczasem przygotowała śniadanie i przy dźwiękach symfonii z adaptera zaczęła robić notatki do artykułu na temat podsunęty przez Mary. Jessie stanęła za nią.

- Buu! - wykrzyknęła.

- Siebie strasz. - Odwracając się od sekretarzyka, z uśmiechem zapytała córkę: - Dobrze spałaś?

- Aha. Łóżko wygodne i miałam towarzysza - Jessie wzrokiem wskazała Hildy'ego, który przeżył się teraz na okiennym parapecie w słońcu.

Nawet mój kot lubi ją bardziej niż mnie, pomyślała Esty. I zaraz: opamiętaj się. Zanim się obejrzysz, zaczniesz porównywać wasze pobory.

Zjadły śniadanie, pochodziły po miasteczku, zatrzymując się w para małych antykwariatach. Esty kupiła lustro w dębowej ramie do pokoju gościnnego, Jessie kupiła kolczyki-lezki. Zjadły obiad, zwiedziły redakcję „Nowin” i samochodem pojechały trasą koło kościoła po zakupy do samu spożywczego. Jessie poprosiła, żeby ją podwieźć do biblioteki, gdzie chciała czegoś poszukać. Esty, żeby zapelnąć sobie wolną godzinę, zdecydowała się na zrobienie dobrego uczynku: zabrała Sarę Waite i jej suczkę do doktora Sweeta, który na coś Frezję zaszczepił, i odwiozła staruszkę z powrotem do Domu Rencisty akurat na podwieczno-

rek. Nie dała się na ten podwieczorek zaprosić, z przyjemnością innym razem, teraz musi pojechać po córkę.

- Słyszałam, że ona może przyjedzie do Edgeville na stałe - powiedziała Sarah. - Prawda, że to miło dla pani?

Skąd...?

Sarah mrugnęła.

- Wróbelek mi wywierkał. Zapominasz, kochasiu, że to małe miasteczko. Wiadomości fruują. Esty strasznie się zaniepokoiła. Wiedziała, że Connie na pewno nie rozpowiada. Connie nigdy nic nie mówi nikomu. Więc któż inny mógłby powiedzieć? Może Sarah jakoś zaznajomiła się z Elizabeth w gospodzie? Tak, to jedyne wytłumaczenie. Nie ma o czym myśleć, nieważne...

Zaparkowała samochód i weszła do biblioteki. Chciała zapytać, czy mają *Wodne dzieci* Charlesa Kingsleya, jej ulubioną książkę, gdy była dzieckiem, i jej matki w dzieciństwie także. Zamierzała zamieścić w „Nowinach.”- rozprawkę o klasycy dla dzieci: takiej jak *Mary Poppins*, *Tajemniczy ogród* i oczywiście *Małe kobietki*.

Skierowała się do pokoju katalogów i znalazła tę książkę, zanim poszukała Jessiki. W bibliotece było cicho. Zajrzała do czytelnicy dla dzieci, po czym weszła do wysoko sklepionej głównej sali z rzędem kabin pod ścianą, teraz przeważnie pustych. Tylko w jednej podstarzały jegomość przeglądał stary rocznik gazety i w innej szeptały dwie nastolatki. Słyszac chichot wyjrzała zza rogu ostatniej kabiny. Mężczyzna i kobieta siedzieli, głowa przy głowie, nad albumem malarstwa. Tą kobietą była Jessie. Mężczyzną był Dick Barrett. Esty zdrętwiała.

Dick podniósł wzrok, twarz miał uśmiechniętą. Włosy opadały mu chłopięco. Wierzchem dłoni odgarnął je znad oka. Był w swetrze rybackim, tym samym, który miał na sobie w niedzielę świętego Franciszka, gdy odbywało się błogosławienie zwierząt. Poczowała drgnienie pożądania, jak wtedy, i jednocześnie szarpnął nią niepokój: co jej córka robi z tym człowiekiem? Zmusiła się do uśmiechu.

- Cześć, mamó - ładnie powiedziała Jessica. Podniosła wzrok, zaróżowiona. - Spotkałam twojego znajomego.
- Widzę. - Esty postarała się, żeby to nie zabrzmiało oziębło. - Dzień dobry, Dick. On teraz stał, uśmiechał się nadal.
- Okazuje się, że oboje lubimy impresjonistów, więc zaczęliśmy rozmawiać i - patrzcie, podziwiającie - nawiązała się łączność.
- Patrzcie, podziwiającie - powtórzyła Esty.
- Ale oczywiście widzieliśmy się już przedtem - powiedziała Jessica. - Przedwczoraj? W gospodzie? Nastąpiła chwila ciszy. Niech ktoś inny ją przerwie, pomyślała Esty.
- Gotowa jesteś już wyjść? - w końcu zapytała Jessikę. Jessie wstała i zamknęła album. Dick poszedł oddać go bibliotekarce.
- Mamó, nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym pojechała z nim dziś wieczorem do kina? Powiedział, że weźmie i ciebie, jeżeli chcesz...
- Nie, dziękuję. Ja... - O co chodzi?
- Po prostu nie chcę dziś kina, Jess. Ty, jeżeli chcesz, możesz pojechać.
- Przykro mi zostawiać cię samą... - zaczęła Jessica. Dick wrócił.
- Mama pojedzie z nami? - zapytał. Potrząsnęła głową.
- Nie.
- *Wolno mi zatem twą córkę uroczy porwać na wieczór?* - zacytował tonem tak obojętnym, jak gdyby Esty była jego przypadkową znajomą. Jak gdyby nigdy się z nią nie kochał. Jak gdyby ich rozstanie nie było zaprawione jadem. Jak gdyby nie trzasnął drzwiami przed jej nosem i nie nazwał jej dziwką. Cóż Esty mogła powiedzieć? Nie, nie wolno. Przykleiła do twarzy nowy uśmiech.
- Zjem kolację z babcią i Artem - powiedziała. - Będziemy mogli pogawędzić.
- Podjadę o siódmej - powiedział Dick. Pomachał ręką i już go nie było.

Jessie zatrzymała się przy biurku bibliotekarki, podziękowała jej za pomoc: tak, znalazła to, czego szukała. Idąc do samochodu, wzięła Esty pod rękę.

- Dobrze się czujesz, mamó?

- No pewnie - odpowiedziała Esty rześko. - Dlaczego pytasz?

- Wydajesz się... nieswoja.

Przemilczała to. Wsiadła do samochodu, poczekała, żeby Jessica wsiadła z drugiej strony i zapięła na sobie pas.

- Czy na pewno nie masz mi za złe, że wyjdę?

- Ależ skąd! Jeżeli zamierzasz mieszkać w tym miasteczku, równie dobrze możesz znać burmistrza.

- On jest burmistrzem?

- Nie mówił ci? Jessie potrząsnęła głową.

- No, ale ja go o to nie pytałam. Mówił tylko, że zna ciebie i że przeorywujesz jego artykuły. Z tego wnoszę, że on pisze do gazety. - Tylko rubryki *Opinie*, czasami. Jest burmistrzem i miejskim mierniczym. - Fantastyczne - powiedziała Jessie. - Nigdy dotąd nie znałam żadnego burmistrza.

- To niezupełnie Fiorello La Guardia - powiedziała Esty.

- Czy Connie go lubi?

- Zapytaj ją. Często pracują razem. O której jutro masz się z nią spotkać?

- O świcie - odpowiedziała Jessie. - Przed nami cały dzień zaplanowany. Naprawdę... naprawdę myślę, że będzie mi się tu bardzo podobać. Zdecydowałam, się szybko, wiem, ale... mamó, cieszysz się, że będę tutaj? Esty energicznie pokiwała głową.

- Jestem zachwycona, Jess. Mam nadzieję, że to ci wyjdzie na dobre. Będę ci pomagać w miarę wszystkich moich możliwości.

Dojechały do domu.

W godzinę później Jessica wyszła z łazienki wysztafirowana. Była w blad różowym golfie i jaskrawoczerwonej kamizelce ze sztruksu. Włosy zaplotła w warkocz i upięła. Zakręciła się w kółko.

- Jak wyglądam?
 - Jak z reklamy w katalogu L. L. Bean - powiedziała Esty, przerywając pracę przy sekretarzyku.
 - Odgadłaś. Właśnie stamtąd to ściągnęłam.
 - Matki wiedzą takie rzeczy - powiedziała Esty. Jessica w płasach podbiegła, uściskała ją...
 - Przykro mi, że zostawiam cię samą. - i zdaje się, że ty... nie lubisz pana Barretta.
 - Z czego to wnioskujesz?
 - Córki wiedzą takie rzeczy - oświadczyła z żartobliwą powagą i parsknęła śmiechem. - Tylko przypuszczam. I skoro o nim mowa, ile on ma lat?
- Za stary dla ciebie, za młody dla mnie, pomyślała Esty.
- Około czterdziestu chyba.
 - I nieżonaty?
 - Jess - powiedziała Esty, opierając się łokciami o blat sekretarzyka i nie patrząc na Jessikę, tylko w okno. - Jego zapytaj. To wam da temat do rozmowy. Na jaki film jedziecie?
 - Nie mówił.
 - No, jakiś nie najgorszy chyba. - Wstała. Byle tylko po raz drugi tego dnia nie oglądać Dicka Barretta. Spojrzała na zegarek. Za pięć siódma. - Idę teraz pod prysznic. Baw się dobrze. Ale znów, jak przez całe popołudnie, musiała ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć: Bądź ostrożna. Jeżeli sama tej przestrogi nie usłuchała, czemuż by Jess miała usłuchać?

Gdy Esty wyszła z łazienki, automatyczna sekretarka błyskała. Po naciśnięciu guzika zabrzmiał głos:

- Tu Dekę Morrison. Dzwonię do Jessiki. Czy mógłbym w niedzielę, zanim wyjedziesz, zaprosić cię na obiad po drodze do Hardford? Zadzwoń do mnie.

Esty zapisała to dla Jessie, zostawiła tę kartkę na jej poduszce i pojechała do gospody. Bardzo jej była potrzebna kolacja z matką i Artem Andersonem.

Wróciła do ciemnego domu. Paliło się tylko światło nad frontowymi drzwiami. Jessiki nie było. Poszła spać, ale gdy się obudziła o godzinie drugiej nad ranem, Jessiki nie było nadal. Wstała z łóżka, pospacerowała, zaparzyła herbatę i zaraz wylała do zlewu. Jess będzie wściekła, kiedy zobaczy, że ona czeka, że się denerwuje. Więc znów się położyła i, daremnie próbując zasnąć, leżała spięta, z oczami szeroko otwartymi. W końcu usłyszała, jak drzwi frontowe się otwierają, skrzypią, zamykają się. Spojrzała na fosforyzujący budzik: 3:27.

Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Ze wszystkich miejscowości na świecie Jess wybrała właśnie Edgeville i tutaj osiadzie. Connie oczywiście mądrze rozumuje, jest wziętym adwokatem potrzebującym młodszej współpracownicy w swojej kancelarii, jest przyjaciółką, jest matką chrzestną - i może Jess rzeczywiście chce być bliżej rodziny. Jednakże Edgeville to małe miasteczko, za małe dla matki i córki, żeby... co żeby? I ze wszystkich mężczyzn na świecie dlaczego właśnie Dick Barrett? Błagam, dobry Boże w niebiesiach, uchronź Jessie od Dicka Barretta. Ale jeśli z nim Jessie była do godziny czwartej nad ranem, czy nie za późno na tę modlitwę? Co oni mogli zrobić przez tyle czasu? To nie moja, powtarzaj sobie, nie moja sprawa, myślała Esty. I nie mogę okazać zaniepokojenia, bo Jessie tylko odsunęłaby się ode mnie... prosto w jego ramiona. Jessie tak samo jak mnie potrzebna jest niezależność, obszar prywatny. Esty pamiętała, jak Elizabeth przekraczała tę cienko zaznaczoną granicę pomiędzy matczyną troskliwością i matczynym wścibstwem, zadając jej o jedno pytanie za dużo - gdzie ona była, o której godzinie wróciła do domu i czy ten chłopiec jej się podoba. Trzeba uważać z Jessiką, nie popełnić takiego błędu... Jak gdyby to był błąd! Trudna sprawa. Nie pytasz, czyli nie dbasz, pytasz, aha, już się wtrącasz.

Esty wbiła głowę w poduszkę i siłą woli zmusiła się do zaśnięcia. Gdy się obudziła, Jessie już wyszła, zostawiając kartkę: idzie na śniadanie z Connie do wagonu śniadaniowego, prosimy, przyjdź do nas, jeśli chcesz.

Esty nie chciała. Przyda jej się czas na posortowanie prania, posprzątanie w domu, ukończenie artykułu o książkach dla

dzieci i na drzemkę. Mogłaby też posypać piaskiem dojście do domu tam, gdzie jest ślisko. I... Nic z tego wszystkiego nie zrobiła. Siedziała przy sek-retarzyku, popijała kawę i patrzyła przez okno na bladą smugę słońca ukośnie przecinającą trawnik. Biel na trawniku prawie stopniała, ale niebo zaczynało szarzeć. Znow będzie padał śnieg.

W południe jeszcze raz zadzwonił Dekę Morrison. Powiedziała mu, że tak, Jessie wyjeżdża jutro, leci z powrotem do Teksasu. Kiedy znow przyjedzie? Nie wiadomo dokładnie. Zapewniła, że nie ma nic przeciwko temu, że Dekę ją zabierze na obiad. To bardzo miło, dwoje starych przyjaciół z czasów dzieciństwa...

Po tej telefonicznej rozmowie rzuciła się na kanapę i zamknęła oczy, wyczerpana. Matka i Art są w drodze, wyjechali wczesnym rankiem, coś mówili, że nie chcą tak długo zostawiać swoich psów i że syn i synowa Arta proszą ich na kolację z resztkami indyka. Jeszcze jedna tradycja rodzinna. Zmobilizowała się. Włożyła dwa swetry i trampki, i przebiegła pięć mil. Ostatnie pół mili z powrotem do domu, machając rękami, przemaszerowała ulicą Kongresu o zmierzchu. Było prawie pusto nawet w wagonie śniadaniowym. Za rogiem swojej ulicy dosłownie wpadła na Jessikę i Dicka Barretta.

- Mamo! - wykrzyknęła Jessica. - Taka jesteś rozmarzona?

- Biegłam - powiedziała Esty żalując, że nie może uciec. Dick Barrett trzymał dłoń na ramieniu Jessie.

- Mam wiadomość - Jessica wzięła ją pod rękę. - Znalazłam mieszkanie, a raczej Connie mi je znalazła. Właściwie znalazła aż trzy, ale to jest idealne. Zacznie się je odnawiać w przyszłym tygodniu! Connie mówi, że możemy tam wpuścić malarzy, pomalują, zanim przyjadę z powrotem. I łazienkę trzeba wytapetować, jest taki zielony krajobraz morski w bardzo złym guście...

- Brr! - powiedziała Esty. - Jesteś pewna, że chcesz przenieść się tak prędko? - Kącikiem oka zobaczyła, że Dick Barrett delikatnie szturcha Jessie w żebra. Jessie się uśmiechnęła.

- A czemuż by nie, mamo? Szalenie mi się spodobała kancelaria Connie. Będzie dla mnie mnóstwo roboty. I na Boże Narodzenie wszyscy będziemy razem. U babci.

Esty przytaknęła. Czowała, że Dick Barrett patrzy na nią, jak gdyby usiłował odczytać jej myśli.

Spojrzała mu w oczy. Odwrócił wzrok.

- Dick przysiadł się do nas, do Connie i do mnie, w wagonie - wyjaśniła Jessie. - Był tam przypadkiem.

- No, proszę - powiedziała Esty. - Otworzyła drzwi frontowe i pochyliła się, żeby podnieść Hildy'ego, który upadł, bo opierał się o drzwi w chwili, gdy je otworzyła. - Cześć, kotku.

- Dick mi obiecał kociaka - powiedziała Jessie.

Esty przytrzymała otwarte drzwi mając nadzieję, że Dick Barrett ma dość oleju w głowie, żeby nie wejść. Miał. Przesłał Jessie całusa, ją zignorował i powoli odszedł alejką. Zamknęła drzwi.

Jessie stanęła pośrodku saloniku, trzymając się pod boki.

- Mamo, jak mogłaś być dla niego taka niegrzeczna? Esty znieruchomiała. Czy była niegrzeczna?

- Prawie się nie odzywałaś, usta miałaś zaciśnięte, nie poprosiłaś go do domu. Dlaczego?

Podeszła do kanapy i usiadła. Wiedziała, że to, co powie teraz, będzie decydujące.

- Po prostu Jess, jestem zmęczona. Głowa mnie boli. Myślałam, że po biegu mi przejdzie, ale tylko się pogorszyło. Przepraszam. - Czy coś jest między wami dwojgiem? - Co masz na myśli?

- Przecież to jak elektryczność. On się robi dziwny w twojej obecności. I ty w jego obecności robisz się dziwna. Co to znaczy?

- Chyba puszczasz wodze fantazji.

- Wcale nie. Tylko znam ciebie.

- Przypuszczam, że i jego znasz także.

- Mamo! No widzisz. To właśnie mam na myśli.

- Ja przy nim... nie czuję się swobodnie. I dość już o tym.

- Dość już o tym? Kiedy zacznym się z nim spotykać?

- Czyżby?

- Oczywiście. Byłam z nim w kinie i poza domem do czwartej rano. Więc, mamo, jeżeli masz coś do powiedzenia, może powiedz od razu.

- Pytałaś o niego Connie?

- Nie, nie pytałam. Rozmawiałyśmy o pracy. Wybrałyśmy mieszkanie. Nie miałam kiedy pytać, co ona myśli o burmistrzu.

Esty zabrakło słów.

- No? - napierała Jessie.

- Jesteś dorosła - powiedziała Esty w końcu. - Wiesz, co robisz.

- Zawsze liczyłam się z twoim zdaniem. Cóż na to powiedzieć?

- Dziękuję, Jess. I polegam na twoim wyczuciu. I dość już o tym.

Przygotowały i zjadły kolację i dopiero potem Jessie, wchodząc do swego pokoju, zobaczyła na poduszce kartkę z wiadomością od Deke'a Morrisona.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dzwonił? - wrzasnęła. Esty rzeczywiście było głupio.

- Zapomniałam. Przykro mi. Zadzwoń teraz, jeszcze nie jest tak późno.

Jessie spojrzała na nią zniecierpliwiona i ruszyła do telefonu, ale zawróciła.

- Miły ten Deke - powiedziała. - Nie sądzisz?

- Sądzę - potwierdziła Esty może zbyt pośpiesznie. - Z początku wydawał mi się strasznie sztywny, ale potem się rozkrochmalił. Ujmujący.

- No i wychodzi szydło z worka - powiedziała Jessica. Teraz sięgnęła po słuchawkę. - To już mi coś mówi. Deke jest ujmujący. Dick jest „dość już o tym”. Trochę jednak odsłaniasz się przede mną, mamó. Nakręciła numer, umówiła się z Deke'em. Położyła słuchawkę i odwróciła się do Esty.

- Nie będę wypytywać. W każdym razie nie teraz. Ale kiedy się tu osiedlę i przywykniesz do tego, że tu jestem, powinniśmy porozmawiać. O wielu sprawach. O...

Esty podniosła wzrok.

- O czym, Jess?

- O moim ojcu. Muszę zdać się na ciebie, mamó. Tylko ty jedna wiesz... jaki on był. Przecież nigdy naprawdę mi o nim nie opowiadałaś. Chyba czas, żebyś zaczęła. Ja muszę wiedzieć.

- Masz rację - powiedziała Esty cicho. - Porozmawiamy, Jessie.

Uściskały się i poszły spać, czując się lepiej. Może już potrafię mówić o Eriku, pomyślała Esty. Może. Ale będzie trudno przywoływać to wszystko znowu.

Rano rozległ się łoskot i brzęk tłukącego się szkła. Jessie zerwała się pierwsza i zapaliła światła. Esty przysła za nią. Hildy kulił się na krawędzi kanapy wielkooki, skruszony. Bo wskoczył na okrągły stolik z fotografiami i gdy zeskakiwał, zaczepił pazurkami o zdobiącą stolik spódnicę. Spadło na podłogę kilka ramek, ale tylko jedna się rozbiła.

Ramka z fotografią Erika.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jessie wypędziła Hildy'ego z saloniku i zabrała się do zbierania stłuczonego szkła. Stwierdziła, że ramka też jest do niczego. Wyrzuciła szczątki, a samą fotografię przyniosła Esty.

- Potrzebna nowa ramka.

- Tak - powiedziała Esty. - Jest dobry sklep w mieście. Załatwię to jutro. Czy ty masz taką fotografię?

Jessie potrząsnęła głową.

- Nikt mi nigdy nie dał.

- Nikt to znaczy ja. Każę zrobić odbitkę. Będzie czekała na ciebie, kiedy przyjedziesz... do domu.

Jessie się uśmiechnęła. Potem nagle spoważniała i mocno przytuliła matkę.

- Ty wciąż jeszcze tęsknisz, prawda? - szepnęła.

Esty nie zdołała odpowiedzieć, powoli kiwnęła głową. Jessie przytuliła ją mocniej.

- Wiem - powiedziała. - Naprawdę wiem.

Ta chwila minęła. Jessie poszła do swojego pokoju, żeby się spakować i ubrać na obiad z Deke'em Morrisonem. On miał ją później zawieźć na stację kolejową. Jej samolot odlatywał z Bostonu dopiero pod wieczór. Po odjeździe córki Esty wzięła Hildy'ego i usiadła przy sekretarzyku. Przebierała palcami po klawiaturze komputera i na tym się kończyło, nie pisała nic. Kociak mruczał na jej kolanach. Akurat gdy pomyślała, że trzeba zjeść obiad, zadzwonił telefon.

- Masz trochę czasu? - zapytała Mary. - Przepraszam, że ci przeszkadzam w niedzielę, wiem, że rodzina do ciebie przyjechała. - Już wyjechała. Co się dzieje? - Siedzisz?

- Coś niedobrego? W „Nowinach”?

- Coś, co będzie w „Nowinach”. Twój przyjaciel, Dick Barrett.

Esty spojrzała na zegarek. Jessie jest teraz z Deke'em, więc jej to nie dotyczy.

- Co on znowu zrobił? - zapytała.

- Dosyć to podłe. A także dosyć głupie. Po kontrakcie na brukowanie następna afera. Tamto mniej więcej wyjaśnił, usprawiedliwił się. Myśleliśmy... wszyscy byli gotowi machnąć ręką. Było, przeszło.

- Ale...?

- Ale teraz jest gorsza sprawa. Duża łapówka. Wiesz, jak nieugięcie się sprzeciwiał zbudowaniu bloku domów opieki.

- Czyż mogłabym zapomnieć? - powiedziała Esty.

- No, napuścił nas. My, miasteczko, głosowaliśmy, żeby taki blok zbudować tutaj. Prawie jednogłośnie. A Barrett...

Esty w olśnieniu ujrzała tę sytuację.

- Czy muszę znać szczegóły? - zapytała. Ogarnął ją gniew. Zagotowało się w niej uprzedzenie do republikanów, konser-

watystów ogólnie biorąc. Ale nie na partię republikańską powinnam się wściekać, mówił jej rozsądek, tylko na jednego człowieka. Na Richarda Barretta.

- Musisz znać te szczegóły dostatecznie dobrze, bo trzeba je zamieścić w gazecie - powiedziała Mary z nutą zniecierpliwienia. Wiem, że byliście... przyjaciółmi. - Byliśmy... to trafne słowo.

- I podobno twoja córka...

- Ją z tego wyłącz, proszę - powiedziała Esty za szybko.

- Ona tu będzie mieszkać, pracować u Connie. Jej nazwisko nie może...

- Oczywiście - przyznała Mary. - Mówię tylko, że... Wiem, dla ciebie to może być trudniejsze niż dla osoby całkowicie postronnej. Więc tylko zastanów się nad tym. To temat na ten tydzień. Komu to zlecisz? Squeechowi? Z pewnością nie Jody. Może Wally byłby lepszy...

- Słuchasz, Esty?

- Słucham. Mary, chcę, żebyś wiedziała. Ja... już nie widuję się z Barrettem.

- Tak myślałam. Bądź w redakcji jutro wcześniej rano, czy nawet dziś wieczorem, jeśli zechcesz już zacząć.

- Ktoś pisze o tym artykuł wstępny?

- Ja - odpowiedziała Mary. - Dam ci go do zredagowania.

- Umilkła na chwilę. - Esty, materiał tego rodzaju... Z pierwszej ręki, delikatna sprawa... na takie rzeczy komisja zwraca najbaczniejszą uwagę. To szansa, żebyśmy puścili farbę. Okażmy zrównowagę, inteligencję, najlepsze rzemiosło reporterskie. I postaraj się o fotografię. Może tę z konkursu? Esty się wzdrygnęła. Pamiętała te zdjęcia.

- Dobrze - powiedziała. Ale Mary już położyła słuchawkę.

Późno po południu Jessica zadzwoniła z lotniska. Esty chciała powiedzieć jej, co z Dickiem Barrettem, jednak rozmyśliła się. Życzyła jej szczęśliwego lotu, posłuchała, jak było na obiedzie z Deke'em, i powiedziała „do widzenia”.

Cisza po tych dwóch telefonach wprost ogłuszała. Esty chodziła z pokoju do pokoju, próbując czymś się zająć. Myślała o Dicku. Myślała o sobie.

Wyjechałam z Teksasu. Krok pierwszy. Wyjechałam z Illinois. Krok drugi. Krok drugi ogromny, bo zarazem porzuciłam Jacka. Nie oglądałam się za siebie, a to dobry znak. Kupiłam sekretarzyk, zadomowiłam się w nowej pracy i w nowym domu. Krok trzeci i krok czwarty: mam zwierzę... co świadczy o dążeniu do stałości. Krok piąty: zainteresowałam się mężczyzną, oddałam mu się (a raczej wzięłam go, prawdę mówiąc). Krok szósty? Czy krok w tył? Z pewnością krok w niewłaściwym kierunku. No cóż, to był błąd, więc teraz stoję w miejscu. Moja skorupa ochronna trzasnęła... kiepsko ją naprawiłam. Jestem jak stary talerz, który upadł, stłukł się i został sklejonny - chociaż można na nim podawać ciastka, rozpadłby się w zlewozmywaku.

A w czym ja bym się rozpadła? Odpowiedź nasunęła się od razu: w nowej bliższej znajomości z kimś. Nigdy już nie zaufam, powiedziała sobie Esty irracjonalnie. Już zawsze sama będę pracować przy moim sekretarzyku, rozmawiać z moim kotem, trzymać się blisko Jessiki, Elizabeth i Arta, i Connie. I mojej pracy przede wszystkim. To mi wystarczy.

Ale wiedziała, że to nie wystarczy.

Samotność nie jest taka straszna, usiłowała się pocieszyć. Ja nie potrzebuję miłości. Nie potrzebuję nawet seksu, jakkolwiek chcę. Narzucę sobie dyscyplinę. Ujrzała fotografię Erika w nowej ramce znów przy łóżku. NIE.

Jak gdybym była nastolatką, pomyślała z niesmakiem. A jednak czuła się dziwnie rozdrapana. I zmęczona.

W poniedziałek rano Esty przyszła do redakcji wcześniej. Przed biurkiem Angeli stała wyraźnie zrozpaczona Sarah Waite z chustką przyciśniętą do oczu. Angela, też wycierając oczy, ale kleenexem, szlochała głośno. Ucichła, gdy Esty weszła.

Esty objęła wątłą Sarę Waite ramieniem i rozejrzała się, gdzie jest Frezja. Czyżby tej suczce coś się stało? Staruszki kochają swoje psy bardziej niż kiedykolwiek kochały krewnych i znajomych.

Sarah odwróciła do Esty głowę. Łza zatrzymała się w głębokiej bruzdzie pod jej niebieskim okiem.

- O Boże, Esther. Ojej!

Esty spojrzała na Angelę, usiłującą przybrać styl profesjonalny.

- Mnóstwo złych wiadomości dzisiaj. - To mówiąc Angela wskazała Sarze krzesło. - Trudno pracować w gazecie, kiedy jest tyle złych wiadomości.

Spróbuję znaleźć dla Sary jakiegoś nowego pieska, pomyślała Esty.

Ale to nie Frezja odeszła z tego padołu.

- Miała osiemdziesiąt dwa lata zaledwie - powiedziała Sarah, gdy w końcu trochę się opanowała. -

Zasnęła w samym środku serialu i już się nie obudziła. Byliśmy tam wszyscy w świetlicy i patrzyliśmy razem z nią, a kiedy się skończyło i poszliśmy na podwieczorek... - Potrząsnęła głową, ukryła twarz w dłoniach. Angela pogłaskała ją po kolanie.

- Były przyjaciółkami od szkolnych czasów - powiedziała.

- To dla Sary wielki cios. - Umilkła na chwilę. - Ona chce nadać do gazety coś o tej Lolly. Nie taki zwyczajny nekrolog, tylko rodzaj...

- Hołdu? - podsunęła Esty.

- Tak.

- Oczywiście, zamieścimy. Czy przyniosła to?

- Jej trzeba pomóc - świsnęła Angela scenicznym szeptem.

- Czy mogłabyś... napisać na maszynie pod jej dyktando?

- No pewnie - powiedziała Esty.

Angela pomogła Sarze wstać z krzesła i Esty zaprowadziła ją nie do swego gabinetu, tylko do najbliższego komputera, żeby nie męczyć staruszki wchodzeniem po schodach.

- Gdzie jest Frezja? - zapytała, pomagając jej usiąść na krześle przy biurku.

- Tam, w domu - odpowiedziała Sarah. - Lolly miała siostrę Frezji. Z tego samego miotu. Teraz ja mam dwie psiny. Bo uzgodniłyśmy, że kiedy któraś odejdzie pierwsza... przyrzekły-

śmy... - Znow się rozplakała, ale zaraz przestała płakać. - Nie wiem, jak sobie poradzę z nimi dwiema.

- I szepnęła, chociaż nikogo nie było w pobliżu: - Ona ma cieczkę. - Po chwili nagle poweselała i klepnęła Esty w rękę. - I skoro mowa o psach, co myślisz o naszym burmistrzu, że tak nie chciał tutaj domu dla tych biednych niedorostków, chociaż oni by nigdy nie skrzywdzili nikogo? Co ty myślisz o tym, Esther? Cieszę się, że go złapali. I był wczoraj w kościele, klęczał, przyjmował komunię i w ogóle tak, jakby nigdy w życiu nie zrobił nic złego. Wyobrażasz sobie? B u r m i s t r z .

- Chyba nie mówi się „nedorostki” - poprawiła ją delikatnie Esty. - Chyba mówi się „opóźnieni w rozwoju”. I czy nie ten sam burmistrz sprawił, że możecie w Domu Rencisty mieć zwierzęta?

Sarah westchnęła, ale nie skomentowała.

- Zauważyłam - zmieniła temat - że ciebie, Esther, nie było w kościele.

- Moja rodzina przyjechała na weekend.

- Słyszałam. Trzymaj swoją ładną córkę daleko od tego diabła.

Esty aż zamrugnęła. Czy w Edgeville nic się nie ukryje? Sarah najwyraźniej zupełnie zapomniała o Lolly.

- Słyszałam, że odbiorą mu burmistrzowanie. Czy jak to się tam nazywa. Myślisz, że odbiorą?

- Ja nie słyszałam - powiedziała Esty.

- Nie słyszałaś? Pracujesz w gazecie i nie wiesz, co się dzieje? Musisz czekać, żeby jakaś starsza pani tu przyszła i zawiadomiła cię, co się dzieje? - Sarah parsknęła czy raczej szczerknęła śmiechem. -

Wygonię go z miasta, na to wygląda. Pewnie, że ja nigdy nie miałam o nim dobrego zdania. Oczywiście chytre i żadnych krewnych, żadnej żony, tylko ta Riordanka migdałca się do niego, chyba umyślowo rozwojowa, czy jak tam powiedziałaś.

Esty spojrzała na czarny ekran komputera, a potem na zegarek.

- Jesteś zajęta - zauważyła Sarah. - Ale zanim się obejrzyysz, będziesz jeszcze bardziej. Dobrze. Więc już. Mam tu trochę napisane. - Pogrzebała w swojej zniszczonej torbie i wyciąg-

nęła zmięty arkusz liniowanego papieru. Wbrew przewidywaniu Esty, nie rozpląkała się znowu. Zaczęła czytać spokojnie, z szacunkiem: - Laurel Busch... to się pisze *c* pomiędzy *s* i *h*... urodzona w tysiąc dziewięćset... czy musimy podawać, ile mamy lat? Lolly była wrażliwa na punkcie wieku. Esty potrząsnęła głową.

- Niech pani dyktuje to, co pani chce. - Zastukała palcami w klawiaturę.

Więc Sarah dyktowała. Gdy skończyła, dostała kopię. Jej elaborat był o wiele za długi.

Podziękowała i wyszła, omal nie zderzając się w drzwiach frontowych z Mary.

- Zwołaj zebranie! - zawołała Mary do Esty. - Gdzie są wszyscy? Co ty robisz przy tym komputerze? - Nie czekała na odpowiedź. Już biegła do schodów.

- Jest dopiero wpół do dziewiątej! - zawołała za nią Esty. Miała nadzieję, że reporterzy zjawią się punktualnie. Właśnie dzisiaj! Jeżeli Richard Barrett rzeczywiście utraci stanowisko burmistrza, należy dowiedzieć się o tym jak najprędzej.

Pierwszy wpadł Wally Mason.

- Esther? - wołał nie widząc, że ona stoi nie dalej niż trzy kroki od niego.

- Cicho! - upomniała do Angela. - Nieboszczyków w grobach obudzisz. I mojego psa.

- Esther - powtórzył już przytomniej. - Zebrali się. Rada miejska. W banku.

- W banku? A nie w ratuszu?

- W banku. Sędzia Springer tam jedzie. Rozmawiałem z nią. Nic nie chciała powiedzieć, powie po zebraniu. Czy ja mogę... to wziąć na swoją patelnię? Esty przytaknęła.

- I tak zdecydowałam, że ty. Chodź. - Poprowadziła go do sali konferencyjnej i zamknęła drzwi. - Wybrałam ciebie

- powiedziała - bo jesteś najstarszym reporterem, ale też i dlatego, że relacja z tej sprawy musi być zrównoważona. Jest duże zacietrzewienie. Myślę, że podołasz. - Zawahała się.

- W istocie, nie masz wyboru. Musisz o tym napisać.

- Napiszę. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Więc jedź tam - powiedziała Esty. - Przede wszystkim zapamiętaj wszystkie poruszane kwestie. Blok domów opieki, kiedy to ma być, co zostało ustalone? Urząd burmistrza, sprawowanie władzy burmistrza...

- Czyli burmistrzowanie?

- Jak ci podpadnie. Dowiedz się. Zrozum to należycie. Kto wejdzie na jego miejsce.

W piętnaście minut później Wally wyszedł, żeby stanąć na schodkach banku Edgeville i czekać, aż ojcowie miasta się wynurzą. Ojcowie i matki, poprawiła się Esty, ale jakoś to nie brzmiało dobrze. Rodzice miasta?

Resztę przedpołudnia spędziła ze skwaszoną Jody. Chcąc podnieść dziewczynę na duchu, pochwaliła jej artykuł o psim tasiemcu, ostrzegła ją przed niebezpieczeństwem emocji i wyrażania własnej opinii w reportażach z wydarzeń dnia. Ostatecznie więc pracowały w idealnej harmonii redagując... dopóki nie wtargnęła Kelly Riordan. Oczy miała czerwone, gumka w gniecionym aksamicie zsuwała się z jej końskiego ogona na ramię.

- Gdzie on jest? - wrzasnęła Kelly, po czym wlepiła wzrok w Esty. - Co wy robicie?

Esty stanęła przy niej. Jody z ustami rozdziawionymi, z ołówkiem w ręce została za stołem.

- To nie twój interes! - wrzasnęła Kelly do Jody. - Nie musisz gapić się na mnie!

Jody się zaczerwieniła, spuściła wzrok.

- Biegnij na górę, Jody - powiedziała Esty. - Dokończ swój artykuł u mnie w gabinecie.

Jody wyszła.

Esty odwróciła się do Kelly.

- Pani pyta, co wyprawiamy?

- Próbujecie go zniszczyć. Pani mi go zabrała i teraz go niszczy! On wcale nie chciał...

Esty spróbowała wziąć Kelly za rękę i wprowadzić do sali konferencyjnej, ale Kelly się odsunęła.

Angela wyszła zza swego biurka i z psem idącym za nią przeszła przez hall do damskiej toalety.

Zamknęła drzwi. Kelly i Esty zostały same... na chwilę.

Kelly przesunęła ręką po ustach.

- Przepraszam. To nie pani wina. Ale czyjaś wina na pewno. Byliśmy szczęśliwi, on mnie kochał, pani przyjechała i wszystko runęło. Ja tylko chcę wiedzieć, dlaczego. Co ja zrobiłam nie tak, jak trzeba. Co się stało? - krzyczała już nie wojowniczo. Dała się wprowadzić do sali konferencyjnej.

Esty zamknęła drzwi, posadziła ją na krześle. Podała jej kleenex z pudełka na parapecie. Koński ogon odpadł. Więc go podniosła, podała jej.

Kelly wkręciła ten zwój w swoje własne długie włosy i przypięła. Była blada, spłakana.

- Ja nie chciałam tego powiedzieć - zaczęła. - Tego, że to pani wina. Przepraszam. Ja tylko... to takie smutne. Dla niego. Dla mnie.

Esty ujęła ją za rękę. Zimną.

- Długo byliście ze sobą? - zapytała. Kelly potrząsnęła głową.

- Tylko dwa miesiące, tak naprawdę. Pani wie. - Zaczerwieniła się. - Ale ja zawsze go kochałam.

Esty widziała jej rozpacz. Wierzyła jej. Ona kochała Richarda Barretta, zanim wziął ją sobie do łóżka

- nie do serca, niestety. Po czym ją porzucił, ledwie w miasteczku pokazała się nowa kobieta.

- Nie moja sprawa - powiedziała Esty - ale myślę, że mogłaby pani z kimś innym wylądować lepiej.

Nie sądzę, żeby on...

- Niech pani go nie potępia! - przerwała Kelly gwałtownie. - Wszyscy go potępiają. Nie mogę tego znieść. - Położyła głowę na złożonych rękach, żeby Esty nie widziała jej twarzy.

Esty westchnęła.

- Ja tylko chciałam...

- Jeżeli pani chciała wypędzić go stąd, to pani dopięła swego. - Te stłumione słowa prawie nie dawały się słyszeć.

- Wypędzić stąd? Kelly podniosła głowę.

- Tak. Wypędzić. On nie został aresztowany ani nic. Może jechać dokąd chce, wie pani?

- Oczywiście, może.

Kelly znów trzymała głowę wysoko, oczy miała jeszcze bardziej czerwone niż przedtem.

- No - powiedziała - wyjechał. Próbowałam dodzwonić się do niego, być podpora, być po prostu przyjacielem. Ale nagrał wiadomość na sekretarce. Wyjechał.

- Dokąd? - zapytała Esty. Już żywiła straszne podejrzenie.

- Nie podał. Pewnie, że nie. Nie chciał, żeby było wiadomo. Ale powiedział, że na tydzień. Co najmniej na tydzień. - I nie domyśla się pani, dokąd? - zapytała Esty. Kelly potrząsnęła głową.

- Rodziny żadnej nie ma. To samotny wilk. Nie wyobrażam sobie, dokąd mógłby pojechać...

Przypuszczałam, że może jest u pani w domu. Że się ukrywa.

- Źle pani przypuszczała. - Esty złagodziła swój ton. Nie do wiary, taka skotłowana dziewczyna jest nauczycielką. - Nic mnie nie łączy z Richardem Barrettem.

- Ale łączyło - powiedziała Kelly raczej niegrzecznie.

- Kelly, ja tylko usiłuję pomóc. Nie wiem, gdzie on jest. Pojęcia nie mam. Pani chyba nic tu nie zdołała. Może potrzebował dystansu, żeby pomyśleć, co robić dalej.

- A bo on w ogóle myśli! - powiedziała Kelly. Esty nie zdołała się nie uśmiechnąć.

- Chyba będzie nam lepiej z jakimś burmistrzem myślącym.

- Niech się pani ze mnie nie nabija. - Kelly jednak wydawała się już bardziej opanowana.

- Nie nabijam się - powiedziała Esty. - Pani trafiła w samo sedno. On nie myśli.

- Tylko łamie serca - nieomal szepnęła Kelly.

- I prawo, Kelly. O tym nie zapominajmy. On łamie prawo. Kelly przytaknęła. Wytarła nos.

- Przepraszam, że tak na panią napadłam - powiedziała.

- Ale to dlatego, że wszyscy mówią o nim, a nikogo nie obchodzi, jak ja się czuję.

- Może pani też musi trochę pomyśleć - powiedziała Esty.

- Pomyśleć rzeczowo. Może z nim wcale nie byłaby pani szczęśliwa.

- Wie pani, co mówią? - nie patrząc na nią, zapytała Kelly.

Esty zadrzała.

- Mówią, że rzucił panią, bo bardziej mu się podobała pani córka.

- Nie chcę słuchać takiej gadaniny - powiedziała Esty wstając, usiłując ukryć gniew. - Mam nadzieję, że pani też nie będzie tego słuchać.

- No, słyszy się, czy się chce, czy nie chce. Nauczyciele rozmawiają. Plotkują. Tam właśnie to słyszałam, w pokoju nauczycielskim. Ktoś powiedział, że widział go z pani córką w...

- Dosyć na dziś! - ucięła Esty. - Kelly, muszę przygotować gazetę do druku. Chętnie z panią porozmawiam i będę słuchała kiedy indziej. Oczywiście bez żadnych plotek.

- Nie powinnam była tu przyjść. Ale... tak mnie wszystko zdenerwowało, że...

- W porządku. Tylko wróćmy do pytania, które pani zadała, kiedy pani tu weszła. Co mu zrobimy? Nikt tutaj krzywdy mu nie robi. Mam nadzieję, że pani zdaje sobie z tego sprawę.

Kelly przytaknęła.

- Chyba.

- Chyba to za mało. Proszę się zastanowić, Kelly. Niespodziewanie Kelly się uśmiechnęła. Esty otworzyła

drzwi i przytrzymała je przed nią. We dwie minęły biurko Angeli, idąc do drzwi frontowych. Esty uścisnęła Kelly rękę.

- Jestem tutaj w razie potrzeby - powiedziała. Kelly odwróciła się i ociężale zeszła po schodach. Angela spojrzała znad biurka.

- Ta to rozrabia.

Esty milczała. Ruszyła w górę do swego gabinetu, żeby dalej pracować z Jody.

Domyślała się, dokąd pojechał Richard Barrett, i ten domysł przerażał ją straszliwie.

We wtorek po południu artykuły były już napisane, zarejestrowane i zredagowane. Jim i Mary przez cały dzień siedzieli w redakcji i mówili o tym numerze tak, jakby czytać go miał cały świat.

- Myślałby kto, że jesteśmy „New York Times” - uskarżał się Wally, ale z nutą dumy w głosie. Wiele trudu włożył w swój reportaż i Mary go pochwaliła.

Sąueech dąsał się. Jego reportaż w tym tygodniu miały być na ostatniej stronie. Zjadł przyniesiony obiad i torbę papierową wrzucił do kosza na śmieci, wcale z niej nie strzelając.

Esty próbowała rozweselić Sąueecha, jeszcze raz pochwaliła Jody, po południu przyniosła dla wszystkich butelki coca-coli i ciastka.

- Jesteś jak lwica w jaskini - skomentowała to Angela. - Ale twoje lwiątko powarkują.

- Bo niedorosłe - powiedziała Esty, pochylona nad colą. Telefony się urywały. Wszyscy byli przepracowani, nawet psy kręciły się niespokojnie.

O piątej Esty bardzo już chciała wyjść z redakcji, znaleźć się poza wirami redakcyjnych emocji.

Potrzebowała czasu dla siebie, dla swojej rubryki, żeby sama napisać o wydarzeniach dnia. Ale to jutro. Dziś wieczorem Hank Morrison.

Poczuła się różnie. Hank Morrison. Szkoda, że Hank nie ma brata. Identycznego jak on. Wtedy może bym miała rzeczywiście randkę.

W domu popatrzyła błagalnie na automatyczną sekretarkę. Nie było żadnych wiadomości. Jessie nie dzwoniła. Ale właściwie dlaczego miałyby dzwonić? Tak niedawno jeszcze była tutaj.

Dlaczego, doprawdy? Och, Jessie, szepnęła Esty, proszę cię, bądź ostrożna.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Hank Morrison przyjechał punktualnie. Esty usłyszała jego pukanie, gdy w łazience kończyła się malować.

- Wejdz! - wrzasnęła. - Drzwi są otwarte.

- Ty nigdy się nie zmienisz - zawołał. - Nawet gdybyś mieszkała w śródmieściu Nowego Jorku, nie zamykałabyś drzwi na klucz.

- Wydaje mi się, że to samo słyszałam o tobie - powiedziała Esty, wychodząc z łazienki, wsuwając stopy w czółenka.

Ale Hank nie był w saloniku, gdzie powinien być. Poszedł do kuchni.

Z bukietem stokrotek w ręce odwrócił się do niej.

- Ten wazon będzie dobry? - wskazał najlepszą jej kryształową karafkę.

- Czuj się jak u siebie w domu - powiedziała. Ale nie usłyszał w tym sarkazmu. Wetknął stokrotki w karafkę i ruszył do okrągłego stolika, na którym stały fotografie.

- Tutaj - powiedział.

Zabrała doniczkę z azalią na sekretarzyk, żeby zrobić na stoliku miejsce dla jego kwiatów.

- No, to cześć - powiedział. Przyjrzała mu się. Był w trzyczęściowym garniturze i koszuli w poprzeczne paski z bardzo konserwatywnym krawatem. Miał zegarek z dewizką widoczną na kamizelce. Dotychczas myślała, że już nikt takiego zegarka nie nosi z wyjątkiem, być może, Arta Andersona. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Jesteś gotowa? - zapytał. Ale zamiast pomóc jej włożyć płaszcz, usiadł na kanapie.

- Dokąd pojedziemy? - zapytała.

- Pamiętasz, co stary wieśniak w Maine powiedział, kiedy ktoś go zapytał, dokąd biegnie szosa? „Donikąd, pani, zostaje tutaj”. No, tak samo my. Przywiozłem kolację, sam ugotuję. To znaczy, po cocktailu, który mi się należy.

Esty patrzyła, jak Hildy kładzie się mu na kolanach.

- Obłazi - powiedziała.

- Nie szkodzi. To przecież kot. Wszystkie koty obłazą. No, napijmy się. Co masz do picia?

- Naprawdę będziesz gotował? Tu? - Tak, proszę pani.

W kuchni Esty wyciągnęła butelkę whisky kukurydzianej, przygotowała duże szklanki, krakersy, ser, kilka oliwek i z tym wróciła do saloniku. - Zdejmij pantofle - powiedział Hank.

- Czy trochę nie za domowo? - zapytała. Usłyszała w swoim pytaniu kokieterię i zanim je dopowiedziała do końca, spróbowała zmienić ton. Nie mogła jednak się nie uśmiechać. Zrzuciła z nóg czółenka. - Tak lepiej. Teraz usiądź - powiedział Hank.

- Strasznie jesteś władczy.

- Jeszcze nie zacząłem być. Przede wszystkim, Esther, powiedz, co jest złe.

- Żle?

- Źle. Czymś się martwisz. Wydajesz się roztargniona. Zamiast cieszyć się wizytą najbardziej pożądanego w Connecticut podstarzałego kawalera.
 - Hank, proszę cię. Po prostu pijmy jak dwoje przyjaciół.
 - Nie. Musimy o tym porozmawiać. - O tym?
 - Znam sprawę z Dickiem Barrettem. Zrobiło jej się gorąco.
 - Dzwonił do jednego z adwokatów w naszej kancelarii, chciał, żeby go reprezentować. Guy załatwił go odmownie.
 - Reprezentować? Przecież nie jest aresztowany.
 - On... właściwie nie. Ale popadł w kłopoty.
 - Większe niż to, o czym my tutaj wiemy? - A o czym wiecie?
- Esty stała, patrząc na Hanka trzymającego jej kota na kolanach. Hank usiłuje coś jej powiedzieć. Prawdopodobnie coś, czego ona wiedzieć nie chce. Zapragnęła uciec.
- Wyglądasz jak sarna złapana w blask reflektorów - zauważył Hank.
 - Denerwuję się, kiedy jest o nim mowa.
 - Dekę mi powiedział - Hank mówił bardzo wolno i ostrożnie - że był na przemiłym obiedzie z Jessiką przed jej wyjazdem. Odwiózł ją na lotnisko. - Tak.
 - Dzisiaj zadzwonił do niej. Żeby zapytać, czy spotkają się w Boże Narodzenie. Żeby powiedzieć, jak dobrze... - Do czego zmierzasz, Hank?
 - Nie rozmawiał z nią. Telefon odebrał mężczyzna.
 - No to co? Jest dorosła. Ma pełne prawo...
 - Tym mężczyzną był Richard Barrett. Chciała rzucić się na Hanka, uderzyć go, uciszyć. Ale wiedziała swoje. Przecież mówił właśnie o tym, czego się obawiała.
- Hank wstał, obszedł ostrożnie stół do kawy i objął ją.
- O Jessie bądź spokojna. Szybko się zorientuje. To nie jest... nie jest przyzwoity człowiek.
 - Przyzwoity człowiek - powtórzyła Esty i te słowa ugrzęzły jej w piersi. - Tak. Nie jest.

- Ona potrafi zadbać o siebie.

- Potrafi, oczywiście.

Nadal ją trzymał. Było jej dobrze. Uniósł jej głowę, pocałował ją we włosy. Czowała ciepło jego oddechu. Czowała się pod ochroną. Mogłabym tak stać wiecznie, pomyślała.

- Nie musimy tego omawiać - powiedział. - Chciałem tylko oczyścić atmosferę. Chciałem, żebyś wiedziała, że ja wiem.

- Ja... podejrzywałam. Ale wołałam w to nie wierzyć.

- Kiedy Jessie przyjedzie?

- Przed Bożym Narodzeniem.

- Jego tu już dawno nie będzie.

- Formalnie nie jest o nic oskarżony. Dlaczego miałby się wynieść?

- Tacy goście nie lubią być w miejscach, gdzie nie są... mile widziani.

Esty przytaknęła. Biedna Kelly Riordan. Coś w niej krzyczało, żeby zadzwonić do Jessiki, ale wiedziała, że nie może. Zaciskając powieki, wyobraziła sobie, jak sama by się czuła w młodości - i nawet teraz - gdyby Elizabeth wtrąciła się w ten sposób do jej spraw osobistych. Och, jakże wątpiła jest ta nić łącząca matkę i córkę. Hank poklepał ją po plecach i opuścił ręce. Napił się whisky.

- No, kobieto. Czas pójść do kuchni.

Przywiózł kuropatwy już z nadzieniem, kupione - sądząc z pudełka - w bardzo eleganckich delikatesach w Hartford. Przywiózł także brukselkę i świeżą bułkę paryską. I nie koniec na tym. W lodówce stało pudełko z cukierni w Hartford, równie eleganckiej, jak te delikatesy.

- Zaplanowałaś to bardzo dokładnie, stary - powiedziała Esty, biorąc z szafki brytfannę, żeby odgrzać kuropatwy. - Bardzo dokładnie - potwierdził Hank. - No, można już do piecyka. Dodaj cukru do whisky, proszę. I chciałbym jeszcze trochę tego dobrego sera. I ogień w kominku. - Wskazał salonik, skrzynkę z drwami. - Widzę, że ty także planowałaś dokładnie, moja droga. Podpałka przygotowana. Poduszki spulchnione. Teraz już tylko uwieść.

- Hank, proszę cię.

Podziwiała, jak sprawnie krząta się w kuchni, skacząc ze swoją nogą w gipsie, podpierając się laską jak Maurice Chevalier na scenie. W jej kuchni czuł się u siebie. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli, ale nie rozluźnił krawata.

Po pięciu minutach kolacja się gotowała i Hank poprowadził Esty z powrotem do saloniku. Hildy znów wskoczył mu na kolana. Esty usiadła w fotelu wolterowskim naprzeciw niego. Wstał, podsycił ogień, sięgnął po szklankę whisky i uśmiechnął się.

- Coraz lepiej - powiedział.

Rozmawiali. Rozmawiali o jego małżeństwie, jego zatargach z Deke'em i o bliźniaczkach. Esty dowiedziała się, że Nellie ma na imię Pénélope i tego imienia nie cierpi. Rozmawiali o Jessice, o jej przeniesieniu się do Edgeville, przy czym Esty nawet się odważyła zwierzyć ze swoich obiekcji. Wyznała, że zawsze przy Jessice jakoś czuje się w jej cieniu.

- Gdyby Erie żył - powiedział Hank, odwracając od niej wzrok i patrząc w ogień - byłby świetnym tatą dziewczyny. Ona wrodziła się w niego. Cudowny gatunek.

- Nigdy nie spotkałeś... Richarda Barretta? - zapytała i od razu miała sobie to za złe. Po co? Taki przyjemny wieczór. - Znam go tylko ze słyszenia. Wiem o tym podobieństwie. Connie mi wspominała. - Rozmawiała o nim z tobą? - Esty się zjeżyła. Znów wykluczona.

- Tylko mimochodem. Prawnicy nie są niemowami, droga moja. Długo gawędziłem z Connie przez telefon wtedy, gdy zadzwoniła, że nie mogą przyjechać na Dziękczynienie. Wspaniale jest odnawiać dawne kontakty. Spojrzał na zegarek i wstał, żeby połać kuropatwy tłuszczem. Poszła za nim, wzięła z kółka fartuch. - Brukselką ja się zajmę - powiedziała.

- Brawo. Trzeba podgrzać bułkę. Gdzie jest nóż? Podała mu nóż do pieczywa. Włączył kuchenne radio, znalazł stację nadającą stare piosenki, wyłączył radio.

- Nie chcę się tobą dzielić z Bingiem Crosby - powiedział. Uścisnął ją delikatnie, przechodząc obok niej do saloniku, żeby znów podsycić ogień.

- Mam położyć na stole maty? Zapalić świece? - zapytał, gdy wrócił do kuchni.

- Świece?

- Świece. To randka, nie pamiętasz? Romantyczna randka. Esty udała zdumienie.

- Przepraszam. Zapomniałam. - Ona zapomniała.

Razem ukończyli przygotowania w kuchni. Nakryli do stołu. Hank otworzył butelkę chardonnay, którą przywiózł, i napełnił kieliszki. Esty zapaliła świece. Hank stanął za jej krzesłem, z ukłonem posadził ją i sam usiadł. Esty patrzyła na niego nad tym małym stołem. Jego twarz pięknie cieniowała blaski świec. Lampy zgasił. Podniósł swój kieliszek, ona podniosła swój. Tręcili się, szkło zadźwięczało. Z uśmiechem zaczęła jeść. Pałaszowali. Później usiedli przy sobie na kanapie. Hank uniósł jej nogi na taboret, podsunął jej ramię pod głowę. Siedzieli tak przez jakiś czas, nic nie mówiąc. Drwa trzaskały na palenisku, tylko ogień teraz oświetlał pokój. Hildy mrucał, wcisnął się pomiędzy nich na kanapę. - To bardzo miła randka, Esther Foster - szepnął Hank w jej włosy.

- Dziękuję, Harrison Morrison - szepnęła. Odwróciła twarz do jego twarzy i jego pocałunek był przecudowny. Uśmiechała się, całował jej uśmiech. Dlaczego to wydaje się słuszne? Rozchyliła wargi, zakosztowała jego warg. Ogarnęła ją fala serdeczności.

Całowali się długo, aż pojęli, że muszą albo się posunąć dalej albo zatrzymać. Hank zdecydował się zatrzymać. Ujął twarz Esty i spojrzał jej głęboko w oczy. Uśmiechnął się.

- Nie wiedziałaś, prawda? - szepnął. Musnęła go ustami.

- Nie wiedziałaś. Teraz mogę ci wyznać. Zakochałem się w tobie przed laty, Esther Foster.

Zakochałem się w dziewczynie mojego przyjaciela.

Jakoś głupio jej się zrobiło na taką wzmiankę o Eriku. Gdyby wykręciła szyję, widziałaby okrągły stolik z jego fotografią w nowej ramce.

- Nie potrzebujesz nic mówić, malutka - powiedział Hank. Wstał z kanapy i wyprostował się, bardzo wysoki. - Tylko myślałem, że ta drobna informacja ci się spodoba.

Esty podeszła do kominka. Stała odwrócona tyłem. To, co powiedział, głęboko ją wzruszyło. Stał za nią, objął ją, mocno przytulił. Ogień prawie wygasł, ale z żaru biło ciepło. I Hank taki ciepły...

Gdy odwrócił ją do siebie, miała w oczach łzy. Ale się uśmiechała.

- Cieszę się, że cię odnalazłem, Esther Foster.

- Wyjaśnijmy to sobie, Harrison. - Esty uśmiechnęła się jeszcze promiennie. - To ja znalazłam ciebie. Na ziemi.

- No - powiedział. - Tylko mnie nie zgub.

Wziął marynarkę z krzesła i po chwili wyszedł. Przedtem jednak umówili się na następne spotkanie.

Esty patrzyła, jak on odjeżdża. Zostawił po sobie pustkę. Podeszła do kanapy, spulchniła poduszki, podniosła śpiącego kociaka i przytuliła to ciepłe miękkie futerko do twarzy.

Czuła się nastolatka, która „się zabujala”. Zabujala się w Harrisonie Morrisonie Trzecim.

To było bardzo miłe uczucie.

Jim i Mary przyjechali do redakcji wcześniej. Gdy Esty przyszła, już siedzieli przy swoich komputerach. Powiedzieli jej, że wezwali reporterów do pracy dodatkowej. Jak się wydawało, sprawa Dicka Barretta miała więcej aspektów niż nawet Hankowi było wiadomo. Gwałtowne ingerencje w umowy dotyczące nieruchomości, sfałszowana hipoteka domu nie będącego jego własnością.

- Jak on zdołał to wszystko ukrywać? - dziwiła się Esty.

- Myślę, że byliśmy naiwni - powiedziała Mary. - My, to znaczy: bank, rada miejska, komisja planowania. Jego znajomi. W dodatku my czyli gazeta, drukowaliśmy jego artykuły na pierwszej stronie. Mdło mi się robi.

- Matka, uspokój się - powiedział Jim, podnosząc wzrok znad ekranu komputera. - Obiektywizm, nie pamiętasz?

- Obiektywizm, niech mnie licho. - Mary westchnęła i pracowała dalej.

Troje reporterów wbiegło z oczami dosyć mętными i prędko zabrało się do pracy. Angela na ten dzień zostawiła swojego psa w domu. Telefony dzwoniły nieustannie. Esty poleciła Jody przeprowadzić wywiad z Connie.

- Bądź bardzo delikatna - ostrzegła. - Sędzia Springer to najdyskretniejsza osoba na świecie, nie można na nią napierać. Tylko słuchaj, co ona mówi, i zapisuj. Kiedy uzna, że nie jesteś napastliwa, powie ci więcej.

Jody wpatrywała się w Esty z podziwem.

- To moja przyjaciółka - wyjaśniła Esty - od wielu lat. Dlatego wiem. Nie ma w tym żadnych czarów. Sąuechowi i Wally'emu trzeba było przypomnieć, że jest cała gazeta do złożenia, nie tylko wiadomości i artykuł wstępny. Esty wysłała Wally'ego na cotygodniowe zadawanie pytań przechodniom na ulicy, a Sąuecha, głośno protestującego, do inspektoratu nadzoru dróg, żeby zapytał, ile piasku miasto ma w zapasie, bo zapowiada się sroga zima.

Na górze w swoim gabinecie Esty zajęła się własną rubryką, ale niewiele z tego wychodziło. Wciąż myślała o Jessice. Może Dekę się mylił, może Richard Barrett nie jest w Dallas. Gdy wreszcie udało jej się odsunąć Jessicę, w jej myśli wkroczył Hank Morrison i nagle już uśmiechała się i wzdychała jak pensjonarka, dopóki nie usunęła jego także - co prawda niezbyt daleko. Jakimś cudem w ciągu pełnych napięcia i gorączkowych czterdziestu ośmiu godzin gazeta nabrała formy.

Esty, gotową skończyć dzień pracy, poproszono do biurka Angeli. Jest faks dla niej. Zeszła na dół. Faks był z Dallas. Z kancelarii Jessiki.

Mamo, złożyłam dziś wymówienie. Już znalazłam kogoś, kto podnajmie moje mieszkanie. Będę w Edgeville mniej więcej na tydzień przed Gwiazdką. Już nie mogę się doczekać. A propos, nie martw się, jeżeli usłyszysz coś o tym, że R. Barrett jest w Dallas. Twoja córeczka potrafi zadbać o siebie.

Więc to prawda. On tam jest. Esty wzięła się mocno w karby. Nie wolno mi się wtrącać. Natychmiast wysłała faksem odpowiedź.

Świetnie, że przyjedziesz tak szybko. Już nie mogę się doczekać.

A przecież nie tak chciała odpowiedzieć. Chciała przestrzec Jessie po prostu i odpychająco: Bądź ostrożna.

Nazajutrz w redakcji panował senny nastrój. Wszyscy byli zmęczeni i rozluźnieni. Esty zdobyła się na złożenie wizyty w dużej sali u tych wszystkich kobiet i psów, i na żartowanie z nimi wesoło.

Do domu wróciła wyczerpana.

Hank nie telefonował. Nikt nie telefonował. Obejrzała stary film w telewizji, wypła ziołową herbatkę i położyła się spać.

Nazajutrz rano w redakcji znów usiłowała zachowywać się tak, jakby to był normalny dzień. Dla reszty świata ostatecznie był normalny. Pracowała nad materiałami na następny tydzień. Redagowała wszystko, co już wpłynęło. Mogła się zwolnić, pójść do domu, ale coś nakazywało jej zostać. Może to, że lubiła swój gabinet. Tak miło patrzeć przez okno na dachy, zaglądać w okna Skrzyni, siedzieć przy biurku nie potrzebując spieszyć się z robotą. Rozmyślać. Marzyć.

Marzyła, gdy na schodach rozległy się ciężkie kroki. Po chwili do jej gabinetu wszedł Hank Morrison. Oparł laskę o półkę z książkami i chciał zamknąć drzwi.

- Nie zamykaj, proszę - powiedziała. - Zapomniałeś o mojej fobii?

Otworzył drzwi szeroko i usiadł na gościnnym krześle. Zauważyła, że jest zdenerwowany.

Czekała, żeby zaczął mówić. Wziął z biurka przycisk do papieru, zważył w ręce, postawił z powrotem. Powiódł wzrokiem po plakatach na ścianie, po sztychach Currier i Yvesa. Rozejrzał się.

- Inspekcja? - zapytała. - Szukasz pajęczyn?

- Ładny gabinet - powiedział. - Miło zobaczyć, gdzie pracujesz. Teraz w Phoenix będę mógł sobie wyobrazić ciebie.

Serce jej zamarło.

- W Phoenix?

- Est, to rzeczywiście jest problem. Przyjechałem tu, żeby ci powiedzieć.

Spojrzała na zegarek: godzina trzecia.

- Wzięłeś wolny dzień?

- Biorę mnóstwo wolnego czasu. A nie stać mnie na to. Akurat wtedy, gdy z powrotem staję na nogi. I gdy ty i ja... - urwał, spojrzał na swoje ręce.

- Co się stało, Hank? Westchnął. - Virginia.

Jego była żona. Boże, czy on wraca do niej?

- Ona... Czeka ją operacja, amputacja piersi. Jej mąż się wyniósł, rzucił ją. Jest sama, prosiła, żebym przyjechał.

Esty pragnęła podejść do niego, przytulić go, ale nieruchomo siedziała i słuchała.

- Est, to matka dziewczynek. Matka Deke'a. Ja... muszę pojechać.

- Do Arizony?

- Do Arizony.

- Na jak długo?

- Na tydzień mniej więcej. Tym razem. Ale kto wie, co będzie potem. Jest samotna. To kobieta, która nie potrafi poradzić sobie z czymś takim. Wygląd, uroda znaczą dla niej wszystko. Emocjonalnie jest... wąta. Będę tam... dopóki trzeba. - A dziewczynki?

- Hetty zostanie z nimi. To świetne dzieciaki, sprostają sytuacji. Deke przyjedzie na weekend, może weźmie je do kina. Słuchaj, nie wiem, jak będzie za tydzień. Wiem tylko, że muszę tam pojechać, zrobić co się da. Przede wszystkim zabrać ją po operacji ze szpitala, postarać się o kogoś, kto będzie przy niej. - Czy są trudności finansowe? - zapytała Esty. Hank potrząsnął głową.

- Pieniądzy ma mnóstwo. I dobre ubezpieczenie. - Rozmawiałeś z jej lekarzami?

- Esty, to nagła sprawa. Stwierdzili to, natychmiast przewieźli ją do szpitala. Operacja jutro.

Rozmawiałem tylko z nią.

- W czym ja mogę pomóc? - zapytała Esty. Hank rozjaśnił się trochę.

- Proszę o dużo, ale czy mogłabyś odwiedzić dziewczynki? Przyjechać w tygodniu wieczorem na kolację czy na obiad w niedzielę. One nie bardzo zgadzają się Deke'em, a ciebie kochają.

- Prawie nie znają mnie - powiedziała Esty. - Ja też je kocham. Oczywiście, przyjadę.

Hank wstał.

- No, pędzę teraz do domu, do nich. Ale mam coś... - Wyjął z kieszeni małą papierową torebkę. W torebce było lśniące białe pudełeczko. Otworzył je, podniósł wacik. - To pierścionek przyjaźni - powiedział. - Chcę, żebyś go nosiła.

Esty wstała i wyciągnęła prawą rękę. Hank wsunął jej na palec pierścionek. Srebrny w kształcie dwóch splecionych dłoni. Wiedziała, że bywają takie ślubne obrączki.

- Przyszkasz - zapytał - że będziesz go stale nosić? - Już nie był blady, nawet się uśmiechał.

Przyszkła. - To krok wstępny. Do czego... kto wie?

- Hank... - Wspięła się na palce, żeby ucałować jego brwi. - Czy mogę ci powiedzieć komplement?

Pochylił głowę, żartobliwie przytknął rękę do ucha. - Słucham w napięciu.

- Jesteś bardzo przyzwoitym człowiekiem - oświadczyła tubalnym głosem.

Wybuchnął śmiechem. Chwycił ją i tak nią zakołysał, że uderzyła obcasami o jedną i drugą ścianę swego gabinetu. Postawił ją i spojrzał, czy nikogo nie ma w pobliżu otwartych drzwi. Pocałował ją szybko, cudownie i pogłaskał po włosach.

- Przyzwoity - powiedział. - To najmiły komplement, jaki w życiu usłyszałem... ale tylko dlatego, że z twoich ust. Z ust kogokolwiek innego to byłaby najgorsza zniewaga.

- Przykro mi, Hank - powiedziała Esty już znowu poważnie. - Z powodu Virginii. Strach przed tym to koszmar każdej kobiety.

- Ona dawniej mówiła, że gdyby ją to spotkało, zabiłaby się. Nie mogła znieść samej myśli o takim okaleczeniu.

- Są osoby przeszkolone do rozmów z kobietami na ten temat. Postaraj się kogoś takiego sprowadzić do niej, kiedy tylko będzie gotowa widywać się z ludźmi.

Hank znów pobladł. Spojrzał na zegarek. - Zadzwoń - powiedział. Uniósł jej prawą rękę, tę z pierścionkiem, i ucałował cztery palce. Wyszedł.

Wydawało się, że tlen uleciał z powietrza. Esty siedziała nieruchomo w jakiejś szarej pustce może przez godzinę... dopóki nie zapadł zmrok. Wpół do piątej.

Spojrzała na pierścionek. Dziwne, pomyślała, ale to mnie pociesza. Czy on wróci do Virginii? Chyba nie, sądząc z tego, co mówił. Ale ze względu na bliźniaczki - może? No, bo nie dla Deke'a.

Wspomniała, jak się całowali. Tak czule. Tak prawdziwie. Odsunęła to wspomnienie. Dwoje starych przyjaciół po kolacji zakropionej trochę zanadto winem, ogień w kominku, więc trochę zanadto się do siebie zbliżyli. Prawdopodobnie na tym się skończyło.

I tak być powinno, powiedziała sobie surowo. Przyjechałam tu, żeby pchnąć moje życie naprzód, skończyć z przeszłością, nie cofać wskazówek zegara.

Zebrała swoje rzeczy i zgasiła światła. Na dole nie było nikogo, wszyscy wyszli. Gazeta gotowa do druku. Nie miała nic do roboty. Nawet nie chciała nic robić.

Ale z redakcji nie wróciła od razu do domu. Poszła ulicą Kongresu. Choinki tradycyjnie, jak co rok, już ubrane stały z obu stron tej ulicy. Sąsiedzi sfotografowali je i opisał dla gazety. Teraz lampki na nich się paliły i każde światło drogowe było w girlandzie z białych żarówek i gałęzi sosny. Sklepy o tej porze zamykano, ale nie gaszono w nich światła, większość wystaw oświetlały świece elektryczne, na drzwiach wisiały wieńce. Na wystawie sklepu z wyrobami żelaznymi rząd połyskliwych łopat do śniegu zdobiły wielkie czerwone kokardy. Esty zajrzała do wagonu barowego. Panował tam tłok, przeważnie mężczyźni w kraciastych koszulach trzymali kubki z parującą kawą.

Minęła urząd pocztowy, sklep z alkoholem, ośrodek gimnastyczny, sklep z pamiątkami, wystawę pełną drogich, wypcha-

nych zwierzaków. Skręciła na boczną ulicę, przyspieszyła kroku. Nogi, jak gdyby same miały swój własny plan, poniosły ją do domu Connie.

Ale u Connie było ciemno. Zawróciła i prawie pobiegła - w tym zimnie i mroku - do ratusza. Tu światła się paliły, drzwi stały otworem. Po dębowych schodach doszła do kancelarii Connie.

- Buu! - wykrzyknęła zaglądając. Przyjaciółka siedziała zgarbiona nad pismami. W świetle lampy stojącej na biurku miała włosy jedwabiste jak młoda dziewczyna.

- Zabawne - podniosła wzrok. - Właśnie chciałam dzwonić do ciebie. Zaprosić cię na coś mocnego. Synkrazja. - Raczej synchronizacja - poprawiła ją Esty, siadając na niewygodnym krześle.

- Pójdziemy teraz do mnie - powiedziała Connie. - Będzie pieczeń. Nie protestuj.

- Wieczór mam wolny. - Esty już poczuła się lepiej. Connie uśmiechała się do niej... czytała w jej myślach. - Nie wiemy, dokąd twój stary kumpel wyjechał - powiedziała. - Czy nad tym się zastanawiasz? - Nie - odrzekła Esty. - Ponieważ ja wiem.

- Chyba nie jest u ciebie? - W głosie Connie zabrzmiała nuta paniki. - Błagam cię, Esty, powiedz, że nie. - Gorzej - powiedziała Esty. - On jest w Dallas.

- Dlaczego w Dallas?

- Pomyśl.

- W Dallas znam tylko Jessikę. Nie wyobrażam sobie...

- Więc sobie wyobraź.

Connie odsunęła papiery na bok i pochyliła się nad biurkiem ku Esty.

- Jest z nią?

- Nie wiem, jak dalece z nią. Spotkali się raz tutaj. Bardzo długa randka. A potem... dostałam faks.

- Faks?

- Żebym się nie martwiła. I że on tam jest. Czy to znaczy, że w Dallas, czy że u niej, nie wiem. I jeszcze mnie zapewniła, że potrafi dbać o siebie. Hank Morrison też mi to mówił.

- Bardzo zawiła historia.

- Właściwie nie zawiła. Jess miała dwie randki, kiedy tu była na Dziękczynienie. Jedną z Barrettem, drugą z Deke'em. Potem Dekę do niej zadzwonił. Telefon odebrał Barrett.

- Więc u niej w mieszkaniu.

- W tamtym momencie.

- Słuchaj - powiedziała Connie. - On ostatecznie znalazł sobie adwokata, wiemy o tym. Po trzech staraniach i trzech odmowach. Musiał się pożegnać ze stanowiskiem burmistrza i mierniczego, jego kampania odwołana, nawet Kelly Riordan, o ile mi wiadomo, przejrzała na oczy. On się miota. Nie sądzę, żeby tu wrócił.

- Mam nadzieję, że nie wróci - powiedziała Esty. - Jessica będzie tu za dwa tygodnie.

Przyglądała się Connie badawczo, usiłując zgłębić, co Connie wie o planach Jessiki. Czy Jessica powiedziała jej, że Barrett jest w Dallas? Czy Connie nie udaje, że wie tak niewiele? Nie, Connie nigdy nie udawała. Connie taka prostolinijna. Ale to nie znaczy, że Connie wyjawia wszystko, co wie. Milczenie nie jest kłamstwem. - Wiem, o czym myślisz - powiedziała Connie. - Więc ci odpowiem. Nie. Jessica nie dzwoniła do mnie ostatnio. Domyślam się, dlaczego. Zna mój stosunek do Richarda Barretta. - Ostrzegłaś ją? Mówiłaś, żeby była ostrożna? - zapytała Esty.

- Tak jak tobie? Stuknijże się w głowę. Oczywiście, że nie. Powinnaś wiedzieć.

Esty wiedziała aż za dobrze.

- No, ale co z tobą i Harrisonem? - zapytała Connie.

- Powinnaś wiedzieć. - Esty zachichotała. - Nic - odpowiedziała. - Tyle że to przyzwoity człowiek.

Zacny družba Erika. - Jakoś nudno to brzmi. Esty potrząsnęła głową.

- Nie chciałam, żeby tak zabrzmiało.

- Wiem. Wiem, że nie chciałaś - Connie wstała, podeszła do wieszaka w kącie. Zaczęła wkładać kurtkę z kapturem.

Esty pragnęła otworzyć serce, powiedzieć jej, w jakim jest zamęcie, co ją trapi. Ale moment odpowiedni po temu minął.

Wstała, zapięła na sobie płaszcz i wyszła z kancelarii ze swoją starą przyjaciółką, żywo dyskutując, czy do pieczeni lepiej podać chleb kukurydziany czy sucharki.

- Lepszy chleb - powiedziała w końcu - ale gruboziarnisty. Mam przepis od Edith, mojej kuzynki w Maine. Więc może ja upiekę. Pamiętam ten przepis.

- Dobrze - powiedziała Connie. - Będę ci wdzięczna. Szły cichymi uliczkami dzielnicy mieszkaniowej. - To naprawdę przyzwoity człowiek - powiedziała Connie, wchodząc po frontowych schodkach do swego domu.

I już nie poruszały tematu Hanka Morrisona ani Richarda Barretta, ani nawet Jessiki. W pięć minut później wrócił do domu Al, zrobił im cocktail Manhattan, po czym siedział w kuchni z Esty, gdy piekła chleb, a Connie się kąpała. Kot wszedł na bufet i położył się na desce do krajania, rozsiewając na wszystko sierść. Esty wsunęła chleb do piecyka, zajrzała, jak się miewa pieczeń pachnąca wprost niebiańsko, i pomogła Alowi nakryć do stołu. Na kilka godzin jej troski wyfrunęły przez okno.

Rozmawiali we troje o swojej pracy, o pogodzie, o Bożym Narodzeniu. Connie i Al wybierali się w lutym na wycieczkę po świecie, pierwszy dłuższy urlop Connie od lat.

- Teraz mogę, kiedy będę miała młodą współpracowniczkę - powiedziała Connie.

Dochodziła dziesiąta. Al ziewnął. Esty wstała, gotowa wyjść.

- Odwiozę cię - powiedział Al. Jednak odetchnął z ulgą, gdy Esty się nie zgodziła.

- Chcę się przespacerować - powiedziała.

Wyszła i nagle uczucie osamotnienia spadło na nią jak zwalony namiot, aż trudno jej było oddychać.

Prawie pobiegła do swojego przytulnego domu, swojego kota, swojego łózka.

Nie czekały na nią żadne telefoniczne wiadomości.

- Co ja bym zrobiła? - zapytała Hildy'ego, wtulając go między podbródek i ramię. - Co ja bym zrobiła bez ciebie? Dzisiaj, powiedziała sobie w pościeli powleczonej nową flanelą w bladoniebieską szachownicę, jest dno mojego życia w Edgeville. Jutro może być tylko lepiej.

Taką miała nadzieję.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Zabawę redakcji zrobimy wcześniej w tym roku - powiedziała Mary rankiem po nocy pierwszego obfitego śniegu. - Wieczorem siedemnastego. Wszyscy rzeczywiście już myślą o tym.

Esty zaznaczyła tę datę w terminarzu. W dwa dni po projektowanym przyjeździe Jessiki.

- Pizza dla gromady? - zapytała. - I piwo zapewne. Mary potrząsnęła głową.

- Nie tak. Kurczaki z rożna, żeberka, wanna sałatki z kartofli, pieczony bób...

- Pieczony bób? - powtórzyła Esty. - Myślałam, że tylko ja jedna uwielbiam pieczony bób.

- I znowu się pomyliłaś. Ach, owszem, piwo, ale i szampan, i wino, i napoje bezalkoholowe dla abstynentów. I ciastka. I prezenty. I jeżeli wszyscy będą mieli szczęście, a mój mążonek się podochoci, ładna premia. - Mary mrugnęła. - Tajemniczy Święty Mikołaj. Ty potrafisz to zorganizować. Ja się zajmę stroną kulinarną.
- Esty zaczęła notować. Ale gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Mary patrzy na nią z powagą. Czy jeszcze coś? - Nie lubię się wtrącać, Esty, jednak wydajesz się ostatnio czymś zaabsorbowana. Nie wszystko jest w porządku? Jakaś sprawa, o której powinnam wiedzieć?
- Wszystko jest cudownie - odpowiedziała. - W gazecie. I... bardzo dobrze mi tutaj. Ale przecież to wiadomo. - Kochamy cię - powiedziała Mary. - Spisujesz się wspaniale.
- Dziękuję. Ale... tak. Jestem zaabsorbowana, jak mówisz. Moją córką. Ona ma przyjechać piętnastego, jak wiesz, ale nie dzwoni, więc...
- Myślisz, że jest z Richardem Barrettem? Esty aż podskoczyła. Masz babo placek.
- Coś o tym słyszałaś? - zapytała. Mary przytaknęła.
- Dzisiaj rano. On przysłał czek, komorne za grudzień swojej gospodyni, a to moja dobra znajoma. Napisał, że zaraz po Nowym Roku się wyprowadzi.
- Tylko tyle? - Niestety. Ale może cię zainteresuje, że stempel na kopercie był z Miami, a nie z Dallas.
- Można to różnie tłumaczyć - powiedziała Esty.
- Różnie - potwierdziła Mary. - Czy zwykle twoja córka często dzwoni?
- Raczej nie przestrzegamy tradycji - powiedziała Esty.
- Dzwonimy do siebie, kiedy dzwoniemy. Nie według planu. Ale Jessie na pewno wie, że ja się denerwuję. - Może właśnie dlatego nie dzwoni - powiedziała Mary.
- Macierzyńska troska bywa obciążeniem. Chce się ten ciężar zrzucić. Ona nie wyrosła z buntowniczości.
- Czy kiedykolwiek się z tego wyrasta? - Esty się uśmiechnęła.

- Mnie to mówisz! - powiedziała Mary. - Ja wiem, że nie wyrosłam z napadów gniewu. Wczoraj miałam taki napad. Bo pies coś przeskrobał. Jest to przedgwiazdkowe napięcie, powinnam się opamiętać. Myślałoby się, że moje dzieci, dzieci wydawców gazety, będą bardziej komunikatywne, ale nie, tylko od czasu do czasu pokazują się pojedynczo.

- Jessica się z czasem pokaże. — Esty westchnęła. - Tylko cokolwiek ma mi do powiedzenia, wykipi wtedy, gdy ona będzie w nastroju, żeby powiedzieć. A nie wtedy, gdy ja będę w nastroju, żeby słuchać. Dobrze, że jestem z natury cierpliwa. Porozmawiały jeszcze o zabawie gwiazdkowej - o dekoracjach, muzyce, trądy cjezakopywania butelek szampana w śniegu.

- W przeddzień Nowego Roku ogłoszą, która gazeta z którego hrabstwa dostanie doroczną nagrodę - powiedziała Mary. - Nasza kandydatura jest mocna. Trzymajmy palce skrzyżowane.

Esty zupełnie zapomniała o tej nagrodzie. Teraz widziała znowu, jak bardzo Mary chce wygrać.

Pomodliła się w duchu. - Miejmy tylko nadzieję, że ten konkurs na Hrabiego Cumberland nas nie zdyskwalifikuje - powiedziała. - Ależ skąd. Dopóki to się równoważy z poważnymi artykułami, do jakich Richard Barrett tak uprzejmiem dostarcza nam materiału, to nawet będzie plus. Jesteśmy gazetą pewnej społeczności, nie zapominaj, a nie „Wall Street Journal”.

Gdy Mary poszła do swego gabinetu, Esty zaczęła obmyślać nową rubrykę. W przyszłym roku, myślała, będziemy pisać o wyborach prezydenta. Czy będę jedyną demokratką w tym mieście? Nie. Będziemy dwie. I może Jessica zdoła nawrócić Connie. Tylko że, westchnęła, prędzej by papież nawrócił się na judaizm.

Hank telefonował co wieczór. Nieraz rozmowa była bardzo krótka, nieraz trwała nawet godzinę.

Operacja się udała. - Twierdzą, że w porę, więc przerzutów nie będzie - powiedział Hank. - Ale czy nie mówią tak zawsze?

Dekę poleciał tam samolotem, odwiedził matkę w szpitalu. Esty dwa wieczory i sobotnie popołudnie spędziła u bliźniaczek

zgoła nie przejętych ani chorobą matki ani nieobecnością ojca. Przypomniała sobie, że gdy była w ich wieku, świat dorosłych wydawał jej się czymś takim jak film w telewizji, z którego można się przełączyć na inny kanał.

Co wieczór wyczekiwała rozmowy z Hankiem. Zupełnie jak *rendez-vous*. Hank wiedział, kiedy najlepiej do niej dzwonić, i dzwonił właśnie wtedy: dosyć późno, żeby zdążyła już się odprężyć, dosyć wcześnie, żeby jeszcze nie ziewała.

Dzisiaj rozmawiali krótko. Słuchał grzecznie, gdy zdawała relację z dnia, sam wyjątkowo niezbyt wylewny. Zaczynał coś mówić, nie kończył. Poznała po jego głosie, że jest spięty. Teraz, w godzinę później, siedziała przy kominku z Hildym na kolanach, ze słuchawką telefonu bezprzewodowego u boku i patrzyła w ogień.

Hank dzisiaj powiedział zwięźle, prawie chłodno, że Virginia już wychodzi ze szpitala, jedna z jej sióstr przyjedzie do niej na stałe. Zdaniem jej doktora wszystko jest opanowane, więc on, Hank, właściwie nic więcej nie może zrobić... ale Virginia całymi dniami płacze, całymi nocami jest pod działaniem leków odurzających. Nie powinna zażywać tabletek nasennych, cóż, kiedy bez nich w ogóle by nie spała.

Czyli zdecydował się zostać jeszcze na tydzień. Ze swoją kancelarią był w ciągłym kontakcie, wiedział, że dziewczynki są pod dobrą opieką, ale wydawał się taki nieszczęśliwy, taki samotny, że serce Esty się do niego wyrzywało. Powiedział, że nie może wrócić, dopóki Virginia nie zacznie godzić się ze swoją sytuacją. Widują się codziennie przez godzinę mniej więcej i chyba ją pociesza to, że jakiś mężczyzna, choćby jej porzucony mąż, zajmuje się nią pomimo jej kalectwa. Najwidoczniej ona nie znajduje innego słowa, żeby określić utratę jednej piersi.

Esty przekręcała srebrny pierścionek na palcu. Wzięła książkę, daremnie usiłowała czytać.

Zadzwoiła matka, pomówiły o Bożym Narodzeniu. Przyszedł Squeech z kopią artykułu, nie chciał napić się kakao i zaraz wyszedł. Już nie usiadła z książką, tylko spacerowała po pokoju. Hildy miaucząc chodził za nią i wznosił swoje złociste ślepka, jak gdyby pytał, co ją trapi.

O dziesiątej popatrzyła na dziennik, dowiedziała się, jaka będzie pogoda. Niebo dla odmiany bezchmurne. Wszędzie. Przymknęła oczy, odtworzyła w pamięci swoje zapiski w terminarzu na najbliższe dni: nic ważnego, nic pilnego. Zadzwoiła do biura podróży i zarezerwowała miejsce w jednym z porannych samolotów nazajutrz - okrężny lot do Phoenix.

To była długa podróż. Najpierw samochodem, potem pociągiem do miasta, potem samolotem. Na autostradzie Esty omal nie zawróciła do domu. Co ja wyprawiam? - zadawała sobie pytanie i nie znajdowała odpowiedzi. Jechała dalej. W samolocie napisała felieton do swojej rubryki, drzemała, zjadła calusienki obiad i znów drzemała. Śnił jej się Erie; znów w college'u byli w sobie zakochani. Trzydzieści lat temu. Obudziła się z oczami pełnymi łez.

Gdy samolot wylądował, pojechała taksówką do hotelu, w którym zatrzymał się Hank. Umyła twarz w damskiej toalecie i z recepcji zadzwoniła do jego pokoju. Nie było go. Nie, nie zostawi dla niego wiadomości.

Godzina szósta czasu Phoenix - prawie noc tam u niej na Wschodzie. Zajęła pozycję w hotelowym barze przy hallu. On będzie mijał bar w drodze do windy. Nie chcąc go przeoczyć, odwróciła swoje krzesło przodem do drzwi hotelowych.

Nie musiała długo czekać. Zobaczyła go w tych kołowrotowych drzwiach. Trzymał teczkę przy biodrze. - Pewnie ma swój przenośny komputer - pomyślała, gdy szedł przez hall. Był wyraźnie zmęczony, zniechęcony, zaabsorbowany. I czarujący.

Wstała, wybiegła do hallu i cicho szła za nim. Tuż za jego plecami szepnęła:

- Hej, chłopcze, chcesz się zabawić? Stał jak wryty, odwrócił głowę, nasrożony:

- Nie, ja...

Wiedziała, że nigdy, nigdy nie zapomni, jak rozpromienił się na jej widok. I jak upuścił teczkę, komputer i wszystko

(pieczołowicie jednak) na dywan i podniósł ją, wywinał z nią młynka, aż nogi jej latały. Wykrzyknął przy tym z radości, nie bacząc, że goście hotelowi zatrzymują się i gapią z rozbawieniem.

- Esther Foster - powiedział. Postawił ją i spojrzał jej w oczy.

- Co ty tu robisz? - powiedzieli oboje jednocześnie i parsknęli śmiechem. Esty objęła go i mocno uściskała. - To tylko gest przyjaźni. - Wskazała na pierścionek na czwartym palcu prawej ręki. - Czy nie o to ci chodziło?

- Wprost nie wierzę. - Hank podniósł swoją teczkę, ujął Esty za łokieć i skierował do baru. - Taką niespodziankę trzeba oblać. Jesteś głodna?

- Głodna, za słabo powiedziane. Ale godzina dziesiąta wieczorem to już nie pora na głód dla zagłodzonej starowiny. W barze usiedli przy małym stoliku i Hank zamówił kukurydzianą z lodem. Od razu wyciągnął swoją kartę kredytową i pokazał kelnerowi.

- Będziemy tu tylko parę minut - powiedział.

- Jesteś z kimś umówiony? - zapytała Esty. Nie mogła oderwać oczu od Hanka Morrisona. Czy dlatego, że przeleciała przez Stany ze wschodu na zachód, żeby go zobaczyć? On wydaje się taki... nowy. Jak gdyby dopiero co go poznała. - Oczywiście - odpowiedział Hank. - Mam wielkie *rendez-vous*, zabiorę tę panią do najlepszej restauracji w Arizonie. A potem...

- Hank - powiedziała. Upiła trochę whisky, postawiła szklanekę, wzięła i wypiła jeszcze trochę. - To był jakiś... odruch. Nie musisz mnie nigdzie zabierać. Chciałam tylko zobaczyć się z tobą, ewentualnie pomóc, gdybym mogła... - Milcz, kobieto - powiedział Hank. - Jesteś tutaj.

Wyraźnie spragniony rozmowy i zrozumienia mówił nieprzerwanie prawie przez pół godziny. O stanie zdrowia Virginii, o jej planach po wyjściu ze szpitala, które nastąpi nazajutrz, i o jej siostrze, o jej przygnębieniu, rozpaczy, trzymaniu się go tak, jakby był ostatnią deską ratunku - czy też potwierdzeniem, że ona nadal jest kobietą.

- Virginia widzi siebie wyłącznie w kategoriach fizycznych - powiedział - jak gdyby reszta jej, reszta świata w ogóle nie

istniała. Jak gdyby odtąd wszyscy... mężczyźni, dzieci, znajomi osądzali ją wyłącznie jako osobę bez jednej piersi. Wyłącznie.

- Potrafię to zrozumieć - powiedziała Esty. Hank omal nie upuścił szklanki.

- Ty potrafisz? Przecież ty byś...

- Nie mówię, że reagowałabym w taki właśnie sposób - wyjaśniła. - Ale każdy z nas ma w sobie coś, co sam ceni, więc myśli, że inni też w nim to cenią przede wszystkim czy może nawet jedynie.

Wygląd. Inteligencję. To, co naszym zdaniem jest w nas dobre, pociągające. Niektórzy cenią swoją prężność, inni swoją serdeczność, jeszcze inni swój bekhend. Tenista, zawodowiec, jeżeli utraci rękę, też będzie się tak czuł, jak Virginia. Gdybym ja utraciła wzrok...:

- Wzięłabyś sobie psa przewodnika. Nauczyłabyś się braille'a.

- Myślisz, że jestem silniejsza niż Virginia? Nie bądź tego zbyt pewny, Hank. Wszyscy mamy swoje najczulsze punkty. Bacznie popatrzył jej w oczy. Wytrzymała jego wzrok. Nie musiała mówić mu, co jest jej czułym punktem. Wiedział, że Erie - że trudno jej Erika przeboleć, przestać być wdową.

- Ja z pewnością mam swój - uśmiechnął się. - A mianowicie w tej chwili mój pusty żołądek.

Pójdziemy już? Wdzięczna mu odetchnęła. Była zanadto zmęczona, żeby rozmawiać o poważnych sprawach. To także on wiedział i dlatego zmienił temat tak szybko. Wstała uśmiechnięta.

- Cieszę się, że przyjechałam - oświadczyła. - Jeżeli ty się cieszysz.

- Och, nie! - Ujął ją za łokieć i drugą ręką sięgnął po teczkę. - Wcale się nie cieszę. Niestety. Staram się być dla ciebie grzeczny, bo zadałaś sobie wiele fatygi, ale...

Odwróciła się, uniosła podbródek i spojrzała mu w oczy.

- Grzeczny - powiedziała - to znaczy dasz mi jeść. I pozwolisz mi się przespać na kanapie. Czy masz kanapę?

Patrzył na nią tak, jakby ją widział po raz pierwszy.

- Kanapę? - Z wolna pojał, że nie zarezerwowała sobie pokoju. Przyjechała bez walizki, tylko z wypchaną płócienną torbą.

Ze zmiennych wyrazów jego twarzy Esty czytała jego myśli. „Czy mam wziąć pokój dla niej? Czy będzie nocowała u mnie?” Uśmiechała się.

- Oczywiście, mam kanapę. - To mówiąc poprowadził ją do drzwi i przez kołowrót na świeże powietrze, bosko ciepłe, suche powietrze Phoenix.

Jedli potrawy meksykańskie, tańczyli na parkiecie prawie nie większym niż dziesięciocentówka i pili przy barze margaritę, zanim spacerkiem wrócili do hotelu. Księżyc był w pełni, ulice zalewała srebrzysta poświata. Szli trzymając się za ręce, dalecy, bardzo dalecy od swoich spraw „prawdziwego życia” na Wschodzie.

Windą wjechali na górę, doszli korytarzem do pokoju Hanka. Hank zamówił przez telefon śniadanie dla dwóch osób - jajka, kielbasę, podwójne soki pomarańczowe.

Esty rozglądała się po pokoju: kanapy nie było. Patrzyła, jak Hank kładzie słuchawkę na widełki, rozluźnia krawat, pochyla się, żeby rozwiązać sznurowadła.

Co, zastanawiała się, co my teraz zrobimy?

W pokoju stało tylko jedno łóżko, ogromne jak boisko i z trzema olbrzymimi poduszkami. Hank zdjął kwiecistą kapę, dwie poduszki położył po bokach, trzecią przegrodził łóżko pośrodku.

- Będziemy udawać dwoje zakochanych, w myśl starego zwyczaju w Nowej Anglii rozdzielonych deską - powiedział bardzo poważnie.

- Udawać? - zapytała Esty, usiłując się nie śmiać. - I to ma być deska? Która strona jest moja?

- Wolny wybór.

- Więc ty bierz tę bliżej telefonu. Będziesz musiał odbierać.

- Jeżeli zadzwonią bliźniaczki, dam słuchawkę także tobie. Esty wykrzyknęła:

- Nie!

Hank wziął dwa batony czekoladowe, które przedtem leżały na poduszkach, i jeden dał Esty.

- Dla osłody, słodziutka.

Rozwinęła tę czekoladę z miętowym nadzieniem i zjadła. Hank już zamykał za sobą drzwi łazienki. Sama w tym pokoju, Esty wpadła w panikę. Co ja tu robię? Wyjeżdżała tak pośpiesznie, że zapakowała tylko jedną zmianę bielizny i zapasową koszulkę polo do kostiumu ze sztruksu, poza którym nie miała nic odpowiedniego na pogodę jednocześnie w głębi stanu Nowy Jork i w Arizonie. Dlaczego nie pomyślała o zabraniu nocnej koszuli?

Podeszła do szafy i zajrzała. Powitały jej wzrok cztery koszule Hanka w paski Brooks Brothers na wieszakach. Wybrała najładniejszą, czysto bawełnianą w paski białe i niebieskie z cudownie długą połą z tyłu, i rzuciła na łóżko. Drzwi łazienki nadal były zamknięte, więc szybko się rozebrała, włożyła koszulę, zapięła wszystkie guziki aż po szyję i nawet przy mankietach, co najmniej o sześć cali dla niej za długich. Po chwili te przy mankietach rozpięła, podwinęła rękawy.

Powiesiła spódnicę i żakiet w szafie, bieliznę wepchnęła do swojej torby i przejrzała się w lustrze. Okazało się, że koszula nie jest tak długa, jak się wydawało, nie bardzo zasłania nogi. No to co, pomyślała, nogi ma każdy.

Włączyła telewizor, położyła się po swojej stronie łóżka, oparła się o ogromną miękką poduszkę, Spojrzała na zegarek: wpół do dwunastej czasu Phoenix, prawie trzecia rano mojego czasu. Więc to nie dziwne, że oczy mi się kleją.

Drzwi łazienki się otworzyły. Wszedł Hank w pasiastej piżamie i w szlafroku z kory w paski białe i niebieskie, z granatową lamówką. Esty parsknęła śmiechem.

- Tak właśnie wyobrażałam sobie George'a Busha, kiedy kładzie się spać.

- To podnieca Barbarę - powiedział Hank. - George i ja znamy się na tych sprawach. Podobno ona wypycha pasek jego piżamy banknotami jednodolarowymi.

Esty nie mogła oderwać oczu od Hanka Morrisona. Było coś niewiarygodnie sexy w tym jego poprawnym negliżu, potarganych włosach, bosych długich stopach. Znów te stopy!

Jak przejdę stąd do łazienki, zastanowiła się, bez tego, żeby...

- Odwróć się tyłem. - Hank się odwrócił, zerknął szelmowsko przez ramię i mrugnął. - No, raz, dwa, trzy, do klozetki biegniesz ty. Zamykając drzwi łazienki, Esty stwierdziła, że zostawiła w pokoju kosmetyczkę. Wbiegła z powrotem - Hank zasłonił oczy, udawał zgorszenie - i znów skoczyła do łazienki. Umyła zęby, wypłukała usta hotelowym płynem do płukania, wyszczotkowała włosy. W lustrze niezupełnie zdołała spojrzeć sobie w oczy. Wiedziała, dlaczego. Ale jeszcze nie była gotowa się do tego przyznać. Hank tymczasem zgasił wszystkie światła oprócz małej lampki na stoliku przy łóżku. - Dziesięciowatowa? - szepnęła wychodząc z łazienki.

- O dziesięć watów za dużo - powiedział też szeptem. - Połóż się.

Wsunęła się do łóżka i oboje siedzieli wyprostowani, oparci o swoje poduszki z tą trzecią pomiędzy nimi. - Brakuje tylko - powiedział Hank - wideł dla mnie i fartucha dla ciebie i już można nas wpasować w wiktoriańsko-amerykański gotyk.

- Jesteśmy za młodzi - powiedziała Esty.

- I oczy mam nie tego koloru - powiedział Hank. - No cóż. Zapanowało milczenie. Esty usiłowała zdławić chichot.

Z ukosa zobaczyła, że Hank też powstrzymuje się od śmiechu.

- Esty - szepnął. - Co?

- Czy pojmujesz, że znaleźliśmy się we dwoje w jednym łóżku?

- Ja... pojmuję.

- Czy ty... - Nagle w jego głosie już nie było żartobliwej nuty. - Est, właściwie dlaczego przyjechałaś?

- zapytał. Esty starannie dobierała słowa.

- Wciąż myślałam o tobie. Wydawałeś się przygnębiony. Chciałam być przy tobie. Być...

- Moim przyjacielem?

- Tak.

- To nie wystarcza.

Tym razem zabrakło inteligentnych odzywek.

- Mnie też nie wystarcza - szepnęła. - Chyba... właśnie dlatego tu jestem.

Bardzo delikatnie sięgnął po rozdzielającą ich poduszkę.

- W porządku? - zapytał, zanim rzucił poduszkę na podłogę.

- W porządku - szepnęła. Wiedziała, że to... to wyrzucenie trzeciej poduszki jest punktem zwrotnym.

Wyciągnął ręce do niej w tej samej chwili, gdy ona wyciągnęła ręce do niego. Poczowała głód, nie dający jej znać o sobie przez trzydzieści lat bez mała. Głód miłości. Więcej słów między nimi nie padło.

Żadne wspomnienia nie

wtargnęły w świadomość Esty. Ona jest tutaj z Hankiem. Nareszcie. Biało-niebieska koszula zleciała na podłogę i za koszulą pizama Hanka. Teraz byli już zupełnie razem. Esty przycisnęła się do niego.

Był ciepły, włochaty, mocno ją przytulał całując. Długo leżeli spleceni i tylko się całowali, aż pożądanie zwyciężyło, pieszczoty stały się gwałtowniejsze i połączyli się w ostatecznym uścisku.

Później spali nadal objęci. Raz w ciągu tej nocy Esty się obudziła i musiała wyplątać swoje włosy spod ramienia Hanka, żeby odwrócić głowę. On mruknął coś cicho przez sen. Pocałowała go w ucho i przysunęła twarz do jego twarzy. Zasnęła znowu.

Obudziło ich pukanie do drzwi. Śniadanie.

Na tacy była też poranna gazeta. Jak stare małżeństwo jedli, popijali kawę i razem czytali.

Wydawałoby się, że ich myśli tak się scaliły, jak przed paroma krótkimi godzinami ich ciała, bo upuścili gazetę na podłogę, podciągnęli kołdrę i znów się kochali. Aż do południa.

Tym razem Esty nie chciała otworzyć oczu. Leżała w objęciach Hanka, głowę wtulała w jego pierś. Przesuwała ustami po miękkiej macie rudawych włosków, sięgnęła ręką niżej, żeby znów pożądał.

- Jeszcze - szeptała, całując go w szyję i w podbródek, nos, powieki.

- Jeszcze - szepnął. I było jeszcze.

Potem znów spali. Gdy pokojówka zapukała do drzwi, kazali jej przyjść za godzinę. Zawołali to jednocześnie, nawet sformułowali tak samo. Popatrzyli na siebie.

- Skąd taka zbieżność? - zdziwiła się Esty.
- Jesteśmy zsynchronizowani - powiedział Hank.
Ale trzeba było już wyjść. Samolot miała za dwie godziny. Dotychczas nie mówiła Hankowi, kiedy wyjedzie; on nie pytał. Z przykrością powiedziała mu teraz.
Ubrała się i Hank się ubrał. Włożyła swoje rzeczy do płóciennej torby, jego białą-niebieską koszulę też. - Oddam ci upraną - powiedziała. Otworzył torbę i wyciągnął koszulę.
- Nie. Mam tutaj tylko cztery. Będę potrzebował...
- Jak długo? Ujął ją za obie ręce.
- Nie wiem. Bóg świadkiem, bardzo chcę już wrócić do domu. Do dziewczynek. Do ciebie. Ale nie mogę, Est. Nie mogę jej tak zostawić, dopóki nie będzie... pogodna. Przyjadę najwcześniej za tydzień. Jutro ktoś zacznie do niej przychodzić... terapeutka, specjalizuje się w takich sprawach. Tylko że jak dotąd Virginia nie chce nikogo widzieć.
Esty zrozumiała i powiedziała, że rozumie. Spojrzała na zegarek. Sprawdziła swoje bilety. Hank patrzył zza jej ramienia.
- Lotnisko jest przy trasie do szpitala. Odwiozę cię. Niewiele rozmawiali w samochodzie. Przed lotniskiem Hank zaparkował, wysiedli, wziął jej torbę i ją za rękę. Szedł wolno, hamując jej zwawy, zwykły na lotniskach krok. Wiedziała, że on chce przedłużyć tę chwilę. Ona też chciała. Odprowadził ją do barierki. Zagarnął w ramiona. - Nigdy nie będziesz wiedziała - szepnął - ile to dla mnie znaczy.
- To najmniej, co mógłby zrobić przyjaciel - powiedziała głosem stłumionym, bo usta miała przy jego piersi. - Po prostu musiałam przyjechać. I cieszę się, że przyjechałam.
- Ja też się cieszę. Zadzwoń. Wrócę, kiedy tylko będę mógł.
- Będę urozmaicać ten czas dziewczynkom. Zamierzamy...
- Co? - Zmarszczył brwi, widząc, że sposepniała.
- Właśnie pomyślałam o Jessie. Ona przyjedzie w przyszłym tygodniu. Prosiłam dziewczynki, żeby przyjechały do

mnie na ten weekend i pomogły mi piec ciasta. Potem pójdziemy po choinkę. Jakaś niedużą.

- Kiedy wrócę - powiedział Hank, podając jej torbę i pomagając przewiesić pasek przez ramię - pojedziemy do lasu i zetniemy choinkę do naszego domu. Ogromną.

- Ja na Boże Narodzenie jadę do matki, wiesz - powiedziała Esty. Mam teraz złożoną rodzinę.

- Zapomniałem. Oczywiście. Hej, ale Wigilię Nowego Roku zaoszczędzisz dla mnie?

- Tylko jeżeli mi przyrzekniesz, że nie będziemy musieli być na żadnej zabawie.

- Sami sobie zabawę zrobimy. Uściskał ją po raz ostatni.

- Esther Foster, dziękuję.

- Proszę bardzo, Harrison Morrison. I ja tobie też dziękuję.

Dni mijały, Hank nie wracał. Virginia nadal nie chciała widzieć tej terapeutki. Będąc już u siebie w domu pod opieką troskliwej siostry, nadal całymi dniami płakała i w nocy spała tylko po zażyciu środków nasennych. Zupełnie tak samo, jak przedtem w szpitalu. Hank odwiedzał ją codziennie, siedział przy niej, trzymał ją za rękę, ale to niewiele pomagało. Co wieczór telefonował do Esty i głos miał coraz bardziej zmęczony.

Esty zabrała dziewczynki do centrum handlowego po gwiazdkowe zakupy, na które Hank przysłał czek. Potem nocowały u niej. Piekły ciasta, ozdabiały dom, pomagały jej planować zabawę gwiazdkową w redakcji. Gdy odwiozła je do ich domu, drogi po nagłej śnieżycy były prawie nieprzejezdne, tak że jechała z powrotem do Edgeville bez mała dwie godziny.

Nazajutrz rano zwołała zebranie reporterów. Zaplanowała gwiazdkowy numer gazety. Teraz już wszystkie boczne szosy były nieprzejezdne - śnieg padał nieprzerwanie. Zamiast opisywać miejscowe uroczystości przedświąteczne, reporterzy musieli się ograniczać do przeprowadzania wywiadów z ludźmi przez telefon albo na ulicach Edgeville, bo nie mogli nigdzie

dojechać samochodem. Squeech napisał reportaż o supersamie zarządzanym przez dwóch braci; to była piętnasta rocznica ich działalności handlowej. Doktor Sweet napisał wiersz specjalnie na Boże Narodzenie, rymowany wprost okropnie. Mary i Jim napisali dwa artykuły wstępne.

Na sześć godzin przed oddaniem numeru świątecznego do druku, Esty jakimś cudem wpadła na pomysł nowej rubryki i zapoczątkowała ją własnym felietonem. Potem położyła się spać i spała przez bite dwanaście godzin.

Gdy się obudziła, śnieg już nie padał. Włączyła telewizor, żeby się dowiedzieć, jakie są warunki meteorologiczne. Dowiedziała się, że dobre dla samolotów. Jessica miała przylecieć wieczorem. I Hank zapowiedział, że „przyskoczy z Phoenix na kilka dni”. Virginia zdecydowała się wrócić do szpitala i poddać się operacji rekonstruującej, o której dotychczas nie chciała słyszeć.

A więc będą razem na Nowy Rok. Dekę przyjedzie do domu. Może on i Jessica...

Stop, powiedziała sobie Esty. Nos jak najdalej od cudzych spraw. Jessie może sama układać swoje plany,

Zapaliła lampki na choince i lampki w oknach, tylko żeby zobaczyć, jak będzie to wyglądało. Zgasila lampki. Czy ja trochę nie przesadzam? Jej salonik nieomal się zamienił w dział prezentów gwiazdkowych u Woolwortha. Nie szkodzi. Bliźniaczki z taką uciechą urządziły to wszystko i Boże Narodzenie już lada dzień, i Hank wraca.

Ilekroć myślała o Hanku, czuła, jak mięśnie twarzy rozciąga jej uśmiech. Wkładając kurtkę z kapturem, żeby pójść do redakcji, nagle znieruchomiała. Zanim wsunęła drugą rękę w drugi rękaw, uświadomiła sobie coś zaskakującego. Jestem szczęśliwa. Naprawdę jestem szczęśliwa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Telefon z lotniska w Dallas przyjęła automatyczna sekretarka. Po powrocie z redakcji Esty usłyszała zwięzłe zawiadomienie. Deke odbierze Jessie z lotniska w Bostonie i przywiezie ją do Edgeville; zatrzymają się po drodze, żeby zjeść kolację. Jessie przyjedzie późno w nocy. Proszę, niech jakieś światło się pali.

- Co ona sobie o mnie myśli? — zapytała Esty Hildy'ego — że ja jestem motel numer sześć? - Ale była zadowolona z wiadomości o Deke'u. To dobrze, że Jessie, wprowadzając się do nowej miejscowości, ma kogoś, kto zgotuje miłe powitanie. I podwójnie dobrze, że przyjedzie nie z Dickiem Barrettem.

Przygotowała się, żeby spokojnie spędzić ten wieczór. Hildy na kolanach, ulubiony stary film na wideo. Patrzyła na ten film ledwie pół godziny i zjadła tylko jedną garść prażonej kukurydzy, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Spodiewając się Wally'ego, pobiegła i otworzyła.

Ale to nie był Wally. W ciepłym palcie i białej szydełkowej czapce z pomponem stał przed drzwiami Richard Barrett. O wilku mowa, a raczej myśl!

Omam nie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Jednak nie zrobiła tego.

- Zdejmij płaszcz - powiedziała, ale potrząsnął głową. Rozpiął ten swój paltot, zdjął czapkę i włożył do kieszeni. - Nie mogę zostać - powiedział, patrząc w podłogę. - Przyszedłem tylko powiedzieć, że jest mi przykro. - To ja wiem - powiedziała Esty. Współczucie, Bóg jeden wie dlaczego, sprawiło, że wyciągnęła do niego rękę. Jeszcze nie zdjął rękawic z jednym palcem. Więc najpierw ściągnął rękawicę z prawej ręki i dopiero potem odwzajemnił uścisk jej prawicy.

- To znaczy dla mnie wiele - powiedział. Wydawało się, że zaraz zacznie płakać.

Nadal jednak nie chciał zdjąć palta ani usiąść.

- Dużo myślałem - powiedział. - Na ogół to nie było przyjemne. Chcę przeprosić wiele osób. Ciebie pierwszą. Stała przy nim i chciała, żeby podniósł wzrok, spojrzał na nią.

- Nie jesteś dziwką - powiedział w końcu, patrząc jej w oczy. - Od tego, żeby być dziwką, jesteś najdalej na świecie. Więc... więc przepraszam.

- W porządku - powiedziała Esty. Wyglądał tak żałośnie. Miał włosy ostrzyżone krótko, bardzo nietwarzowo, prawie na jeża. I oczy miał podkrążone.

- Rozmawiałem z Connie Springer - oznajmił i westchnął głęboko. - Ona... wypierze moje brudy. Popełniłem mnóstwo pomyłek. Wynoszę się stąd. Oczywiście wiesz o tym.

- Wiem niedużo, Dick - powiedziała. - Dokąd wyjeżdżasz?

- Do Miami - odpowiedział. - Tam jest wolna posada mierniczego. Nigdy nie lubiłem Florydy, ale muszę zarabiać na życie. I muszę się wynieść daleko. Mam szczęście, że mnie... nie zaskarżyli. To dziwne, nigdy nie doceniałem ludzi w tym

miasteczku. Uważałem ich za staroświeckich tępaków. Ale ocalili mi skórę. Pod warunkiem, że sam skazę się na wygnanie. To właśnie robię.

- Napijesz się kawy czy whisky? - zapytała.

- To jeszcze jedna rzecz - powiedział Dick. - Zapisalem się do Anonimowych Alkoholików. Bo straciłem kontrolę nad piciem. Zgadnij, kto mi pomógł przeskoczyć ten płótek.

- Kto? - zapytała.

- Twoja piękna córka. Ileż godności jest w tej dziewczynie. Atakowałem ją ostro. Za ostro. Jakaś mniejsza duchem nazwałaby to usiłowaniem gwałtu. Jessica nazwała to chamstwem i odczytała mi ustawę o chuligaństwie. To ona skierowała mnie do AA.

- W Dallas? Właściwie co tam robiłeś?

- Nie pytaj. Ale rad jestem, że tam pojechałem. Tam zacząłem w AA dzięki Jess. I zgłosiłem się do nich w Miami Mają siatkę wszędzie. I... Esty... przepraszam również za to że podrywałem Jessikę. Robiłem to tylko, żeby sprawić ci przykrość. Co nie znaczy, że Jessica nie jest wspaniała, ale... ja chciałem ci się odplacić. - Odplaciłeś się. Pierwsza klasa. - Esty usłyszała swój szorstki ton, ale nie miała go sobie za złe. - Jednak przyjmuję twoje przeprosiny - powiedziała już łagodniej.

- Miałem taką nadzieję.

Więcej nic nie było do powiedzenia. Dick rozglądał się, jak gdyby chciał szczegółowo zapamiętać jej salonik. Ileż, pomyślała, on stracił... posadę, swoje miejsce w tej społeczności, kandydaturę do władz ustawodawczych, wszystko. On nie jest zły, tylko... poszedł w niewłaściwym kierunku.

Lekkomyślnie. Otóż to. Jest lekkomyślny. Uśmiechnęła się do niego, chcąc trochę go pocieszyć.

- Żegnaj, Hildy - pomachał ręką do kota zwiniętego na kanapie przy salaterce z prażoną kukurydzą

- Dick...

Odwrócił się do niej.

- Ja... też ci jestem winna przeprosiny. Poniekąd. - Uśmiechnęła się lekko. - Wykorzystałam cię.

Posłużyłam się tobą. Próbowałam sobie coś udowodnić, coś, co jeszcze niezupełnie

udowodniłam, ale nadal próbuję. Użyłam w tym celu ciebie. Nie cierpię, kiedy mężczyzna tak postępuje z kobietą. Wszystkie tego nie cierpimy. I nieraz zapominamy, że my też tak postępujemy. To nieładnie. Przepraszam. Dick uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Przeprasiny przyjęte, Esther - powiedział już nieco bardziej w swoim stylu. - Ale za nic na świecie nie chciałbym, żeby mnie to wykorzystywanie ominęło.

Sięgnęła po jego rękę, potrząsnęła nią.

- Przyjaźń?

- Tak. Mam nadzieję. Z pewnością mi się przyda.

- Wszystkiego dobrego, Richard - powiedziała. Ale do jego pleców. Nie zapinając palta, już otworzył drzwi i właśnie zamykał je za sobą.

Richard Barrett zniknął raz na zawsze.

Jessica przyjechała w nocy. Esty tego nie słyszała, musiało być bardzo późno. Obudziła się, gdy rano córka zbiegła do sypialni i wskoczyła na jej łóżko, jak w dzieciństwie.

- Mamo, Dekę Morrison jest miły - powiedziała, wsuwając się z Hildym pod kołdrę.

- To cię zdumiewa?

- Tak - odpowiedziała Jessica. - Zapomniałam, że był straszny. Opowiadał mi, jak strasznie go zwymyślałam! Nazwałam go gnojkiem.

- Tak, kochanie.

- Pozwalałaś mi używać takich słów, kiedy byłam mała?

- Nie pozwalałam. I nigdy potem tego nie powtórzyłaś. W ciągu dwudziestu lat zmieniłaś się na korzyść.

- Z pewnością. Mamo, moje mieszkanie jest cudowne. Wstąpiliśmy tam, żeby wypić na dobranoc, zanim Dekę mnie odwiózł tutaj. Już czuję się jak w domu. Ciocia Connie postawiła mi tam chryzantemę w doniczce. Żółtą. Pokoje czyste, pomalowane. Wydaje mi się, że zaczynam nowe życie. Jestem szalenie podekscytowana.

Esty wyplątała spomiędzy nich Hildy'ego i uściskała córkę.

- Obie zaczynamy - powiedziała. - Boże, my wszystkie, trzy pokolenia, zaczynamy od początku. Pomyśl o babci, gwiazdzistockiej pannie młodej.

- Nie jestem pewna, czy przepadam za moim nowym dziadkiem - powiedziała Jessica. - Czy nie wydaje się trochę... nudny?

- Babcię będziesz musiała zapytać. Ale nie, lepiej nie. On nie jest nudny. To zacy człowiek. Wiesz, w szkole durzyłam się w jego synu. - Chyba żartujesz.

- Poznasz go w Boże Narodzenie. Pomogłam mu kupić szpinet dla żony na aukcji latem. To...

- Przyzwoity człowiek.

- Wyjmujesz mi słowa z ust.

- Oj, mamó, bo jesteś retro.

- A jak się teraz mówi? Równy chłop? Byczy?

- Bądź dalej taka słodka, zabytkowa, jak jesteś, mamó. Co na to można odpowiedzieć poza „dziękuję ci kochanie, napijesz się kawy”? Esty przytuliła Jessikę mocniej. Myliłam się, pomyślała, wspaniale będzie mieć ją tutaj... teraz, kiedy Richard Barrett zniknął z widowni. Czy kiedykolwiek zdołamy porozmawiać o nim? Miała nadzieję, że nie. To rozdział życia, który wolałaby wykreślić.

Po śniadaniu rozeszły się - Esty poszła do redakcji, Jessica do swojego nowego mieszkania. Spotkały się w domu Esty dopiero wieczorem. Zjadły kolację: rondel spaghetti z sosem pomidorowym i sałatką z avocado, i rumowo-rodzynkowe lody Haagen Dazs.

- Świecisz przykładem racjonalnego odżywiania - stwierdziła Jessie, zlizując resztki lodów.

- Jest Gwiazdka - powiedziała Esty z sercem pełnym radości. - Cóż znaczy parę gramów tłuszczu i kilkaset kalorii w okresie świętowania? Jessica wstała, żeby wyjść z pokoju, ale zatrzymała się przy stoliku z fotografiami. Wzięła fotografię Erika, przyjrzała się.

- Musiał być wspaniały - powiedziała. - Dekę mówi, że jego tata wciąż go wspomina.

Esty stanęła przy Jessie, objęła ją ramieniem.

- Był cudowny. Uwielbiałabyś go. - Mamo... jeszcze za nim tęsknisz, prawda?
- Zawsze będę za nim tęskniła.
- Ale mogłabyś... to znaczy, gdybyś spotkała odpowiedniego mężczyznę, myślisz, że...
- Myślę, że tak, że to możliwe. Co już jest wielkim krokiem naprzód. Pół roku temu powiedziałabym, że nie. Że nigdy. Dlatego rozstałam się z Jackiem, dlatego wyjechałam z Illinois. Jacka kochałam, ale żyłam przeszłością... przeszłością.
- Dobrze, że ci się odmienia, mamo. Nie chcę, żeby tylko babcia stała w kręgu reflektora miłości.
- Krąg reflektora miłości? To ładnie. Twoje własne określenie?
- Roseanne Barr. - Uch!
- Mamo, zadzwońmy do niej. Do babci, nie do Roseanne. Teraz. A potem do wuja Keitha.
- Cóż za nagły wybuch uczuć rodzinnych!
- Po prostu. Wspaniale, cudownie być tutaj... ty i ja mamy swoje gniazda, swoje własne... no, mniejsza o to. Chodzi mi o kontakt z bazą. Zatelefonowały do Elizabeth - natrafiły na Arta. Art chciał tylko opowiadać o ciężkim trudzie, z jakim usiłuje zmusić swoje i Elizabeth psy do harmonijnego współżycia. - I co tu mówić o łączeniu rodzin - uskarżał się Jessice, która tę informację przekazała Esty. - Jeden mały pudełek próbuje się zmierzyć z trzema pocziwymi starymi wyżłami i dalmatyńczykiem. - Zawsze ci mali pokazują zęby - powiedziała mu Jessie.
- Tylko módlcie się, żeby mama nie przywiozła na Boże Narodzenie swojego morderczego kocura.
- Och - powiedziała Esty po krótkiej rozmowie z Artem.
- Nie myślałam... oczywiście, przywieziemy Hildy'ego. Telefon Jessiki do wuja Keitha był zgoła niezadowolający.
- Keith jedzie z teściami na święta do rodziny żony w Tortola. Fatalnie, że nie może być na ślubie matki. Wysła skrzynię prezentów dla niej.
- Gówniarz - mruknęła Jessica.

- Nie dosłyszałam.

- Mówię, że wuj Keith przesyła ucałowania i życzenia wesołych świąt nam wszystkim i każdemu z osobna i ho, ho, ho. - Och, dziękuję - powiedziała Esty. No i tyle co do Keitha. Może kiedyś znów będzie się przyjaźniła z bratem. Chciała tego... bardzo.

Jessica spojrzała na zegarek i ziewnęła.

- Muszę już iść. Ale jeszcze o czymś ci powiem. Krótko. Jak najkrócej. Jeżeli zaczniesz zadawać pytania, stanę dęba. - Znam to uczucie - Esty usiadła, podniosła nogi na taboret. - Mama pyta.

- A więc Richard Barrett... Esty się wzdrygnęła. Znowu on.

- Wstąpił tu - powiedziała. - W drodze na Florydę. Mówił o tobie bardzo miłe rzeczy.

Jessica się zaczerwieniła i zaraz te rumieńce przybladły.

- Co mianowicie? - zapytała ostro.

- Że jesteś fantastyczna. I twarda. I że mu pomogłaś. Z AA.

- Tak, Słuchaj, mam, chcę tylko powiedzieć, że on od razu u mnie był przegrany, dawałam mu do wiwatu... a potem omal nie uległam jego czarom. To jeden z tych, którzy tylko biorą. Wyczułam to. Ja... on chciał zatrzymać się u mnie w Dallas, ale wyrzuciłam go za drzwi. Powiedział coś o tobie...

- Nic nie mów - przerwała Esty zbyt szybko, zbyt gwałtownie. Zobaczyła, że Jessica się wycofuje. - Przepraszam - powiedziała. - On narobił mnóstwo kłopotów w Edgeville. Kłopotów dla Connie, dla rady miejskiej, dla wszystkich. Cieszymy się, że wyjechał. Jess, ja się cieszę, że wyjechał.

Rzeczywiście wolałabym... to znaczy... cierpnę na myśl, że ty mogłaś się zaangażować...

- Dlatego to poruszyłam, mam. Żebyś na pewno wiedziała, że nic między mną i nim nie zaszło. Że nie było... w ogóle nic. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mi zależy, żebyś wiedziała. No, ale zależy.

Musiałam ci powiedzieć. I nie mówię wszystkiego, wiesz.

Esty się uśmiechnęła.

- To chyba dobrze - powiedziała. - Powiedzmy sobie tylko, że czegoś się nauczyliśmy od Richarda Barretta. Może czegoś, czego lepiej byłoby się nie nauczyć, ale kto wie?

- Hej, mamó - powiedziała Jessica już przy drzwiach. - Po prostu zgódźmy się że to gnojek.
- Jessica - serce Esty wezbrało wielką serdecznością. Kochała tę swoją córkę. Swoją i Erika. -
Czyżbym wychowała cię na osobę używającą brzydkich słów?
- Przepraszam, mamó - Jessica zawróciła od drzwi i jeszcze raz pocałowała matkę na dobranoc. - Ale gnojek to gnojek.

W nocy Esty znów miała sen. Erie był w tym śnie i była Jessica, znali się, chodzili po jakiejś plaży obejmując się ramionami, głowa przy głowie. Śmieli się. A ona, Esty, szła za nimi, usiłując równać z nimi krok. Stąpnęła w podpływającą falę i gdy podniosła wzrok, oni gdzieś zniknęli. Popatrzyła na morze, popatrzyła w dal plaży. Nigdzie nikogo.

Gdzie jesteś, doktorze Freud? - zapytała, budząc się w skotłowanej pościeli, z nogami zwieszonymi z łóżka.

Hank nie zadzwonił. Czy dlatego jest zdenerwowana? Czy to może po rozmowie z Jessiką? Czy po wizycie Dicka Barretta? Wysiłała wolę, żeby znów zasnąć. Boże Narodzenie lada dzień. Potrzeba jej tyle energii.

Ale...?

Zabawa w redakcji udała się doskonale. Sąueech się wstawił, poszedł w kąć z czyimś wielkim czarnym dogiem i obaj, on i ten pies, smacznie zasnęli. Jody zadeklamowała wiersz, Wally wznosił toast. Jim i Mary wygłosili przemówienie o konkursie gazet stanu Nowy Jork, o szansach wygrania, o tym, że są dumni ze swojej gazety i że to był dobry rok. Angela nalewała i podawała poncz, druga Esther patronowała przy sałatce z kartofli i pieczonym bobie. Matka Wally' ego przysłała sałatkę z kapusty i wszyscy podpisali kartę z podziękowaniem i pochwałami, którą Wally miał jej doręczyć.

W końcu Mary, uderzając nożem o szklanę, poprosiła o ciszę.

- Może się zastanawiacie - powiedziała rozpromieniona
 - dlaczego zgromadziłam tu was wszystkich dzisiaj.
 - Nadzwyczajne! - zawołał Wally.
 - Słyszcie, słyszcie - powiedział Squeech ze swego kąta, opuścił głowę na bok doga i spał dalej.
 - Mam premię dla każdego z was - mówiła Mary. - Niewiele, bo czasy są ciężkie, ale chcę, żebyście wiedzieli, jak bardzo jestem wam wdzięczna za waszą niezmożoną pracę. I - dodała
 - jeśli ktoś zechce wyjść na śnieg, znajdzie prezent od zwycięzcy w naszym konkursie, od Hrabiego Cumberland... czyli Donalda Colby. Przesłał nam w podziękę szampana... i zawiadomił, że dostał kontrakt jako model mający prezentować... co to ma być, Jim?
- Jim Prescott uśmiechnął się i wzruszył ramionami.
- Bieliznę męską - powiedział. - Najmodniejsze slipki.
 - Tylko pomyślcie - powiedziała Mary - otworzyliśmy mu drogę do kariery.
 - Z dna na szczyt, że tak powiem - dorzucił Wally. Squeech, który się obudził, gdy padło słowo „premia”, i znalazł gdzieś brązową papierową torbę, teraz huknął nią głośno. Wszyscy klaskali. Jody i Wally przynieśli dwie butelki Perrier i Jouet, wygrzebane ze śniegu przed frontowymi drzwiami. Wally je odkorkował, napełnił plastikowe kieliszki. Wszyscy stanęli kołem, żeby wypić.
 - Zdrowie państwa Prescott! - wykrzyknął Wally. - Zdrowie Esty! - powiedziała Jody.
 - I hrabstwa Cumberland - wrzasnęła Angela. - Najlepszego hrabstwa w stanie Nowy Jork!
- Esty podniosła swój kieliszek, trąciła się z szefową, szefem i reporterami, i wypiała. Bąbelki przeniknęły jej do nosa.
- Jeszcze jeden toast - powiedział Jim. - Chcę wypić za zdrowie mojej żony, Mary, która utrzymuje tę gazetę w szyku dzień po dniu... Mary kochana... twoje zdrowie.
- Zrobiono owację. Potem Mary wzniosła toast za zdrowie Jima. Angela chichotała, ubolewała, że w szampanie jest za dużo bąbelków. Ktoś włączył radio, rozbrzmiała muzyka country.

Esty patrzyła na tych ludzi bardzo jej bliskich, chociaż tak niedawno ich poznała. Mary i Jim, jej szefowie... jej przyjaciele. Troje reporterów zgranych w zespole pomimo swoich odmienności. Angela. Cała reszta personelu. Wszyscy uśmiechnięci, koleżeńscy. Sprawiają, że ta prowincjonalna małomiasteczkowa gazeta kwitnie. Dumna była z nich wszystkich. Znalazła wśród nich miejsce dla siebie. Rzeczywiście los jej sprzyja.

Mary chodziła teraz po sali i rozdawała koperty. Dała kopertę Est.

- Żałuję, że nie więcej - powiedziała. - Esty, my cię kochamy.

Jim stanął przy niej. Uścisnął Esty rękę - zawsze był poprawny - po czym ucałował ją w policzek.

- I to jak! - powiedział.

Angela już zaczęła sprzątać. Zgniała bibułkowe serwetki, wrzucała plastikowe naczynia do puszek na śmieci. Weszło przy tym nuciła. Oto jedna szczęśliwa pani, pomyślała Esty. A ja druga.

Ta zabawa doprawdy się udała. Reporterzy wyruszyli do Skrzyni. Esty pomogła w ostatecznym sprzątanu i wróciła do domu. Przede wszystkim podbiegła do automatycznej sekretarki, jak co wieczór ostatnio.

Nic. Już dwa wieczory bez telefonu Hanka? To zaczyna być niepokojące. Za późna godzina, żeby dzwonić do bliźniaczek. Ale jutro trzeba je zapytać.

Telefon zadzwonił o północy. W pierwszej chwili Esty nie rozumiała, co Hank mówi. Poprosiła, żeby mówił wyraźniej. Ale to nie pomogło. Wytężyła słuch, żeby go dobrze słyszeć.

- Esty, muszę tu zostać. Wzięli ją na drugą operację, tę plastyczną. Coś poszło niedobrze z usypianiem. Musieli ją z tego szybko wyciągnąć i teraz trzeba to wszystko powtarzać od początku. Ona to wytrzyma, ale przeżywa strasznie.

Esty usiłowała go pocieszyć. Daremnie. Chciał mówić tylko o planach: przyjedzie do domu w Wigilię, choćby miał skonać.

Czy Esty może postarać się o choinkę? Zrobić zakupy za niego?

Oczywiście może. Jest na to cały tydzień; do Elizabeth pojedzie z Jessiką dopiero w Wigilię.

Tymczasem przygotuje wszystko u niego w domu, dopatrzy, żeby bliźniaczki były zajęte. Mogłyby jeden dzień spędzić w redakcji, bawić się w reporterów...

- Będziemy jak okręty mijające się na morzu nocą - powiedział Hank znużonym głosem. - Ja przyjadę, ty wyjedziesz. - Wrócę zaraz po Bożym Narodzeniu - powiedziała. - Hej, gazeta przecież wychodzi co tydzień. Święto czy nie święto. Niezależnie od ślubu matki.

- Ten ślub - powiedział Hank. - Zupełnie zapomniałem. Chciałem tam pojechać.

- Nie zostałeś zaproszony, drogi mój, więc się nie martw. Sama rodzina, jego dziecko, jej dzieci, wnuczeta. A potem wesele w jego domu. To będzie wigilia Bożego Narodzenia, więc wszyscy wyjadą wcześniej. Mama nie jest taka głupia. - Esty...

- Co, Hank?

- Wiem, co chcę robić w wigilię Nowego Roku. - Powiedz.

- U ciebie. Tylko my dwoje. Wielkie befsztyki. Ja usmażę. Film wideo.

- Bosko - powiedziała Esty. - Taki wieczór, jaki lubię. Ja... Czy na pewno tu będziesz?

- Na pewno. Mam samolot stąd dwudziestego czwartego. Wczesnym rankiem. Est... jednak dobrze, że jestem z Virginiją.

Serce jej zamarło. Nie chciała słyszeć o byłej żonie Hanka.

- Jak to? - zapytała.

- Ona... mnóstwo mówi. Ja siedzę niegroźny, cierpliwy, ona mówi. Uważam, że to dla niej dobrze.

Myśmy naprawdę wcale nie rozmawiali, kiedy odeszła.

Esty nie wiedziała, co powiedzieć.

- Est? Hej! Ja nie... nie myśl... Nie, nie ma w tym nic, tylko współczucie i przeszłość. Ale rozmowa pomaga. Może i mnie także. Wiem, że pomogła Deke'owi.

- Hank - powiedziała Esty. - Posłuchaj. Cieszę się ze względu na ciebie. Rzeczywiście. I... tęsknię.

- Muzyka - powiedział Hank - dla moich uszu. Do widzenia, najdroższa.

Najdroższa?

Esty zaczęła spacerować po pokoju.

- Co ma pierwszeństwo? - zapytała głośno. Muszę w nadchodzącym tygodniu wydzielić czas co do minuty na wszystko, co trzeba zrobić. Gazeta, dwoje reporterów już wyjechało, mają urlop. Connie dzwoni teraz tak często, a kiedy dzwoni, to znaczy że jestem jej potrzebna, żeby pogadać. Yvonne i Nellie potrzebują kogoś, kto im urządzi Boże Narodzenie. Jessica. Elizabeth. Hildy.

- Z tobą najłatwiej, kociaku - powiedziała do Hildy'ego, podnosząc go i przytulając tak mocno, że cicho, ale dobitnie stęknął, zanim zaczął mrużyć. - Pojedziesz ze mną zawsze, dokądkolwiek pojedę. Przeszła obok okrągłego stolika z fotografiami i poczuła dawny ból, gdy spojrzała na Erika w wojskowej czapce ocieniającej mu twarz, na jego optymistyczny uśmiech. Westchnęła. Erika nie ma, a ze mną dzieje się coś nowego i może... może jestem już do tego gotowa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Esty kupiła komplet nowych opon na śnieg. Gdy nadszedł czas wyjazdu, załadowała do volvo gwiazdkowe prezenty, trzy pasztety z prawdziwej dziczyzny, które sama zrobiła, pękatą walizkę z garderobą i Hildy'ego. Na ślub matki miała nową sukienkę, na poranek Bożego Narodzenia nowy czerwony pulower. Najpierw pojechała po Jessikę do jej mieszkania.

- Byłaś piekielnie zajęta w tym tygodniu - powiedziała Jessica wsiadając, zapinając na sobie pas. - Dekę mówi, że jesteś gwiazdkowym aniołem.

- Dziewczynki są cudowne - powiedziała Esty. - Wdzięczne za wszystko, co się dla nich robi. Czy to nie dziwne jak na czternastolatki?

- Bardzo dziwne - przyznała Jessica. - Owszem, one są szczególne. Dekę się do nich zbliżył dzięki temu kryzysowi ich matki, która nawiasem mówiąc, raczej nie jest mu potrzebna do szczęścia.
- Szkoda - powiedziała Esty. - Żeby mężczyźni nie była potrzebna jego matka... Ja na twoim miejscu bym się tym martwiła. To znaczy, jeżeli spotykasz się z nim poważnie.
Jak daleko Jessie się posunęła?
- Jessica chyba zignorowała jej ciekawość; skoncentrowała się na Dekę'u.
- On chce swoją matkę kochać - powiedziała - ale rzeczywiście gniewa go to, że odeszła. Nie tyle że odeszła od niego, był już dorosły, ile od bliźniaczek, one były wtedy małe. Dekę jest... trochę konserwatystą.
- Trochę, pomyślała Esty, przypominając sobie trzyczęściowy garnitur Dekę'a w Święto Dziękczynienia i te przylizane włosy. Ale była zadowolona. Lubiła mężczyzn konserwatywnych. Tak jak Elizabeth, uważała, że George Bush jest godny uwielbienia, chociaż tego nie mówiła nikomu.
- Im będzie doskonale - powiedziała. - I Hank dzisiaj przyjedzie. Będą miały prawdziwą Gwiazdkę. Przez jakiś czas jechały w milczeniu, ale Esty czuła na sobie wzrok córki. Ostatecznie Jessie zaczęła.
- Mamo, powiedz mi, proszę. Czy ty i tata Deke'a...
- Dokończ pytanie.
- No, raczej to cudaczne, ja spotykam się z Deke'em, ty spotykasz się z jego ojcem...
- Cudaczne? - Cudaczne. Właśnie.
- Jess, przykro mi, ale ja byłam pierwsza, jeżeli sobie przypominasz. I spotkanie się to niezupełnie ściśle...
- Więc co jest ściśle?
- Esty starannie dobierała słowa.
- Pomyśl przez chwilę, Jessie. Odwróćmy tę rozmowę. Ja pytam ciebie, do czego właściwie ty i Deke zmierzacie? Do spotkania się dalej? Do czego? Jak reagujesz na moje pytanie?
- Jessie odpowiedziała prawie za szybko.

- Jesteś wścibska. Wtrącasz się. Jesteś matką w najgorszym znaczeniu. Złości mnie to.
 - Mnie tak bardzo to nie złości, jestem po drugiej stronie płotu pomiędzy pokoleniami - powiedziała Esty. - Ale niezbyt to lubię. Powiem ci coś. Bardzo przywiązałam się do Hanka. Nie tylko dlatego, że znamy się od dawna, nie tylko dlatego, że był przyjacielem twojego ojca... i drużbą na naszym ślubie. To dużo więcej. On jest...
 - Proszę. Nie mów, że jest przyzwoity.
 - Czemu, do diabła, mam tak nie powiedzieć? Zupełnie jakbym jego słyszała! A przecież przyzwoity człowiek to komplement.
 - I zdaje ci się, że to rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty ósmy.
- Esty westchnęła.
- Nieuniknione, prawda, taki konflikt między matką i córką. Jakoś nie potrafimy się wznieść powyżej.
 - Potrafimy lepiej niż większość matek i córek.
 - Tak, Jessie. I Elizabeth i ja też potrafimy. Ale... nadal mi trudno wyobrazić sobie ją jako oblubienicę starego Arta Andersona. Więc rozumiem to, co na pewno odczuwasz na myśl o mnie z jakimkolwiek mężczyzną... - Nie. Nie porównuj. Babcia to... inna sprawa.
 - Na pewno. I cieszę się ze względu na nią. I a propos, jak ubierzesz się na ten ślub?
 - Czarne wąskie spodnie. Jedwabna tunika w paski i żołnierskie buty - odpowiedziała Jessica - i wezmę plecak. Esty sprostała sytuacji.
 - Ładnie - pochwaliła. - Ja będę wystrojona dosyć podobnie. Mam nadzieję, że nie kupiłyśmy tunik zupełnie takich samych. Jessica roześmiała się i klepnęła ją w kolano.
 - Jesteś równa, staruszek. Jak na matkę.
 - To - powiedziała Esty - prawdopodobnie jest największym komplementem, jaki usłyszałam w życiu. I najcenniejszym.
- Autostrada była zatłoczona. Volvo włókł się za innymi samochodami na całej trasie do Seaview. Gdy bez postoju na obiad wreszcie dojechały, czuły przede wszystkim głód. Hildy

pomiaukiwał na swój szczególny sposób, jak zawsze, kiedy musiał wyjść.

Esty zatrzymała samochód przed domem Elizabeth, wyłączyła silnik.

- Przygotuj się, dziewczyno - powiedziała Jessice. - Za kilka godzin ślub roku. Może nawet stulecia.

Na całą resztę tego dnia role matki i córki, czyli Elizabeth i Esty, się odwróciły. Elizabeth trzepotała się podekscytowana, zarumieniona. Wciąż czegoś daremnie szukała - okularów, nowej szminki, szalika do nowej garsonki. Esty matkowała: dopilnowała, żeby Elizabeth coś zjadła, zanim zacznie ubierać się do ślubu, znalazła jej okulary, poklepywała ją po ramieniu. O czwartej - ślub miał być o piątej w domu Philla i Sally Andersonów - były już prawie gotowe. Usiadły przed kominkiem z buzującym ogniem w saloniku Elizabeth i popijały herbatę, którą zaparzyła Jessica.

- Tylko jedna filiżanka - upomniała Esty pannę młodą. - Chyba nie chcesz w czasie ślubu zaciskać ud.

- Żałuję, że Keitha tu nie ma - powiedziała Elizabeth.

- Ja też żałuję - odezwała się Jessica. - Prawie bym go nie rozpoznała, gdyby wszedł. Nie za bardzo z niego wuj.

- I nie za bardzo syn. - Elizabeth obciągnęła na kolanach jedwabny szlafrok. Garsonkę miała włożyć w ostatniej chwili, żeby nie było ani fałdki.

- I nie za bardzo brat - powiedziała Esty, zbierając filiżanki na tacę. Spojrzała na zegarek. Do domu Phila tylko dwie mile, ale ten przedświąteczny ruch...

- Żałuję, że... - Jessica ugryzła się w język.

- Czego, kochanie? - zapytała Elizabeth.

- Żałuję, że mój ojciec nie żyje i nie ma go tutaj. W takich chwilach jak ta czuję się... sierotą. Na uroczystościach rodzinnych. Poza tym raczej o nim zapominam.

Esty postawiła tacę i usiadła przy Jessice.

- Rozumiem. W takich chwilach czuję się wdową. Ale, Jessice, może on tu j e s t.

- Ojej! - jęknęła Elizabeth. - To może znaczyć, że jest tu także i twój ojciec, Esty. Boże uchroni.
- Nie podnoś wzroku, mamó - powiedziała Esty. Jessica parsknęła śmiechem.
- Mama mi obiecała - powiedziała po chwili - że wkrótce porozmawiamy o nim... o moim ojcu. I z tobą też, babciu. Znałaś go. Chcę wiedzieć wszystko.
- Pokazywałaś jej albumy z wycinkami? - zapytała Elizabeth.

Jessica spojrzała na matkę wyczekująco. Dlaczego, zastanawiała się Esty, nigdy nie wyciągnęłam tych albumów nie przeglądałam ich? Dlaczego nigdy nie pokazałam Jessice fotografii ze ślubu i z podróży poślubnej? Ale miała odpowiedź-po prostu nie mogłabym patrzeć na to. Teraz jednak, pomyślała chyba mogę.

- Czy są nadal na strychu? - zapytała. Elizabeth przytaknęła. Wstała, przeszła przez pokój.
- Nogi ci zmarzły, babciu? Roztarta sobie dłonie.
- Nie, tylko ręce - odpowiedziała.

- Dobry znak - Esty podeszła do matki, ujęła ją za ręce. - Ręce zimne, serce gorące, zawsze tak mówiłaś. Dobrze, że masz przyzwoitą córkę, która ci pozapina guziki.

Poprowadziła matkę do sypialni, gdzie na łóżku leżała nowa rozowa garsonka. Elizabeth zdjęła szlafrok, włożyła długą jedwabną bluzkę koloru kości słoniowej zapinaną na plecach Esty stanęła za nią i zapięła maleńkie, obciągnięte jedwabiem guziczki.

- To dopiero wyzwanie dla twojego nowego męża - powiedziała - wydostać cię z tej kreacji.
- Esther, proszę cię - upominała ją Elizabeth. Jej blade, trochę piegowate policzki się zaczerwieniły. Esty pogłaskała ją po ramieniu.
- Gotowa - powiedziała. - I czas już jechać. Elizabeth odwróciła się do niej.
- Zdołasz to zrobić, kochanie? - zapytała, patrząc na drzwi niespokojnie, czy Jessica tego nie słyszy. - Możesz jej pokazać te zdjęcia? Nie mówiłabym o nich, ale...

- Mogę - odpowiedziała Esty. - I ponieważ w podróż poślubną wyjeżdżasz tylko na sąsiednią ulicę, bądź przy tym. Jutro rano?
- Coś mi mówi - stwierdziła Elizabeth cicho - że rozpoczynam pewien ciąg.
- Jakież to ciąg? - zapytała Esty, chociaż wiedziała, co matka ma na myśli.
- Zobaczymy, czy zgadniesz.
- Sekrety? - W drzwiach stanęła Jessica.
- Domysły - powiedziała Elizabeth. Doskonale uczesana i umalowana, w eleganckiej różowej garsonce wyglądała pięknie. Z córką i wnuczką, niosącą jej neseser, poszła do samochodu. Gdy zamknęła drzwi frontowe, popatrzyła na swój dom, na próg, na którym stała.
- Trudno mi uwierzyć - powiedziała.
- Że wychodzisz za mąż?
- Tak długo byłam sama.
- Przypuszczasz, że on cię przeniesie przez ten próg? - zapytała Esty. - Uważaj teraz, nie poślizgnij się na lodzie. - Nigdy dotąd nie myślałam, że to próg - Elizabeth wzięła Esty pod rękę, żeby zejść po oblodzonych schodkach. - Ślub jest rzeczywiście... przejściem, prawda?
- Mnie pytasz? Raczej nie nabrałam doświadczenia - powiedziała Esty.
- Zawsze można popracować wyobraźnią - zauważyła Jessica. - Przenoszenie panny młodej przez próg to urocza tradycja. Jeżeli pan młody zapomni, że powinien cię przenieść, babciu, twoja wnuczka mu przypomni. Elizabeth się roześmiała.
- Pamiętaj, że on ma artretyzm. I ja też.

Esty zaparkowała samochód w odległości dwóch bloków od domu Andersona i już chciała wysiąść, gdy Jessica szturchnęła ją w żebra.

- Nie zmuszaj oblubienicy, żeby szła na swój ślub piechotą - powiedziała teatralnym szeptem.

- Bzdura - odezwała się Elizabeth z tylnego siedzenia. - Oczywiście mogę pójść.

Esty jednak podjechała dalej, zakręciła z powrotem i wysadziła matkę przed domem Andersona.

Skinęła na Jessikę, żeby eskortowała babcię, ale Jessica zamiast tego przesiadła się na jej miejsce przy kierownicy.

- Starość ma pierwszeństwo przed urodą - powiedziała i odjechała na parking.

Więc Esty poprowadziła matkę do tego domu z czerwonej cegły w stylu kolonialnym. Na drzwiach wisiał ogromny wieniec ozdobiony migotliwie białymi dzwonekami weselnymi.

Drzwi otworzył Phil Anderson. Jego żona, Sally, stała przy nim, wiewióreczka w fartuchu na szaroniebieskiej sukni cocktailowej. Czterdziestoosmioletnia, wcale nie wyglądała młodo, ale promieniała pogodą ducha. Jest szczęśliwa, pomyślała Esty, to widać.

- Prosto tutaj - powiedział Phil, podając Elizabeth ramię i prowadząc ją do małego saloniku. - Pan młody nie może zobaczyć panny młodej przed ślubem. Odwrócił się do Esty akurat w chwili, gdy rozległ się dzwonek i Sally pobiegła, żeby otworzyć drzwi. - Próba ceremonii nie jest potrzebna, ale muszę ci, Esty, powiedzieć, jak będzie. Ty i ja będziemy eskortować tych młodych. Sally zagra na szpinecie. Moje starsze dziewczyny rozwiną biały dywan, a Megan będzie rzucała płatki róż. Uparła się. Pani duchowna siedzi w kuchni, pije kawę. Ach - zwrócił się do Jessie, którą Sally właśnie wprowadziła - zapewne dziewczyna Esther?

Esty mrugnęła do Jessiki.

- Właściwie to Esther jest moją dziewczyną - powiedziała Jessie.

Sally znów pobiegła do drzwi. Przybywali goście wprowadzani do dużego pokoju dziennego. Esty zajrzała tam. Wszystkie meble zostały podsunięte pod ściany, postawiono kilka rzędów wynajętych krzeseł i było przejście pośrodku. W głębi pokoju, gdzie miał odbyć się ślub, płonęły drwa brzozone na otwartym palenisku kominka. Przy kominku wznosiła się do sufitu choinka z aniołkiem na czubku, przystrojona kokardami

z białej satyny, rozmigotana białymi lampkami i - tu także - dzwonkami weselnymi.

Esty słyszała gwar, śmiechy, odgłosy otwierania i zamykania drzwi. Popatrzyła na szpinet Chickering, na którym miała zagrać Sally - ten szpinet Phil kupił na sierpniowej aukcji Elizabeth. Dwa meble, pomyślała Esty, kupione na tamtej aukcji w specjalnym celu: szpinet Phila i Sally i mój hiszpańsko-misyjny dębowy sekretarzyk. Szpinet poniekąd symbolizuje życie, jakie prowadzą Phil i Sally - amerykańskie marzenie. Esty, zdumiona, zdała sobie sprawę, że też tego chce, chociaż zaprzeczała temu przez dziesiątki lat. To wcale nie jest kołtuńskie, nie jest staroświeckie. Czy może jest takie? Gdzie ja tu pasuję, zastanowiła się, i czy nie za późno włożyć na palec taką obrączkę, jaką mój kolega szkolny włożył przed tyloma laty?

- Hejże ha! - zabrzmiał za jej plecami tubalny głos. Odwróciła się. W drzwiach pokoju dziennego stał Art Anderson, wspaniały w granatowym garniturze, w gwiazdkowym krawacie, z szyją różową, z lekka fałdzistą nad białym kołnierzykiem koszuli, i z różowym goździkiem w butonierce.

- Zastępy sformowane, kochaneczko - powiedział. - Wezwano mnie, żebym wkroczył. Mam z twojej uroczej matki uczynić cnotliwą kobietę.

Esty wzięła go pod rękę i podprowadził ją do drzwi saloniku. Jessica i Elizabeth stały przed dużym lustrem w złoconej ramie.

- Jesteście do siebie podobne jak dwa ziarenka grochu - stwierdziła Esty, podziwiając swoją matkę i swoją córkę. Wcisnęła się pomiędzy nie i objęła je ramionami.

Odwróciły głowy do niej. Zobaczyła się w lustrze, niższa od nich, brunetka z prostymi włosami, długimi do ramion, między dwiema postawnymi, kędzierzawymi kobietami, które kochała nade wszystko na świecie.

Uśmiechnęły się do siebie w lustrze i rozeszły się, gdy weszła Sally Anderson z białym pudłem z kwiaciarni w rękach.

- Twój bukiet - dała Elizabeth piękną wiązaną białych goździków, gipsówki i gałązek ostrokrzewu. - Tam już są wszyscy - powiedziała. - Kiedy zacznę grać, wchodźcie.

Najmłodsza córka Sally i Phila, dziesięcioletnia Megan stanęła w drzwiach, trzymając jaskrawoczerwony koszyk pełen płatków białych róż,

- A co ja mam robić? - szeptem zapytała Jessica.

- Chodź - powiedziała Elizabeth. - Niech mam podwójną eskortę w długiej drodze do ślubu.

Zmieścimy się na tym białym chodniku we trzy? - Ściśniemy się - powiedziała Esty.

Zabrzmiała muzyka weselna. Ruszyły cicho do zamkniętych dwuskrzydłowych drzwi pokoju dziennego. Drzwi się otworzyły, goście odwrócili głowy, Sally grała już Marsza Weselnego. Weszły na biały chodnik. Megan przecisnęła się naprzód i zaczęła rozrzucać płatki róż. Na tle ognia w kominku stali Art i Phil Andersonowie, wysocy w granatowych ubraniach, z łysinami lśnącymi w blasku lampy. U ich boków prezentowały uroczyście godne miny dwie nastolatki, córki Phila.

Urzędowa osoba, która miała udzielić ślubu, w dwuczęściowej sukni electric, z uśmiechem patrzyła, jak idą te trzy pokolenia - babka, matka i córka. Elizabeth i Art podeszli do siebie. Esty i Jessica rozejrzały się po gościach siedzących na składanych krzesłach. Esty rozpoznała prawie wszystkich. Wśród nich swoje dwie nauczycielki ze szkoły.

Sally Anderson zagrała ostatni akord, odwróciła się na taborecie i splatając ręce na kolanach uśmiechnęła się do swego męża, do swoich córek, do swego rozpromienionego teścia, który miał wstąpić w nowy związek małżeński.

- Ukochani... - Ceremonia ślubna się zaczęła. Jessica pogłaskała i lekko uścisnęła rękę Esty.

Od wzajemniając uścisk, Esty poczuła łzy w oczach. Ale to były łzy radości.

Jej matka wychodzi za mąż.

Reszta dni minęła jak za mgłą. Po ślubie goście zebrali się w jadalni, były toasty, mnóstwo szampana i całusów. Tymczasem w pokoju dziennym poskładano i zabrano krzesła, usunięto biały chodnik, postawiono meble z powrotem tak, jak stały zawsze. Sally i dwie pomocnice zakrzętały się i wkrótce stół w jadalni zmienił się w obficie zaopatrzone bufet. Delikatnie Sally popchnęła Esty w stronę stołu.

- Ty zacznij - powiedziała.

Esty naładowała sobie talerz, zdziwiona swoim apetytem - rzeczywiście apetyt nigdy jej nie opuszcza. Jessica zrobiła to samo, o wiele jednak wykwintniej. Elizabeth stała z Artem przy oknie.

Uśmiechnięci, przyjmowali gratulacje.

Wesele się nie przeciągnęło. Ostatecznie była Wigilia Bożego Narodzenia. O dziewiątej wszyscy już zjedli po kawałku weselnego tortu. Przyniesiono płaszcze. Phil podjechał przed dom buickiem Arta ozdobionym weselnie, z puszkami przywiązanymi do zderzaków. Megan dała wszystkim ryż do rzucania.

Elizabeth zatrzymała się na zakręcie schodów. Art Anderson trzymał jej futrzany płaszcz. Ale jeszcze nie mogła zejść. Rozejrzała się, poszukała wzrokiem Esty. Oczy ich się spotkały.

Rzuciła swój ślubny bukiet. Celnie. Gdyby Esty nie złapała, uderzyłby ją w obojczyk. Wszyscy klaskali. Jessica przysunęła się do Esty i szepnęła:

- Myślisz, że babcia chce ci przez to coś powiedzieć?

- Czy jest na świecie matka, która nie chce czegoś powiedzieć swojej córce? - zapytała ją szeptem Esty. Ale tuliła bukiet do serca i przesłała pani młodej całusa.

Elizabeth włożyła futro, wzięła Arta pod rękę i obrzucona ryżem zeszła po frontowych schodkach. Państwo młodzi odjechali.

Phil i Sally nie chcieli przyjąć niczyjej pomocy przy sprzątanii. Esty widziała, że pragną już być sami w swoim rodzinnym gronie. Odszukała płaszcze, swój i Jessiki, i po wymianie uprzejmości z gospodarzami poszły obie do jej samochodu.

Padał śnieg. Suche miękkie płatki osiadały na jej włosach, na jej powiekach. Krzewy bukszpanu były już całe ośnieżone. Białe miało być to Boże Narodzenie.

W domu Elizabeth zdjęły paradne suknie, włożyły szlafroki i spotkały się w kuchni.

- Konam z głodu - powiedziała Jessica. - Taka pracobłonna jest rola wnuczki, że prawie nic nie jadłam.
- Ja jadłam dużo - przyznała Esty. - Krewetki był palce lizać. Ale znów jestem głodna. Chcesz kanapkę z masłem orzechowym? Napijesz się czegoś? Herbaty? Kakao?
- Kakao - powiedziała Jessie. - Wypiję, a jakże. Kanapki z masłem orzechowym i z bekonem. Ty też? Usiadły przy sobie na kanapie, jadły, popijały kakao. Jessie zapaliła lampki na choince, Esty zgasiła światło. W łunie ognia płonącego w kominku płaśały cienie na dębowym stoliku do kawy. Jessie oparła stopy o stolik. Esty zrobiła to samo. Siedziały milcząc, napawając się ciszą, przytulnością, tym, że są razem, i radością z zamążpójścia tej, którą kochają.
- On jest równy - powiedziała Jessie.
- Kto? - Esty była senna, miała zwolniony refleks.
- Art Anderson, mamó. Twój... ojczym. Esty jęknęła.
- Jestem za stara, żeby mieć ojczyma.
- Więc ja jestem za stara, żeby mieć nowego dziadka. Ale uważam, że jest świetny. Babcia będzie z nim szczęśliwa. Będzie ją trzymał w karbach. Albo vice versa. Będą dobrze się ze sobą bawić. Są przemili.
- Ho, ho - zauważyła Esty - stałaś się bardzo wymowna.
- Bo się cieszę, mamó, ze względu na nich. Samotność nie jest... dobra. Już rozumiem. W końcu. Męczące być Pokoleniem X.
- A cóż to takiego? Jakiś chromosom odbiegający od normalnego poziomu?
- To jest to, czym ja mam być. Ale nie jestem. Myślę, że jestem odrzutem z lat pięćdziesiątych.
- Kim? Czym? - W tym właśnie sęk. Za mało oglądałam telewizję. Nie pamiętam, kim były te wzorce.
- Sama stwórz sobie wzorzec. Ja staram się to robić - powiedziała Esty.
- Jak myślisz, która następna? - zapytała Jessica, nagle rozmarzona.
- Ty.

- Może ty.
- Zatańczę na twoim weselu, jeżeli ty zatańczysz na moim.
- Umowa stoi.

Jessica postawiła kubek na stoliku i uściśnęła matkę.

- Wesołych Świąt, mamó. Kocham cię.
- Wesołych Świąt, Jess - powiedziała Esty. - Ty wiesz, że zawsze cię kocham. Ale chyba teraz kocham cię o wiele bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Jessie wstała i zasłoniła palenisko żelaznym parawanikiem. Esty odniosła kubki i talerze do kuchni. Zostawiły lampki na choince i zapalone świece elektryczne w oknach. Prezenty rozpakowane leżały już pod choinką. W kuchni odmrażał się indyk, nadzienie miał dostać nazajutrz rano. Esty i Jessie mogły pójść spać.

Esty właśnie wyszła spod prysznic, Jess w swoim pokoju szczotkowała włosy, gdy zadzwonił telefon. Obie podniosły słuchawki jednocześnie. Dwa męskie głosy w słuchawkach jednocześnie powiedziały: Cześć! - i zaśpiewały - Wesołych Świąt.

Esty wysunęła głowę zza drzwi swojego pokoju, machnęła ręką do Jessie.

- Są pod gazem - powiedziała.
- Wesołych Świąt, śliczne panie! - śpiewały głosy w słuchawce. - Wesołych Świą-ą-ą-ąt!

Esty i Jessie odpowiedziały Hankowi i Deke'owi życzeniem wesołych świąt, po czym porozmawiały z Yvonne i Nellie. Po tym telefonie popatrzyły na siebie i uściśnęły się znowu.

- Przyzwoici - powiedziała Esty. Jessie jęknęła.
- Wesołych Świąt, mamó. - Uściśnęła Esty jeszcze raz.
- Tak - powiedziała Esty. - Wesołych Świąt. Śniadanie wcześniej. Mamy coś specjalnego do zrobienia, zanim dzień się rozpocznie na dobre.

Czuła, że Jessie wie, o czym ona mówi. Przerazało ją to, co miały zrobić nazajutrz rano. Ale przyszedł na to czas.

Tamtej nocy Esty znów miała sen. Zanim zasnęła, pomyślała: dzisiaj nic mi się nie przyśni, będę spała jak niemowlę. Ale tak nie było. Spała jak panna młoda. Erie był przy niej w łóżku, zbudził ją, wziął za rękę, wyprowadził spod skotłowanych kołder na jakiś korytarz i do innej sypialni, gdzie było inne łóżko ze zmiętoszoną pościelą. „To jest lepsze - powiedział

- trzeba, żebyśmy byli tutaj ". I rzucił ją na to łóżko i trzymał tak mocno, że brakowało jej tchu.

Obudziła się - jak zawsze z takich snów - opętana prześcieradłem i w koszuli skręconej, z włosami mokrymi od potu, lepiącymi się do szyi. Co ten sen oznacza? Przejście z jednego łóżka do drugiego? Wreszcie zasnęła znowu, ale obudziła się przed świtem w pokoju, w którym sypiała będąc dzieckiem. Sosnę za oknem, jak zawsze na Boże Narodzenie, zdobiły małe białe lampki. Śnieg obciążał gałęzie. Wstała i wyjrzała przez okno: smolisty mrok, ale wysoko na niebie mały sierp księżycy i gwiazdy, tyle gwiazd! Stała przy oknie i patrzyła, jak pada śnieg, płatki się srebrzą w świetle lampek na sośnie. Spojrzała na zegarek: szósta. Godziny miną, zanim Jessie się zbudzi.

Cicho poszła do kuchni, zaparzyła kawę, zjadła porcję kawowego tortu i z kubkiem kawy wróciła do swego pokoju. Wyciągnęła z szafy ozdobne gwiazdkowe pończochy, które co rok napełniała dla Jessie, i torbę do zakupów pełną ładnie zapakowanych drobiazgów. Wepchnęła w palce pończochy mandarynkę i zaczęła wkładać prezenciki - takie same jak co rok, chociaż Jessie rzeczywiście już ich nie potrzebowała

- rolki taśmy do klejenia, parę książeczek znaczków pocztowych, gumki, spinacze, długopisy, baton czekoladowy, pastę do zębów, mydło Pearse. Hildy zły, bo w obcym pokoju, rzucał się na paczuski, oplątał wstążką, położył się na grzbiecie i tylnymi łapkami rozkopał opakowanie spinaczy, aż musiała je zbierać.

W końcu powiesiła pończochę na gwoździu wbitym w krawędź parapetu kominka, gwoździu, który był tam niezmiennie od niepamiętnych czasów, chyba sprzed jej dzieciństwa.

Dziwne tak się krzątać w domu matki, kiedy matka jest w innym domu. Pomyślała o Elizabeth teraz w nowej koronkowej koszuli koloru lawendy - czy może bez koszuli - u boku

Arta Andersona. Czy on ma jedno duże łóżko, czy dwa zsunięte, jednakowe? Czy rano on przyniesie mamie kawę do łóżka?

Nie moja sprawa, zmitygowała się gwałtownie. Sama przecież by nie chciała, żeby matka wyobrażała sobie jej życie intymne. Ale trudno się od tego powstrzymać. Uśmiechnęła się, poszła do kuchni, naląła sobie jeszcze kawy.

Nie. Nie będę czekała, aż Jessie się obudzi. Pójdę na strych sama. Włożyła tenisówki. Wzięła latarkę elektryczną i ruszyła na górę po drewnianych schodach. W dzieciństwie wydawało jej się, że na tych schodach straszy. Nadal tak się wydaje. Schody w połowie drogi zakręcały i w ścianie przy zakręcie była mała wnęka. We wnęcie stała wypchana sowa ze szklanymi ślepiami bardzo butnymi, ze skrzydłami obwieszonymi pajęczyną. Esty domyśliła się, że matka przez długie lata tu nie zaglądała. Zapaliła latarkę, poszła dalej. Schody skrzypiały. Ponad nią na sznurze wisiała nie osłonięta żarówka. Przekreśliła kontakt -bez skutku. Wiedziała, że w głębi strychu jest drugie światło. Doszła tam świecąc latarką. To światło się zapaliło. Całe czterdzieści watów.

Wiedziała, gdzie co leży. W pomalowanej na kolor khaki szafce są jej stare szkolne zeszyty i podręczniki. W worku, wiszącym na metalowym pręcie, są jej narciarskie kurtki i spodnie, dwie długie suknie wieczorowe i stary futrzany płaszcz z lisów, którego teraz za nic by nie nosiła, ale z którym też za nic nie chciała się rozstać. Kiedyś go przerobię - mówiła sobie dziesięć lat temu, na futrzak, będę się nim owijać z książką na kanapie.

Podeszła do cedrowej skrzyni „na wyprawę ślubną”. Tu były jej pamiątki z czasów z Edkiem: książka ślubnych prezentów... modlitewnik w okładce z białej skóry, prezent od babci do ślubu... kościelny, którego ostatecznie nigdy nie miała, świadectwo ślubu w ramce. Albumy z roku małżeństwa i z późniejszych lat, fotografie małej Jessiki. I nawet album z lat w college'u, fotografie Erika. Na dnie skrzyni stara reklamówka Bloomingdale'a i w niej, owinięte białą bibułą, dwie marynarskie koszule w białe i czerwone paski. Jedna duża, druga mała. Te jednakowe koszule jej i Erika. On je zamówił z Katalogu.

L.L. Bean tamtej jesieni, kiedy się zaręczyli, i upierał się, żeby je nosili. To ją żenowało - przypomniała sobie - takie ubieranie się w jednakowe koszule, dżinsy, buty z cholewami, ale Erika tak cieszyło, że zgadzała się na to. Przeszarżała, myślała wtedy, ale się zgodziła, bo Erie tak chciał. Wspomniała teraz, jak po miasteczku uniwersyteckim chodzili w tych pasiastych biało-czerwonych koszulach, on ją obejmował i szeptał: „My to bliźnięta, miłe, kazirodcze bliźnięta”. Rozłożyła koszule. Wyglądały jak nowe. Przyłożyła swoją koszulę do siebie. Oczywiście, nadal jej rozmiar.

Dwa razy musiała zejść po tych strasznych schodach, żeby wszystko znieść na dół. Przed drugim razem zgasiła światło, zatrzasnęła skrzynię i wzięła reklamówkę z koszulami. Na schodach ściągnęła pajęczynę ze szklistych ślepi sowy, a potem zamknęła drzwi schodów za sobą.

Przed drzwiami swojego pokoju zatrzymała się nasłuchując. Cisza. W pokoju zdjęła nocną koszulę, włożyła bieliznę i przez głowę wciągnęła tę koszulę w biało-czerwone paski. Podwinęła rękawy tak jak dawniej w college'u. Przejrzała się w lustrze Esther Foster, młodo wyglądająca kobieta czterdziestoośmioletnia w koszuli, którą nosiła prawie trzydzieści lat temu, po raz pierwszy wówczas zakochana. Tyle w tej koszuli jest wspomnień, ale ostatecznie to tylko koszula. Wiedziała, że jeszcze rok temu nie zdołałaby rozwinąć tej bibułki, włożyć tej koszuli i przejrzeć się w lustrze. Rok temu nie zdołałaby odwrócić się od lustra, sięgnąć po koszulę Erika, złożyć i zawinąć w bibułkę i zanieść do saloniku na stolik ze stertą albumów i innych pamiątek.

Rok temu nie przyjechałaby do matki bez zdjęcia Erika przy sobie, żeby je postawić na szafce nocnej. Rok temu nie mówiłaby o Eriku z nikim, nawet z Jessie.

Została w swojej pasiastej koszuli. Wyglądała gwiazdkowo Uśmiechnięta poszła do kuchni, dała jeść Hildy'emu, zajęła się nadzieniem indyka i zrobiła sucharki, które jej córka zawsze chciała mieć na śniadanie w Boże Narodzenie.

Usłyszała, że drzwi pokoju Jessie się otwierają. Wyrzała z kuchni. Jessie już w koszuli polo i dżinsach weszła na palcach do saloniku. Powiesiła na parapecie kominka wypcha-

na pończochę i pochyliła się, żeby ułożyć podpałkę na palenisku.

Bekon skwierczał na patelni, Jess odwróciła się i uśmiechnęła, gdy Esty weszła do saloniku i podała jej kubek z kawą. - Ładna bluza. Nowa?

- Raczej nie - odpowiedziała Esty. Sięgnęła na stolik, wzięła koszulę w bibułce i dała Jessice. - Cieszę się, że ci się podoba. Proszę. Prapremierowy prezent.

Jessica przyłożyła tę koszulę do jej koszuli.

- Jest ogromna - powiedziała. Ale zdjęła swoją polo i wciągnęła tę pasiastą przez głowę. Z wdziękiem odgarnęła swe kędzierzawe włosy od marynarskiego dekoltu. Zsunęła rękawy do nadgarstków, po czym je podwinęła zupełnie tak samo jak Erie, aż Esty serce zamarło.

- Wcale nie jest taka ogromna - powiedziała Esty. Nie odrywała oczu od Jessie w tej koszuli.

- Ale co to ma być? - zapytała Jessica. - Nigdy dotąd nie ubierałyśmy się mama-córeczka jednakowo. I te koszule nie są nowe. Więc co... - Urwała, popatrzyła na stolik, na albumy, na pudełko z luźnymi zdjęciami, na pustą reklamówkę Bloomsdale'a wyraźnie sprzed stu lat. - Nie - powiedziała.

- Tak - powiedziała Esty.

- Powiedz mi - poprosiła Jessie cicho.

Esty opowiedziała o tych koszulach, o spacerach „kazirodzczych bliźniąt”.

- Będiesz to nosiła, Jessie? - zapytała potem. - Nie musisz. Możemy to dać na dobroczynność.

- Ty swoją włożyłaś. - Głos Jessiki drżał trochę ze wzruszenia po opowiadaniu matki.

- Tak. Podoba mi się.

- Więc i ja dziś będę w mojej. Babcia nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Babcia? Będzie zachwycona. - Esty uściskała córkę. - To dopiero początek. Dziś jest poranek pokazywania i opowieści.

- Przed śniadaniem? - Jessie niby jęknęła z głodu, chwytając się za brzuch.

- Nie. Po śniadaniu. — Esty spojrzała na dwie pończochy zwisające z parapetu kominka, a potem na wyszczerbiony talerz

i pustą szklanę, jak zawsze pozostawione w Wigilię dla Świętego Mikołaja. - Czy on przyszedł?
Jessie zapewniła:

- Tak. Zjadł i tak mu smakowało, że aż są ślady jego zębów na talerzu. I wypił dzin.

- Myślę - powiedziała Esty - że tylko my dwie na całym świecie częstujemy Świętego Mikołaja dzinem, a nie mlekiem.

- Może właśnie dlatego on zawsze nam daje takie ładne prezenty - powiedziała Jessie. - Wprost pękają te pończochy.

- Jessie, nie powinnaś była.

- Nie powinnam? - Jessie prychnęła kpiąco. - A co ja zrobiłam? Nie posądzasz mnie chyba o to, że wypiałam dzin Mikołaja. On napełnił te pończochy. Nikt inny.

Otworzyły swoje pończochy jednocześnie. Jessie nigdy dotąd nie przygotowała pończochy dla Esty, ale teraz spisała się cudownie. Flakon ulubionej wody kolońskiej Esty, pudełeczko czekoladek Godiva, aksamitna opaska, szylkretowe grzebyki i... ha ha ha... olejek Olay.

Zmięły opakowania w jedną kulę i rzuciły ją Hildy'emu ku jego radości, bo trochę go już znudziła gumowa mysz. Potem poszły do kuchni na śniadanie i zjadły jajka, sucharki z bekonem, wypiły świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy.

- Do licha - powiedziała Jessie - zapomniałam, jaka potrafisz być fajna.

Esty ją uściskała.

- Poczekaj, może się okazać jeszcze fajniejsza. Weź kawę. Mamy... więcej do oglądania.

Jessie dorzuciła drew do ognia na palenisku kominka. Potem usiadła przy matce, złożyła ręce i czekała. Zaczęły od albumu z fotografiami z college'u. Jessie śmiała się do łez, widząc drzazgę z bramki piłki nożnej przyklejoną do stronicy albumu i bibułkową serwetkę od Ritza w Bostonie, i różowe kartki z wiadomościami telefonicznymi z centralki w akademiku. Pod koniec tego albumu, po kopii dyplomu ozdobionej chwastem z biretu Esty-absolwentki, było zdjęcie Esty i Erika najwidoczniej z jakiejś zabawy. Patrzyli na siebie i śmieli się. Erie miał puszkę piwa w ręce.

- Mój ojciec - powiedziała Jessica. - Czy był taki miły, na jakiego wyglądał?
- Czy papież jest prawdziwym katolikiem? - odpowiedziała Esty pytaniem. - Czy kurczak ma usta?
- On... kogoś mi przypomina. Coś tak znanego... Esty z trudem przełknęła kulę w gardle.
- Zgadnij, kogo - powiedziała.

Jessie zastanowiła się, znów spojrzała na tę fotografię i przesunęła palcami po swych kędzierzawych gęstych włosach. - O Boże mój - powiedziała. - To...

- Właśnie.

Jessie zapatrzyła się na fotografię.

- Przypuszczam, że dlatego ja... poniekąd zwariowałam, kiedy go poznałam?

Poniekąd zwariowała. Ty i ja także, dziewczyno, pomyślała Esty.

- Na czym polegało to poniekąd wariactwo? - zapytała. - Wyjaśnij mi.

- No... po prostu musiałam być z nim. Pomimo że wiedziałam... pomimo że nie przypadł mi szczególnie do serca. Wyczuwałam w nim coś, coś śliskiego, ale pomimo to...

Esty tylko słuchała.

- Słuchasz mnie, mamó? Myślisz, że to odgrywało rolę? To, że on taki podobny do mojego ojca? No, co myślisz?

- Myślę, że chyba tak - powiedziała Esty. - Ale... żadni dwaj nie mogliby zarazem bardziej się od siebie różnić. Niemożliwe.

Jessie zamknęła ten album, przytrzymała go na chwilę przy piersi, po czym otworzyła następny. Zdjęcia ze ślubu i wesela. Przyglądała się im kolejno, po czym natrafiła na dużą fotografię matki tańczącej w objęciach wysokiego mężczyzny, roześmianej, patrzącej mu w oczy.

- Mamó, to jest...

- Harrison Morrison Trzeci - powiedziała Esty. - Nasz przyjaciel.

- Wcale się nie zmienił - stwierdziła Jessie.

Esty pominęła to milczeniem. Też patrzyła na tę fotografię. Jessica przewróciła stronicę.

„Podróż poślubna" był napis drukowanymi literami, poniżej zdjęcie Esty i Erika gdzieś na plaży, obojga w pasiastych czerwono-białych koszulach.

- Czuję się tak, jakbym poznała go trochę lepiej - powiedziała Jessica. - On stał się... realny dla mnie. To nie byle jaka podróż wstecz, żebym się dowiedziała, jak mój ojciec naprawdę wyglądał. Jak się uśmiechał naprawdę, a nie tak, jak na tej fotografii, którą miałaś przy łóżku. Tam pada cień czapki na twarz. Mógłby to być każdy.

Esty wstała i podsyciła ogień. Lekko jej było na sercu. Lekko, jak gdyby zdjęty został wielki ciężar.

- On był kimś - powiedziała. -1 chociaż utraciliśmy go tak wcześnie, obie mamy szczęście, że on był nasz.

Jessie zaczęła ten album oglądać od początku. Uśmiechała się. Esty spojrzała na zegarek. Czas podlać indyka tłuszczem. Czas pomyśleć o biesiadzie. Matka i Art Anderson będą tu wkrótce.

Znów spojrzała na Jessie, na jej połyskliwe włosy, na te albumy opowiadające jej o małżeństwie rodziców. Jakies drzwi stanęły otworem, uświadomiła sobie, zajaśniało jakies światło. To czary. To najlepszy gwiazdkowy prezent w całym życiu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy w dwa dni po Bożym Narodzeniu Esty przyszła do redakcji, Mary w swoim gabinecie na górze spacerowała tam i z powrotem.

- Doszliśmy do finału - oznajmiła, nawet się nie witając. - Dowiedziałam się pocztą pantoflową. Pięć gazet doszło do finału, my wśród nich.

Esty podeszła do niej i mocno ją uściskała.

- Palce skrzyżowane - powiedziała. - Jak tam święta? Mary opowiedziała obszernie o swoim domu, o wszystkich

pięciorgu dzieciach, które się zjechały, o zięciu i synowych, o wnukach.

- Pod stołem w Boże Narodzenie było siedem psów - powiedziała. - Przy stole dwadzieścia siedem osób. Musieliśmy mieć dwa indyki.

Esty usłyszała okrzyk dolatujący z dołu, a potem tupot. To Wally wbiegł po schodach. Usłyszał tę wiadomość. Gotów wrócić do pracy, miał przeprowadzić wywiad w ratuszu z pełniącym obowiązki burmistrza - tym właśnie Samem, którego Dick uderzył na zebraniu rady miejskiej.

- Pójdiesz ze mną, szefowo? - zapytał Esty. - Chciałbym napisać, jak rada miejska rzeczywiście pracuje. Taki rzut oka na to, co robimy, żeby nie wpuścić tu McDonalda, takie rzeczy. Przekrój. Esty zgodziła się mu towarzyszyć. Była rada z tej dystrakcji. Nie mogłaby się skupić na własnym pisaniu, jeszcze rozprężona po ślubie matki i po świętach, zaabsorbowana pomaganiem Jessie w urządzaniu nowego mieszkania, i rozczarowana tym, że nie zobaczy Hanka aż do Nowego Roku. Jeżeli Hank stamtąd w ogóle wróci. Zważywszy różnicę klimatów i Virginie, wszystko może się zdarzyć.

- Pójdę - powiedziała Wally'emu - ale pytać będziesz ty. I pamiętaj, ludzi wcale nie interesuje aż tak, jak ci się zdaje, praca rady miejskiej. Ludzie chcą tylko, żeby układało się gładko bez żadnych kłopotów dla nich.

- Takich kłopotów, jakie były.

- Takich, jakie były. - Esty włożyła płaszcz i wyszła za Wallym na białą zimową ulicę.

- Ciekawe, co on będzie robił, Barrett, to znaczy - powiedział Wally - zaczniesz od początku gdzieś indziej? Myślisz, Esty, że on kiedyś tu wróci?

- Nie - odpowiedziała. - Miał dużą wpadkę. Życzę mu jak najlepiej. Chyba nauczka nie poszła w las. Dostyc dla niego przykra.

- Ludzie mówią, że... - Wally urwał. Zaczerwienił się.

- Nieważne - powiedziała Esty. - Znasz to miasteczko. Ludzie wciąż mówią. Dajmy im do omawiania coś nowego. Zaczniemy nowy rok. Zaczniemy od wielu wywiadów. Od reportaży o ludzkich codziennych sprawach. To właśnie ludzie chcą czytać, Wally.

- Tak - przyznał. - Ale ja lubię politykę. Kiedyś będę pracował w jakiejś wielkomińskiej gazecie i wtedy....

Esty się uśmiechnęła.

- Z pewnością, Wally. Ale na razie...

Doszli do ratusza. Wally przytrzymał przed Esty ciężkie drzwi i weszli na pokryte chodnikiem wysokie schody. Esty zerknęła na drzwi kancelarii Connie. Zamknięte, za szybą ciemno. Musiała całą siłą woli koncentrować się wchodząc za Wallym do gabinetu burmistrza, udając zainteresowaną, służąc mu sugestiami.

Zawsze po Bożym Narodzeniu była trochę przygnębiona, nawet w dzieciństwie. A odkąd utraciła Erika samo Boże Narodzenie stanowiło dla niej ciężką próbę. Ogromnie się wysilała, żeby być w świątecznym nastroju ze względu na Jessikę, a potem ze względu na rozwiedzioną matkę, ale to rzeczywiście dużo ją kosztowało. Dotychczas, do świąt w tym roku, kiedy nastąpiło tyle radosnych wydarzeń. Tegoroczne Boże Narodzenie okazało się cudowne - szczęście Elizabeth z nowym mężem, jednakowe pasiaste koszule z czasów Erika na niej i na Jessice, i mogła o Eriku opowiadać, i wreszcie uświadomiła sobie, że ona i Jessie mogą swobodnie rozmawiać o wszystkim, bo są nie tylko matką i córką, ale i przyjaciółkami. Już nieistotne, że Jessica jest wyższa i włosy ma ładniejsze, i chyba nawet jest inteligentniejsza. Już nie musi - jeśli kiedykolwiek musiało - być współzawodnictwa.

A jednak te święta były wyczerpujące i Esty z trudem wracała w normalny rytm codzienności. Pogoda nie pomagała. Niebo szare, wiatr zimny, śnieg zmieniający się w breję. I Hank Morrison wciąż jeszcze w Arizonie. Wally ciągnął wywiad długo. Esty robiła, co mogła, żeby się nie wtrącać, dawać mu pole do działania. Jakoś sobie poradził. Wrócili do redakcji razem. Widziała, że coś go trapi, ale dopiero w pobliżu redakcji zapytała: - No, Wallace, o co chodzi? Nie w twoim stylu jest taszczyć się ze starszą panią, kiedy pracujesz. - Esty, nie jesteś starszą panią - powiedział.

- No to panią. Kobieta. Osobą. Kimś tam. Czy na pewno nie chcesz z kimś o czymś porozmawiać? - Przypuszczała, że

chodzi o pieniądze. Premie gwiazdkowe były skąpe, na podwyżki się nie zapowiadało. Zastanawiała się, jak ci młodzi mogą wyżyć z takich poborów, nawet w Skrzyni. - No? - napierała.

- Czy mogę cię o coś zapytać rzeczywiście... prywatnie?

- Możesz.

- Czy myślisz, że po pierwsze: Jody mnie zechce? I po drugie: czy są jakieś zasady w redakcji, które zabraniają takich rzeczy?

Esty zatrzymała się w pół kroku i uściskała Wally'ego.

- Dziękuję, że pytasz mnie. To mi pochwala. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jej głowie, ale myślę, że masz u niej szansę. Jody jest cudowna, Wally. Gdybym ja była młodym człowiekiem, biegałabym za nią. I nie, nie ma żadnych zasad które by zabraniały romansów w redakcji. Jesteśmy tu w Ed-geville bardzo liberalni.

- Może ty, Esty - powiedział Wally. - Ale nie powiedziałbym tego o całym Edgeville.

Doszli do redakcji. Wally przystanął przed drzwiami

- Sekret, co?

- Oczywiście - potwierdziła Esty. - I powodzenia. Poszła do domu, żeby się zdrzemnąć. Ten brzask uczucia pomiędzy dwojgiem jej reporterów trochę podniósł ją na duchu Squeech, kiedy z czasem się dowie, zacznie szukać papierowej torby, żeby huknąć... Od razu od drzwi spojrzała na automatyczną sekretarkę. Nie było żadnych telefonów. Ogarnęło ją szare, beznadziejne zniechęcenie. Zaparzyła sobie herbatę, pomocną w takich chwilach, ale nie za bardzo. Hank musiał polecieć do Phoenix rankiem w drugi dzień świąt i pocieszać Virginie, znów leżącą w szpitalu. I znów miał tam czekać, żeby z powrotem odwieźć Virginie do domu. Przyleci w wigilię Nowego Roku. „Daję ci słowo - powiedział - nic mnie nie zatrzyma”. Ile jednak razy on będzie musiał tam wracać? Może odradza się miłość pomiędzy nim i Virginią? Przysięgał, że tak nie jest. Ale czy jakkolwiek były małżonki jest aż tak dobry, aż tak troskliwy wyłącznie przez lojalność? Esty przekreślała pierścienek przyjaźni na palcu, popijała herbatę i wyczekiwała dzwonka telefonu. Zmęczenie ją zmogło. Hildy wskoczył jej na kolana

podrapał ją ostrymi pazurkami przez kraciastą spódnicę, po czym położył się mrucząc.

- Szczęśliwy kocie - powiedziała i pogłaskała go. - Wystarcza ci trochę głaskania i coś niecoś w misce. A mnie...

Przestań roztkliwiać się nad sobą! Postawiła Hildy'ego na podłodze i podeszła do sekretarzyka.

Wzięła notatnik. Jeżeli z Hankiem Morrisonem ma spędzić wigilię Nowego Roku w domu, przynajmniej mogłaby przygotować rzeczywiście bajeczną kolację.

- Droga do serca mężczyzny - powiedziała głośno i patrzyła, jak Hildy wodzi za nią żółtymi oczami - zawsze przez jego żołądek.

Gdyby tylko, pomyślała, to było takie proste. I czy ja chcę znaleźć drogę do jego serca? Nie jestem tego pewna.

Gotowała i piekła przez dwa dni, zdenerwowana, podniecona, nieomal bez tchu. W przeddzień jego spodziewanego przyjazdu wyrzuciła choinkę, usunęła dekoracje, przygotowała dużo drewna, położyła na łóżku nowe, czysto bawełniane prześcieradło. Od matki dostała na Gwiazdkę nocną koszulę, wprost grzeszną - koloru malwy i z różową koronką. Wyjęła tę koszulę z bibułki, powiesiła na drzwiach, żeby wywietrzał zapach saszetki Elizabeth.

Tego samego dnia napisała swoją rubrykę, zredagowała resztę materiałów, zmobilizowała zmęczony zespół przed oddaniem gazety do druku. Chociaż kto w tym czasie będzie czytał? Większości ludzi gazeta posłuży do zapalania sztucznych ogni albo tresowania gwiazdkowego szczeniaka.

Hank dzwonił co wieczór. Wszystko wyglądało dobrze. Virginia była w domu, już nie tak załamana. - Nie martw się - powiedział Hank. - Przylecę. - Miał przybyć rano trzydziestego pierwszego, zjeść wielki obiad z Yvonne i Nellie i samochodem przyjechać do Edgeville na wieczór. Nie, nie powiedział „na wieczór” - powiedział „na noc”.

Na noc, powtarzała sobie. Jak to będzie? Coraz bardziej się denerwowała. Plątała się po domu, przesuwała rzeczy na

stolikach w tę stronę, w tamtą, sprawdzała lodówkę. Hildy, spokojny, patrzył na nią z parapetu okna chyba z rozbawieniem. Ostatnio nie lubił wychodzić na dwór na długo, był jej stałym towarzyszem. Wiedziała, że to wariactwo rozmawiać z kotem, ale nie mogła się powstrzymać.

- Więc, Hildy, czy mi zależy na nim? Poza tym, że to stary przyjaciel.

- Hildy, a jeżeli jest burza i ten samolot nie może wystartować?

Wtedy Hildy zeskoczył z parapetu, podszedł do niej, zaczął ocierać się o jej nogi, podniósł wzrok i zamiauczał. Wzięła go i przytuliła.

- Mnóstwo zmian, Hildy - szepnęła w jego futerko. - W głowie mi się kręci.

Jeszcze jednak pamiętała, że trzeba kupić dwie butelki Perriet Jouet i jedną butelkę brandy i camembert, i niegodziwie drogie maliny z Izraela.

Czekają wielkie spotkanie. Nie ma sensu udawać, że to nic szczególnego. Pogodo, modliła się Esty, miej umiar. To samo mogłaby mówić swojemu sercu.

Wyciskała sok z cytryny na wędzonego łososia, gdy zadzwonił telefon.

- Wygraliśmy! - ktoś wrzasnął jej do ucha. - Przyjdź prędko! Dostaliśmy nagrodę!

Narzuciła na siebie kurtkę z kapturem i pobiegła do redakcji.

Jim i Mary stali przy stole w sali konferencyjnej, każde z butelką szampana, Squeech w czapce Świętego Mikołaja i w nowym gwiazdkowym swetrze z reniferem układał plasterki sera Velveeta na krakersach Ritza. Wszyscy klaskali, gdy Esty weszła. Jim odstawił szampana, podszedł i mocno ją uściskał. Esty podeszła do Mary i ją uściskała. Kącikiem oka zobaczyła, że Wally i Jody stoją razem. Czyżby już się umówili na rendez-vous? Wally podchwycił jej wzrok i mrugnął. Odmrugnęła. Weszła Angela ze swoim psem i postawiła na stole salaterkę pełną ciastek własnego wypieku.

- Przyniosłaś szczęście tutaj - powiedziała, lekko szturchając Esty w zebra. - Popatrz, czego dokonałaś.
- Myśmy dokonali - powiedziała Esty. - A naprawdę to ty rządzisz tą redakcją i wszyscy o tym wiedzą.
- Nie będziemy ciebie zatrzymywać - powiedziała Mary. Uderzyła łyżką w butelkę, żeby ucichli. - Wiemy, że masz wielkie plany. Ale musieliśmy się tu zebrać, żeby oblać nagrodę. Szalejemy z radości. I wielkoduszny Jim ma coś do powiedzenia. Jim wystąpił.
- Dla każdego mała premia. W tej chwili nie mamy gotówki, a że - jak wiadomo - czas to pieniądz, więc dajemy wam czas. Tydzień urlopu. Dodatkowego. Kiedy kto chce w okresie od dzisiaj do sierpnia. Słowo się rzekło. Szczęśliwego Nowego Roku! Wszyscy się ściskali i całowali. Angela roznosiła ciastka. - Co robisz dziś wieczorem? - zapytała podchodząc do Esty.
- No...
- Tak myślałam. Napiekłam tego dosyć, żeby wyżywić całą armię, więc wydzieliłam pudełko dla ciebie i... tego twojego kogoś tam. Resztę zabiorę do Sary z torbą psich biskwitów.
- Wcisnęła pudełko ciastek jeszcze ciepłych. - Hej - powiedziała
- bądź cnotliwa, a jeżeli nie możesz, to bodaj ostrożna. Ha, ha. Esty uśmiechnęła się i podziękowała Angeli.

W domu niespokojnie spojrzała na telefon. Światelko błyskało. Podbiegła, przyjęła wiadomość i odetchnęła z ulgą. Samolot wylądował zgodnie z rozkładem. Hank jest w domu. Przyjedzie koło siódmej. Wzięła długą wonną kąpiel, umyła głowę i wyszczotkowała włosy, aż lśniły. Horrendalnie droga polędwica marynowała się, sałatka była gotowa, stół nakryty. Hank nie będzie miał nic do roboty, tylko... - Czy ja jestem zakochana?

Esty nie zadała tego pytania głośno, ale Hildy stanął u jej stóp i patrzył na nią tak, jakby się czegoś spodziewał. Pochyliła się i podrapała go za uszami.

- Zaczekamy, kotku, zobaczymy.

On nie zadzwonił do drzwi, zapukał i zaraz wszedł. Postawił swój bagaż - dwie ogromne torby z zakupami i płócienny neseser. Po chwili znalazła się w jego objęciach, trzymał ją i kołysał, raz po raz powtarzając jej imię. Uniosła twarz do jego twarzy. Policzki miał zimne, usta gorące, gdy ją pocałował. Pocałowała go, przytuliła, a potem odsunęła od siebie.

- Och, Hank - powiedziała. I zabrakło jej słów.

Zdjął płaszcz i rzucił na krzesło, ściągnął rękawiczki i też rzucił. Hildy chwycił jedną.

- Wróciłem - szepnął Hank we włosy Esty, znów biorąc ją w objęcia i tuląc jeszcze mocniej niż przedtem. - Już na dobre. - Spojrzał jej w oczy.

Stała w cieple jego ramion, spokojna i szczęśliwa. - Tęskniłaś? - zapytał.

Głęboko popatrzyła mu w oczy, tak zupełnie inne niż oczy Erika. Mogłaby się w nich zatracić.

- Może trochę - odpowiedziała.

- Ja tęskniłem za tobą bardzo. - Puścił ją, podszedł do kominka, zatarł ręce. Pochylił się nad Hildym, przysuwającym się do niego boczkiem jak krab i zaczynającym się ocierać o jego nogi. - Otóż to, kocie - pogłaskał Hildy'ego. - Powitaj staruszka noworocznie.

Esty stanęła za nim. Obejmując się, popatrzyli w płomienie, a potem na siebie.

- Esty - powiedział Hank - musimy skończyć tę bzdurę. Muszę ci powiedzieć. Teraz.

- Powiedzieć mi? - Serce jej waliło.

- To nie jest tylko romans, Esty. Ja... ja cię kocham. Wiedziałaś o tym?

Zdecydowała się być uczciwa. Żadnych gier.

- Miałam taką nadzieję - powiedziała. - Muszę przyznać, że miałam taką nadzieję.

- A ty mnie? - Ja?

- Esty. Powiedz swoją kwestię. Mężczyzna ci mówi, że cię kocha. Mam ci podpowiedzieć? On mówi, że cię kocha, co ty na to?

- Och! - zawahała się. - Myślę, myślę, że kocham. Albo będę kochała. Hank, może nie wiesz... jaki to jest krok naprzód.

- Wiem.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę. Denerwowałam się, że opóźnią lot. No, bo ta pora i ta pogoda.

- Przyleciałam.

- Przyleciałeś.

Stała onieśmielona jak siódmoklasistka na pierwszej randce. Ten uroczy wysoki mężczyzna patrzy jej w oczy i mówi jej o miłości - a ona wierzyła, że już nigdy nie pokocha, nigdy nie będzie mogła dać siebie. Zadała mu niemądre pytanie: - Jesteś głodny?

- Kobieto - powiedział - pytasz, odpowiadam. Wyświechtanym banałem: jestem głodny... miłości. -

Miał głos niski, melodramatyczny jak spiker radiowy. - Czy kolacja zaczeka? - zapytał szeptem.

- Długo? - zapytała.

- Tak długo, jak to potrwa.

- To? Zdefiniuj.

- Jeżeli musisz się dopytywać, jak mawiał Henry Ford...

- Nie muszę. - Esty słyszała jego chrypkę. - Wcale nie muszę. I kolacja może zaczekać. Do przyszłego roku, mnie nie zależy.

- Rozpustnico. - Podniósł ją, aż zachłysnęła się zdumiona, i zaniósł do sypialni.

Gdy w łazience wkładała tę nową koszulę nocną, poszedł do kuchni, poszperał, znalazł butelkę wina, otworzył i przyniósł z dwoma kieliszkami na stolik przy łóżku. Znowu poszedł do kuchni, przyniósł krakersy i garść czarnych oliwek na talerzu. Żeby zrobić miejsce na to, odsunął budzik i zbiór wierszy Audena. Gdy wyszła z łazienki, już leżał w łóżku pod kołdrą podciągniętą na nagi tors. Klepnął miejsce przy sobie. Położyła się przy nim, podciągnął kołdrę po same podbródki ich obojga.

- Tak lepiej - powiedział. Scałował uśmiech z jej warg, zadrżał trzymając ją wtuloną w jego ramię.

- Och, Hank - powiedziała.

- Och, Esty.

- Szczęścia w Nowym Roku. - Tyle tylko zdążyła powiedzieć, zanim zawładnął nią tak całkowicie, że wszystkie słowa, wszystkie myśli zostały gdzieś daleko, a ona unosiła się, ulatywała, dryfowała w ramionach mężczyzny, któremu zaledwie przed godziną odważyła się wyznać miłość.... Ale czy się odważyła? Czy powiedziała mu, że go kocha?

- Hank... Hank Morrison Trzeci - szeptała między pocałunkami.

- Esther Foster - szeptał.

- Myślę... myślę, że kocham cię - powiedziała. I wypowiedzenie tych słów było jak otwarcie śluzy ogromnej tamy, jak wpuszczenie blasku słońca do ciemnego lochu, jak śmignięcie otwartym samochodem po wiejskiej szosie tam, gdzie dotychczas jechało się powoli zamkniętą- półciązarówką. To było wyzwolenie.

I już nic nie mówili... tylko ich ciała rozmawiały ze sobą... jak starzy przyjaciele i nowi kochankowie, jak ci, którzy się dobrze znają, jak ci, którzy nie znają się prawie wcale, jak dwoje nastolatków zadziwionych pierwszym szaleństwem hormonów, jak dwoje ludzi dojrzałych, wreszcie znajdujących tę jedyną miłość, tę drogę do przystani, o jakiej marzyli. Do spokoju, do schronienia. Do tego, co oznaczają słowa: Jesteśmy Razem. Po pierwszym wybuchu miłości i drugim - spokojniejszym, dłuższym, a przecież bardziej żarliwym - spali, ale tylko kilkanaście minut. Esty obudziła się najpierw. Poszła do kuchni, żeby podgrzać kolację. Włączyła piecyk, po czym zdecydowała, że polędwicę lepiej upiec na rożnie. Zapaliła światło nad kuchennymi drzwiami. Podpaliła węgle. Hank przyszedł, przepasany ręcznikiem. Zerwała z niego ten ręcznik. Uciekł z powrotem do sypialni, wrócił w spodniach i kraciastej miękkiej koszuli.

Ona już się ubrała w czarne bryczesy i długi biały sweter. Była boso.

Hank zrzucił z nóg mokasyny.

- Bardzo intymnie - zauważył - na bosaka.

- Tak milej pod stołem - powiedziała, podając mu długi widelec i półmisek z befsztykami - ale nie możesz wyjść na śnieg bez butów.

Podziwiała jego stopy nie po raz pierwszy. Stopy nie bywają piękne. A jego właśnie są. Żałowała, że znów włożył mokasyny.

Przyrządziła trunki - martini, bo wkrótce Nowy Rok - i dała mu szklanekę.

Tręcili się i pocałowali.

Potem jedli befsztyki przed kominkiem, a nie przy stole. Na deser mieli maliny, kawę z irlandzką whisky, prezentem od Mary i Jima. Gdy skończyli jeść, Esty włączyła telewizor - żeby zobaczyć wielki bal na Times Square. Ale Hank wyłączył.

- Mam własną epokową uroczystość - powiedział. Wziął ją za rękę, przekręcił na jej palcu pierścione przyjaźni i ucałował ten palec. - Przeszłaś kawał drogi, Esty.

Mogła tylko skinąć głową. Nikt nie wie, jak daleko rzeczywiście doszła. Rozejrzała się po pokoju w łunie ognia z kominka. Dębowy sekretarzyk w stylu hiszpańsko-misyjnym to pierwszy krok.

Fotografia Erika w nowej ramce wśród innych fotografii na okrągłym stoliku... a nie przy jej łóżku.

Hildy prawie już nie kociak, jej własny zwierzak będący teraz częścią jej życia. I Hank Morrison Trzeci, który leżąc przy niej i mocno ją przytulając powiedział, że ją kocha.

I ona zaczyna kochać go. - Kawał drogi, Hank - powiedziała.

- Resztę drogi przejdziemy razem - powiedział z niezwykłą powagą. - Chcę, żebyśmy byli... - urwał bezradnie. Chciała mu pomóc, ale jakich słów używają mężczyzna i kobieta w latach dziewięćdziesiątych, kiedy chcą sobie powiedzieć: „myślę, że to właśnie ty...”

- Chcę, żebyśmy byli... n a m i - powiedziała.

I okazało się, że utrafiła. Objął ją, przytulił, aż zabrakło jej tchu, i akurat w tym momencie ryknęły syreny, rozdzwoniły się kościelne dzwony, niebo za oknem rozkwitło świetlistymi kolorami fajerwerków. Zaczął się nowy, zupełnie nowy rok!

I zaczęło się zupełnie nowe życie dla Esther Foster i Hanka Morrisona Trzeciego.

Nawet nie spróbowali ciastek Angeli. Nie mieli kiedy, bo to była noc miłości.

Noc prawdziwej miłości.

EPILOG

Październik 1995

- Ten Hildy tu jest? - zapytała Sarah Waite, wskazując elegancką torbę dla kota, którą Esty dostała od Jima i Mary Prescottów w pierwszą rocznicę swego wkroczenia do redakcji „Nowin Cumberland”.

- Jest. - Esty podniosła torbę, żeby Sarah mogła zajrzeć i zobaczyć Hildy'ego wyraźnie w złym humorze. - Nie cierpi tak siedzieć.

- Ja go rozumiem - powiedziała Sarah i przytuliła Frezję do piersi. - Też nie cierpię tak siedzieć. Chciałabym znowu być młoda. Brak mi Laurel okropnie. Jej stara suczka kojfnęła,

będzie już tydzień temu. Jej też mi brak. Mam ten mój artykuł o niej w ramce, a jakże, na ścianie. To znaczy o Laurel, nie o suczce. Bardzo mi wtedy pomogłaś.

Esty uśmiechnęła się i popatrzyła wokoło. Ludzie tłumnie przybyli ze swoimi zwierzętami do pobłogosławienia, bo to był znowu dzień świętego Franciszka. Nabożeństwo znów odbywało się przed kościołem. Drzewa pyszniły się wspaniałością kolorowych liści, po niebie jaskrawoniebieskim sunęło tylko parę pierzastych obłoków i gdy Esty spojrzała w górę, przelatowały kanadyjskie gęsi w idealnym szyku V. Szosajakaś rodzina przykłusowała konno - mama, tata i dwie córeczki z długimi włosami wymykającymi się spod sztywnych kapelusików. Skierowali się za kościół.

Na łące za cmentarzem pasły się krowy i mały osioł. Zabrzmiała melodia pierwszego psalmu. Ludzie tłoczyli się w rzędy składanych krzeseł, krótko ściągając smycze.

Proboszcz odczytał tekst na dzień świętego Franciszka. Doktor Sweet odczytał modlitwę Świętego; wysoka dziewczyna w fartuchu w szachownicę zaśpiewała coś, co bardzo słabo było słyhać, tak czekały te psy. Po czym nastąpiły błogosławieństwa.

- Błogosławię cię, Afrykanusie - powiedział proboszcz z uśmiechem. Esty przypomniała sobie cocker-spaniela z zeszłorocznego nabożeństwa. Teraz ten piesek jest pobłogosławiony już dwukrotnie.

Z kolei ona podeszła z protestującym Hildym w nowej czerwonej obróżce nabijanej złotymi ćwiekami, prezencie od Yvonne, z taką smyczą do kompletu, prezentem od Nellie.

- No, no, no - powiedział proboszcz, oburącz ujmując kota za pyszczek. - Oto Hildy Jonhson znowu. Kradniesz ostatnio zegarki? - zapytał go szeptem i mrugnął do Esty. Uśmiechnęła się. Wziął z tacy medalik ze świętym Franciszkiem, dał Esty i pobłogosławił Hildy'ego, który dwa razy miauknął głośno, zanim Esty wepchnęła go z powrotem do torby. - Błogosławię również ciebie, Esther - powiedział proboszcz.

Odeszła, żeby zrobić miejsce młodziutkiemu złocistemu seterowi, który tak szarpał się na smyczy, że omal nie

przewrócił swego pięcioletniego pana. Usiadła z powrotem i patrzyła na dalsze błogosławienie zwierząt.

Zabrzmiał ostatni psalm. Oczywiście:

Wszystkie stworzenia...

I oczywiście Esty płakała. Ale to były dobre łzy. I na początku ostatniej zwrotki ktoś szturchnął ją w plecy. Czyjeś duże dłonie zasłoniły jej oczy. Rozpoznała zapach, ale udawała, że nie wie, kto to.

Yvonne i Nellie ze swoimi terierami, naciągającymi smycze, zachichotały za jej plecami. Hank zsunął dłonie z jej oczu na ramiona, pocałował ją lekko w czubek głowy i przyłączył swój głos do chóru. Miał głos niski i serdeczny. Radość się w niej rozświetliła. U jej boku Sarah Waite szepnęła:

- No proszę. Zaprowadź i jego do pobłogosławienia, póki co. - I mrugnęła do niej.

Pani grająca na klarncie tak samo jak w zeszłym roku powtórzyła frazę, po czym dołączyła się trąbą.

...każdy kwiatek kwitnący każdy ptak śpiewający...

Esty wspomniała swoje dzieciństwo. Łzy wezbrały znowu.

I nagle w rzędzie przed Esty ogar uniósł pysk ku niebu i zawył - tylko raz. Fala śmiechu wprawiała w ruch zgromadzenie wiernych. Proboszcz uśmiechnął się szeroko, podnosząc rękę w błogosławieństwie. Śpiewano dalej, ogar się położył.

Esty poczuła dłoń Hanka na swojej dłoni.

- Dobrnąłeś tu - powiedziała - raczej późno.

- Przecież musiał zadzwonić do naszej mamy. - Yvonne wstawiła się za ojcem. - A ona trzymała go i trzymała przy telefonie.

- Cicho bądź - powiedziała Nellie - jemu niepotrzebne nasze komentarze.

- Dobry komentarz - powiedział Hank rozpromieniony. - I dobre wiadomości. Virginia czuje się lepiej.

Ma posadę i nowego wielbiciela. Wszystko w porządku na świecie.

Esty rozejrzała się. Dzieci biegały, głaskały lamy, przysiadły przed klatkami królików, usiłowały pilnować swoje psy, żeby nie plątały się pod nogami staruszek. Rodzina na koniach

odjechała już, fryzjer z węzłem wokół szyi opierał się o płot i promieniał, ale inaczej niż Hank; w tym roku miał włosy jaśniejaco pomarańczowe.

- Chodźmy. - Hank wziął torbę Hildy'ego i poprowadził Esty za kościół. Jak na sygnał, bliźniaczki, ciągnąc swoje teriery, ruszyły w stronę stołu z poczęstunkiem.

- Dokąd idziemy? - zapytała Esty, chociaż było jej wszystko jedno. Z Hankiem poszłaby wszędzie.

- Niedaleko - odpowiedział Hank. Gdy doszli do ławki pod drzewem, postawił torbę i usiadł przy Esty.

- Masz coś, co ci dałem, i muszę ci to odebrać. - Esty zauważyła, że szyja mu poczerwieniała. O czym on mówi, na Boga, i dlaczego jest taki zdenerwowany? Hank nigdy się nie denerwował. - Wyciągnij rękę. Drugą - powiedział.

Wyciągnęła tę rękę. Zsunął jej z palca pierścionek przyjaźni. Spojrzała mu w oczy. Serce jej załomotało. Czowała, że sama ma czerwoną szyję. Nie, to niemożliwe... on nie...

Ale to było możliwe. Hank wyjął z kieszeni marynarki niebieskie aksamitne pudełeczko i kazał jej zamknąć oczy.

- Nie podglądaj. Zaciśnij powieki. Dobrze. Rękę, proszę. Nie tę.

Ujął ją za lewą rękę. Nie otwierała oczu. Wsunął jej na palec pierścionek. Czekala.

- Już - powiedział.

Otworzyła oczy i aż się zachłysnęła. Tak pięknego pierścionka nigdy dotąd nie widziała - kwadratowy szmaragd w oprawie z roziskrzonych brylantów.

- Och - zdołała wykrztusić.

Uśmiechnął się patrząc na nią. Nie musiał pytać: odczytał w jej oczach odpowiedź.

- Och? Tylko och? - Pochylił się i lekko pocałował ją w usta. Za jego plecami skradały się bliźniaczki.

Odwrócił się do nich. - W porządku, dziewczynki. - Skinął, żeby usiadły na ławce. - Ona się zgodziła.

- Możemy ślub zrobić w Boże Narodzenie? - zapytała Nellie. - Możemy porozmawiać z proboszczem teraz? Esty wstała i uściskała obie.

- Miał uklęknąć - Yvonne prychnęła. - Kurczę.

- Klęka się do modlitwy w kościele - powiedziała Esty.
- Do oświadczyn niekoniecznie. Mnie się podoba jego sposób.
- Teraz - powiedział Hank - jedziemy na obiad. - Ja zapraszam. Macie chyba jakieś restauracje w tym mieście?

Esty powiedziała, że tak, i poszli do samochodu. Hank niósł Hildy'ego w torbie.

- Och! - stwierdził - przewiduję kłopoty w naszej połączonej rodzinie.

Teriery już wskoczyły na przednie siedzenie. Odsunął jednego z nich opartego łapami o kierownicę, wsiadł i włączył silnik. - Natrudzimy się, zanim będziemy odzwierciedleniem Królestwa Pokoju.

Hildy w swojej torbie syczał.

Esty z uśmiechem pogłaskała narzeczonego po ręce.

- Mamy o wiele większe przeszkody do pokonania, mój stary. - Uniosła rękę. Szmaragd błysnął w słońcu, brylanty się iskrzyły.

- Tylko się nie czulcie - powiedziała Yvonne. - Krepujcie się przy dzieciach.

- Od tej romantyczności strasznie zachciało mi się jeść

- powiedziała Nellie. - Czy już możemy, proszę, jechać na obiad?

- Dokąd? - zapytał Hank. - Wybierajcie.

Ale Esty już wybrała. Poprosiła Hanka, żeby je zawiózł do restauracji, w której, jak wiedziała, siedzieli teraz Jessie i Dekę z szampanem w kubelku przy łokciach i czekali na starszych państwa.

Mieli coś ważnego do powiedzenia. Esty domyślała się, co.

Na tylnym siedzeniu bliźniaczki zaśpiewały:

- *Wszystkie stworzenia...*

Hank i Esty się przyłączyli. Jeden z terierów wskoczył Esty na kolana i zaczął ją lizać po twarzy. Hildy miauczał.

Mama, pomyślała Esty, rzeczywiście zrobiła początek. Hank i ja będziemy rodziną.

I chyba Jessica będzie następna.